

Ekranizacja powieści
nagrodzona Oscarem 2003
w kategorii Najlepszy Film
Nieanglojęzyczny

Stefanie ZWEIG

AMBER
ZŁOTA SERIA



Nigdzie w Afryce



ZŁOTA SERIA

Stefanie **ZWEIG**
Nigdzie w Afryce

Przekład
Tomasz Dziejczak



Warszawa
2004

Pamięci mojego ojca

Rongai, 4 lutego 1938

Moja kochana Jettel!

Weź sobie najpierw jakąś chusteczkę i spokojnie usiądź. Przygotuj się na wstrząsającą wieść. Bóg chce, byśmy się wkrótce zobaczyli. W każdym razie o wiele wcześniej, niż kiedykolwiek odważyliśmy się marzyć. Od mojego ostatniego listu z Mombasy, który napisałem do Ciebie w dniu przyjazdu, wydarzyło się tak wiele, że jeszcze ciągle mąci mi się w głowie. W Nairobi spędziłem tylko tydzień, a już ogarnęło mnie przygnębienie, bo wszyscy mówili, że bez znajomości angielskiego nie mam co szukać pracy w tym mieście. Nie widziałem jednak żadnej możliwości zatrudnienia się na farmie, co czyni tutaj niemal każdy, chcąc najpierw zapewnić sobie dach nad głową. Potem zostałem zaproszony wraz z Walterem Süsskindem (który pochodzi z Wiednia) przez pewną bogatą rodzinę żydowską.

Na początku nie myślałem o tym zbyt wiele, po prostu zakładałem, że oni tutaj będą postępować nie inaczej niż moja matka w Żorach, która zawsze miała przy stole jakichś biednych mizeraków. Tymczasem doświadczyłem cudu. Rodzina Rubensów mieszka w Kenii już pięćdziesiąt lat. Stary Rubens jest przewodniczącym gminy żydowskiej w Nairobi, ta zaś troszczy się o refugees (to my), którzy dopiero co przyjechali do kraju.

Rubensowie (pięciu dorosłych synów) wściekli się, kiedy się dowiedzieli, że Ty i Regina jeszcze jesteście w Niemczech. Oni te sprawy widzą zupełnie inaczej niż ja, kiedy byłem w domu. Ty i ojciec mieliście rację, gdy nie chcieliście, żebym wyjeżdżał sam, i wstydzę się, że Was nie posłuchałem. Jak się później dowiedziałem, Rubens strasznie mi ubliżał, ale nie mogłem go zrozumieć. Nie wyobrażasz sobie, jak długo to trwało, zanim

pojąłem, że gmina chce wpłacić do urzędu imigracyjnego kwotę stu funtów za Ciebie i Reginę. Mnie od razu wystali do pracy na farmie, żebyśmy mieli na początek jakiś dach nad głową i żebym przynajmniej trochę zarabiał.

To oznacza, że Wy musicie wyjechać tak szybko, jak to tylko możliwe. To zdanie jest absolutnie najważniejsze w całym liście. Mimo że zachowałem się jak dureń, musisz mi teraz zaufać. Każdy dzień, który spędzisz z dzieckiem we Wrocławiu, jest stracony. Idź zatem natychmiast do Karla Silbermanna. On ma największe doświadczenie w kwestiach dotyczących emigracji i zaprowadzi Cię do człowieka z niemieckiego biura podróży, który traktował mnie przyzwoicie. On Ci powie, jak możesz najprędzej załatwić bilety na statek, obojętne jaki i jak długo będzie płynął. Jeśli to będzie możliwe, wykup miejsca w kabinie trzyosobowej. Wiem, że nie jest to miłe, ale za to o wiele tańsze od drugiej klasy a my potrzebujemy każdego feniga. Najważniejsze, żebyście się znalazły na statku i na morzu. Wtedy wszyscy będziemy mogli spać spokojnie.

Musisz także jak najszybciej nawiązać kontakt z firmą Danziger w sprawie skrzyń. Wiesz, że jedną z nich zostawiliśmy pustą, na rzeczy, które nam się przypomniały. Tu w tropikach bardzo ważna jest lodówka. Niezbędna też będzie lampa Petromax. Przypilnuj, żeby dali Ci dodatkowo kilka koszulek żarowych. W przeciwnym razie, mając lampę, i tak będziemy siedzieć w ciemności. Na farmie, na której wylądowałem, nie ma światła elektrycznego. Kup także dwie moskitiery. Jeśli starczy pieniędzy, trzy. Rongai wprawdzie nie leży na obszarach malarycznych, ale kto wie, gdzie jeszcze przyjdzie nam mieszkać. Jeśli nie będzie dość miejsca na lodówkę, to każ wypakować serwis Rosenthala. Nie będziemy go już chyba potrzebowali w tym życiu, a i tak musieliśmy się już rozstać z ważniejszymi rzeczami niż talerze w kwiatki.

Reginie potrzebne będą (Tobie zresztą też) kalosze i sztruksowe spodnie. Gdyby ktoś chciał Wam coś podarować na pożegnanie, poproś o buty, które będą na nią jeszcze dobre za dwa

lata. Nie mogę sobie wyobrazić, przynajmniej dzisiaj, że kiedyś będziemy wystarczająco bogaci, żeby kupić buty.

Listę mienia przesiedleńczego zrób dopiero wtedy, gdy już wszystko zgromadzisz. Ważne, żeby policzona została każda sztuka dobytku. W przeciwnym wypadku będziesz się stale denerwować. I nie daj się nikomu namówić na to, by przewieźć jakieś rzeczy. Pomyśl o biednym B. Problemy z celnikami w Hamburgu zawdzięcza tylko swojej dobrotliwości. Kto wie, czy kiedykolwiek przyjedzie do Anglii i jak długo będzie jeszcze wędrował. Najlepiej, żebyś mówiła jak najmniej o swoich planach. Nie wiadomo, co może wyniknąć z jednej rozmowy albo jacy są teraz ludzie, których znaleźliśmy przez całe życie.

O sobie napiszę Ci dzisiaj bardzo krótko, bo inaczej Tobie też zakręci się w głowie. Rongai leży mniej więcej tysiąc metrów nad poziomem morza, a jednak jest tu naprawdę gorąco. Za to wieczory są bardzo zimne (zabierz więc jakieś wełniane rzeczy). Na farmie rośnie przede wszystkim kukurydza, ale jeszcze nie odkryłem, co mógłbym z nią robić. Poza tym mamy pięćset krów i tyle samo kur. O mleko, masło i jajka nie musimy się więc martwić. Pamiętaj, żebyś wzięła przepis na chleb. To, co piecze boy wygląda jak maca, a smakuje jeszcze gorzej. Jajko sadzone potrafi robić wyśmienicie, jajeczniczy – wcale. Kiedy gotuje jajka, śpiewa przy tym specjalną piosenkę. Niestety, jest za długa i zawsze wychodzą na twardo.

Jak widzisz, mam już swojego boya. Jest wysoki, naturalnie czarny (proszę, wyjaśnij Reginie, że nie wszyscy ludzie są biali) i ma na imię Owuor. Bardzo często się śmieje, co dobrze mi robi w tym niespokojnym czasie. Boye są tutaj służącymi, a jeśli się zatrudnia tylko jednego, znaczy to tyle co nic. Na farmie można mieć tyle personelu, ile się chce. Nie troszcz się więc o służącą, mieszka tu wiele ludzi. Zazdroszczę im, bo nie wiedzą, co się dzieje na świecie, i mają co jeść.

W następnym liście opowiem Ci więcej o Süsskindzie. To anioł; jedzie dzisiaj do Nairobi i zawiezie pocztę. Zyskamy przez to przynajmniej jeden tydzień, a szybka wymiana listów jest teraz

dla nas bardzo ważna. Gdy będziesz odpowiadała, numeruj swoje listy i zaznaczaj, na który odpisujesz. W przeciwnym razie w naszym życiu zapanuje jeszcze większy zamęt niż teraz. Napisz, jak tylko będziesz mogła, do ojca i Liesel, niech się o nas nie boją. Serce mi wali, gdy pomyślę, że być może już wkrótce będę mógł uścisnąć Ciebie i Reginę. I przykro mi, że ten list sprawi wielki ból Twojej matce. Teraz z dwóch córek zostanie jej tylko jedna, a i to nie wiadomo na jak długo. Ale Twoja matka zawsze była wspaniałą kobietą i wiem, że wolałaby żebyś Ty i jej wnuczka były raczej w Afryce niż we Wrocławiu. Prześlij Reginie ode mnie wielkiego całusa i nie rozpieszczaj jej. Biedni ludzie nie mogą sobie pozwolić na lekarza. Wyobrażam sobie, jak bardzo zdenerwuje Cię ten list, ale musisz być teraz silna. Dla nas wszystkich. Ściskam Cię i bardzo tęsknię

Twój stary Walter

PS Spodobaliby Ci się synowie pana Rubensa, to naprawdę szykowni chłopcy. Tacy jak kiedyś u nas na lekcjach tańca. Myślałem że wszyscy są nieżonaci, ale później dowiedziałem się, że ich żony spotykają się na brydża, kiedy pojawiają się refugees. Mają już po dziurki w nosie rozmów o emigrantach.

Rongai, 15 lutego 1938

Kochany Tato!

Mam nadzieję, że Jettel zdążyła Cię już poinformować o tym, że Twój syn został farmerem. Mama powiedziałaby na pewno: „pięknie, choć ciężko”, ale zwolniony z pracy adwokat i notariusz nie może liczyć na nic lepszego. Dzisiaj rano wyciągnąłem z brzucha krowy cielę i ochrzciłem je imieniem Żory. Chciałbym

raczej robić za akuszerkę przy narodzinach źrebięcia, bo nauczyłem się od Ciebie jeździć konno, zanim zaczęłaś służyć cesarzowi.

Nie myśl sobie, że popełniłeś błąd, wysyłając mnie na studia, chociaż tak się teraz wydaje. Jak długo to może potrwać? Mój szef, który nie mieszka na farmie, lecz w Nairobi, ma tutaj mnóstwo książek w szafie. Wśród nich Encyklopaedia Britannica i słownik łaciński. Nie mógłbym się uczyć angielskiego w tej dzicz, gdybym nie znał łaciny. A tak umiem już rozmawiać o stołach, rzekach, legionach i wojnach czy wręcz powiedzieć: „Jestem człowiekiem bez ojczyzny”. Niestety, to tylko teoria, bo tutaj, na farmie są tylko Murzyni, którzy mówią w suahili i śmieją się z tego, że ich nie rozumiem.

Mam właśnie zamiar przeczytać w encyklopedii o Prusach. Nie znając języka, muszę sobie wyszukiwać tematy, o których już coś wiem. Nie wyobrażasz sobie, jak długie są dni na takiej farmie, ale nie chcę narzekać. Jestem wdzięczny losowi, zwłaszcza odkąd mam nadzieję, że szybko ujrzę Reginę i Jettel.

Bardzo się martwię o Was oboje. Co będzie, gdy Niemcy wejdą do Polski? Nie będzie ich interesowało, że Ty i Liesel pozostaliście Niemcami i nie wybraliście polskiej narodowości. Dla nich jesteście Żydami i nie myśl, że przydadzą Ci się na coś Twoje odznaczenia z wojny. Przeżyliśmy to już po 1933 roku. Z drugiej strony właśnie dlatego, że nie opowiedzieliście się za Polską, nie zostaniecie potraktowani jak Polacy, co utrudni emigrację. Jeślibyś sprzedał hotel, także i Ty mógłbyś pomyśleć o wyjeździe. Powinieneś tak zrobić przede wszystkim ze względu na Liesel. Ma przecież dopiero trzydzieści dwa lata i jak dotąd, życie nie ofiarowało jej niczego dobrego.

Opowiedziałem o Liesel byłemu bankierowi z Berlina (liczy teraz worki na farmie kawy) i wspomniałem, że jest jeszcze w Żorach. On zaś twierdzi, że niezamężne kobiety są mile widziane przez tutejsze władze imigracyjne. Przede wszystkim zatrudnia się je jako opiekunki do dzieci w bogatych rodzinach angielskich farmerów. Gdybym miał sto funtów, by za Was oboje poręczyć,

innymi słowami nakłaniałbym Cię do wyemigrowania. Ale to i tak więcej niż łaska, że mogę tu sprowadzić Jettel z dzieckiem.

Może mógłbyś się skontaktować z adwokatem Kammerem z Głubczyc. On był lojalny wobec mnie aż do końca. Kiedy mnie zwolniono, obiecał przechować pieniądze od moich zleceniodawców, które miały jeszcze wpłynąć. Na pewno Ci pomoże, gdy mu wyjaśnisz, że uprawdzie ciągle jeszcze masz hotel, ale nie masz pieniędzy. W Głubczycach wiedzą przecież, jak wiodło się Niemcom w Polsce przez te wszystkie lata.

Dopiero tutaj, gdzie jestem sam na sam z moimi myślami, uświadamiam sobie jasno, że zbyt mało troszczyłem się o Liesel. Po śmierci mamy swoją ofiarnością i dobrocią serca zasłużyła sobie na lepszego brata. A Ty na syna, który by Ci w porę podziękował za wszystko, co dla niego zrobiłeś.

Absolutnie niczego mi tu nie przysyłaj. Produkty, których dostarcza farma, zaspokajają moje potrzeby, a mam nadzieję, że pewnego dnia dostanę jakąś posesję, na której zarobię tyle, żeby móc posłać Reginę do szkoły (nauka kosztuje tu mnóstwo pieniędzy, a nie ma obowiązku edukacji). Z nasion róży rzeczywiście bardzo bym się ucieszył. Wówczas na tym przeklętym przez Boga kawałku ziemi kwitłyby takie same kwiaty jak przed naszym domem. Może Liesel mogłaby mi też przesłać przepis na kiszoną kapustę. Słyszałem, że kapusta by się tu przyjęła. Ściskam Was oboje z miłością

Wasz Walter

Rongai, 27 lutego 1938

Kochana Jettel!

Dzisiaj przyszedł Twój list z 17 stycznia. Najpierw musieli mi go przesłać z Nairobi. To cud, że ten system w ogóle działa. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie w tym kraju są odległości. Ode mnie do sąsiedniej farmy jest pięćdziesiąt pięć kilometrów, a do Waltera Süsskinda trzeba jechać trzy godziny po złych, częściowo

mulistych drogach. Mimo to, jak dotąd, przyjeżdżał tu każdego tygodnia, żeby świętować ze mną szabas. Pochodzi z pobożnego domu. Miał szczęście, że szef dał mu do dyspozycji samochód. Właścicielowi farmy, na której pracuję, panu Morrisonowi, niestety wydaje się, że od czasów wędrówki przez pustynię wszystkie dzieci Izraela są dobrymi piechurami. Odkąd Süsskind mnie tu przywiózł, nie opuściłem farmy ani razu.

Niestety, nie ma tu koni. Jedyne osioł na farmie zrzucił mnie tyle razy, że strasznie się posiniaczyłem. Süsskind setnie się uśmieł i powiedział, że na afrykańskich osłach nie da się jeździć. Nie pozwalają się tak głupio przekupić jak te w niemieckich kurortach. Kiedy tu przyjedziesz, będziesz musiała przyzwycząć się także do tego, że deszcz pada bezpośrednio do sypialni. Po prostu podstawia się wiaderko i czerpie się radość z kapiącej wody. Jest bowiem cenna. W zeszłym tygodniu wszędzie się paliło. Bardzo się zdenerwowałem. Na szczęście akurat był u mnie z wizytą Süsskind i wyjaśnił, że to pożar buszu. Takie pożary zdarzają się tu bezustannie.

Dobrze wiedzieć, że większa część Twojego listu jest już nieaktualna. Tymczasem pewnie się zorientowałaś, że Twoje dni we Wrocławiu są policzone. Na myśl, że będę Was obie miał tu przy sobie, moje serce wali jak tamtego maja, gdy wyobrażaliśmy sobie naszą wspólną przyszłość. Dzisiaj oboje wiemy, że najważniejsze to – wyjść z tego cało.

Musisz nadal uczyć się angielskiego i naprawdę nie gra żadnej roli fakt, że nauczyciel Ci się nie podoba. Hiszpański natomiast możesz przerwać. To było tylko na wypadek, gdybyśmy mieli dostać wizę do Montevideo. Żeby móc rozmawiać z ludźmi na farmie, trzeba nauczyć się suahili. Dobry Bóg wspaniale to dla nas wymyślił. Suahili jest bardzo łatwym językiem. Kiedy tu przybyłem, nie znałem ani słowa, a teraz zaszedłem już tak daleko, że mogę się jako tako porozumieć z Owuorem. Jest zachwycony kiedy wskazuję na przedmioty, a on może mi wymieniać ich nazwy. Mnie nazywa bwana. Tak mówi się tutaj do białych mężczyzn. Ty będziesz memsahib (tego słowa używa się

tylko w odniesieniu do białych kobiet), a Regina – toto. To znaczy dziecko.

Może zanim napiszę następny list, będę już na tyle znał suahili, żeby wytłumaczyć Owuorowi, że po budyniu nie lubię jeść zupy. Budyń zresztą gotuje wyśmienity. Jedząc go po raz pierwszy, często mlaskałem. On zamlaskał także i od tej pory codziennie robi taki sam budyń. Właściwie to mógłbym się więcej śmiać, ale gdy jest się samemu, nie bardzo to wychodzi. Zwłaszcza w nocy, kiedy nie można się oprzeć wspomnieniom.

Chciałbym dostać już jakąś wiadomość od Ciebie, wiedzieć, czy macie bilety na statek. Kto by pomyślał, że wyjazd z ojczyzny będzie sprawą tak wielkiej wagi. Teraz idę doić. To znaczy, przyjrzyć się, jak robią to boye, i uczyć się imion krów. To odrywa od myślenia.

Proszę Cię, odpisz natychmiast, gdy tylko dostaniesz mój list. I próbuj denerwować się możliwie jak najmniej. Możesz być pewna, że myślami jestem z Wami cały dzień i całą noc.

Całuję mocno Was obie, Twoją mamę i siostrę

Twój stary Walter

Rongai, 15 marca 1938

Kochana Jettel!

Dzisiaj przyszedł Twój list z 31 stycznia. Bardzo mnie zasmucił, bo nie mogę uciszyć Twoich obaw. Potrafię sobie wyobrazić, że słyszysz teraz wiele smutnych rzeczy, ale może uświadomi Ci to, że los dotknął nie tylko nas. Zresztą to nieprawda, że jedynie ja wyemigrowałem. Tutaj jest wielu mężczyzn, którzy dopiero próbują ułożyć sobie życie, zanim sprowadzą rodziny i są w takim samym położeniu jak ja – może nawet gorszym, bo nie mieli tyle szczęścia, żeby ratował ich taki

anioł jak Rubens. Musisz mocno wierzyć, że wkrótce się zobaczymy. Jesteśmy to winni dobremu Panu Bogu. Nie ma też sensu rozmyślać, czy lepiej by było, gdybyśmy pojechali do Holandii albo do Francji. Nie mieliśmy przecież żadnego wyboru i kto wie, co byłoby dla nas najkorzystniejsze.

To już nieważne, że nie chcą przyjąć Reginy do przedszkola. I dla naszego przyszłego szczęścia nie ma również znaczenia fakt, że ludzie, których znasz od lat, teraz Cię nie pozdrawiają. Musisz nauczyć się odróżniać to, co ważne, od tego, co nieistotne. Życie nie zważa na to, że wychowano Cię na rozpieszczoną córeczkę. Na emigracji liczy się nie to, kim się było, tylko to, żeby mąż i żona wspólnie dążyli do jednego celu. Jestem pewien, że tego dokonamy. Gdybyś tylko już tu była, to wtedy moglibyśmy zacząć to wszystko.

Całuję Was obie niezmiernie mocno

Twój stary Walter

Rongai, 17 marca 1938

Drogi Süsskindzie!

Nie wiem, jak długo boy będzie szedł z tym listem. Mam czterdzieści stopni gorączki i czasem mąci mi się umysł. Gdyby mi się coś stało, adres mojej żony znajdziesz w kasetce na skrzyni obok mojego łóżka.

Walter

Rongai, 4 kwietnia 1938

Ukochana Jettel!

Dzisiaj przyszedł Twój list z tak tęsknie wyczekiwaną dobrą wiadomością. Süsskind przywiózł mi go ze stacji kolejowej i oczywiście okropnie się przestraszył, kiedy wybuchnąłem łzami. Wyobraź sobie, że ten kawał dryblasza rozpląkał się także. Taka płynie z tego korzyść, gdy jest się refugee, a nie człowiekiem z Niemiec. Nie trzeba się mianowicie wstydzic swoich łez.

Jak bardzo będzie dłużył mi się czas do czerwca, dopóki nie znajdziecie się na pokładzie. Jeśli dobrze pamiętam, „Adolf Woermann” to luksusowy statek, który płynie dookoła Afryki. To oznacza, że przybija do portów często i na długo, a więc będziecie w drodze dłużej, niż ja płynąłem „Ussukumą”. Spróbuj spędzić ten czas możliwie najciekawiej, ale najlepiej dla Was będzie trzymać się ludzi, którzy obchodzą Nowy Rok we wrześniu. W przeciwnym razie napytacie sobie niepotrzebnych problemów. Ja podczas podróży za bardzo chowałem się w swojej kabynie, a tymczasem to była ostatnia okazja do porozmawiania z ludźmi.

Szkoda, że nie posłuchałaś mojej rady dotyczącej kabiny trzyosobowej. To oszczędziłoby nam dużo pieniędzy, których tutaj tak bardzo będzie nam brakowało, a dziecku z pewnością nie zaszkodziłaby obca towarzyszka podróży. Regina musi się nauczyć, że mimo swojego imienia wcale nie jest królową.

Nie chcę się jednak z Tobą sprzeczać w momencie, w którym czuję taką wdzięczność i szczęście. Teraz jest ważne, żebyś zachowała spokój i przypilnowała, by skrzynki mogły płynąć wraz z Wami. Nie dlatego, abyśmy aż tak bardzo potrzebowali tych rzeczy, tylko słyszałem o ludziach, którzy kazali przestać oddzielnie swoje mienie przesiedleńcze i czekają na nie do dziś. Obawiam się, że nie zrozumiałaś, jak ważna jest dla nas lodówka. W tropikach potrzebuje się jej tak samo, jak codziennej racji chleba. Powinnaś się jeszcze postarać dla nas jakąś znaleźć. Süsskind mógłby przywieźć mi mięso z Nakuru, jednak bez lodówki zepsuje

się ono już po jednym dniu. A pan Morrison bardzo dokładnie określił swoje stanowisko. Jedną z jego kur można zabić tylko wówczas, gdy on sam pojawi się na farmie. Cieszę się, że pozwala mi przynajmniej jeść jajka.

Gratuluję Ci lampy Petromax. W ten sposób nie będziemy musieli iść spać z drogocennymi kurami pana Morrisona. Sukni wieczorowej nie powinnaś była kupować. Tutaj nie będziesz miała okazji, żeby ją nosić. Jeśli myślisz, że ludzie tacy jak Rubensowie zaprosiliby Cię do swojego towarzystwa, to grubo się mylisz. Po pierwsze, istnieje ogromna przepaść pomiędzy dawno osiadłymi, bogatymi Żydami a nami, refugees bez środków do życia. Po drugie, rodzina Rubensów mieszka w Nairobi, które od Rongai leży dalej niż Żory od Wrocławia.

Jednak nie mogę mieć Ci za złe Twoich fałszywych wyobrażeń o Afryce. Ja też nie miałem pojęcia o tym, co nas czeka, i nadal dziwię się rzeczom, które Süsskind po dwóch latach uważa za oczywiste. Suahili opanowałem już całkiem dobrze i coraz wyraźniej widzę, jak troskliwie opiekuje się mną Owuor.

Byłem chory. Pewnego dnia dostałem wysokiej gorączki i Owuor zażądał, żebym posłał po Süsskinda. Süsskind przyjechał tu późną nocą i od razu wiedział, ci mi jest. Malaria. Na szczęście miał ze sobą chininę i szybko mi się polepszyło. Nie przestrasz się jednak, kiedy mnie zobaczysz. Bardzo schudłem i jestem dość żółty na twarzy. Jak widzisz, lusterko, które podarowała mi na pożegnanie Twoja siostra, a które wydawało mi się wówczas tak niepotrzebne, bardzo się jednak przydaje. Niestety, zazwyczaj opowiada niewesołe historie.

Choroba uprzytomniła mi, jak ważne są lekarstwa w kraju, w którym nie można zadzwonić po lekarza i nie ma czym go opłacić. Przede wszystkim potrzebujemy jodu i chininy. Twoja mama na pewno będzie знаła lekarza, który jeszcze nie odwrócił się od takich jak my i załatwi Ci te leki. Zapytaj go także, ile chininy potrzebuje dziecko. Nie chcę Cię straszyć, ale w tym kraju trzeba się nauczyć pomagać samemu sobie. Gdyby nie Süsskind, byłoby ze mną źle. No i oczywiście gdyby nie Owuor, który mnie nie

opuścił i karmił jak dziecko. No właśnie, on nie może uwierzyć, że mam tylko jedno dziecko. On ma siedmioro, ale jeśli go dobrze rozumiałem, ma również trzy żony. Wyobrażasz sobie, musiałby się wystarać o poręczenie dla całej rodziny. Ale on ma w końcu ojczyznę. Bardzo mu tego zazdroszczę. Nawet jeśli nie potrafi czytać i nie pojmuję, co dzieje się na świecie. W dziwny sposób wydaje się jednak wiedzieć, że ja jestem Europejczykiem zupełnie innego sortu niż pan Morrison.

Opowiedz o mnie Reginie. Ciekawe, czy pozna jeszcze swojego tatusia. Co dziecko może rozumieć z tego wszystkiego? Najlepiej porozmawiaj z nią dopiero na statku. Nawet jeśli coś wypapla, nic się już nie stanie. Nie składaj zbyt wielu wizyt pożegnalnych, bo łamią serce. Mój ojciec zrozumie, jeśli nie pojedziecie jeszcze raz do Żor. Sądzę, że nawet tak będzie dla niego lepiej. Ucałuj ode mnie mamę i Käte. Będą cierpiały, gdy nadejdzie dzień rozstania. Niektórych myśli nie można się pozbyć.

Serdecznie Was obie pozdrawiam

Twój stary Walter

Rongai, 4 kwietnia 1938

Kochana Regino!

Dzisiaj dostajesz list, który jest tylko dla Ciebie, bo Twój tatuś jest szczęśliwy, że Cię wkrótce zobaczy. Musisz być teraz bardzo grzeczna, modlić się co wieczór i pomagać mamie, kiedy tylko możesz. Farma, na której zamieszkuje wraz ze mną, na pewno Ci się spodoba. Jest tu wiele dzieci, ale jeśli będziesz chciała się z nimi bawić, musisz nauczyć się ich języka. Tutaj każdego dnia świeci słońce. Z jaj wykluwają się małe, śliczne kurczątka. Odkąd tu jestem, urodziło się też dwoje cieląt. Ale musisz wiedzieć jedno: do Afryki wpuszczane są tylko te dzieci, które nie boją się psów. Ćwicz więc, żebyś była dzielna. W życiu o wiele ważniejsza od czekolady jest odwaga.

*Przesyłam Ci tyle pocałunków, ile się zmieści na Twojej buzi.
Daj ich trochę mamie, babci i cioci Käte.*

Twój Tata

Rongai, 1 maja 1938

Kochany Tato, kochana Liesel!

Wczoraj przyszedł Wasz list z nasionami róż, przepisem na kapustę kiszoną i najnowszymi wiadomościami z Żor. Gdybym umiał ująć w słowa, ile to dla mnie znaczy! Czuję się jak mały chłopiec, do którego Ty, kochany Tato, napisałeś z frontu. Każdy Twój list przepiętny był uczuciem odwagi i wierności ojczyźnie. Tylko że wtedy nikomu z nas nie przyszło do głowy, że najwięcej odwagi trzeba, gdy już się nie ma ojczyzny.

Martwię się o Was bardziej niż przed wcieleniem Austrii do Rzeszy. Kto wie, czy Niemcy nie przewidują takiego szczęśliwego zakończenia również dla Czech. A co będzie z Polską?

Zawsze sobie wyobrażałem, że będę mógł coś dla Was zrobić dopiero wtedy, gdy dotrę do Afryki. Ale naturalnie nigdy nie przypuszczałem, że w XX wieku zatrudnia się jeszcze ludzi tylko za wyżywienie i zamieszkanie. Dopóki będziemy tu razem z Jettel i Reginą, nie ma co myśleć o jakiejś zmianie. Później też trudno będzie znaleźć jakąś pracę, za którą, prócz jaj, masła i mleka, będzie można dodatkowo otrzymać pensję.

Nawiążcie przynajmniej kontakt z punktem konsultacyjnym dla żydowskich uchodźców. Pojedźcie w tym celu do Wrocławia. Moglibyście tam zobaczyć się jeszcze z Jettel i Reginą. Nie chciałem, żeby przed wyjazdem jechały do Żor. Z listów Jettel widzę, jak bardzo się denerwuje.

Kochany Tato, przede wszystkim nie miej więcej złudzeń. Nasze Niemcy umarły. Nasza miłość do nich została zdeptana.

Codziennie wyrywam je sobie z serca. Tylko nasz Śląsk się nie załamuje.

Może się zastanawiacie, skąd ja tutaj tyle wiem o tym, co się dzieje na świecie. Radio, które Stattlerowie dali mi na pożegnanie, jest prawdziwym cudem. Odbieram Niemcy tak wyraźnie jak w domu. Poza Süsskindem (który mieszka na sąsiedniej farmie i już w swoim pierwszym życiu zajmował się uprawą roli) jedynie radio mówi do mnie po niemiecku. Ciekawe, czy panu Goebbelsowi podobałoby się, że pewien Żyd z Rongai zaspokaja swoją tęsknotę za językiem ojczystym, słuchając jego przemówień?

Na tę przyjemność pozwalam sobie tylko wieczorami. Za dnia rozmawiam z Murzynami, co idzie mi coraz lepiej, i opowiadam krowom o swoich procesach. Te zwierzęta o łagodnych oczach wykazują zrozumienie dla wszystkiego. Dzisiaj rano jeden z wołów powiedział mi, że dobrze zrobiłem, nie rozstając się ze swoim kodeksem karnym. Mimo to nie mogę obronić się przed uczuciem, że farmerowi mniej się on przyda niż adwokatowi.

Süsskind twierdzi, że mam wystarczająco dużo poczucia humoru, by przeżyć w tym kraju. Moim zdaniem jedno nie ma wiele wspólnego z drugim. Skądinąd Wilhelm Kulas zrobiłby tutaj wielką karierę. Mechanicy nazywają się tu inżynierami i szybko dostają pracę. Jednak gdybym powiedział, że w domu byłem ministrem sprawiedliwości, nie posunąłbym się ani o krok. Za to nauczyłem mojego boya śpiewać Ich hab mein Herz in Heidelberg verloren. Gdy ktoś, tak jak Owuor, wkłada tyle wysiłku w wymówienie każdego słowa, piosenka trwa dokładnie cztery i pół minuty i wspaniale nadaje się na minutnik do jajek. Moje jajka na miękko smakują teraz tak samo jak w domu. Jak widzicie, odnoszę małe sukcesy. Szkoda, że na większe trzeba czekać tak długo.

Pelen nadziei, że coś się jednak u Was dobrego wydarzy, ściskam Was z wielką tęsknotą.

Wasz Walter

Rongai, 25 maja 1938

Kochana Ino, kochana Käte!

Kiedy dotrze do Was ten list, Jettel i Regina, dzięki Bogu, będą już w drodze. Mogę sobie wyobrazić, co czujecie, ale nie potrafię ująć w słowach, jakie wzruszenie mnie ogarnia, gdy pomyślę o Was i o Wrocławiu. Pomogłyście Jettel przetrzymać czas naszego rozstania, a znając moją rozpieszczoną żonę, wiem, że na pewno Wam tego nie ułatwiała.

Nie martwicie się o nią. Jestem dobrej myśli i sądzę, że przystosuje się do tutejszego życia. Na pewno doświadczenia z ostatnich lat, a zwłaszcza miesiące uświadomiły jej, że liczy się tylko jedno, to mianowicie, byśmy byli razem i bezpieczni. Kochana Ino, wiem, że często się niepokoisz, bo ja jestem raptusem, a Jettel upartym dzieciakiem, które szybko traci panowanie nad sobą, gdy coś nie idzie po jego myśli, ale z naszym małżeństwem nie ma to nic wspólnego. Jettel była wielką miłością mojego życia i pozostanie nią na zawsze. Nawet jeśli czasami to życie bywa trudne.

Jak widzisz, wieczne słońce Afryki otwiera serce i usta, ale wydaje mi się, że trzeba zawczasu powiedzieć o niektórych sprawach. A ponieważ właśnie teraz nadeszła taka chwila, chcę Ci powiedzieć, ukochana Ino, że lepszej teściowej od Ciebie mieć nie będę. I nie chodzi mi tutaj o Twoje smażone kartofle, lecz o mój cały okres studencki. Miałem dziewiętnaście lat, kiedy pojawiłem się w Twoim domu i kiedy dałaś mi odczuć, że jestem Twoim synem. Jak dawno to było i w jak niewielkim stopniu mogłem Ci się odwdzięczyć za Twoje dobro.

Teraz musicie być silne. Duże nadzieje pokładam w Waszej korespondencji z Ameryką. Korzystajcie z każdej okazji. Wiem, Ino, że nie przykładasz dużej wagi do modlitwy, ale ja nie przestaję prosić Boga o pomoc. Mam nadzieję, że pewnego dnia będę miał okazję Mu dziękować.

Jettel i Reginę będą tu przyjmował jak księżniczki. Dla Reginy kazałem zbudować wspaniałe łóżko z drzewa cedrowego z koroną przy wezglowiu. (Wprawdzie nie mam tu niczego, z czego mógłbym żyć, ale za to mogę ścinać tyle drzew, ile chcę). Koronę narysowałem na papierze, a Owuor, mój wierny boy i kompan, przywlókł niemal nagiego olbrzyma z nożem, który tę koronę wyrzeźbił. Tak pięknego cacka nie ma na pewno w całym Wrocławiu. Dla Jettel wyłożyliśmy deskami ścieżkę prowadzącą z domu mieszkalnego do wychodka, żeby nie musiała grzęznąć w błocie w porze deszczowej. Mam nadzieję, że się nie przestraszy, gdy zobaczy, że tutaj trzeba kalkulować nawet najmniejsze czynności. Z domu do wychodka idzie się trzy minuty. Przy rozwolnieniu krócej.

Pozdrówcie ode mnie cały ratusz i wszystkich, którzy nam pomagali. I bardzo na siebie uważajcie. Głupio mi pisać coś takiego, ale jak można wyrazić to, co się czuje?

Wasz kochający Walter

Rongai, 20 lipca 1938

Ukochana Jettel!

Dzisiaj dostałem Twój list z Southampton. Czy można czuć większą ulgę, wdzięczność i szczęście? Nareszcie, nareszcie, nareszcie. Znów możemy pisać do siebie bez strachu. Jestem dla Ciebie pełen podziwu za to, że podałaś mi nazwy portów, w których „Adolf Woermann” przyjmuje przesyłki pocztowe. Nie wpadłem na ten pomysł. Ten list zatem wysyłam do Tangeru. Jeśli poczta zadziała tak, jak to obliczyłem, pewnie będzie tam na Ciebie czekał. Za mało natomiast byłoby czasu, bym mógł napisać do Nicei. Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowana. Wiem dobrze, jak to jest, gdy czeka się na pocztę.

W Tangerze Regina po raz pierwszy zobaczy czarnoskórych ludzi. Oby tylko ten nasz mały tchórz za bardzo się nie przestraszył. Bardzo byłem rad, że tak dobrze zniosła wyjazdową gorączkę. Może zawsze uważaliśmy ją za delikatniejszą niż jest. Jak Ty się czułaś, mogę sobie wyobrazić. Bardzo przejąłem się tym, że Twoja mama towarzyszyła Ci do Hamburga. Że serce pozbawione nadziei może jeszcze myśleć o innych!

Nie rwij sobie włosów z głowy, że nie kupiłaś lodówki. Zawiniemy mięso i masło w Twoją nową suknię wieczorową i wywiesimy to wszystko w pełnym słońcu na wietrze. Naprawdę tak tu się chłodzi produkty żywnościowe; co prawda nie w jedwabnej materii, ale możemy spróbować. Będiesz miała poczucie, że ta suknia przynajmniej na coś się przydaje. Wczoraj kupiłem banany. Nie jeden funt i nie jeden kilogram, tylko całą olbrzymią kiść z co najmniej pięćdziesięcioma owocami. Regina się zdziwi, jak coś takiego zobaczy. Od czasu do czasu na farmę przychodzą kobiety z całymi owocostanami bananowców i oferują je na sprzedaż. Za pierwszym razem zjawili się wszyscy Murzyni i omal nie umarli ze śmiechu, bo chciałem kupić tylko trzy sztuki. Banany są bardzo tanie (nawet dla takich osłów jak ja) i całe zielone, ale smakują wyśmienicie.

Myślę, że Owuor cieszy się, że przyjeżdżacie. Na mnie był zły przez trzy dni. Gdy nauczyłem się już na tyle dobrze suahili, by móc konstruować całe zdania, wyznałem mu, że nie chcę jeść każdego dnia takiego samego deseru. To kompletnie wyprowadziło go z równowagi. Cały czas mi wypominał, że pochwalilem jego budyń już pierwszego dnia. Pokazywał przy tym, jak mlaskałem, jedząc go po raz pierwszy, i patrzył na mnie szyderczo. Stałem jak zmokły pies, nie wiedząc oczywiście, jak powiedzieć w suahili „odmiana”, jeśli w ogóle znają takie słowo.

Długo trwa, zanim zrozumie się mentalność tutejszych ludzi, ale są bardzo sympatyczni i na pewno też mądrzy. Przed wszystkim nigdy nie wpadliby na pomysł, żeby zamykać ludzi albo wypędzać ich z kraju. Jest im obojętne, czy jesteśmy Żydami, czy refugees, czy, na nieszczęście, i tym, i tym. W lepsze dni

czasem myślę, że mógłbym się przyzwyczaić do tego kraju. Może Murzyni mają jakieś lekarstwo (po ichniemu Daua) na wspomnienia.

Teraz muszę Ci jeszcze opowiedzieć o tym, co mi się przytrafiło. Tydzień temu wyrósł nagle przede mną Heini Weyl. Właśnie ten, który miał duży sklep z bielizną na Tauentzienplatz i do którego, idąc za radą taty, zwróciłem się, gdy skreślono mnie z listy pracowników i nie wiedziałem, dokąd powinniśmy wyjechać. Heini doradzał mi wtedy Kenię, bo potrzeba było tylko pięćdziesięciu funtów na głowę.

Tutaj jest już od jedenastu miesięcy i próbowałem znaleźć jakieś zajęcie w hotelu, jednak bez skutku. Praca w charakterze kelnera nie przystoi białym, a na wyższe stanowiska trzeba znać angielski. Teraz znalazłem posadę jako menedżer (każdy nim tu jest, nawet ja) w kopalni złota w Kisumu. Zachował swój optymizm, mimo że w Kisumu jest podobno bardzo gorący klimat, a okolica ma złą sławę regionu malarycznego. Ponieważ Rongai znajduje się na trasie z Nairobi do Kisumu, Heini przyjechał tu swoim samochodem, który kupił za ostatnie pieniądze, i wraz z żoną Ruth zatrzymał się u mnie. Przegadaliśmy całą noc, opowiadając sobie o Wrocławiu.

Owuor zapomniał o swojej obrazie z powodu deseru i podał kurczaka, mimo że drób można zabijać tylko dla pana Morrisona. Twierdził, że kura wpadła mu prosto pod nogi, przewróciła się i zdechła.

Nie możesz sobie nawet wyobrazić, ile znaczy czyjaś wizyta na farmie. Człowiek czuje się jak umarły, którego wskrzesili do życia.

Niestety, państwo Weylowie powiedzieli, że Fritz Feuerstein i obaj bracia Hirsch zostali aresztowani. Z listu od Schlesingerów z Głubczyc wiem, że w więzieniu znalazł się też Hans Wohlgemut i jego szwagier Siegfried. Wiem o tym już od dawna, ale bałem się pisać Ci o aresztowaniach, dopóki jeszcze byłeś we Wrocławiu. Nigdy Ci także nie pisałem, że nasz dobry, wierny Greschek, który

aż do końca nie zrezygnował z usług żydowskiego adwokata, był moim towarzyszem w pociągu do Genui. Napisał też do mnie list. Mam nadzieję, że zrozumiał, iż nie odpisałem mu ze względu na jego dobro.

Jacy z nas szczęściarze, że możemy znów pisać do siebie bez strachu. Jakie to ma znaczenie, że na „Adolfie Woermannie” musisz wysłuchiwać, jak naziści siedzący obok Twojego stolika pieją nad zdjęciem Hitlera. Naprawdę powinnaś się nauczyć przestać przejmować się obelgami. Na to mogą sobie pozwolić jedynie ludzie bogaci. Liczy się to, że jesteście na „Adolfie Woermannie”, a nie to, kto z Wami płynie. Za miesiąc ci ludzie, na których widok przewraca Ci się w żołądku, znikną na zawsze z Twoich oczu. Ouuor w ogóle nie wie, jak się obraża ludzi.

Süsskind ma nadzieję, że jego szef pozwoli mu pojechać samochodem do Mombasy. Wówczas moglibyśmy przywieźć Was obie bezpośrednio na farmę. Notabene, bezpośrednio oznacza przynajmniej dwudniową podróż nieutwardzonymi drogami, ale na jedną noc możemy się zatrzymać w Nairobi u rodziny Gordonów. Gordonowie żyją tam już od czterech lat i są zawsze gotowi pomagać przybyszom. Gdyby szef Süsskinda nie rozumiał, że refugee po miesiącach przeżytych w śmiertelnym strachu ma potrzebę wzięcia w ramiona swojej żony i dziecka, nie martw się. Ktoś z gminy żydowskiej wsadzi Was w Mombasie do pociągu do Nairobi, a potem zatroszczy się o dalszą podróż do Rongai. Tutejsze gminy są wspaniałe. Szkoda, że tylko w kwestii przyjazdów.

Liczę już nie tygodnie, ale dni i godziny, jakie pozostały do momentu, w którym znów się zobaczymy, i czuję się przy tym jak pan młody przed nocą poślubną.

Ściskam Cię gorąco

Twój stary Walter

2

Toto – zaśmiał się Owuor, wyciągnął Reginę z samochodu i wziął ją na ręce. Podrzucił dziewczynkę pod niebo, schwycił i przycisnął do siebie. Jego ramiona były ciepłe i miękkie, zęby bielusiękie, a twarz jaśniała blaskiem ogromnych, okrągłych źrenic. Na głowie nosił wysoką ciemnoczerwoną czapkę, która wyglądała jak odwrócone do góry dnem wiaderko. Przed wielką podróżą Regina bawiła się takimi wiaderkami w piaskownicy. Przy czapce mężczyzny huśtał się czarny pompon z frędzelkami, a spod niej wymykały się malutkie czarne loczki. Na spodnie opadała mu długa biała koszula, taka, jaką mają pogodne aniołki w książeczkach z obrazkami dla grzecznych dzieci. Nos Owuora był spłaszczony, wargi grube, a głowa okrągła jak czarny księżyc. Gdy krople potu, mieniając się w słońcu, zaślniły na jego czole, przemieniały się w kolorowe perły. Regina jeszcze nigdy nie widziała tak maleńkich perełek.

Skóra Murzyna miała wspaniały zapach miodu, co sprawiło, że mała dziewczynka przestała się bać i poczuła się tak, jakby urosła. Szeroko otworzyła usta, by móc jeszcze lepiej chłonać te czary, które rozpraszały ból i zmęczenie mieszkające w jej ciele. Najpierw poczuła, jak w ramionach Owuora staje się coraz silniejsza, a potem odkryła, że jej język nauczył się fruwać.

– *Toto* – powtórzyła to śliczne, obce słowo.

Olbrzym o gładkiej skórze i mocarnych rękach postawił ją miękko na ziemi. Śmiech, który wydobył się z jego gardła, połaskotał uszy dziewczynki. Wysokie drzewa zawirowały, chmury zatańczyły, a czarne cienie zaczęły uganiać się za sobą w białym świetle słońca.

– *Toto* – roześmiał się znowu Owuor. Jego głos był donośny i dobry, nie taki jak głosy tamtych płaczących i szepczących ludzi z wielkiego szarego miasta, które Reginie śniło się po nocach.

– *Toto!* – znów radośnie zawołała Regina i niecierpliwie czekała, aż Owuor na nowo tryśnie wesołością.

Rozwarła oczy tak szeroko, że w jasnym świetle mogła ujrzeć migocące punkciki, które przemieniły się w ognistą kulę i znikły. Tatuś położył swoją drobną, białą dłoń na ramieniu mamusi. Teraz, kiedy Regina wiedziała, że znowu ma i mamusię, i tatusia, przypomniała sobie o czekoladzie. Nagle poczuła zimno na całym ciele i z przestrawieniem potrząsnęła głową. Czy czarny Pan Księżyc już nigdy nie będzie się śmiał, bo pomyślała o czekoladzie? Dla biednych dzieci nie było czekolady, a Regina wiedziała o tym, że jest biedna, bo jej tatuś nie mógł już być adwokatem. Mamusia opowiedziała jej o tym na statku i bardzo ją pochwaliła za to, że tak dobrze wszystko zrozumiała i nie stawiała głupich pytań. Teraz, oddychając tym nowym powietrzem, które było jednocześnie i gorące, i wilgotne, Regina nie mogła sobie przypomnieć, jak skończyła się ta historia.

Patrzyła tylko, jak niebieskie i czerwone kwiatki na białej sukience mamusi zaczęły fruwać wokoło jak ptaki. Na czole tatusia też błyszczały maleńkie perełki, nie takie śliczne i kolorowe jak na twarzy Owuora, ale dostatecznie zabawne, by się roześmiać.

– Chodź, moje dziecko – powiedziała do niej mamusia. – Musisz natychmiast zejść z tego słońca.

Regina zobaczyła, że tatuś chce chwycić ją za rękę, ale jej palce nie należały już do niej. Przykleiły się mocno do koszuli Murzyna.

Owuor klasnął w dłonie i zwrócił jej palce. Duże czarne ptaki, które przysiadły na drzewku rosnącym przed domem, kracząc, wzleciały pod niebo. Nagie stopy mężczyzny pofrunęły nad czerwoną ziemią. Z jego koszuli, takiej jak u pogodnego

aniołka, wiatr ulepił kulę. Smutno było widzieć uciekającego Owuora.

Regina uczuła ostry ból w piersi, jak zawsze, gdy miało przyjść wielkie zmartwienie, jednak w porę przypomniała sobie o tym, co powiedziała jej mamusia: że w nowym życiu nie wolno jej już płakać. Zacisnęła więc oczy z całych sił, żeby nie popłynęły z nich łzy. Kiedy znów mogła patrzeć, ujrzała, jak przez wysokie zielone trawy nadchodzi Owuor. Na rękach trzymał małą sarenkę.

– To jest *suara*. Ona, tak jak ty, jest *toto* – powiedział, i choć Regina nie zrozumiała, co mówił, rozpostarła szeroko ramiona. Owuor podał jej drżące zwierzątko. Leżało na grzbiecie, miało cienkie nóżki i uszka tak maleńkie jak lalka Anni, która nie mogła pojechać w podróż, bo nie było już miejsca w skrzyniach. Jeszcze nigdy Regina nie dotykała żadnych zwierząt, ale nie czuła lęku. Jej włosy spadały na oczy sarenki, gdy wargami muskała jej łeppek, tak jakby chciała powiedzieć, że sama już od dawna pragnie opiekować się i chronić, a nie ciągle wołać o pomoc.

– Ona jest głodna – wyszeptała. – Ja też.

– Wielki Boże, jeszcze nigdy czegoś takiego nie powiedziałaś.

– Moja sarenka to powiedziała. Nie ja.

– Jeszcze tu daleko zajdziesz, nieśmiała księżniczko. Już teraz mówisz jak Murzyn – rzekł Süsskind. Jego śmiech był inny niż Owuora, ale też przyjazny dla uszu.

Regina przytuliła się do sarenki i usłyszała odgłos regularnych uderzeń, jakie wydobywały się z jej ciepłego ciała. Zamknęła oczy. Tatuś wyjął jej z rąk śpiące zwierzątko i oddał je Owuorowi. Potem podniósł Reginę wysoko, tak jakby była małym dzieckiem, i zaniósł do domu.

– O, jak śmiesznie! – wykrzyknęła z radością Regina. – Mamy dziury w dachu. Jeszcze nigdy takich nie widziałam.

– Ja też, dopóki tu nie przyjechałem. Ale poczekaj, jeszcze zobaczysz, że w naszym drugim życiu wszystko wygląda inaczej.

– Nasze drugie życie jest takie śliczne.

Sarenka miała na imię Suara, bo tak pierwszego dnia nazwał ją Owuor. Suara mieszkała w dużej oborze, która znajdowała się za ich niewielkim domem. Ciepłym językiem oblizywała palce Reginy, piła mleko z blaszanej miseczki i już po kilku dniach mogła przeżuwać miękkie kolby kukurydzy. Każdego ranka Regina otwierała drzwi obory, a wtedy sarenka wyskakiwała i dokazywała pośród wysokich traw. Kiedy przybiegała z powrotem, ocierała się łebkiem o brązowe spodnie Reginy. Dziewczynka nosiła spodnie od dnia, w którym zaczęły działać wielkie czary. Kiedy wieczorami słońce spadało z nieba, okrywając farmę czarnym płaszczem, mama opowiadała Reginie historię o braciszkach i siostrzyczkach. Dziewczynka wiedziała, że także jej sarenka przemieni się w chłopca.

Gdy nogi Suary stały się dłuższe od traw rosnących za kolczastymi drzewami, a Regina poznała już imiona tylu krów, że mogła je wymieniać tacie podczas dojenia, Owuor przyniósł psa o białej sierści w czarne łaty. Jego oczy miały barwę jasnych gwiazd, pysk był wydłużony i wilgotny. Regina zarzuciła mu ręce na szyję, która była tak samo okrągła i ciepła jak ramiona Owuora. Mama wybiegła z domu i krzyknęła:

– Przecież ty się boisz psów!

– Tutaj się nie boję.

– Nazwiemy go Rummler – powiedział tatuś głosem tak głębokim, że Regina zakrztusiła się, powstrzymując się od śmiechu.

– Rummler – zachichotała – to ładne słowo. Tak jak Suara.

– Jednak Rummler pochodzi z niemieckiego. Tyle że tobie podoba się już tylko suahili.

– Rummler też mi się podoba.

– Co ci przyszło do głowy z tym Rummlerem? – zapytała mama. – Przecież to był przewodniczący komitetu powiatowego w Głubczycach.

– Ach, Jettel, musimy mieć trochę rozrywki. Teraz przez cały dzień możemy sobie wołać: „Rummler, ty gnojku”, i cieszyć się, że nikt nie przyjdzie nas zaaresztować.

Regina westchnęła i pogłaskała wielki łeb psa, który opędzał się od much, strzygąc swoimi krótkimi uszami. Jego ciało parowało od gorąca i pachniało deszczem. Tatuś zbyt często mówił rzeczy niezrozumiałe, a kiedy się śmiał, wydawał z siebie jeden krótki, dźwięczny ton; inaczej niż Owuor, którego śmiech odbijał się echem od gór. Opowiedziała psu na ucho historię o przemienionej sarence, a on spojrzał w kierunku obory Suary i od razu pojął, jak bardzo Regina pragnie mieć braciszka.

Wiatr połaskotał jej uszy i usłyszała, że rodzice ciągle mówią o Rummlerze, ale nie mogła zrozumieć, o co chodzi, chociaż głosy były bardzo wyraźne. Każde słowo zachowywało się jak bańka mydlana, która pęka, gdy chce się ją złapać.

– Rummler, ty gnojku – powiedziała w końcu Regina, lecz dopiero gdy twarze rodziców nabrały blasku lampy ze świeżym knotem, pojęła, że te trzy słowa były jak magiczne zaklęcie.

Regina kochała również aję, która pojawiła się na farmie niedługo po Rummlerze. Stała pewnego ranka przed ich domem, kiedy z nieba zniknęły ostatnie czerwone odblaski zorzy, a czarne sępy drzemiące na kolczastych akacjach powyciągały swe głowy spod skrzydeł. Słowo *aja* oznaczało piastunkę i było ładniejsze od innych już choćby dlatego, że wypowiadało się je równie łatwo od przodu i od tyłu. Aja była, tak jak Suara i Rummler, prezentem od Owuora.

Wszystkie bogate rodziny mieszkające na dużych farmach z głęboką studnią i szerokim pasem trawnika rozpościerającym się przed potężnym domem z białego kamienia miały swoją aję. Zanim Owuor przyjechał do Rongai, pracował na jednej z takich farm u pewnego *bwana*, który miał samochód, wiele koni i oczywiście aję do swoich dzieci.

– Dom bez aji to niedobry dom – powiedział Owuor, kiedy przyprowadził młodą kobietę z jednej z chat znad brzegu rzeki.

Nowa *memsahib*, którą nauczył mówić *senta sana*, gdy chciała za coś podziękować, popatrzyła na niego z aprobatą.

Oczy aji były tak samo duże, miękkie i kawowe jak Suary. Miała delikatne dłonie, po wewnętrznej stronie bielsze niż sierść Rummlera. Poruszała się tak szybko jak drzewa na wietrze, a skórę miała jaśniejszą od Owuora, chociaż należeli do tego samego plemienia Jalu. Gdy wiatr zadzierał do góry żółty szal, który aja wiązała na prawym ramieniu w gruby węzeł, jej małe, mocne piersi huśtały się jak kulki na sznurku. Aja nigdy nie była zła czy zniecierpliwiona. Mówiła mało, ale krótkie dźwięki, jakie wydobywały się z jej gardła, brzmiały jak piosenki.

Owuor szybko nauczył Reginę mówić tak dobrze, że już wkrótce ludzie rozumieli ją lepiej niż rodziców. Aja natomiast wniosła milczenie do jej nowego życia. Każdego dnia po obiedzie siadały obie w okrągłej plamie cienia, który rzucało kolczaste drzewo rosnące między domem a budynkiem mieszczącym kuchnię. Tutaj łatwiej niż gdziekolwiek indziej na farmie można było upolować zapach ciepłego mleka i smażonych jajek. Kiedy nos się już nasycił, a z ust zaczynała cieknąć ślinka, Regina lekko wtulała się buzią w szal aji. Zanim zasnęła, słyszała wtedy dwa bijące serca. Budziła się dopiero wówczas, gdy cienie się wydłużały, a Rummler lizał ją po twarzy.

Bywało, że aja wyplatała z długich źdźbeł traw małe koszyki. Jej palce wyrywały ze snu zwierzątka z małymi skrzydełkami i tylko Regina wiedziała, że były to koniki powietrzne, które wlatywały pod niebo wraz z jej życzeniami. Pracując, aja poruszała językiem i wydawała z siebie takie dźwięki, jakby mlaskała, chociaż jej wargi zawsze pozostawały przy tym nieruchome.

Noc również miała swoje powracające dźwięki. Skoro tylko zapadał zmierzch, zaczynały wyc hieny, a z chat dobiegały strzępy pieśni. Nawet kiedy Regina leżała w łóżku, jej uszy mogły jeszcze znaleźć coś dla siebie. Ponieważ ściany w domu były tak niskie, że nie sięgały stropu, słyszała każde słowo wypowiedane przez rodziców w sypialni.

Nawet jeśli szeptali, dźwięki były tak wyraźne jak ich głosy za dnia. Podczas dobrych nocy brzmiały sennie jak brzęczenie pszczoł i chrapanie Rummlera, który przed chwilą kilkoma ruchami ozora wyczyścił zawartość miski. Zdarzały się jednak także bardzo długie i złe noce ze słowami, które wraz z pierwszymi głosami wyjących hien rzucały się na siebie i przerażały. Ustawały, zduszone milczeniem, dopiero gdy koguty budziły się w pierwszych promieniach słońca. Po nocach pełnych takiego hałasu Walter pojawiał się rano w oborach wcześniej niż pasterze, którzy przychodzili tu wydoić krowy, a Jettel stała w kuchni z zaczerwienionymi oczami i mieszała swoją złość wraz z mlekiem gotującym się na dymiącym piecu. Po udrękach nocy żadne z tych dwojga nie umiało znaleźć drogi do drugiego, dopóki chłodne powietrze wieczoru w Rongai nie ostudziło żaru dnia i nie zlitowało się nad pełnymi zamętu głowami.

W takich chwilach zakłopotanego i wstydliwego pojednania Walter i Jettel dziwili się temu, jak cudownie farma odmieniła Reginę. Dzielili się zdumieniem i ulgą. Wszak to nieśmiałe dziecko, które w domu na samą tylko wzmiankę o obcych kuliło się i chowało głowę w ramiona, tutaj zmieniło się jak kameleon. Jednostajnie upływające dni w Rongai uzdrowiły Reginę. Rzadko płakała, a gdy tylko Owuor był w pobliżu, wciąż wybuchała śmiechem. Jej głos w żadnym razie nie brzmiał dziecinnie, a ona sama była pełna takiej stanowczości, że wzbudzało to zazdrość Waltera.

– Dzieci szybko się przystosowują – powiedziała Jettel w dniu, w którym Regina oznajmiła, że nauczyła się narzecza Jaluo, aby móc rozmawiać z Owuorem i ają w ich języku. – Już moja matka to mówiła.

– No, to jest jeszcze dla ciebie jakaś nadzieja.

– To wcale nie było śmieszne.

– Oczywiście, że nie.

Walter natychmiast pożałował swoich słów. Brakowało mu wcześniejszego talentu do żartowania w nieszkodliwy sposób.

Odkąd jego poczucie humoru stało się uszczypliwe, a niezadowolenie Jettel czyniło ją nieobliczalną, nerwy obojga nie potrafiły już znieść małych przytyków, które w lepszych czasach były dla nich czymś naturalnym.

Walterowi i Jettel zbyt krótko dane było cieszyć się z tego, że na nowo się odnaleźli. Szybko powróciło dręczące ich przygnębienie. Nie chcąc się przed sobą do tego przyznać, cierpieli bardziej z powodu wzajemnej bliskości wymuszonej osamotnieniem na farmie niż z powodu tego osamotnienia.

Nie byli przyzwyczajeni do życia tylko we dwoje, jednak każdą godzinę dnia musieli spędzać razem, nie mogąc liczyć na to, że ich świat zmieni się w jakikolwiek sposób. Plotkarska, małomiasteczkowa atmosfera, z której podśmiewali się w pierwszych latach swojego małżeństwa i która często ich irytowała, teraz, gdy sięgali pamięcią wstecz, wydawała się im pogodna i zajmująca. Tutaj nie było krótkich rozstań i spotkań z przyjaciółmi, którzy pomagali zażegnać konflikty, jawiące się im dziś jako nieszkodliwe utarczki.

Walter i Jettel kłócili się od dnia, w którym się poznali. Jego wybuchowy temperament nie znosił najmniejszego sprzeciwu; ona miała pewność siebie kobiety, która kiedyś była uderzająco pięknym dzieckiem, ubóstwianym przez swoją przedwcześnie owdowiałą matkę. Podczas długiego okresu narzeczeństwa spierali się o banały, pogłębiając jeszcze swoją nieustępliwość i nie potrafiąc znaleźć wyjścia z sytuacji. Dopiero w małżeństwie nauczyli się akceptować znaną im już kapryśną grę małych potyczek i ożywczych pojednań jako część swojej miłości.

Kiedy urodziła się Regina, a w sześć miesięcy później Hitler doszedł do władzy, Walter i Jettel znajdowali w sobie więcej oparcia niż przedtem, nieświadomi swojego osamotnienia w ich domniemanym raj. Dopiero monotonny rytm życia w Rongai uzmysłowił im, co tak naprawdę się wydarzyło. Przez pięć lat całą mocą młodości poddawali się złudnemu wyobrażeniu posiadania ojczyzny, która przecież dawno się ich wyrzekła. Teraz ogarnął ich

wstyd, że byli tak krótkowzroczni i nie chcieli widzieć tego, co wielu już zauważyło.

Czas bez trudu rozprawił się z ich marzeniami. W zachodnich Niemczech już pierwszego kwietnia 1933 roku bojkot żydowskich sklepów pokazał, jak beznadziejna czeka ich przyszłość. Sędziów pozbawiono urzędu, profesorów przepędzono z uniwersytetów, adwokaci i lekarze stracili źródło utrzymania, kupcy swoje sklepy, a wszyscy Żydzi złudzenia, które mieli na początku, że ten koszmar nie potrwa długo. Wtedy jednak Żydzi z Górnego Śląska dzięki konwencji genewskiej z 1922 roku ocaleli od losu, którego nie potrafili zrozumieć.

Walter nie pojmował, że nie uniknie losu wygnańca, kiedy zaczął prowadzić swoją praktykę w Głubczycach i otworzył kancelarię notarialną. Mieszkańców Głubczyc pamiętał – oczywiście z wyjątkiem kilku, których mógł wymienić z nazwiska, i co stale też czynił w Rongai – jako ludzi tolerancyjnych i przyjaźnie nastawionych. Mimo nagonki na Żydów rozpoczynającej się także na Górnym Śląsku, niektórzy z nich, a ich liczba w pamięci Waltera stale się zwiększała, nie zrezygnowali z usług żydowskiego adwokata. Z dumą, która z perspektywy czasu wydawała się mu równie niegodna, jak zarozumiała, zaliczał się do wyjątków wśród innych przeklętych przez los.

W dniu, w którym konwencja genewska straciła ważność, Walter został skreślony z listy adwokatów. To była jego pierwsza osobista konfrontacja z takimi Niemcami, w jakich istnienie nie chciał wierzyć. Cios był druzgocący. To, że instynkt i świadomość odpowiedzialności za rodzinę go zawiodły, Walter uważał za osobistą klęskę.

Jettel ze swoją żądzą życia niemal w ogóle nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia. Wystarczało jej, gdy była w centrum uwagi niewielkiego kręgu przyjaciół i znajomych. W dzieciństwie, w szkole, przyjaźniła się, raczej przez przypadek niż świadomie, tylko z koleżankami żydowskiego pochodzenia. Potem praktykowała u pewnego żydowskiego adwokata, a za pośrednictwem studenckiego związku KC, którego Walter był

członkiem, znów miała kontakt tylko ze środowiskiem żydowskim. Nie robiło jej różnicy, że po roku 1933 mogła utrzymywać stosunki już tylko z Żydami z Głubczyc. Większość z nich była w wieku jej matki, więc ożywiali się na widok młodej, uroczej i przemiłej Jettel. W dodatku dziewczyna była w ciąży i wzruszała swoją naiwnością. Wkrótce głubczyczanie rozpieścili ją tak samo jak matka, dlatego, wbrew wcześniejszym obawom, mogła używać życia w tym małym miasteczku. Gdy tylko poczuła się znudzona, wybierała się do Wrocławia. W niedziele często jeździli do Opawy, stąd spacerkiem dochodziło się do granicy czeskiej. Tam można było zjeść pyszny sznycel i wybierać spośród mnóstwa tortów, co zawsze dodawało pewności, przynajmniej Jettel, że emigracja, o której czasem trzeba było mówić choćby dlatego, iż decydowało się na nią wielu znajomych, nie różniłaby się wiele od miłych wycieczek do gościnnego sąsiedniego kraju.

Jettel nigdy nie przyszłoby do głowy, że potrzeby takie jak codzienne zakupy, wizyty u przyjaciół, podróże do Wrocławia, kino i współczujący lekarz pojawiający się u pacjentki, gdy tylko podniosła się jej temperatura, nie mogłyby być zaspokojone. Dopiero przeprowadzka do Wrocławia, kiedy już zdecydowali się na emigrację, rozpaczliwe poszukiwania kraju gotowego przyjąć Żydów, rozstanie z Walterem i wreszcie lęk, że nigdy go już nie zobaczy i będzie musiała zostać w Niemczech sama z Regina, wyrwały ją ze snu. Zrozumiała, co działo się przez te lata, które przeżyła, ciesząc się terażniejszością od dawna już nierokującą żadnej przyszłości. Także i Jettel, która uważała się za kobietę mądrą życiowo i świetnie wyczuwającą ludzi, wstydziła się swojej lekkomyślności i łatwowierności.

W Rongai wyrzuty, jakie sobie czyniła, i poczucie niezadowolenia wzrastały jak dzikie trawy. W ciągu trzech miesięcy, które spędziła na farmie, nie widziała nic oprócz domu, obory i lasu. Czuła takie samo obrzydzenie do suszy, która, gdy tylko tu przyjechała, zniewoliła jej ciało i umysł, jak do następującego bezpośrednio po niej wielkiego deszczu. Ten deszcz sprowadzał całe życie do beznadziejnej walki z błotem i do

bezowocnych starań o utrzymanie w suchym stanie drewna, którym palono w kuchni.

Jettel bała się malarii i tego, że Regina zapadnie na jakąś śmiertelną chorobę, lecz przede wszystkim nieustannie żyła w panicznym strachu o to, że Walter mógłby stracić posiadłość, a wtedy musieliby wyprowadzić się z Rongai i nie mieliby gdzie nocować. Rzeczywistość postrzegała teraz wyostrzonymi zmysłami i czuła, że pan Morrison, który podczas swoich wizyt odnosił się niemile nawet do Reginy, za wszystkie wydarzenia na farmie obarczał odpowiedzialnością jej męża.

Mąka najpierw miała zbyt sucho, potem za mokro. Pszenica nie wydała plonów. Kury cierpiały na chorobę oczu; dziennie padało ich przynajmniej pięć. Krowy nie dawały wystarczającej ilości mleka. Czwooro ostatnio narodzonych cieląt nie przeżyło nawet dwóch tygodni. W studni, którą Walter kazał wydrążyć na życzenie właściciela farmy, nie było wody. Coraz większe stawały się tylko dziury w dachu.

Dzień, w którym pierwszy pożar buszu po wielkim deszczu przemienił Menengai w ścianę czerwieni, był szczególnie gorący. Mimo to Owuor wystawił przed dom krzesła dla Waltera i Jettel.

- Trzeba popatrzeć na ogień, który długo spał – powiedział.
- Dlaczego więc tutaj nie zostaniesz?
- Moje nogi muszą iść.

Jak na tę porę, na godzinę przed zachodem słońca, wiał zbyt silny wiatr. Niebo było ciężkie od dymu, który gęstymi kłębami przetaczał się nad farmą. Sępy wzbijały się ponad drzewa. W lesie krzyczały małpy, a hieny zaczęły wyc za wcześnie. Powietrze kłuło tak, że aż trudno było mówić, lecz nagle Jettel powiedziała bardzo głośno:

- Ja już nie mogę.
- Nie musisz się bać. Ja też za pierwszym razem myślałem, że dom spłonie, i chciałem sprowadzić straż pożarną.

– Nie mówię o ogniu. Ja tutaj dłużej nie wytrzymam.

– Musisz, Jettel. Nikt więcej nas nie weźmie.

– Ale co się z nami tutaj stanie? Nie zarabiasz ani centa, a nasze ostatnie pieniądze zaraz się skończą. Jak pošlemy Reginę do szkoły? To przecież żadne życie dla dziecka, ciągle wysiadywać z nią pod drzewem.

– Myślisz, że o tym nie wiem? Daleko stąd dzieci chodzą do szkoły z internatem. Najbliższa jest w Nakuru i kosztuje pięć funtów na miesiąc.

Süsskind sprawdził to dla mnie. Jeśli nie zdarzy się cud, za kilka lat też nie będziemy sobie mogli na to pozwolić.

– Ciągle czekamy na cud.

– Jettel, jeśli o to chodzi, to Pan Bóg tak źle się z nami nie obszedł. W przeciwnym razie nie byłoby tu ciebie i nie mogłabyś się skarżyć. Żyjemy i to jest najważniejsze.

– Nie mogę już tego dłużej słuchać – wykrztusiła Jettel. – Żyjemy. Tylko po co? Żeby denerwować się z powodu zdechłych cieląt i kur? Mnie też wydaje się, że umarłam. Czasami nawet sobie tego życzę.

– Jettel, nigdy więcej już tak nie mów. Nie grzesz, na Boga.

Walter wstał i podniósł Jettel z krzesła. Zesztywniały z rozpaczy pozwolił na to, by wściekłość wypaliła w nim sprawiedliwość, dobroć i rozsądek, ale wtedy zobaczył, że Jettel płacze, chociaż z jej gardła nie wydobywa się żaden szloch. Wzruszył się, widząc bezradność na jej bladej twarzy. W końcu ogarnęła go litość i udało mu się zdusić w sobie gniew i wyrzuty. Z czułością, która wprawiała go w takie samo zakłopotanie jak przedtem własna porywczność, przyciągnął żonę do siebie. Przez krótką chwilę czuł jej ciało na swoim, co wzbudziło jego podniecenie, jednak umysł odmówił mu i tej pociechy.

– Wyszliśmy z tego cało. Musimy dalej wypełniać swoje obowiązki.

– Co to znowu ma znaczyć?

– Jettel – powiedział cicho i pojął, że już dłużej nie zdoła powstrzymać łez, które cisnęły mu się do oczu od samego świtu. – Wczoraj w Niemczech paliły się synagogi. Oni rozbijali szyby żydowskich sklepów, wyciągali ludzi z domów i bili ich niemal na śmierć. Chciałem ci to powiedzieć przez cały dzień, ale nie mogłem.

– Skąd wiesz? Jak możesz mówić takie rzeczy? Skąd mógłbyś się o tym dowiedzieć na tej przeklętej farmie?

– Dzisiaj rano o piątej złapałem w radio szwajcarską stację.

– Nie mogą tak po prostu palić synagog. Żaden człowiek nie może robić czegoś takiego.

– Oni mogą. Te diabły mogą. Dla nich nie jesteśmy już ludźmi. Płonące synagogi to tylko początek. Nazistów już nikt nie zatrzyma. Widzisz teraz, że nie ma znaczenia, czy i kiedy Regina nauczy się czytać?

Walter bał się spojrzeć na Jettel, ale kiedy się wreszcie na to odważył, zauważył, że nie zrozumiała tego, co chciał jej powiedzieć. Dla jej matki i Käte, dla jego ojca i Liesel nie było żadnej nadziei. Nie zdołają uniknąć piekła. Odkąd wyłączył rano radio, był gotowy powiedzieć Jettel prawdę, ale gdy już miał to zrobić, paraliżowało mu język. Wyniszczał go nie ból, lecz niemożność odezwania się choćby słowem.

Dopiero gdy zdołał oderwać wzrok od dygocącej żony, poczuł, jak w jego ciało wraca życie. Uszy na powrót odbierały hałasy. Słyszał szczekanie psa, krzyk sępów, głosy dobiegające z chat i dźwięk bębnów z lasu.

Owuor pędził w stronę domu przez uschnięte trawy. Jego biała koszula lśniła w ostatnim świetle dnia. Tak bardzo podobny był do nastroszonego ptaka, że Walter przyłapał się na tym, iż się uśmiecha.

– *Bwana* – wysapał Owuor. – *Sigi na kuja.*

Przyjemnie było widzieć bezradność w oczach *bwana*. Ten wyraz twarzy robił z niego głupiego osła, który pije jeszcze mleko matki, a Owuor czuł się wtedy mądry jak głodny wąż, który dzięki swojemu sprytowi szybko znajduje zdobycz. Przyjemne uczucie, że wie się więcej od *bwana*, miało słodki smak tabaki, którą długo jeszcze będzie się przeżuwać.

Owuor dał sobie wiele czasu, zanim nasycił się swoim triumfem, ale w końcu zabrakło mu widoku wzburzenia, jakie powinny wywołać jego słowa. Już szykował się, żeby je powtórzyć, aż zaświtała mu w głowie myśl, że *bwana* wcale go nie zrozumiał.

Dlatego powiedział tylko: *sigi*, po czym ceremonialnym ruchem wyciągnął z kieszeni spodni szarańczę. Nie było łatwo utrzymać jej przy życiu, gdy biegło się tak szybko, ale poruszała jeszcze skrzydłami.

– To jest *sigi* – wyjaśnił Owuor głosem matki mówiącej do nierozgarniętego dziecka. – Ta była pierwsza. Złapałem ją dla ciebie. Kiedy przylecą tu inne, wszystko pożrą.

– Co powinniśmy zrobić?

– Duży hałas jest dobry, ale jedno usta są za małe. Nic nie pomoże, *bwana*, gdy będziesz krzyczał sam.

– Owuor, pomóż mi. Nie wiem, co powinienem zrobić.

– *Sigi* można przepędzić – tłumaczył Owuor, mówiąc teraz tak samo jak aja, gdy budziła Reginę ze snu w upalny dzień. – Weźmiemy łyżki i garnki, i będziemy walić. Jak w bębny. Jeszcze lepiej będzie, jak rozbijemy szkło. Każde zwierzę boi się, kiedy szkło umiera. Nie wiedziałeś tego, *bwana*?

3

O świcie następnego dnia po przelocie szarańczy wszyscy na polach i w chatach wiedzieli już, że Owuor jest kimś więcej niż tylko chłopcem na usługi, mieszającym w garnkach. Tę wieść powtarzały też bębny z lasów otaczających odległe farmy. W walce z *sigi* Owuor okazał się szybszy od strzał Masajów. Ze wszystkich mężczyzn, kobiet, a także dzieci, które przestały już czepiać się matczynej spódnicy, uczynił wojowników. Ich wrzaski, walenie w garnki, odgłos uderzanych o siebie ciężkich żelaznych pretów, a przede wszystkim przeraźliwy jazgot roztrzaskiwanych o kamienie szklanych skorup odpędziły szarańczę, zanim spadła na pola kukurydzy i pszenicy. Przeleciała jak zabłąkane ptaki, zbyt słabe na to, by móc rozpoznać cel swojej wędrówki.

W dniu, w którym *bwana* wrzasnął jak niepotrafiące opanować gniewu dziecko, Owuor, niczym biorący odwet wybawca, wciskał do rąk swoim wojownikom nawet te okrągłe *krais*, w których wieczorami gotował *poscho*. Po swoim wielkim zwycięstwie Owuor nie zmarnował nocy na sen, nie słuchał też głośnych żartów przyjaciół. Zbyt upojony był świadomością, że potrafi czynić czary, zbyt słodki czuł smak w ustach, gdy wypowiadał słowo *sigi*.

Rankiem następnego dnia, gdy przeminęła ta przepysznie długa noc, *bwana* wrócił z dojenia, zanim jeszcze ostatnie wiadro wypełniło się mlekiem. Zawołał Owuora do domu, kiedy ten właśnie zaczynał śpiewać swoją pieśń o jajkach. *Memsahib* siedziała na krześle przykrytym czerwoną derką, która wyglądała jak kawałek zachodzącego słońca, i uśmiechała się. Regina przykucnęła na ziemi z łbem Rummlera między kolanami. Zbudziła psa, kiedy Owuor stanął na progu.

Bwana trzymał w ręku czarną kulę. Rozłożył ją, zrobił z niej płaszcz i chwycił rękę Owuora, żeby mogła dotknąć materiału. Płaszcz był jak ziemia po wielkim deszczu. Po obu stronach i przy kołnierzu błyszczał materiał, który był jeszcze bardziej miękkie od tego na plecach. Tak samo miękko brzmiał głos *bwana*, gdy zarzucił płaszcz na ramiona Owuora i powiedział:

– To dla ciebie.

– *Bwana*, czy dajesz mi swój płaszcz?

– To nie jest płaszcz. To jest toga. Człowiek taki jak ty musi nosić togę.

Owuor natychmiast wypróbował obce słowo. Ponieważ nie pochodziło ani z języka jalu, ani z suahili, sprawiało jego ustom i gardłu dużo trudności. *Memsahib* i dziecko wybuchnęły śmiechem. Również Rummler otworzył pysk, ale *bwana*, który posłał swoje oczy na safari, stał jak drzewo, zbyt niskie na to, by móc nakarmić swą koronę chłodem wiatru.

– Toga – powtórzył. – Musisz często wypowiadać to słowo. Wtedy będziesz je wymawiał tak dobrze jak ja.

Gdy Owuor wraca po pracy do mężczyzn mieszkających w chatkach, przez siedem nocy wkładał swój czarny płaszcz, który na wietrze nadymał się tak, że dzieci, psy, a także starsi, niedowidzący już mężczyźni piszczeli na jego widok jak zalęknione ptaki. Gdy tylko materiał, który w słońcu świecił na czarno, a w świetle księżyca był czarniejszy niż noc, dotknął szyi i ramion Owuora, jego usta starały się wypowiedzieć obce słowo. Dla Owuora płaszcz i słowo były jak czary, o których wiedział, że miały związek z jego walką przeciwko szarańczy. Kiedy słońce wzeszło po raz ósmy, słowo w jego ustach wreszcie nabrało miękkości małego kawałka *poscho*. Umiał je już na tyle dobrze, że mógł teraz ulec pokusie, by dowiedzieć się o płaszczu czegoś więcej.

Dopóki nie nadeszła pora, by obudzić ogień w kuchni, Owuor zadowalał się wiedzą, że *bwana*, *memsahib* i *toto* od

pewnego czasu rozumieli go tak samo dobrze jak ludzie, którzy nie boją się szarańczy i dużych mrówek. Jeszcze przez chwilę zadawał sobie pytanie, które już długo wprawiało go w niepokój, ale ciekawość przemogła jego cierpliwość, więc poszedł szukać *bwana*.

Walter stał przy blaszanej cysternie i opukiwał jej rowki, chcąc sprawdzić na słuch, na jak długo jeszcze starczy wody do picia, gdy Owuor zapytał:

– Kiedy nosiłeś toga?

– Toga była moja, zanim jeszcze zostałem *bwana*. Wkładałem togę do pracy.

– Togę – powtórzył Owuor, ciesząc się, bo *bwana* nareszcie zrozumiał, że dobre słowa trzeba powiedzieć dwa razy. – Czy człowiek może pracować w toga?

– Tak, Owuor, tak. Ale w Rongai nie mogę pracować w todze.

– Czy pracowałeś rękami, jak jeszcze nie byłeś *bwana*!

– Nie, ustami. Żeby mieć togę, trzeba być mądrym. W Rongai to ty jesteś mądry, nie ja.

Dopiero w kuchni Owuor zrozumiał, dlaczego *bwana* nie był taki jak inni biali mężczyźni, dla których do tej pory pracował. Jego nowy *bwana* używał słów, które, gdy się je zaczarowało przez ich powtarzanie, wysuszały gardło, ale zostawały w uszach i głowie.

Minęło dokładnie osiem dni, zanim wieść o zwycięstwie nad szarańczą dotarła do Sabbatii. Wówczas Süsskind wyruszył do Rongai, choć wśród krów na jego farmie pojawiły się pierwsze przypadki gorączki afrykańskiej.

– Człowieku! – zawołał, zanim jeszcze wysiadł z samochodu. – Z ciebie jeszcze będzie farmer. Jak ty to zrobiłeś? Przez cały ten czas, jak tu żyję, mnie się to jeszcze nigdy nie udało. Po ostatniej porze deszczowej te bestie zżarły mi połowę farmy.

Nastał pogodny i pełen harmonii wieczór. Jettel poświęciła ostatnie kartofle, które przechowywała na specjalną okazję, żeby nauczyć Owuora gotować potrawę, którą nazywała śląskim niebem. Opowiadała mu przy tym o suszonych gruszkach, jakie zawsze przynosiła matce z małego sklepu przy ulicy Goethego. Z melancholią, ale i radością włożyła białą spódnicę oraz bluzkę w czerwono-niebieskie paski, których nie nosiła od czasu wyjazdu z Wrocławia. Wkrótce też mogła upajać się zachwytemi, jakich nie szczędził jej Süsskind.

– Gdyby nie ty – powiedział – już bym zapomniał, jak piękna może być kobieta. We Wrocławiu chyba wszyscy mężczyźni za tobą chodzili.

– Tak właśnie było – potwierdził Walter, a Jettel zanotowała z zadowoleniem, że jest o nią tak samo zazdrosny jak przedtem.

Regina nie musiała iść do łóżka. Mogła spać w ciepłe ognia, a gdy tylko budziły ją głosy, wyobrażała sobie, że kominek to Menengai, a czarny popiół – czekolada po pożarze buszu. Kilka nowych słów wpadło do sekretnej skrzynki w jej głowie. Najbardziej spodobało jej się słowo: *Reichsfluchtsteuer*¹, mimo że miała najwięcej trudności z jego zapamiętaniem.

Walter opowiadał Süsskindowi o swoim pierwszym procesie w Głubczycach, kiedy to na koniec oblewał z Greschkiem nieoczekiwany sukces na świniobiciu w Jędrychowicach. Süsskind usiłował przypomnieć sobie Pomorze, ale myliły mu się już lata, miejsca i ludzie.

– Poczekajcie – powiedział – wkrótce i wam się to przydarzy. Wielkie zapomnienie to chyba najlepsza rzecz w Afryce.

Następnego dnia na farmę przyjechał pan Morrison. Nie ulega wątpliwości, że o uratowaniu zbiorów wiadano także w Nairobi, ponieważ wyciągnął rękę do Waltera, czego nigdy przedtem nie robił. Jeszcze bardziej uderzające było to, że w przeciwieństwie do poprzednich wizyt, zrozumiał także gest Jettel,

¹ *Reichsfluchtsteuer* (niem.) – podatek nałożony na emigrujących Żydów (przyp. tłum.).

która zrobiła mu herbatę. Pił ją z filiżanki Rosenthala, zdobnej w kolorowe kwiaty, za każdym razem kiwając głową, gdy brał sobie srebrnymi szczypcami cukier z porcelanowej cukierniczki.

Kiedy obejrzał krowy i kury i wrócił do domu, zdjął kapelusz. Jego twarz odmłodziła; miał blond włosy i krzaczaste brwi. Poprosił o trzecią filiżankę herbaty. Przez chwilę bawił się szczypcami do cukru, znów kiwając głową. Potem nagle wstał, podszedł do szafki, na której stały słownik łaciński i *Encyclopaedia Britannica*, wyjął z szuflady kółko na serwetę z kości słoniowej i wetknął je Reginie do ręki.

Kółko było tak piękne, że Regina usłyszała, jak bije jej serce. Od tak dawna jednak nie miała okazji dziękować za podarunek, że nie przychodziło jej do głowy nic innego poza *sente sana*, chociaż wiedziała, że z tak potężnym człowiekiem jak pan Morrison dziecku nie wolno rozmawiać w suahili.

Chyba jednak nie było tak źle, ponieważ właściciel farmy roześmiał się, pokazując przy tym dwa złote zęby. Regina w wielkim podnieceniu wybiegła z domu. Wprawdzie często widywała pana Morrisona, jednak on niemal jej nie zauważał i ani razu się nie śmiał. Jeśli tak bardzo się zmienił, to może to on był jej sarenką, czarodziejsko z powrotem przemienioną w człowieka.

Suara spała pod kolczastym drzewem. Odkrycie, że białe kółko nie ma jakiejś szczególnej mocy, odjęło mu nieco piękna. Regina szepnęła więc tylko Suarze do ucha „do następnego razu”, odczekała, aż sarenka poruszy łebkiem, i wolnym krokiem wróciła do domu.

Pan Morrison założył już kapelusz i wyglądał tak jak zawsze. Prawą dłoń zwinął w pięść i wyjrzał przez okno na zewnątrz. Przez moment przypominał trochę Owuora w dniu, w którym przyleciała szarańcza, jednak nie wyjął z kieszeni małego diabełka bijącego skrzydłami, tylko sześć banknotów, które kolejno wykladał na stół.

– *Every month* – powiedział i poszedł do samochodu. Najpierw zawył rozrusznik, potem Rummler, a potem był już tylko tuman kurzu, w którym zniknęło auto.

– O Boże, co on właściwie powiedział? Zrozumiałaś go, Jettel?

– Tak. Prawie. *Month* to miesiąc. To wiem na pewno. Mieliśmy to słowo na kursie. I ja byłam jedyną osobą, która umiała je dobrze wymówić, ale czy myślisz, że ten wstrętny nauczyciel mnie pochwalił czy choćby skinał głową?

– To jest przecież teraz zupełnie nieważne. Co znaczy to drugie słowo?

– Nie krzycz tak. To też mieliśmy, ale nie mogę sobie przypomnieć.

– Musisz. Tu jest sześć funtów. Coś to musi znaczyć.

– *Month* oznacza miesiąc – powtórzyła Jettel.

Oboje byli tak wzburzeni, że przez dobrą chwilę podsuwali sobie nawzajem banknoty, obracając je między palcami i wzruszając ramionami.

– Słuchaj, przecież mamy słownik – przypomniała sobie w końcu Jettel. Podniecona wygrzebała z jednej ze skrzyń książkę w żółto-czerwonej okładce. – *Zobacz, Tysiąc słów po angielsku* – zaśmiała się. – Mamy też *Tysiąc słów po hiszpańsku*.

– Te są nam już niepotrzebne. Hiszpański miał być przecież do Montevideo. Chcesz, żebym ci coś zdradził, Jettel? Oboje polegliśmy. W ogóle nie wiemy, jakiego słowa mamy szukać.

Podeksytowana oczekiwaniem, od którego aż piekła ją skóra, Regina usiadła na ziemi. Zrozumiała, że rodzice, którzy bezustannie powtarzali jedno słowo, kręcąc przy tym nosami jak głodny Rummler, wymyślili nową zabawę. Żeby sprawić jak największą radość, lepiej było samemu się w nią nie bawić. Regina pohamowała także pokusę zawołania Owuora i aji, i tak długo

podgryzała Rummlera w ucho, aż ten zaczął cichutko i wesoło popiskiwać. Nagle usłyszała głos taty:

– A może ty wiesz, co powiedział Morrison?

Regina chciała jeszcze trochę dłużej nacieszyć się tym, że w końcu znalazła się w środku nowej zabawy; obcych słów, potrząsania głową i poruszania ramionami. Rodzice nadal kręcili nosami jak węszący Rummler, zbyt długo czekający na swoje jedzenie. Otworzyła więc usta, przełożyła rękę przez kółko do serwetek i przesuwiała je powoli, centymetr po centymetrze, w kierunku łokcia. Jak to dobrze, że nauczyła się od Owuora łapać głoski, których nie rozumiała. Trzeba je było tylko zamknąć na klucz w głowie i od czasu do czasu wypuszczać, nie otwierając przy tym ust.

– *Every month* – powiedziała. Jednak zbyt długo rozkoszowała się zdumieniem rodziców i przepuściła właściwy moment, w którym można było użyć czaru powtarzania. Mimo to dostała nagrodę, kiedy tata ją pochwalił, mówiąc:

– Mądre z ciebie dziecko.

Wyglądał przy tym jak biały kogut o krwistoczerwonym grzebieniu. Jednak zbyt szybko przemienił się w tatę z czerwonymi od zniecierpliwienia oczami, wziął ze stołu książkę, ale natychmiast znów ją tam odłożył, zatarł ręce i westchnął:

– Ale ze mnie dureń. Pożałowania godny bałwan.

– Dlaczego?

– Regino, jeśli się szuka słów w słowniku, to trzeba je umieć przeliterować.

– Twój ojciec ma za mało odwagi, on myśli, a ja działam – powiedziała Jettel. – *Aver* – przeczytała – znaczy „utrzymać się”, a *viary* to „ptaszarnia”. To jeszcze głupsze. Potem jest jeszcze *avid*, co znaczy „chciwy”.

– Jettel, to bzdura. W ten sposób nigdy tego nie znajdziemy.

– No to do czego nadaje się słownik, jeśli nic w nim nie można znaleźć?

– Dobrze więc, daj mi go, sprawdzę pod E. *Evergreen* – przeczytał Walter – oznacza „wiecznie zielony”.

Regina po raz pierwszy zauważyła, że tata potrafił pluć jeszcze lepiej od Owuora. Puściła łeb Rummlera i klasnęła w dłoń.

– Cicho bądź, Regina. Psiakrew, to nie żadna zabawa. To będzie *evergreen*. Oczywiście, Morrison mówił o swoich wiecznie zielonych polach kukurydzy. Zabawne, nigdy bym się po nim tego nie spodziewał.

– Nie – powiedziała Jettel bardzo, bardzo cicho. – Mam. Naprawdę to mam. *Every* to znaczy „każdy, każdego, każde”. Walter, *every month* musi znaczyć „każdego miesiąca”. Nie może być inaczej. Czy to oznacza, że on będzie nam dawał każdego miesiąca sześć funtów?

– Nie wiem. Musimy poczekać i zobaczyć, czy cud się powtórzy.

– Zawsze mówisz o cudzie. – Regina z napięciem czekała na reakcję taty. Czy zauważył, że naśladowała głos mamy? Jednak ani oczy, ani uszy nie znalazły odpowiedzi.

– Tym razem on ma rację – szepnęła Jettel. – On po prostu musi mieć rację.

Wstała, przygarnęła do siebie Reginę i obdarowała pocałunkiem, który miał smak soli.

Cud stał się rzeczywistością. Na początku każdego miesiąca pan Morrison przyjeżdżał na farmę, wypijał najpierw dwie filiżanki herbaty, oglądał swoje kury i krowy, szedł na pola kukurydzy, wracał na trzecią filiżankę herbaty i w milczeniu kładł pojedynczo na stół sześć banknotów jednofuntowych.

Jettel rozpierała taka duma, jak Owuora, gdy mówiło się o dniu, który odmienił los i życie w Rongai.

– Widzisz – powiedziała w pewnym momencie, a Regina powtarzała znajome słowa, nie poruszając przy tym wargami – co warte jest to twoje całe wspaniałe wykształcenie, jeśli nigdy nie uczyłeś się angielskiego?

– Nic, Jettel, nic. Tak mało jak moja toga.

Gdy Walter to mówił, jego oczy nie były już takie zmęczone jak przed kilkoma miesiącami. W dobre dni wyglądały jak przed malarią, a on śmiał się, gdy Jettel rozkoszowała się swoim zwycięstwem, nazywał ją swoim małym Owuorem i pieścił po nocach z taką czułością, jaką oboje spisali już na straty.

– Oni w nocy zrobili mi braciszka – opowiadała Regina pod kolczastym drzewem.

– To dobrze – powiedziała aja – Suara już nie będzie dzieckiem.

Wieczorem Walter zaproponował:

– Poślemy Reginę do szkoły. Jak Süsskind będzie następnym razem w Nakuru, niech się dowie, jak to zrobić.

– Nie – odparowała Jettel. – Jeszcze nie.

– Ale to ty przecież tak nalegałaś. I teraz ja też tego chcę.

Jettel poczuła, jak skóra zaczyna jej płonąć, ale nie wstydziła się tego.

– Nie zapomniałam – powiedziała – o czym mówiliśmy w dniu, po którym przyleciała szarańcza. Myślałeś wtedy, że nie zrozumiałam tego, co mi opowiedziałeś, ale ja nie jestem taka głupia, jak ci się wydaje. Regina może nauczyć się czytać, kiedy będzie miała siedem lat. Teraz potrzebujemy pieniędzy dla mamy i Käte.

– Jak ty to sobie wyobrażasz?

– Mamy tu wystarczająco dużo, żeby być sytym. Dlaczego nie mogłoby tak być przez jakiś czas? Ja wszystko dokładnie wyliczyłam. Jeśli nie będziemy ruszać tych pieniędzy, to po

siedemnastu miesiącach zbieramy sto funtów, żeby sprowadzić tu mamę i Käte. I jeszcze zostaną dwa funty. Zobaczysz, że nam się to uda.

– Jeśli nic się wydarzy.

– A co ma się wydarzyć? Tutaj przecież nigdy nic się nie dzieje.

– Ale dzieje się w pozostałej części świata, Jettel. Niedobrze to wygląda u nas w domu.

Zapał i gotowość Jettel do wyrzeczeń, radość, z jaką każdego miesiąca odkładała do szkatułki sześć funtów, zawsze je przeliczając, jej głębokie przekonanie, że uda im się zebrać na czas potrzebną sumę, były dla Waltera trudniejsze do zniesienia niż wiadomości, których słuchał co godzina za dnia, a często także i w nocy.

Listy z Wrocławia i Żor przychodziły coraz rzadziej. Rodzina tak nieudolnie starała się zatuszować w nich strach, że wzbudzały coraz większy niepokój. Walter często się zastanawiał, czy jego żona rzeczywiście nie widzi, iż w tym momencie trzeba się wyzbyć nadziei. Czasem sądził, że naprawdę jest taka ufna, wzruszał się tym i czuł zazdrość. Kiedy jednak przygnębienie tłamsiło go tak, że nie potrafił już odczuwać wdzięczności za uratowanie jego samego i najbliższej rodziny, wówczas rozpacz zmieniała się w nienawiść do Jettel i jej złudzeń.

Ojciec pisał o daremnych próbach sprzedania hotelu, i że już prawie ich zaprzestał; że w Żorach mieszkają jeszcze tylko trzy żydowskie rodziny, jemu jednak, biorąc pod uwagę okoliczności, nie wiedzie się źle i nie chce się uskarżać. W dzień po tym, w którym palono synagogi, pisał: *Liesel może będzie mogła wyemigrować do Palestyny. Gdybym tylko mógł ją namówić, żeby mnie, starego osła, tutaj zostawiła.* Od dziewiątego września 1938 roku w swoich listach ojciec zamieszczał także optymistyczne zaklęcia: *Do następnego zobaczenia.*

W listach z Wrocławia w każdej linijce wyczuwało się strach przed cenzurą. Käte pisała o ograniczeniach, które *przysparzają nam wiele roboty* i za każdym razem wspominała o wspólnych przyjaciółach, którzy *nagle musieli wyjechać i od tej pory nie ma od nich żadnych wieści*. Ina donosiła, że nie może już wynajmować pokoi i że *wychodzi teraz z domu tylko o określonych porach*. Prezent na urodziny Reginy we wrześniu został nadany w lutym. Walter ze zgrozą pojmował zaszyfrowane wiadomości. Jego teściowa i szwagierka nie miały już odwagi myśleć o nawet niedalekiej przyszłości i straciły nadzieję, że uda im się wyjechać z Niemiec.

Jego obowiązek konfrontowania Jettel z prawdą sprawiał mu ból, ale wiedział, że jeśli tego nie uczyni, zgrzeszy. Jednak kiedy ona liczyła te swoje pieniądze i wyglądała przy tym jak dziecko, które dokładnie zaplanowało spełnienie swoich życzeń, pozostawiał niewykorzystaną każdą okazję. To milczenie odczuwał jako swoją kapitulację, własna słabość napawała go wstrętem. Do snu kładł się, gdy Jettel już spała, a wstawał przed nią.

Wydawało się, że czas zatrzymał się w miejscu. W połowie sierpnia chłopak od Süsskinda przyniósł list: *Teraz już definitywnie mamy w Sabbatii tę przekłętą gorączkę afrykańską. Przede wszystkim nic już nie będzie z szabasu. Muszę się modlić o moje krowy i spróbować ratować, co się da. Jeśli twoje krowy biegają w kółko, to jest już za późno, bo zaraza dotarła także do Rongai.*

– Dlaczego nie może sam do nas przyjechać? – spytała Jettel z irytacją. – On przecież nie jest chory.

– Musi przynajmniej być na farmie, gdy jego krowy zdychają. Süsskind też boi się o posiadłość. Do kraju przybywa coraz więcej uchodźców, którzy chcą znaleźć jakieś zajęcie na farmach. Dlatego coraz łatwiej zastąpić każdego z nas kimś innym.

Czwartkowe wizyty Süsskinda były najważniejszą chwilą w tygodniu, wspomnieniem dawnego życia pełnego rozmów, urozmaicenia, wzajemnego dawania i brania, iskrą normalności.

Teraz radość czekania na te spotkania i radość z nich płynąca odeszły. Im monotonijsze stawało się życie, tym większe Jettel odczuwała pragnienie, by usłyszeć relacje Süsskinda z Nairobi i Nakuru. On zawsze wiedział, czy do kraju przyjechał ktoś nowy i gdzie zamieszkał. Jeszcze bardziej brakowało jej dobrego humoru sąsiada, żartów i komplementów, optymizmu, z którym zawsze patrzył w przyszłość i który również Jettel pomagał utwierdzić się we własnej ufności.

Walter cierpiał jeszcze bardziej. Po przebytej malarii ujrzał w Süsskindzie wybawcę zdolnego wyratować go z zagrażającej życiu opresji. Potrzebował takiego pewnego siebie przyjaciela, by móc nie poddawać się stanom depresyjnym i tęsknocie za ojczyzną, które odbierały mu rozum. Süsskind był dla niego dowodem na to, że człowiek jest w stanie pogodzić się z losem bezdomnego. Ba, stanowił dla niego jedyny kontakt z życiem.

Nawet Owuor lamentował, że *bwana* Sabbatia już nie przyjeżdża na farmę. Nikt z takim zadowoleniem nie ruszał ustami, gdy on wnosił budyń. Nikt nie potrafił śmiać się tak głośno jak *bwana* Sabbatia, kiedy Owuor wkładał togi i śpiewał przy tym *Ich hab mein Herz in Heidelberg verloren*.

– *Bwana* Sabbatia jest jak bęben – skarżył się Owuor, gdy kolejny dzień bez wizyty sąsiada zamienił się w noc. – Uderzam w niego w Rongai, a on odpowiada mi z Menengai.

– Także nasze radio tęskni za Süsskindem – powiedział Walter pierwszego września wieczorem. – Bateria padła, a bez jego samochodu nie możemy jej naładować.

– Nie słuchasz już wiadomości?

– Nie, Regino. Świat dla nas umarł.

– Czy radio też umarło?

– Na amen. Teraz jeszcze tylko twoje uszy mogą się dowiedzieć, co nowego się wydarzyło. Więc kładź się na ziemi i powiedz, co tam słyszysz ciekawego.

Radość i duma oszołomiły Reginę. Po małym deszczu Owuor nauczył ją, jak położyć się płasko i nieruchomo na ziemi, żeby móc podsłuchać jej głosy. Od tej pory często słyszała auto Süsskinda, zanim jeszcze mogli zobaczyć, ale tata nigdy nie wierzył jej uszom, zawsze tylko zły mówił: „Bzdura” i ani razu się nie zawstydził, gdy Süsskind rzeczywiście się pojawiał, potwierdzając to, co wcześniej zapowiedziała. Teraz, gdy już nie słyszał głosów z umarłego radia, w końcu pojął, że bez uszu Reginy jest głuchy jak stary Cheroni, który pędził krowy do udoju. Czowała się silna i mądra.

Mimo to dała sobie trochę czasu, nim zaczęła wylapywać głosy, które musiały odbyć safari nad Menengai, by można je było usłyszeć w Rongai. Dopiero następnego dnia po śmierci radia, wieczorem, Regina położyła się na kamienistej dróżce prowadzącej do domu, ale ziemia nie uwalniała żadnych głosów prócz mowy drzew na wietrze. Również nazajutrz rano usłyszała tylko ciszę, ale w porze obiadowej jej uszy stały się czujne.

Kiedy usłyszała pierwszy dźwięk, nie śmiała zakłócać go nawet najmniejszym oddechem. Między pierwszym a drugim mogła upłynąć bowiem tak krótka chwila, jakiej potrzebuje ptak, by przelecieć z jednego drzewa na drugie. Jednak następny dźwięk kazał długo na siebie czekać. Regina przestraszyła się, czy nie uniosła ucha zbyt wysoko i czy nie jest to tylko głos bębnow z lasu. Już chciała wstać, zanim z rozczarowania poczuje suchość w gardle, gdy nagle prosto z ziemi usłyszała tak mocne uderzenie, że musiała się wręcz pośpieszyć. Tym razem tata nie będzie myślał, że zobaczyła samochód, zanim go usłyszała.

Żeby wzmocnić swój głos, złożyła dłonie w trąbkę i krzyknęła co sił w płucach:

– Tato, szybko, ktoś chce nas odwiedzić! Ale to nie samochód pana Süsskinda!

Ciężarówka, która ciężko sapiąc jechała drogą wiodącą po stromym stoku do farmy, była większa niż wszystkie inne, jakie kiedykolwiek pojawiły się w Rongai. Nagie dzieci wybiegały z chat i

pędziły w kierunku domu, przepychając się nawzajem. Za nimi szły kobiety z niemowlętami na plecach, młode dziewczęta z kalebasami pełnymi wody i owce popędzane przez szczekające psy. *Schambaboy*s rzucali swoje motyki i schodzili z pól, pasterze odchodzili od krów.

Zakładali ręce za głowę, krzyczeli, jakby powróciła szarańcza, i śpiewali pieśni, które zazwyczaj rozlegały się w chałupach tylko nocą. Śmiech ciekawskich i podekscytowanych ludzi napierał na Menengai i powracał czystym echem. Cisza zapadła tak nagle, jak nagle wybuchła wrzawa, a w tej ciszy ciężarówka stanęła.

Najpierw wszyscy zobaczyli tylko chmurę pyłu, która w tej samej chwili uniosła się znad czerwonej ziemi i opadła. Kiedy się rozwiała, oczy otworzyły się szeroko, a członki zeszywniały w oczekiwaniu. Nawet najstarsi mężczyźni z Rongai, którzy przestali już liczyć przeżyte pory deszczowe, musieli najpierw wyteńczyć wzrok, zanim ich oczy coś zobaczyły. Ciężarówka była tak zielona jak lasy, które nigdy nie wysychają, a na platformie dla bydła nie przycupnęły woły i krowy jadące na swoje pierwsze safari, lecz biali mężczyźni w wielkich kapeluszach.

Przed domem, obok cysterny z wodą, koło aji i Owuora stali nieruchomo Walter, Jettel i Regina. Bali się podnieść wzrok, ale wszyscy przecież widzieli, jak mężczyzna koło kierowcy jednym pchnięciem otwiera drzwi i powoli schodzi na ziemię.

Miał na sobie krótkie spodnie koloru khaki, czerwone nogi i świecące na czarno buty, które przy każdym kroku wzbijały z traw chmary much. W jednej ręce trzymał arkusz papieru bielszy niż słońce, drugą przytykał do czapki leżącej na jego głowie niczym płaski ciemnozielony talerz. Gdy obcy w końcu otworzył usta, Rummler szczeknął.

– *Mr Redlich* – rozkazał wielkim głosem – *come along! I have to arrest you. We are at war*².

² *Mr Redlich...* (ang.) – Panie Redlich, proszę tu przyjść. Mam rozkaz pana aresztować. Nasze państwa są w stanie wojny (przyp. red.).

Nadal jeszcze nikt się nie poruszył. Wtem z ciężarówki odezwał się znajomy głos; był to Süsskind, który wołał:

– Walter, człowieku, nie mów, że nie wiesz! Wybuchła wojna. Jesteśmy wszyscy internowani. Chodź, wsiadaj. I nie martw się o Jettel i Reginę. Jeszcze dzisiaj kobiety i dzieci zostaną odwiezione do Nairobi.

4

Młodzi mężczyźni, dobrze jeszcze pamiętający angielskie szkoły i wesołe noce w Oksfordzie, nawet jeśli niepokoiłi się o losy zagrożonego kraju rodzinnego, przyjęli wybuch wojny za całkiem znośną odmianę. Podobnie jak weterani pielęgnujący swoje przywiedle złudzenia i wykonujący obowiązki w służbach policji w Nairobi oraz siłach zbrojnych w pozostałej części kraju z pewną niechęcią wobec monotonnego, zrutynizowanego życia kolonialnego. Tym razem nie chodziło tylko o zwykłych złodziei bydła, wybuchające od czasu do czasu tubylcze walki plemienne czy afery miłosne w przyzwoitym, angielskim społeczeństwie, lecz o samą brytyjską kolonię.

Ta zaś w ciągu ostatnich pięciu lat przyjmowała coraz więcej mieszkańców kontynentu i to właśnie oni stawiali teraz władze przed nową rzeczywistością. W okresie pokoju ci pozbawieni środków do życia uchodźcy o nazwiskach, które były tak samo trudne do wymówienia jak do napisania, stanowili nie lada problem. Jednak mimo fatalnego akcentu i ambicji, które w oczach umiarkowanych Anglików przeczyły zdrowym zasadom postępowania, uchodzili powszechnie za zdyscyplinowanych i dających sobą łatwo kierować. Władze starały się o to, by nic nie zachwiało wypróbowaną strukturą ekonomiczno-gospodarczą w Nairobi, toteż emigrantów trzymano z daleka od miast, lokując ich na farmach. Dzięki gminie żydowskiej, której najdawniej osiedleni członkowie byli tego samego zdania co władze, proces zasiedlania farm przebiegał szybko i spotykał się z wielkim zadowoleniem farmerów.

Wojna rzucała nowe wyzwanie. Teraz ważne było już tylko ochronić kraj przed ludźmi, którzy ze względu na swoje pochodzenie, język, wychowanie, tradycję i lojalność mogliby okazać się bliżsi krajowi wroga niż imigracji. Autorytety wiedziały,

że muszą działać szybko i skutecznie, i na początku były całkiem zadowolone z osiągniętych rezultatów. W ciągu trzech dni wszyscy wrodzy cudzoziemcy z miast oraz nawet najbardziej oddalonych farm zostali przekazani wojsku w Nairobi i poinformowani o tym, że odtąd nie mają już statusu *refugee*, tylko *enemy alien*...

Dysponowano odpowiednim doświadczeniem z wojny światowej, jak do tej pory pierwszej, a także wysłużonymi oficerami, którzy wiedzieli, co mają robić. Internowano wszystkich mężczyzn od szesnastego roku życia; chorych i potrzebujących opieki rozlokowano w szpitalach pod odpowiednim nadzorem. Natychmiast usunięto baraki Drugiego Królewskiego Pułku Strzelców Afrykańskich w Ngong, trzydzieści kilometrów od Nairobi.

Żołnierze wykonujący rozkaz wywiezienia mężczyzn z farm zadziałali nieoczekiwanie szybko i radykalnie. „Nieco zbyt radykalnie” Jak to ocenił pułkownik Whidett w swoim pierwszym raporcie z pomyślnie zakończonej akcji Enemy Aliens, którą prowadził.

Młodzi żołnierze, dokonując pośpiesznie aresztowań, nie dawali *bloody refugees*, jak ich nazywali, ulegając nowej fali patriotycznych uczuć, ani chwili na spakowanie rzeczy i tą nadgorliwością przysporzyli swoim przełożonym kłopotów, jakich dałoby się uniknąć. Mężczyzn, których dostarczono do Ngong jedynie w spodniach, koszulach i kapeluszach, a czasami wręcz w szlafrokach, trzeba było jakoś ubrać. W kraju macierzystym tego rodzaju problem rozwiązano by natychmiast przez zastosowanie ubioru więziennego.

W Kenii jednak ubieranie białych w ten sam strój, jaki nosili czarni więźniowie, było równie przeciwne obyczajom, jak niesmaczne. W krajowych więzieniach nie było ani jednego Europejczyka, a więc także i tak oczywistych przedmiotów codziennego użytku jak szczoteczki do zębów, kalesony czy szmaty do mycia podłóg. Żeby nie obciążać już w pierwszych dniach wojny budżetu państwa i nie prowokować Ministerstwa Wojny w Londynie do nieprzyjemnych pytań, wezwano

zaskoczonych obywateli do składania odpowiednich datków. W konsekwencji na łamach „East African Standard” zaczęły ukazywać się przykre, szydercze listy czytelników.

Jeszcze gorzej przyjmowano fakt, że internowani nosili takie same mundury koloru khaki jak ich strażnicy. To niepożądane, lecz podyktowane koniecznością ujednoczenie stroju obrońców ojczyzny i jej ewentualnych agresorów wywołało wielkie oburzenie w kręgach wojskowych. Rozeszły się plotki, że mężczyźni z kontynentu drwią sobie z powagi sytuacji. Istniały już doniesienia, wedle których mieli oni salutować z szyderczym uśmiechem oraz, jeśli znali na tyle angielski, bezceremonialnie pytać strażników o drogę na front. „Sunday Post” radził swoim czytelnikom: Jeśli zobaczą Państwo mężczyznę w angielskim mundurze, dla własnego bezpieczeństwa każcie mu najpierw zaśpiewać *God Save the King*. „Standard” zadowolił się jedynie komentarzem, opatrując go jednak w tytule słowem „skandal”.

Nawet najsurowsza interpretacja przepisów dotyczących bezpieczeństwa nie wymagała natychmiastowego internowania kobiet i dzieci. Wojsku zupełnie wystarczała konfiskata radioodbiorników i aparatów fotograficznych w celu uniemożliwienia nawiązania za ich pośrednictwem ewentualnych kontaktów z nieprzyjacielem na europejskich polach bitwy. Z drugiej strony przypominano sobie fakt, że również w 1914 roku oraz już w wojnie Burów praktykowano koncentrowanie w obozach kobiet i dzieci. Szale przeważył argument, że pozostawienie na farmach nieuzbrojonych kobiet, pozbawionych męskiej opieki, przeczyłoby brytyjskiej tradycji honoru i odpowiedzialności. Ponownie zadziałano szybko i bez zbędnej biurokracji. Po wybuchu wojny żadna kobieta nie mogła przebywać na farmie sama dłużej niż trzy godziny.

Internowanych kobiet, a co dopiero dzieci, nie można było umieścić w wojskowych barakach, ale i w tym przypadku pułkownik Whidett znalazł zadowalające rozwiązanie. Nie bacząc na weekendowe potrzeby farmerów z wyżyn, dla rodzin *enemy aliens* zarekwirowano dwa hotele: bogaty w tradycje Norfolk i

luksusowy New Stanley. Wyjście takie zaproponowano niewątpliwie także dlatego, że jedynie w Nairobi można było znaleźć urzędników na tyle kompetentnych, by mogli kontrolować sytuację, która w każdej chwili mogła ulec zmianie.

Internowane kobiety były oszołomione, gdy po długiej i uciążliwej jeździe z farm trafiały do Nairobi. Personel hotelu, którego nie przeszkolono na okoliczność zmian, jakie niosła ze sobą wojna, przyjmował swoich gości z wielką radością, co do tej pory należało do jego obowiązków. Do obydwu hoteli polecono zgłosić się również lekarzom, pielęgniarkom, przedszkolankom i nauczycielom. Ponieważ zostali powołani w trybie natychmiastowym, liczyli się z okolicznościami, które wiązały z wojną, jednak bardzo szybko zauważyli, że w tym specjalnym przypadku nie chodzi ani o wybuch zarazy, ani o problemy natury psychologicznej, lecz o trudności z porozumiewaniem się. Najlepiej dałoby się je rozwiązać za pomocą suahili, jednak pewni siebie urzędnicy kolonialni przez lata nie opanowali go w takim stopniu jak ludzie, którzy krótko przebywali w tym kraju i zupełnie nie odpowiadali powszechnie znanym wyobrażeniom o wrogich agentach.

Transport z Nakuru, Gilgil, Sabbatii i Rongai przybył do hotelu Norfolk ostatni. Jettel już podczas jazdy, pocieszana i uspokajana przez towarzyszki niedoli, pokonała lęk przed nieznaną przyszłością i szok spowodowany nagłą rozłąką z Walterem. Nieoczekiwanie poczuła się wyzwolona od samotności, a uwolnienie od monotonii życia na farmie przyjęła jako dobrodziejstwo. Była tak zafascynowana elegancją i ożywioną atmosferą hotelu, że w pierwszej chwili, jak i inne kobiety, straciła z pola widzenia przyczynę gwałtownej zmiany, jaka zaszła w jej życiu.

Także Regina była olśniona. W Rongai odmawiała wejścia na platformę samochodu i musiano wciągnąć ją siłą. Podczas jazdy tylko płakała i wołała Owuora, aję, Suarezę, Rummlera i tatę, jednak blask tylu świateł, kotary z niebieskiego aksamitu na wysokich oknach, obrazy w złotych ramach i czerwone róże w

srebrnych kielichach, do tego mnóstwo ludzi i zapachów, które podniecały ją jeszcze mocniej niż to, co widziała, natychmiast odwróciły jej uwagę od zmartwienia. Trzymając się mocno maminej sukienki, z otwartymi ustami wpatrywała się w pielęgniarki z białymi, nakrochmalonymi czepeczkami na głowie.

Właśnie podawano główny posiłek. Było to jedno z tych starannie skomponowanych menu, z których hotel Norfolk słynął nie tylko w Kenii, ale i w całej Afryce Wschodniej. Szef kuchni, człowiek z południowej Afryki, który doświadczenia nabierał na dwóch luksusowych okrętach, nie miał zamiaru łamać tradycji hotelu tylko dlatego, że gdzieś w Europie wybuchła wojna, a w jadalni siedziały tylko kobiety z dziećmi.

Dzień wcześniej dostarczono homary z Mombasy, z wyżej położonych regionów – jagnięcinę, a z Naivashy – fasolę, selery i kartofle. Do mięsa podano sos miętowy, który uchodził za legendarną specjalność hotelowej kuchni, francuską zapiekankę gratin, owoce tropikalne z herbatnikami o delikatnym smaku i deskę serów, a wśród nich stilton, cheshire i cheddar z Anglii, co stanowiło zgoła ofertę godną czasu pokoju. To, że liczne porcje homara i jagnięciny wróciły do kuchni nietknięte, pierwszego wieczoru kucharz kładł na karb przemęczenia gości. Gdy jednak awersja do skorupiaków i mięsa utrzymywała się dłużej, poproszono o radę przedstawiciela gminy żydowskiej w Nairobi. Mógł on wprawdzie objaśnić zasady żywienia się zgodne z żydowską tradycją, jednak także dla niego nie było jasne, dlaczego dzieci polewają deser sosem miętowym. Kucharz przeklął więc najpierw *bloody war*, a zaraz potem *bloody refugees*.

Nawet tak przestronny hotel jak Norfolk nie miał dość miejsca dla takiego natłoku gości. Dlatego jeden pokój dzielić musiały dwie kobiety z dziećmi. Zwlekano z udostępnieniem pomieszczeń dla opieki. Były one wprawdzie puste, bo kobiety i ich dzieci wbrew utartemu zwyczajowi przyjechały do hotelu bez swoich osobistych służących i piastunek, jednak kwatrowanie Europejczyków w pokojach dla Murzynów kłóciło się z poczuciem dobrego smaku menedżera hotelu.

Regina dzieliła łóżko z dziewczynką starszą od niej o kilka miesięcy. Pierwszej nocy nastęczało to nieco problemów, ponieważ obie jako jedynaczki nie były przyzwyczajone do tak bliskiego kontaktu. Szybko jednak pokonały obawy i skrępowanie. Ing Sadler nosiła tradycyjne sukienki i spała we flanelowych koszulach nocnych w niebiesko-białą kratę. Była bardzo samodzielna, miła i wyraźnie uszczęśliwiona możliwością posiadania przyjaciółki. Jej bawarski dialekt Regina wzięła na początku za angielski, ale szybko przywykła do wymowy nowej przyjaciółki i podziwiała ją za to, że umie czytać i pisać.

Inge chodziła do szkoły przez rok jeszcze w Niemczech i była gotowa przekazać Reginie to, czego się nauczyła. Gdy budziła się w nocy, przestraszona wybuchała płaczem, a wtedy musiała ją uspokajać mama, która, choć energiczna i surowa za dnia, potrafiła pocieszać tak łagodnie jak aja. Podbiła serce Reginy tak szybko jak niegdyś Owuor. Gdy Regina opowiedziała pani Sadler o Suarze, ta wyjęła z koszyczka do robótek ręcznych niebieską włóczkę i wydziergała dla niej sarenkę.

Państwo Sadlerowie pochodzili z Weiden z Górnego Palatynatu i przyjechali do Kenii dopiero na pół roku przed wybuchem wojny. W Niemczech dwóch braci prowadziło sklep odzieżowy, trzeci miał gospodarstwo na wsi. Tutaj ich żony były zbyt rezolutne na to, by opłakiwać blaski przeszłości. Robiły swetry na drutach i szyły bluzki dla renomowanego sklepu w Nairobi, a mężów zachęciły do wydzierżawienia farmy w Londiani, która przyniosła pierwsze zyski już po sześciu miesiącach.

Inge przeżyła w Weiden pogrom z dziewiątego listopada³. Musiała patrzeć, jak rozbijają okna wystawowe sklepu należącego do jej rodziców, wyrzucają na ulicę materiały i ubrania, plądrują ich mieszkanie. Jej tatę i dwóch wujków wywleczono z domu, pobito i wywieziono do Dachau. Gdy wszyscy trzej wrócili po czterech miesiącach, żadnego z nich nie poznała. O tych

³ Tzw. Noc Kryształowa z 1938 roku, zabito wtedy dziewięćdziesięciu Żydów, a około trzydzieści pięć tysięcy wywieziono do obozów. Największe rozruchy miały miejsce w Norymberdze i Hamburgu (przyp. red.).

przeżyciach, o których nigdy nie rozmawiała z rodzicami, opowiedziała Reginie w drugim tygodniu pobytu w Norfolk, ponieważ wstydziła się tego, że płacze w nocy.

– Mojego taty nikt nie bił – powiedziała Regina, kiedy Inge skończyła.

– To znaczy, że nie jest Żydem.

– Nieprawda.

– Wy w ogóle nie jesteście z Niemiec.

– Przyjechaliśmy z rodzinnych stron – wyjaśniła Regina. – Z Głubczyc, Żor i Wrocławia.

– W Niemczech wszystkich Żydów biją. Wiem to na pewno. Ja nienawidzę Niemców.

– Ja też – powiedziała Regina, jakby chciała coś obiecać. – Ja też nienawidzę Niemców.

Zamierzała, gdy tylko będzie to możliwe, opowiedzieć tacie o swojej nowej nienawiści, o Inge, ubraniach wyrzucanych na ulicę i o Dachau. Chociaż o tacie wspominała o wiele rzadziej niż o Owuorze, aji, Suarze i Rummlerze, to brakowało jej go i tym silniej odczuwała z nim rozstanie, im bardziej dręczyły ją wyrzuty sumienia. Położyła się na ziemi i pierwsza usłyszała ciężarówkę, która zabrała ich wszystkich z Rongai.

Nad małym stawem z białymi liliami wodnymi, na których w upalne południe jak żółte obłoki wylegiwały się motyle, Regina wyznała Inge:

– Przeze mnie jest wojna.

– Bzdura, to Niemcy wywołali wojnę. Każdy to wie.

– Muszę powiedzieć to tacie.

– Ale on już o tym wie.

Dopiero po tej rozmowie Regina zauważyła, że wszystkie kobiety rozmawiają o wojnie. Już nie były takie pogodne jak w

pierwszych dniach internowania. Coraz częściej mówiły: „Ach, gdyby tak znowu być na farmie” i żadna z nich nie chciała wspominać entuzjastycznego nastroju, w jakim przyjechała do Nairobi. Odmieniona atmosfera panująca w hotelu pogłębiała tęsknotę za życiem na farmie.

Menedżer hotelu, chudy, niesympatyczny człowiek, nazywał się Applewaithe i nie zadawał sobie trudu, by ukrywać swą odrazę do ludzi, którzy nie potrafili wymówić jego nazwiska. Czuł wstręt do dzieci, z którymi jak dotąd nie miał do czynienia ani w życiu prywatnym, ani zawodowym, i nie pozwalał młodym mamom podgrzewać w kuchni mleka dla niemowląt, zawieszać pieluch na balkonie i stawiać wózków pod drzewami. Coraz wyraźniej dawał kobietom do zrozumienia, że są nieproszonymi gośćmi, ba, gorzej jeszcze, *enemy aliens*.

Po pierwszym wybuchu szalonej euforii, jaką wyzwoliła w nich świadomość przebywania we wspólnocie, teraz wracały do rzeczywistości skonsternowane i pełne poczucia winy. Niemal wszystkie miały krewnych w Niemczech i zrozumiały teraz, że ich rodzicom, rodzeństwu i przyjaciołom już nie uda się uciec. Świadomość tej ostateczności, a także niepewność własnej przyszłości była dla nich paraliżująca. Tęskniły za mężczyznami, którzy przedtem podejmowali wszystkie decyzje i brali na siebie odpowiedzialność za rodzinę. Nie wiedziały nawet, gdzie ich wywieziono. Wiedziały, że są słabe, a to czyniło je bezradnymi i prowadziło najpierw do małopłakawych niesnasek, a potem do apatii, która kazała im uciekać w przeszłość. Kobiety prześcigały się w opisach wspaniałego życia, jakie wcześniej wiodły, a obraz tych czasów w obliczu przymusowej bezczynności stawał się w ich wspomnieniach coraz bardziej wyidealizowany. Wstydyły się swoich łez, a jeszcze bardziej tego, że gdy mówiły „u nas” albo „w domu”, nie wiedziały już, czy mówią o farmie, czy o Niemczech.

Jettel bardzo cierpiała, gdyż straciła poczucie bezpieczeństwa i nigdzie nie znajdowała pocieszenia. Tęskniła za życiem w Rongai, za dobrym humorem Owuora i znajomym rytmem dni, które teraz nie kojarzyły się jej z samotnością, lecz z

niezachwianą nadzieją na przyszłość. Brakowało jej nawet scysji z Walterem, które z perspektywy czasu wydawały się łagodnym przekomarzeniem się, i płakała, ilekroć tylko wspomniała jego imię. Po każdym takim wybuchu mówiła:

– Gdyby mąż wiedział, co ja tu przeżywam, zabrałby mnie stąd natychmiast.

Najczęściej gdy Jettel zaczynała się uzalać nad własnym losem, kobiety rozchodziły się do pokojów, ale pewnego wieczoru, gdy jej ból wybuchnął z jeszcze większą siłą niż zwykle, zupełnie nieoczekiwanie i bardzo głośno ofuknęła ją Elsa Conrad:

– Przestań wreszcie beczeć i zrób coś. Czy myślisz, że ja, gdyby zabrano mojego męża, siedziałabym tutaj i ryczała? Z wami młodymi to się wyrzygać można.

Jettel osłupiała i natychmiast przestała szlochać.

– A co mogę zrobić? – spytała głosem, w którym nie było już śladu łez.

Od pierwszego dnia pobytu w hotelu Norfolk Elsa Conrad była niekwestionowanym przez nikogo autorytetem, nieznoszącym żadnego sprzeciwu. Nie bała się ani ludzi, ani ostrej wymiany zdań. Jako jedyna w grupie pochodziła z Berlina i jako jedyna nie była Żydówką. Już jej wygląd imponował. Elsa, równie tęga, jak ociężała, za dnia okrywała swoją tuszę długimi szatami w kwieciste wzory, wieczorami zaś odświętnymi sukniami z głębokim wycięciem. Nosila też ognistoczerwone turbany, które wprawiały w takie przerażenie niemowlęta, że zaczynały kwilić na jej widok.

Rano nie wstawiała nigdy przed dziesiątą, bo wymogła na panu Applewaithe, żeby śniadanie podawano jej do pokoju. Stale strofowała dzieci, ale z takim samym zniecierpliwieniem również i kobiety, które zagłębiały się w swoich zgryzotach lub uskarżały na drobiazgi. Bano się Elsy tylko w pierwszych dniach. Jej wojowniczość czyniła znośnymi wszystkie prowokacje, a poczucie

humoru korespondowało z temperamentem. Kiedy opowiedziała swoją historię, stała się bohaterką.

Miała w Berlinie bar, lecz nigdy nie była skłonna zadawać się z gośćmi, którzy jej się nie podobali. Kilka dni po podpaleniu synagog do baru przyszła kobieta w towarzystwie dwóch mężczyzn i, jeszcze w płaszczu, zaczęła podburzać ludzi przeciw Żydom. Elsa chwyciła ją za kołnierz, postawiła pod drzwiami i wrzasnęła:

– A jak myślisz, skąd masz to drogie futro? Bo ukradłaś je Żydom, ty dziwko!

Zapłaciła za to sześcioma miesiącami więzienia, a potem natychmiastowym wydaleniem z Niemiec. Dotarła do Kenii bez środków do życia, lecz już w pierwszym tygodniu została zaangażowana w Nanyuki przez małżeństwo ze Szkocji w charakterze niani. Z dziećmi nie rozumiała się dobrze, z rodzicami za to lepiej, mimo tylko paru okruchów angielszczyzny, jakie uchwyciła na statku. Nauczyła ich grać w skata, a kucharzowi pokazała, jak zagotować jajko w słonej wodzie i jak usmażyć zrazy. Gdy wybuchła wojna, Szkoci z ciężkim sercem rozstali się z Elszą, ale że nie znieśliby, gdyby musiała wchodzić na platformę ciężarówki, odwieźli ją samochodem do hotelu Norfolk. Żegnali się z nią serdecznie, przeklinając Anglików i premiera Chamberlaina.

Elsa zawsze zwyciężała.

– A co mogę zrobić – przedrzeźniała tamtego wieczoru głos Jettel, wytyczając drogi na przyszłość. – Chcecie tu ślęczyć z założonymi rękami przez całą wojnę, gdy tam trzymają waszych mężów? No co się tak głupkowato na mnie gapicie? Czy nie możecie choć raz zapomnieć, że nosili was na rękach? Siadźcie na tych swoich rozpieszczonych tyłkach i napiszcie do władz. To chyba nie takie trudne wyjaśnić im, że Żydzi nie popierają Hitlera. Któraś z wytwornych pań z pewnością chodziła do szkoły i zna angielski na tyle, żeby napisać list.

Propozycja, mimo że za wiele nie obiecywała, została przyjęta już choćby dlatego, że wszyscy bali się gniewu Elsy bardziej niż brytyjskiej armii. A organizować potrafiła tak samo dobrze, jak

mówić. Czterem kobietom z dostateczną znajomością angielskiego i Jettel, przez wzgląd na jej piękny charakter pisma, poleciła sformułować treść listów dokumentujących bieg wydarzeń i określających ich własne stanowisko. Pan Applewaithe dał się nieoczekiwanie szybko przekonać, że jego obowiązkiem jest przekazywać dalej listy od ludzi, którym nie wolno opuścić terenu hotelu.

Na tak szybki sukces akcji nie liczyła nawet Elsa. Dla władzy wojskowej nie była decydująca ani treść listów, ani ich ton, lecz to, że sama zaczęła mieć wątpliwości. Po pierwszych reakcjach z Londynu w Nairobi zaczęto się zastanawiać, czy rzeczywiście trzeba było internować wszystkich *refugees* i czy nie byłoby rozsądniej najpierw zbadać ich postawy polityczne.

W dodatku wielu farmerów spodziewało się powołania do wojska, dlatego chętnie zostawiliby swoje farmy pod opieką tanich i odpowiedzialnych *refugees*. W „East African Standard” rubryka przeznaczona na listy od czytelników zawierała niemal wyłącznie zapytania, dlaczego właśnie w Nairobi jeńcy wojenni muszą mieszkać w luksusowych hotelach. Również właściciele Norfolk i New Stanley stanowczo domagali się zwolnienia ich hoteli. Pułkownik Whidett uważał za roztropne przede wszystkim wykazać się elastycznością. Na początek zezwolił na kontakty par małżeńskich z dziećmi i obiecał, że zastanowi się nad dalszymi posunięciami. Dokładnie w dziesięć dni po tym, jak pan Applewaithe doręczył listy władzy, znów wyjechały wojskowe ciężarówki. Ich zadaniem było przewiezienie matek z dziećmi do męskiego obozu w Ngong.

Z mężczyznami działo się to samo co z ich żonami. Internowanie wyrwało ich z samotności i milczenia. Ich oszołomienie wyzwoleniem było ogromne. Starzy znajomi i przyjaciele, którzy ostatni raz widzieli się jeszcze w Niemczech, spotykali się znowu; towarzysze niedoli ze statku wpadali sobie w ramiona; cudzoziemcy stwierdzali, że mają wspólnych przyjaciół. Dniami i nocami wymieniano się swoimi doświadczeniami, nadziejami i poglądami. Ci, którym udało się uciec, dowiadywali

się o takich cierpieniach, że ich własne okazywały się przy tamtych mało znaczące. Uczyli się od nowa słuchania i wolno im teraz było mówić. To było tak, jakby pękła tama.

Po tylu dniach spędzonych na farmach jedynie w towarzystwie kobiet i dzieci czy wręcz w pojedynkę, w poczuciu obowiązku utrzymania się na tej pozycji i odsuwania od siebie strachu, każdy cieszył się, że teraz może przebywać wśród mężczyzn. Przynajmniej przez pewien czas nie musieli troszczyć się o gospodarstwo i żyć w męczącym przeświadczeniu, że wypowiedzenie oznacza natychmiastową utratę dachu nad głową. Już ta chwila wytchnienia miała psychikę poczuciem uzdrawiającego bezpieczeństwa. To Walter ukuł nieustannie potem cytowane powiedzenie: „Teraz Żydzi znowu mają swojego króla, który o nich dba”.

W pierwszych dniach pobytu w kampusie czuł się tak, jakby po długiej podróży natrafił na dalekich krewnych, którzy z miejsca stali mu się bliscy. Oscar Hahn, były adwokat z Frankfurtu, od sześciu lat farmer w Gilgil, Kurt Piakowsky, lekarz z Berlina, obecnie kierownik pralni w szpitalu w Nairobi, oraz Leo Hirsch, który znalazł zatrudnienie w charakterze menedżera kopalni złota w Kisumu, sprzyjali Walterowi, gotowi w każdej chwili powspominać wspólnych przyjaciół i radosne studenckie czasy.

Heini Weyl, znajomy z Wrocławia, mimo żółtej febry i czerwonki, jakie dopadły go w Kisumu, nie stracił ani odwagi życiowej, ani poczucia humoru. Wrocławianinem był również Henry Guttmann, którego nieustanny optymizm wzbudzał zazdrość niemal u wszystkich. Zbyt młody na to, by w Niemczech mógł stracić zawód i źródło utrzymania, należał do wąskiego grona wybrańców raczej z przyszłością niż przeszłością. Max Bilawasky, który w ciągu jednego roku zrujnował się na własnej farmie w Eldoret, pochodził z Katowic i znał Głubczyce.

Siegfried Cohn, handlarz rowerami z Gliwic, był dobrze opłacanym inżynierem w Nakuru, który w nowym życiu zakotwiczył się także językowo, przeplatając swój twardy dialekt górnośląski z nosowym brzmieniem angielszczyzny. Walter poczuł

się niebotycznie szczęśliwy, gdy spotkał Jakoba Oschinsky'ego. Wcześniej prowadził w Raciborzu sklep z obuwem, teraz zakopał się na farmie kawowej w Thika. Kiedyś w czasie jednej z podróży zatrzymał się na noc w hotelu Redlichów w Żorach. Dobrze pamiętał ojca Waltera i zachwycił się urodą Liesel, jej uczynnością i ciastem nadziewanym kapustą.

Takie przeżycia mieli wszyscy internowani. Sięgali do stłumionych obrazów z przeszłości, które dla ich skołatanych dusz były jak źródło młodości. Mężczyźni jednak wcześniej niż kobiety stracili dobry nastrój. Zbyt szybko uświadomili sobie, że rozmowy w języku ojczystym i wspomnienia nie zastąpią im ojczyzny, zagrabionego mienia, złamanej dumy i godności oraz utraconej świadomości tego, kim są. Gdy w pośpiechu zabliźnione rany znów się otworzyły, bolały jeszcze bardziej niż przedtem.

Wojna zgasła w nich iskrę nadziei, że w Kenii szybko zapuszczą korzenie tylko dlatego, iż tak bardzo nie chcą żyć tutaj dłużej jako obcy i wypędzeni. W każdym z nich umarła w końcu długo i wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi pielęgnowana iluzja, że będą mogli jeszcze pomóc tym, co pozostali w Niemczech, i sprowadzić ich do Kenii. Chociaż Walter próbował jeszcze się bronić, to spisywał już na straty ojca i siostrę, tak jak przedtem teściową i szwagierkę.

– Od Polaków nie mogą oczekiwać pomocy – opowiadał Oscarowi Hahnowi. – A dla Niemców są polskimi Żydami. Teraz los raz na zawsze potwierdził, że zawiodłem.

– Zawiedliśmy wszyscy, ale nie teraz, tylko w 1933 roku. Za długo wierzyliśmy w Niemcy i nie chcieliśmy otworzyć oczu. Ale nie wolno nam tracić nadziei. Ty nie jesteś tylko synem. Jesteś także ojcem.

– Ładny mi ojciec, co to ani razu jeszcze nie zarobił pieniędzy na stryczek, na którym mógłby się powiesić.

– Nigdy więcej nie wolno ci tak myśleć – powiedział Hahn ze złością.

– Tylu z nas, którzy chcą żyć, umrze po to, by uratowani nie mieli innego wyboru, niż żyć dalej dla swoich dzieci. To, że wyjdiesz z tego cało, to nie tylko szczęście, ale i powinność. Zaufanie do życia również. Wydrzyj sobie wreszcie Niemcy z serca. Wtedy będziesz mógł żyć dalej.

– Próbowałem. Ale się nie da.

– Przedtem też mi się tak wydawało, ale kiedy teraz myślę o tym wytwornym adwokacie i notariuszu Oscarze Hahn z Frankfurtu, który miał najlepszych klientów i więcej urzędów honorowych niż włosów na głowie, to widzę jakby obcego człowieka, którego wcześniej znałem tylko powierzchownie. Walter, człowieku, wykorzystaj ten czas tutaj, żeby odnaleźć w sobie spokój. Wtedy naprawdę będziesz mógł zacząć wszystko od nowa, jak stąd wyjdziemy.

– To właśnie doprowadza mnie do szaleństwa. Co będzie ze mną i moją rodziną, gdy angielski król przestanie się o nas troszczyć?

– Jeszcze masz swoje miejsce w Rongai.

– Zwłaszcza to „jeszcze” ładnie powiedziałeś.

– Co ty na to, żebyś nazywał mnie Oha? – powiedział, uśmiechając się, Hahn. – To imię wynalazła moja żona, z myślą o emigracji. Uważała, że jest mniej niemieckie niż Oscar. Praktyczna kobieta z tej mojej Lilly. Bez niej nigdy bym się nie odważył kupić farmy w Gilgil.

– A więc musi się świetnie znać na rolnictwie?

– Była śpiewaczką estradową. Zna się dobrze na życiu. Boye padają jej do stóp, kiedy śpiewa Schuberta. I zaraz krowy dają więcej mleka. Mam nadzieję, że wkrótce ją poznasz.

– Wierzysz w teorię Süsskinda?

– Tak.

– Ludzie tacy jak Rubensowie – zwykł mawiać Süsskind podczas dyskusji o przyszłości i nastrojach panujących w kręgach

władzy wojskowej – absolutnie nie mogą pozwolić sobie na to, by wszystkich Żydów napiętnować jako *enemy aliens* i żebyśmy się tutaj smażyli przez całą wojnę. Założę się, że stary Rubens i jego synowie wkrótce zdołają wyjaśnić Anglikom, że my byliśmy przeciwko Hitlerowi na długo przed nimi.

Pułkownik rzeczywiście musiał zajmować się problemami, na które kompletnie nie był przygotowany. Niemal codziennie zadawał sobie pytanie, czy nawet ważkie spory z Ministerstwem Wojny w Londynie mogłyby być bardziej przykre od regularnych wizyt, jakie w jego biurze składało pięciu braci Rubensów, nie mówiąc już o ich ojcu mającym nie lada temperament. Pułkownik bezwstydnie przyznawał się przed samym sobą, że do czasu wybuchu wojny wydarzenia w Europie interesowały go niewiele bardziej niż walki plemienne między Jaluo i Lumbwa w okolicy Eldoret. Irytowało go jednak, że rodzina Rubensów ma tak dokładne informacje o faktycznie szokujących szczegółach i że ilekroć go odwiedzali, on sam wychodził na ignoranta.

Whidett nie znał żadnych Żydów, pomijając dwóch braci, Dave'a i Benjie, z którymi zetknął się na pierwszym roku w Boarding School w Epson i którzy pozostali w jego pamięci jako obrzydliwie ambitni uczniowie i kiepscy gracze w krykieta. Miał więc, w swoim mniemaniu, całkowitą słuszność, kiedy podczas nieprzyjemnych rozmów, jakie czasem był zmuszony przeprowadzać, zwracał uwagę na kraj pochodzenia internowanych i wynikające z tego niebagatelne trudności dla jego własnego, będącego w stanie wojny kraju. Niestety jednak zarzuty, jakie stawiał, bardzo szybko wydały mu się nie tak przekonujące, jak by tego pragnął. A już wcale, gdy musiał je przedstawiać swoim niepożądanym rozmówcom, którzy mieli elokwencję arabskich handlarzy dywanami i nadwrażliwość artystów.

Czy Whidett tego chciał, czy nie, rodzina Rubensów, związana z Kenią dłużej niż on sam i mówiąca wypielegnowaną angielszczyzną old boyów z Oksfordu, dawała mu do myślenia. Niechętnie zaczął zajmować się losem ludzi, którym

„prawdopodobnie wyrządzono krzywdę”. Tego ostrożnego sformułowania używał na razie tylko w prywatnym gronie, a i to z wahaniem, ponieważ nie odpowiadało to ani jego edukacji, ani zasadom wiedzieć lepiej od innych, co dzieje się w tej przeklętej Europie.

Whidett zatem odpowiedział, niczego jednak nie obiecując, że rozpatrzy wnioski o zwolnienie z campusu przynajmniej tych, którzy pracowali na farmach i pewnie nie mieli żadnej możliwości nawiązania kontaktu z wrogiem. Ku jego zaskoczeniu kręgi wojskowe uznały tę decyzję za dalekowzroczną. Niemal natychmiast okazała się ona konieczna. Z powodu sytuacji w Abisynii Londyn ogłosił wprowadzenie do akcji pułku piechoty z Walii, dla którego pułkownik potrzebował baraków z Ngong.

Pewnej niedzieli poobiednią porą ciężarówki z Norfolk i New Stanley podjechały pod campus. Dzieci machały speszone, a kobiety skuliły się, gdy mężczyźni ukazali się w swoich mundurach koloru khaki za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Większość kobiet ubrała się tak, jakby była zaproszona na party w ogrodzie u najlepszych przyjaciół. Niektóre po raz pierwszy od wyjazdu z Niemiec włożyły wydekoltowane suknie. Kilka miało w ręku drobne, przywiedłe kwiaty, zerwane przez dzieci w hotelowym ogrodzie.

Walter ujrzał Jettel w czerwonej bluzce i białych rękawiczkach, które kupiła, gdy wyruszała w podróż. Przypomniał sobie jej suknię wieczorową i z trudem powstrzymał gniew. Jednocześnie jednak uświadomił sobie, jak piękną kobietą jest jego żona i że nawet w najintymniejszych chwilach spełnienia okłamywał ją, bo jego złamane serce było w stanie ożywić już tylko bicie pulsu przeszłości. Czuł się stary, niepewny i wyczerpany.

Przez kilka niepokojących sekund, które dla niego trwały niemiłosiernie długo, obca mu była także i Regina. Po czterech tygodniach rozłąki wydała mu się doroślejsza, również jej oczy nie wyglądały już tak samo jak w Rongai, gdy siadywała pod drzewem z ają. Walter usiłował przypomnieć sobie imię sarenki, żeby

znaleźć z Regina wspólny język. Wtedy zobaczył, jak córka pędzi w jego stronę.

Gdy skoczyła na niego jak młody pies, jeszcze zanim oplotła wokół jego szyi swoje chude ramiona, sparaliżowany strachem uświadomił sobie, że córkę kocha bardziej niż żonę. Pełen poczucia winy, ulegając jednak pewnemu wzruszeniu, które odczuł jako ożywcze, przyrzekł sobie, że obie nigdy nie dowiedzą się prawdy.

– Tato, tato! – krzyczała Regina Walterowi do ucha, przywołując go do teraźniejszości, co tym razem było dużo łatwiejsze do zniesienia niż przedtem. – Mam przyjaciółkę. Prawdziwą przyjaciółkę! Ma na imię Inge. Ona potrafi czytać. A mama napisała list.

– Jaki list?

– Prawdziwy list. Żebyśmy mogły cię odwiedzić.

– Tak – powiedziała Jettel, gdy Regina odepchnęła ją na tyle, by znaleźć sobie miejsce na piersi Waltera. – Napisałam podanie, by cię zwolnili.

– Od kiedy to moja Jettel wie, co to jest podanie?

– Musiałam przecież coś dla ciebie zrobić. Nie można tak ciągle siedzieć z założonymi rękami. Może wkrótce będziemy mogli wrócić do naszego Rongai.

– Och Jettel, Jettel, co oni tam z tobą zrobili? Przecież w Rongai byłeś taka nieszczęśliwa.

– Wszystkie kobiety chcą wrócić na farmy.

Duma w głosie Jettel rozczuliła Waltera. A jeszcze bardziej to, że zabrakło jej odwagi, by spojrzeć mu w oczy, kiedy kłamała. Zapragnął sprawić jej radość, jednak było mu tak samo trudno przypomnieć sobie jakieś pochlebstwa, jak imię sarenki. Rad był, gdy usłyszał głos Reginy.

– Ja nienawidzę Niemców, tato. Nienawidzę Niemców.

– A kto cię nauczył czegoś takiego?

– Inge. Oni pobili jej tatę, porozbijali okna i powyrzucali na ulicę wszystkie sukienki. Inge płacze w nocy, bo nienawidzi Niemców.

– Nie Niemców, Regino, tylko nazistów.

– To są też naziści?

– Tak.

– Muszę o tym opowiedzieć Inge. Wtedy będzie też nienawidzić nazistów. Czy naziści są tak źli jak Niemcy?

– Tylko naziści są źli. To oni wypędzili nas z Niemiec.

– Inge nigdy o tym nie mówiła.

– No, to poszukaj jej i przekaż, co powiedział twój tata.

– Przez ciebie to dziecko już zupełnie zwariuje – zbeształa go Jettel, kiedy Regina odbiegła. Nie dała jednak Walterowi czasu na odpowiedź. – Czy wiesz – szepnęła – że od kiedy wybuchła wojna, nie ma już nadziei dla mamy i Käte?

Walter westchnął, ale nie poczuł nic oprócz ulgi, że w końcu może o tym mówić otwarcie.

– Tak, wiem. Tata i Liesel też są teraz w pułapce. Ale nie pytaj mnie, jak sobie z tym wszystkim mamy poradzić. Nie wiem.

Kiedy zobaczył, że Jettel płacze, objął ją, rad, że łzy, których on nie miał w oczach już od dawna, mogą jeszcze dać jej ukojenie. Krótki moment ich wspólnego zbliżenia, niezależnie od przyczyny, wydał się Walterowi zbyt cenny na to, by nie wyrwać się z depresji choć na kilka małych uderzeń serca. Potem jednak zmuszał się, żeby znów nie ulec lękowi.

– Jettel, my już nigdy nie wrócimy do Rongai.

– Dlaczego? Skąd ty to możesz wiedzieć?

– Dzisiaj rano przyszła poczta od Morrisona.

Walter wyciągnął list z kieszeni i podał Jettel. Wiedział, że ona nie potrafi go przeczytać, ale potrzebował tej błogosławionej chwili jej bezradności, by móc samemu się uspokoić. Upokorzony, przyglądał się bezsilnie, jak Jettel pożera wzrokiem linijki tekstu, który Süsskind przetłumaczył mu przed paroma godzinami.

Dear Mr. Redlich, pisał Morrison, I regret to inform you that there is at present no possibility of employing an enemy alien on my farm. I am sure you will understand my decision and wish you all the best for the future. Yours faithfully, William P. Morrison⁴.

– Jettel, popatrz na mnie, nie na list. Morrison dał mi wypowiedzenie.

– To dokąd pojedziemy, jak stąd wyjdiesz? Co powiemy Reginie? Ona codziennie pyta się o Owuora i aję.

– Najlepiej zostawmy to Inge – powiedział Walter zmęczony. – Mnie też będzie brakowało Owuora. Nasze życie składa się tylko z pożegnań.

– Czy inni też dostali takie listy?

– Kilku z nas. Większość nie.

– Ale dlaczego my? Dlaczego zawsze my?

– Bo wybrałaś sobie na męża nieudacznika, Jettel. Powinnaś była posłuchać swojego wuja Bandmanna. On mówił ci to jeszcze przed naszymi zaręczynami. No, chodź, nie płacz. Idzie mój znajomy Oha. Ten miał szczęście, że naziści załatwili go już w 1933. Teraz ma własną farmę w Gilgil. Musisz go poznać, i nie krępuj się. On o wszystkim wie. Obiecał nawet, że nam pomoże. Nie wiem, jak to robi, ale dobrze, że to powiedział.

⁴ *Dear Mr. Redlich...* (ang.) – Drogi Panie Redlich, z żalem muszę Pana poinformować, że w obecnej sytuacji nie mam możliwości zatrudnienia na farmie jakiegokolwiek wrogiego obcego. Jestem pewien, że zrozumie Pan moją decyzję i życzę Panu wszystkiego najlepszego na przyszłość. Z poważaniem, Wiliam P. Morrison (przyp. red.).

Piętnastego października 1939 roku na tablicy informacyjnej w kampusie Ngong zawisły dwa ogłoszenia, które wyzwołyły w *refugees* różne reakcje. Informacja o zatopieniu brytyjskiego okrętu wojennego „Royal Oak” przez niemiecki U-Boot sporządzona została po angielsku, w zwięzłym, militarnym stylu i częściej wywoływała raczej zmieszanie niż współczucie już choćby dlatego, że tylko nieliczni rozumieli, kto padł ofiarą ataku w Zatoce Scapa Flow, a kto zwyciężył. Wielkie podniecenie natomiast wywołało zapisane bezbłędną niemczyzną ogłoszenie o tym, że *enemy aliens* mający stałe zatrudnienie na farmach mogą liczyć na uwolnienie. Znów odżyła kursująca już od paru dni plotka, że władze wojskowe w Nairobi planują deportację internowanych mężczyzn do Afryki Południowej.

– Teraz muszę wziąć sobie jakiegoś menedżera na moją farmę – zakomunikował Oha Walterowi, którego po długich poszukiwaniach wytropił za barakiem z latryną.

– Czemu? Przecież zaraz stąd wychodzisz.

– Ale ty nie.

– Nie, ja wygrałem całą pulę. Jettel i Regina też. Czy oni wyślą do Afryki Południowej również kobiety i dzieci?

– Człowieku, czy ty nigdy niczego nie rozumiesz? To ty będziesz zarządzał moją farmą. W każdym razie dopóki nie znajdziesz jakiejś posady. Na pewno nie jest zabronione, by jeden *enemy alien* zatrudniał drugiego. Süsskind już się zabiera do tłumaczenia umowy o pracę, którą dla ciebie sporządziłem.

Chociaż w nieporadnych sformułowaniach prawnych Süsskinda było dużo nieścisłości, pułkownik Whidett przyjął je z zadowoleniem. Nie zamierzał aż do końca wojny zajmować się ludźmi, którzy wyprowadzali go z równowagi, toteż za swój cel

postawił sobie zwolnienie jak największej ich liczby. Nie tylko więc zarządził, by Oscar Hann i Walter zaliczali się do pierwszych, którzy będą mogli opuścić campus, ale także postarał się o to, by Lilly z New Stanley oraz Jettel z Reginą z hotelu Norfolk zostały stamtąd odebrane i wraz z mężami odwiezione do Gilgil.

– Dlaczego robisz dla nas to wszystko? – spytał Walter ostatniego wieczoru w Ngong.

– Właściwie powinienem teraz powiedzieć, że moim obowiązkiem jest pomóc sprzymierzeńcowi – odparł Hahn. – Ale zrobię to prościej. Przyzwyczaiłem się do ciebie, a moja Lilly potrzebuje publiczności.

Farma Hahnów z jej krowami i owcami pasącymi się na łagodnych pagórkach, z kurami grzebiącymi w piasku nieopodal dużego ogrodu warzywnego, z precyzyjnie rozmieszczonymi polami kukurydzy i domem z białego kamienia z króciutko przyciętym trawnikiem i rosnącymi wokół niego różami, goździkami i hibiskusami, nazywała się Arkadia i przypominała niemiecki folwark. Alejki wokół domu wyłożone były białymi kamieniami, ściany zewnętrzne aneksu kuchennego pomalowano w niebiesko-białe romby, szalec na zielono, a drzwi domu mieszkalnego były z jasnego drewna.

Pod wysokim cedrem stała porośnięta fioletowo kwitnącymi bugenwillami altanka, w której ustawiono białe krzesła i okrągły stół. Manjara, ich *hausboy*, wokół białej szaty nazywanej kanzu, w której podawał posiłki, przewiązał srebrny pas. Ten sam, który Lilly miała na sobie na ostatnim w swoim życiu balu karnawałowym. Pudel z czarnymi loczkami, które w słońcu lśniły jak małe kawałeczki węgla, miał na imię Bajazzo.

Na farmie Arkadia Walter i Jettel czuli się jak dzieci, które zabłądziły i zostały odstawione do domu przez swoich wybawicieli z napomnieniem, by już nigdy więcej nie wypuszczały się same. Nowych sił dodawały im nie tylko serdeczność i spokój podejmujących ich gospodarzy, lecz także samo poczucie

bezpieczeństwa, jakie dawał ich dom. Wszystko przypominało im ojczyznę, której w takiej obfitości nigdy nie poznali.

Okrągłe, obite zieloną skórą stoły, potężna szafa frankfurcka stojąca przed storami w kolorze skorupki od jajek, krzesła obciągnięte szarym aksamitem, fotele uszaki obite angielskim lnem w kwiatki oraz mahoniowa komoda ze złotymi okuciami pochodziły od rodziców Oha, ciężkie srebro stołowe, szkła kryształowe i porcelana – z posagu Lilly. Były tam wypełnione książkami szafy, na jasno pomalowanych ścianach wisiały kopie Fransa Halsy i Vermeera, a w salonie obraz przedstawiający koronację cesarza we Frankfurter Römer⁵, przed którym Regina siadała codziennie wieczorem i słuchała opowieści Ohy. Przed kominkiem stał fortepian w pokrowcu z czerwonego aksamitu, a na nim białe popiersie Mozarta.

Zaraz po zachodzie słońca Manjola wnosił trunki w kolorowych kieliszkach, a wkrótce potem potrawy tak znajome, jak gdyby Lilly codziennie mogła robić zakupy u niemieckich rzeźników, piekarzy i handlarzy towarów kolonialnych. Jej głos, który brzmiał jak śpiew nawet wtedy, gdy wołała boyów lub karmiła kury, a także frankfurcki żargon Ohy były dla Waltera i Jettel jak z obcego im świata. Wiezorami Lilly śpiewała pieśni ze swojej przeszłości.

Boye kucali pod drzwiami, kobiety z niemowlętami na plecach stawały przed otwartymi oknami, a w przerwach pudel przysiadł na tylnych łapach i czekał cicho i melodyjnie w ciemność nocy. Chociaż Walter i Jettel jak dotąd nie oddawali się takim muzycznym doznaniom, w czasie nocnych koncertów zapominali o wszelkich troskach i ulegali romantycznym uczuciom, które przywracały im nadzieję i młodość. Oha cieszył się z obecności swoich gości w takim samym stopniu, w jakim oni cieszyli się z jego gościnności, bo ani on, ani ludzie z farmy nie byli w stanie zaspokoić na dłuższą metę zapotrzebowania Lilly na

⁵ Frankfurter Römer – historyczna siedziba parlamentu miejskiego we Frankfurcie (przyp. tłum.).

nowych słuchaczy, jednak wiedział, że ten stan uszczęśliwiającego dawania i wdzięcznego brania nie może trwać bez końca.

– Mężczyzna musi umieć nakarmić swoją rodzinę – powiedział pewnego razu do Lilly.

– Mówisz tak jak kiedyś, Oha. Jesteś i pozostaniesz Niemcem.

– Niestety. Gdyby nie ty, ja też byłbym w takiej rozpaczliwej sytuacji co Walter. My, prawnicy, tak naprawdę nie nauczyliśmy się niczego prócz głupot.

– W przeciwieństwie do śpiewaczki.

– Tylko jeśli ty nią jesteś. No, w każdym razie napisałem list do Gibsona.

– Napisałeś list po angielsku?

– Po angielsku będzie napisany wtedy, kiedy ty go przetłumaczysz. Myślę, że Gibson mógłby wziąć Waltera. Ale jeszcze nic mu nie mów. Rozczarowanie byłoby zbyt wielkie.

Gibsona, od którego parę razy kupował pyretrynę, Oha znał tylko powierzchownie. Wiedział jednak, że już od dawna szuka on człowieka, który za sześć funtów byłby gotowy pracować na jego farmie w Ol' Joro Orok. Geoffry Gibson miał w Nairobi fabrykę octu i nie zamierzał odwiedzać swojej farmy, na której uprawiał wyłącznie złocienie i len, częściej niż cztery razy w roku. Na list z propozycją odpowiedział natychmiast.

– Farma jest dokładnie taka, jakiej potrzebujesz – cieszył się Oha, kiedy Gibson przysłał swoją zgodę. – Nie będziesz tam zabijał ani krów, ani kur, a właściciela też nie musisz się obawiać. Powinieneś sobie tylko zbudować dom.

Upłynęło dziesięć dni, od kiedy mała ciężarówka, dysząc, pokonała mulistą drogę wiodącą w kierunku gór Ol' Joro Orok. Mały dom stojący wśród cedrów miał już dach. Indyjski stolarz Daji Jiwan i trzydziestu robotników z *schambas* wybudowali dla nowego *bwana* dom z grubo ciosanych szarych kamieni. Zanim

dach pokryto trawą, gliną i nawozem, Regina mogła po raz ostatni usiąść na drewnianych żerdziach, które, inaczej niż w chatach tubylców, nie zbiegały się w szczycie, lecz po skosie.

Daji Jiwan o czarnych, lśniących włosach, jasnobrazowej skórze i łagodnych oczach uniósł wysoko Reginę, a ona wspięła się aż do połowy dachu. Od kiedy przyjechali do Ol' Joro Orok, przesiadywała tu długo w milczeniu, jak kiedyś, gdy była jeszcze dzieckiem, które o niczym nie wiedziało i wylegiwało się z ają pod drzewami w Rongai.

Jej wzrok pobiegł w kierunku wysokiej góry przykrytej białą kołdrą – tata twierdził, że jest ze śniegu – i przez pewien czas syciła się tym widokiem. Potem uczyniła szybki ruch głową w stronę ciemnego lasu, w którym wieczorami bębny opowiadały *schauris* dnia, a wraz ze wschodem słońca zaczynały piszczeć małpy. Gdy upał przeniknął jej ciało, napełniła swój głos siłą i krzyknęła do rodziców w dole:

– Nie ma nic piękniejszego od Ol' Joro Orok!

Echo odezwało się szybciej, wyraźniej i głośniejsze niż echo z Menengai.

– Nie ma nic piękniejszego od Ol' Joro Orok! – zawołała Regina ponownie.

– Szybko zapomniała o Rongai.

– Ja też – powiedziała Jettel – Może tu nam się bardziej poszczęści.

– Ach, farma jak wszystkie inne, najważniejsze, że jesteśmy razem.

– Czy niepokoiłeś się, co się ze mną dzieje, jak byłeś w kampusie?

– Bardzo – odparł Walter, zastanawiając się, jak długo wytrwają w pojednaniu, żyjąc w Ol' Joro Orok. – Żałuję, że nie ma tu Owuora – westchnął. – Od pierwszej chwili był naszym przyjacielem.

- Ale wtedy jeszcze nie byliśmy *enemy aliens*.
- Jettel, od kiedy w tobie tyle ironii?
- Ironia to broń. Tak mówiła Elsa Conrad.
- Pozostań lepiej przy swojej.
- W każdym razie mam uczucie, że tu będziemy jeszcze bardziej samotni niż w Rongai.
- Ja się niemal tego boję. Bez Süsskinda.
- Ale za to – pocieszała się Jettel – stąd nie jest tak strasznie daleko do Gilgil, do Ohy i Lilly.
- Tylko trzy godziny, jeśli ma się samochód.
- A jeśli się nie ma?
- Wtedy dojechać do Gilgil nie jest łatwiej niż do Głubczyc.
- Zobaczysz, że jeszcze tam pojedziemy – upierała się Jettel.
- A poza tym Lilly obiecała, że nas tu odwiedzi.
- Miejmy nadzieję, że nie dowie się wcześniej tego, co opowiadają tu ludzie.
- To znaczy?
- Że nawet hieny wytrzymują w Ol' Joro Orok nie dłużej niż rok.

Ol' Joro Orok składało się z kilku dźwięków, które Regina bardzo lubiła, i z *duka*, maleńkiego sklepu w budce z blachy falistej. Hindus Patel, do którego należał sklepik, był tak zamożny, jak strachliwy. Sprzedawał mąkę, ryż, cukier i sól, tłuszcz w puszkach, budyń w proszku, dżem i przyprawy. Gdy pojawiali się u niego handlarze z Nakuru, oferował także mango, papaję, główki kapusty i pory. Były tam benzyna w kanistrach, butelki parafiny do lamp, alkohol dla farmerów z okolicy oraz cienkie kołdry wełniane, krótkie spodenki w kolorze khaki i proste koszule dla Murzynów.

Lepiej było nie psuć humoru niesympatycznemu Patelowi, i to nie tylko przez wzgląd na jego towary, ale również dlatego, że trzy razy w tygodniu ze stacji kolejowej w Thompson's Falls wysyłano do niego samochód z pocztą. Kto wzbudził niezadowolenie Patela, co zdarzało się już wówczas, gdy podczas zakupów dało się sobie zbyt długi czas do namysłu, za karę przestawał otrzymywać korespondencję i był odcięty od świata. Hindus szybko odgadł, że ludzie z Europy są tak samo żądni swych listów i gazet jak jego ziomkowie ryżu, którego i tak nigdy mu nie wystarczało.

Przy całej swojej niechęci do ludzi Patel odczuwał nawet coś w rodzaju sympatii do *refugees*. Chociaż zbyt przesadnie, jak na jego gust, troszczyli się o swoje pieniądze, to jednak zostali zdefiniowani jako *enemy aliens*, co, bądź co bądź, stanowiło mocny dowód na to, że Anglicy ich nie lubią. Ze swojej strony Patel czuł wstręt do Anglików, którzy dawali mu odczuć, że dla nich jest wart tyle co Murzyni.

Farma Gibsonów była oddalona o dziesięć kilometrów od *duka* Patela, leżała trzy tysiące metrów nad poziomem morza i była większa od wszystkich innych w okolicy. Nawet Kimam, który mieszkał tam już, zanim powstało pierwsze pole pod uprawę lnu, musiał się długo zastanawiać, którą ma iść drogą, by osiągnąć zamierzony cel. Kimani, Murzyn z plemienia Kikuju, miał około czterdziestu pięciu lat. Był mały, mądry i znany z tego, że jego język jest szybszy od nóg uciekającej gazeli. Rozkazywał *schambaboys*, co mają robić na polu, i dopóki farma nie miała *bwana*, ustalał także ich wynagrodzenie.

Gdy tylko późnym popołudniem cień zakrywał czwarty rowek cysterny na wodę, Kimani walił długim kijem w cienką blachę, ogłaszając w ten sposób koniec dnia pracy. Kimaniego, jako pana czasu, a także tego, który wydzielał dzienną rację kukurydzy na wieczorne *poscho*, szanowali na farmie wszyscy – nawet Nandi, którzy ani nie pracowali na polach, ani nie dostawali kukurydzy, tylko mieszkali po drugiej stronie rzeki i mieli własną trzodę.

Kimani już od dawna chciał mieć na farmie *bwana*, co było zwykłą sytuacją w Gilgil, Thompson's Fall, a nawet w Ol' Kalao. Na co mu były autorytet i uznanie, jeśli ziemia, którą się opiekował, nie była dość dobra dla białego człowieka? Nowy dom podsycił jego dumę. Gdy wieczorami po pracy chłód kładł się na skórze, kamienie były jeszcze na tyle ciepłe, by móc oprzeć się o nie plecami. Z Dajim Jiwanem, który dokonał dzieła, rozmawiał z pełnym szacunkiem, chociaż Hindusów zazwyczaj považał jeszcze mniej niż ludzi z plemienia Lumbwa.

Nowy *bwana* o martwych oczach i *memsahib* ze zbyt płaskim brzuchem, który wyglądał tak, jakby miał już nigdy nie wydawać dzieci, podobali się Kimanemu. O wiele szybciej niż zwykle przełamał swoją nieufność do obcych i przemógł małomówność. Zaprowadził Waltera na pola położone na skraju lasu i do rzeki, która płynęła tylko podczas pory deszczowej. Zerwał mocne łodygi złocieni i błyszczące błękitem kwiaty lnu, powiedział, jakiej barwy powinna być ziemia i jaki należy zawsze zachować odstęp między roślinami, by rozwijały się prawidłowo. Kimani szybko się zorientował, że nowy *bwana* jest po długim safari i nie wie nic o rzeczach, o których człowiek wiedzieć powinien.

Gdy dom był już gotowy, Daji Jiwan postawił przybudówkę na kuchnię, okrągłą jak chaty tubylców, a potem, z wielką niechęcią, zakrył wykopany głęboki dół konstrukcją z desek z siedziskiem, w którym wyciął trzy różnej wielkości otwory. Toaleta była projektem Waltera, który był z niej tak samo dumny, jak Kimani ze swoich pól. W drewnianych drzwiach kazał wyciąć serce, które wkrótce stało się na farmie taką atrakcją, że Daji Jiwan jednak pogodził się z istnieniem toalety, która nie miała dla niego sensu. Jego religia zabraniała bowiem wypróżniać się dwa razy w tym samym miejscu.

Gdy zakończono budowę kuchni, Kimani przyszedł z mężczyzną, którego przedstawił jako swojego brata Kanię, a który miał zamiatać w pokojach. Do pościelenia łóżek ściągnął z pola Kinanjui. Kamau miał zmywać naczynia. Siedział godzinami przed domem i polerował szklanki, tak by lśniły w słońcu. Na koniec

pod drzwiami stanął Jogona. Był jeszcze niemal dzieckiem i miał nogi cienkie jak gałęzie młodego drzewa.

– Lepszy niż *aja* – powiedział Kimani do Reginy.

– Czy on kiedyś był sarenką? – zapytała.

– Tak.

– Ale on nie mówi.

– Będzie mówił. *Kessu*.

– A co będzie robił?

– Będzie gotował dla psa.

– My przecież nie mamy psa.

– Dzisiaj nie mamy psa – rzekł Kimani – ale *kessu*.

Kessu było dobrym słowem. Znaczyło „jutro”, „wkrótce”, „kiedyś”, „może”. *Kessu* mówili ci, którzy chcieli mieć spokojną głowę, uszy i usta. Tylko *bwana* nie wiedział, jak uleczyć się z niecierpliwości. Każdego dnia pytał Kimaniego o boya, który miałby pomagać *memsahib* w kuchni, ale Kimani, zanim odpowiedział, wciągał przez zęby powietrze.

– *Bwana*, ty masz boya do kuchni.

– Gdzie on jest, Kimani, gdzie?

Kimani uwielbiał te codzienne rozmowy. Często, kiedy przychodziła na to odpowiednia pora, wydobywał z ust ciche, szczekliwe dźwięki. Wiedział, że denerwują one *bwana*, lecz nie mógł ich sobie odmówić. Nie było łatwo oswoić *bwana* ze spokojem. W swoim safari zaszedł za daleko. To, że Kimani uparcie odmawiał wyjaśnień, peszyło Waltera. Jettel potrzebowała kogoś do pomocy w kuchni. Nie była w stanie sama ugniatać ciasta na chleb, z trudem radziła sobie z ciężkimi pojemnikami z wodą, a już wcale z Kamau, pomywaczem, którego chciała nakłonić do opiekowania się dymiącym piecem lub przenoszenia z kuchni do domu gotowych potraw.

– To nie moja praca – mówił Kamau, ilekroć tylko proszono go o pomoc, i dalej czyścił szklanki do połysku.

Te codzienne scysje zniechęcały Jettel i denerwowały Waltera. Wiedział, że nie dysponując dostateczną ilością personelu domowego, ośmiesza się przed ludźmi pracującymi na farmie. Jeszcze bardziej trwożyła go myśl, że nagle mógłby pojawić się pan Gibson i zobaczyć, że jego nowy menedżer do tej pory nie zdołał sobie zapewnić boya do pomocy w kuchni. Czuł, że zostało mu niewiele czasu, by postawić na swoim.

Podczas swoich obchodów z Kimanim pytał mężczyzn, którzy wołali do niego *jambo* ze szczególną sympatią, albo tych, po których tylko widać było, że pewnie nie mieliby nic przeciwko temu, by zamiast na polu, pracować w domu i pomagać *memsahib* w kuchni. I dzień w dzień było to samo. Zagadnięci robotnicy zakłopotani odwracali głowę, wydawali z siebie takie same dźwięki jak Kimani, patrzyli daleko przed siebie i spieszenie odchodzili.

– To jest jak klątwa – powiedział Walter wieczorem w dniu, w którym po raz pierwszy rozpalono ogień w domu. Kania przez cały dzień zajmował się nowym kominkiem, zamiatał, doczyszczwał, a drewno ułożył w piramidę. Teraz zadowolony usiadł w kucki, podpalił kawałek papieru i delikatnie rozdmuchiwał płomień.

– Dobry Boże, co w tym takiego trudnego znaleźć boya do kuchni?

– Jettel, gdybym to wiedział, już byśmy jakiegoś mieli.

– Dlaczego po prostu nie wydasz jednemu z nich rozkazu?

– Mam zbyt małe doświadczenie w wydawaniu rozkazów.

– Ach, ta twoja wytworność. W hotelu Norfolk wszystkie kobiety opowiadały, jak dobrze ich mężowie radzą sobie z boyami.

– Dlaczego nie mamy psa? – zapytała Regina.

– Bo twój ojciec jest za głupi, żeby znaleźć boya do kuchni. Czy nie słyszałaś, co przed chwilą powiedziała twoja mama?

- Ale przecież pies to nie boy do kuchni.
- O Boże, Regina, czy ty choć raz w życiu nie możesz być cicho?
- To nie jej wina.
- Już dość mam słuchania o garnkach na mięso, które miałaś w Rongai.
- Ja nic nie mówiłam o Rongai – marudziła Regina.
- Można mówić, nie mówiąc.
- A ty – przyszło na myśl Jettel – zawsze mówiłeś, że ta farma jest taka jak wszystkie inne.
- Ta jest przeklęta i nie taka jak inne. Jest tu kominek, ale boya do kuchni nie ma.
- Tato, czy nie podoba ci się kominek?

W głosie Reginy czaiło się coś, co rozpałiło gniew w Walterze. Czuł teraz tylko gorące pragnienie, które wydawało mu się tyleż dziecinne, co groteskowe, by nic więcej nie słyszeć i nic więcej nie mówić. Na parapecie okiennym stały trzy lampy przygotowane na noc.

Walter sięgnął po jedną z nich, napełnił parafiną, zapalił i tak mocno przykręcił knot, że lampa dawała tylko nikły blask.

- Dokąd idziesz?! – krzyknęła ze strachem Jettel.
- Do knajpy! – odwrzasnął Walter, ale poczuł natychmiast, jak żal ściska go za gardło. – Człowiekowi chyba wolno jeszcze samemu iść zrobić siusiu – powiedział i pomachał, tak jakby chciał się pożegnać na dłużej, ale żart się nie udał.

Noc była zimna i bardzo ciemna. Tylko ogniska rozpalone przed chatami *schambaboy*s świeciły jak maleńkie, jasnoczerwone punkty. Na skraju lasu zawył szakał, który za późno wyruszył na polowanie. Walterowi wydało się, że także on z niego szydzi, więc mocno zatkał sobie rękami uszy, ale hałas nie ustawał. Drwił z niego, a niekiedy przemieniał się jakby w szczekanie psa. Były to

takie same upokarzające dźwięki, jakie wydawał z siebie Kimani pytany o boya do kuchni.

Walter cicho zawołał imię Kimaniego, ale echo, naigrawając się z niego, głośno zwielokrotniło jego słowa. Spostrzegł, że oprócz głowy zaczyna się też buntować jego żołądek, więc czmychnął z domu, by nie zwymiotować pod drzwiami. Z trudem przełknął ślinę, ale nie przyniosło mu to ulgi. Pot na czole, głuchy ból w odrętwiałych dłoniach i zaćmienie wzroku przypomniały mu o malarii, a także o tym, że w Ol' Joro Orok nie ma sąsiada, do którego mógłby posłać po pomoc.

Przetarł oczy i z ulgą stwierdził, że są suche. Mimo to poczuł wilgoć na twarzy, a w chwilę potem tak niepokojący ucisk w piersi, iż myślał, że upadnie. Gdy szczekanie coraz głośniej huczało w jego prawym uchu, odrzucił lampę w trawę i cały zeszywniał. Robiło mu się coraz bardziej gorąco. Zapach, którego nie umiał określić, przyniósł mu najpierw jakieś wspomnienie, a potem ostudził jego podniecenie. Odkrył, że te drżące poruszenia nie pochodzą z jego serca, aż w końcu poczuł także chropowaty język, który oblizywał mu twarz.

– Rummler – wyszeptał Walter – Rummler, ty przekłety bydlaku. Skąd się tu wzięłeś? Jak mnie znalazłeś?

Na zmianę powtarzał imię i pieszczotliwe słowa, które nigdy przedtem nie przyszły mu do głowy, trzymał obiema rękami mocny kark zwierzęcia, wachał jego parującą sierść, aż zauważył, że wracają mu siły i znów zaczyna widzieć wyraźnie.

W błogim odurzeniu, którym czuł się skrepowany, tulił się do ziającego z podniecenia psa i głaskał go ze zdumieniem. Rozejrzał się nieśmiało, jakby bał się, że ktoś nakryje go na tych pieszczotach, i wtedy ujrzał zbliżającą się do niego jakąś postać.

Ocieźale, ponieważ z wielkim trudem przyszło mu wyrwać się z okowów nadmiernej radości i zażenowania zarazem, Walter podniósł lampę z trawy i podkręcił knot. Najpierw zobaczył tylko jakiś kształt podobny do ciemnej chmury, wkrótce jednak spostrzegł sylwetkę silnego mężczyzny, który szedł coraz szybciej.

Walterowi wydało się także, że rozróżnia zarysy jakiegoś płaszcza, który trzepocze przy każdym wielkim kroku, chociaż już od wielu dni nie powiał żaden wiatr.

Rummler skamlał i szczeakał, zanim jego głos przerodził się w jedno wielkie, radosne wycie, które na krótką chwilę zagłuszyło wszystkie inne odgłosy, a potem nagle wpadło w tony, jakie mógł wydawać tylko człowiek. Znajomy dźwięk rozdarł głośno i wyraźnie ciszę nocną.

– *Ich hab mein Herz in Heidelberg verloren...* – zaśpiewał Owuor i ukazał się w żółtym blasku lampy. Plama jego białej koszuli świeciła pod czarną togą.

Walter zamknął oczy i czekał wyczerpany na przebudzenie ze snu, ale pod rękami czuł psi grzbiet, a głos Owuora nie zniknął.

– *Bwana*, ty śpisz na swoich nogach.

Walter otworzył usta, ale nie był w stanie poruszyć językiem. Nawet nie zauważył, jak rozwarł szeroko ramiona i poczuł przy sobie ciało Owuora i jedwabną lamówkę togi na swoim podbródku. Przez kilka cennych sekund pozwalał, by twarz Owuora, z jego szerokim nosem i gładką skórą, przybierała rysy ojca. Gdy pełen tęsknoty i otuchy obraz zniknął, Walter poczuł ostry ból, ale uczucie szczęścia trwało nadal.

– Owuor, ty bydlaku, skąd się tu wzięłeś?

– Bydlaku – Owuor posmakował obcego słowa i mlasnął z zadowoleniem, bo udało mu się to od razu. – Z Rongai. – Zaśmiał się, sięgnął pod togę do kieszeni spodni i wyciągnął z niej starannie złożony kawałek papieru. – Wziąłem ze sobą nasiono – powiedział. – Teraz możesz i tutaj zasiać swoje kwiaty.

– To kwiaty od mojego ojca.

– To kwiaty od twojego ojca – powtórzył Owuor. – One cię odszukały.

– Ty mnie odszukałeś, Owuor.

– *Memsahib* nie ma kucharza w Ol' Joro Orok.

– Nie ma. Kimani żadnego dla niej nie znalazł.

– On szczekał jak pies. *Bwana*, czy nie słyszałeś, jak Kimani szczekał?

– Słyszałem. Ale nie wiedziałem, dlaczego szczeka.

– To był Rummler, który mówił przez usta Kimaniego. On ci powiedział, że był ze mną na safari. To było długie safari, *bwana*. Ale Rummler ma dobry nos. To on znalazł drogę.

Owuor był bardzo ciekawy, czy *bwana* uwierzy w ten żart albo czy wciąż jest jeszcze tak samo głupi jak młody osioł i nie wie, że mężczyzna na safari używa swojej głowy, a nie nosa psa.

– Owuor, ja pojechałem jeszcze raz do Rongai, żeby zabrać swoje rzeczy, ale ciebie tam nie było.

– Człowiek, który musi szybko wyjść ze swojego domu, nie ma dobrych oczu. Nie chciałem widzieć twoich oczu.

– Jesteś mądry.

– To powiedziałaś w dniu, w którym przyleciała szarańcza. – Ucieszył się Owuor. Gdy to mówił, patrzył w dal, tak jakby chciał przywołać tamten czas, a mimo to czuł każde poruszenie nocy. – O, jest *memsahib kidogo!* – zawołał radośnie.

Regina stała pod drzwiami. Wykrzykiwała kilka razy, coraz głośniejsze imię Owuora, podskoczyła ku niemu wysoko, wysoko, i podczas gdy Rummler lizał jej odsłonięte nogi, uwolniła swoje gardło i zamaskowała językiem. Także wtedy, gdy Owuor postawił ją z powrotem na miękkiej ziemi i nachyliła się ku psu, zraszając jego sierść łzami i pocałunkami, ani na chwilę nie przestawała mówić.

– Regina, co ty tam tak ciągle paplasz? Nie rozumiem ani słowa.

– To jalu, tato. Mówię w jalu. Tak jak w Rongai.

– Owuor, czy ty wiedziałeś, że ona mówi w jalu?

– Tak, *bwana*. Wiem. Bo jalu to mój język. Tu w Ol' Joro Orok są tylko Kikuju i Nandi, ale *memsahib kidogo* ma język taki jak ja. Dlatego mogłem do ciebie przyjść. Człowiek nie może być tam, gdzie go nie rozumieją.

Owuor posłał swój śmiech do lasu, a potem także i ku górze z kapeluszem ze śniegu. Jego głodne uszy czekały na odpowiedź od echa, jednak ściszył głos, gdy dodawał:

– Ty przecież to wiesz, *bwana*.

6

Nakuru School, położoną na stromej górze nad jednym z najslynniejszych jezior w kolonii, lubili ci farmerzy, którzy nie mogli sobie pozwolić na szkołę prywatną, niemniej przywiązywali wagę do tradycji i dobrego imienia szkoły. Renomowane rodziny w Kenii szkołę w Nakuru uważały wprawdzie za pospolitą, bo była państwowa i nie mogła sobie dobrać uczniów, jednak rodzice, którzy musieli się nią zadowolić ze względów finansowych, zwykli negować taką pożałowania godną akuratność, wskazując wyraźnie na absolutnie niepospolitą osobowość jej dyrektora. Był to pan po szkole w Oksfordzie, legitymujący się zdrowymi poglądami jeszcze z czasów królowej Wiktorii, a przede wszystkim nie wprowadzający nowomodnych pomysłów pedagogicznych; tolerancja i zrozumienie dla psychiki dzieci, które miał w swojej pieczy, nie należały do jego pryncypiów.

Arthur Brindley, w młodości członek oksfordzkiej drużyny wioślarzy, w pierwszej wojnie światowej odznaczony Krzyżem Wiktorii, miał zdrowy zmysł proporcji i w pełni odpowiadał ideałowi edukacji w swoim kraju. Nigdy nie zanudzał rodziców tezami na temat pedagogiki, których nie chcieli słuchać i których i tak by nie pojęli. Wystarczało mu zawsze w zupełności, gdy przypominał motto szkoły. Napis *Quisque pro omnibus*⁶ wryty był złotą czcionką na głównej ścianie auli oraz wyhaftowany na godle, które przyszywano do marynarek, krawatów i wstążek od kapeluszy składających się na mundurek szkolny.

Pana Brindleya ogarniało zadowolenie, a w dobre dni nawet pewna duma, gdy spoglądał przez okno swojego gabinetu. U głównego wejścia do szkoły, imponującego budynku z białego kamienia, stały potężne kolumny. Liczne mniejsze budynki z jasnego drewna, z dachami z blachy falistej, które służyły jako sale sypialne, a przez przesadnie uświadomionych klasowo

⁶ *Quisque...* (łac.) – Każdy za wszystkich (przyp. red.).

zwolenników szkół prywatnych wyśmiewane były, zdaniem dyrektora, zupełnie niesłusznie, jako kwatery prywatne, przypominały mu jego dzieciństwo spędzone na wsi w hrabstwie Wiltshire. Akuratnie rozplanowane grządki róż za gęstym żywopłotem okalającym izby dla nauczycieli oraz bujna murawa rozciągająca się pomiędzy polami hokejowymi a mieszkaniami dla kobiet przywodziły dyrektorowi na myśl dobrze zarządzane angielskie dworki wiejskie. Jezioro, o powierzchni zaróżowionej dzięki flamingom, było jeszcze na tyle blisko, by zachwycić oko nawykłe do angielskiej łagodności, lecz z drugiej strony na tyle daleko, by móc nie tolerować u dzieci niepotrzebnych tęsknot za naturą czy wręcz za światem wykraczającym poza granice szkoły.

Jednak od pewnego czasu dyrektora irytowały niskie drzewa o cienkich pniach, wokół których wiły się bujne krzewy ozdobnego pieprzu. Długo sądził, że te drzewa szczególnie udatnie wpasowują się w mało urozmaicony krajobraz doliny, ale nie sprawiały mu już takiej radości, od kiedy codziennie musiał patrzeć, jak kilkoro dzieci w czasie wolnym znajdowało tam kryjówkę. Pan Brindley nigdy wyraźnie nie zabronił im tych denerwujących ucieczek w prywatność; nie miałyby zresztą podstaw do ogłoszenia takiego zakazu. Tym bardziej złościł go więc dowód na to, że pewnym uczniom, a także dopiero co przyjętym uczennicom z wyraźnym trudem przychodzi poddać się trybowi życia niepochwalałego indywidualizmu i samotnictwa.

Według Arthura Brindleya, takie odchylenia od harmonijnej normy były bezsprzecznie konsekwencją wojny. Dyrektor był zmuszony przyjmować do szkoły coraz więcej dzieci, które miały zbyt słabe poczucie dobrej, starej angielskiej cnoty nierzucania się w oczy i nade wszystko przedkładania wspólnoty nad siebie samego. Rok po wybuchu wojny władze w Kenii wprowadziły powszechny obowiązek edukacji szkolnej dla dzieci białych. Pan Brindley odczuł to nie tylko jako ograniczenie swobód rodzicielskich, ale także jako naprawdę przesadne usiłowania kolonii, by w trudnym czasie dorównać zagrożonej macierzy.

I właśnie dla położonej w centrum kraju Nakuru School obowiązek edukacji oznaczał poważne zmiany. Musiała przyjmować nawet dzieci Burów i mogła się jeszcze uważać za szczęśliwą, że nie było ich zbyt wiele. Większość z nich wysyłano do szkoły w Eldoret, gdzie nauczano w języku afrikaans. Te, które łądowały w Nakuru, były krnąbrne i, pomimo niedostatecznej znajomości języka, nie tały swojej nienawiści do Anglii. Ani nie próbowały żyć w zgodzie z innymi uczniami, ani nie kryły tęsknoty za domem rodzinnym. Mimo to postępowanie z małymi porywczymi Burami nastęczało mniej problemów, niż to na początku przewidywano. Nie wymagali szczególnej uwagi, a pedagodzy musieli dbać tylko o to, by uczniowie się nie gromadzili i nie urządzali buntów zakłócających porządek w szkole.

O wiele większy kłopot sprawiały dyrektorowi dzieci *refugees*. Skoro tylko zostały dowiezione do szkoły przez rodziców, którzy mieli męcząca skłonność do odgrywania typowo kontynentalnych scen pożegnań pełnych objęć, pocałunków i uścisków dłoni, zaczynały sprawiać wrażenie owych małych, żalonych istot z powieści Dickensa. Ich mundurki szkolne uszyte były z taniego materiału, na pewno nie kupowane w specjalnym, przeznaczonym na potrzeby szkolne sklepie w Nairobi, tylko szyte przez hinduskich krawców. Niemal żadne z tych dzieci nie miało przypiętego godła szkoły.

To przeczyło zdrowej tradycji zniwelowania różnic poprzez mundurek szkolny i przed wprowadzeniem obowiązku edukacji byłoby wystarczającym powodem, by nie przyjmować takich uczniów. Dyrektor domyślał się jednak, że gdyby postąpił w ten wypróbowany sposób, wywołałby tylko niemiłe dyskusje z najwyższymi władzami szkolnymi w Nairobi. Uważał tę sytuację za przykrą. Oczywiście, starał się być tolerancyjny wobec ludzi, o których słyżał, że stała im się krzywda i nie mogli zostać tam, skąd pochodzili.

Jednak jego wyostrzony zmysł lojalności odbierał jako niesprawiedliwe to, że dzieci żydowskie, którym na ubraniach brakowało godła, były przez to w pewien sposób naznaczone.

Dziewcząt dotyczyło to również w niedzielę, ponieważ nie miały przepisowych białych sukienek, gdy szły do kościoła. Był pewien, że właśnie z tego powodu robiły tak wiele trudności, odkąd nakazano im tam chodzić.

Przekłeci mali *refugees*, jak pan Brindley nazywał ich w gronie swoich kolegów, sprawiali dyrektorowi kłopot w jeszcze inny sposób. Niemal w ogóle się nie śmiali, zawsze wyglądali na starszych, niż naprawdę byli, i odznaczali się wręcz absurdalną, jak na angielską miarę, ambicją. Gdy tylko te poważne, denerwująco przedwcześnie dojrzałe stworzenia opanowały język, żadne wiedzy zaskakująco szybko oddawały się bardzo uciążliwemu, nawet dla zaangażowanych pedagogów, dążeniu do wyobcowania z grupy, dla której liczyły się tylko sukcesy sportowe. Pan Brindley, który studiował literaturę i historię z bardzo zadowalającymi rezultatami, nie miał nic przeciwko sprawności umysłowej uczniów. Przez długie lata nauczył się jednak akceptować ten wielce przecież uspokajający letarg, w jaki zapadały na lekcjach dzieci farmerów, jako usposobienie typowe dla mieszkańców kolonii. Nigdy też nie musiał zajmować się religią. Dlatego często się zastanawiał, czy ta przesadna pilność nie ma korzeni w żydowskiej doktrynie. Jako nie całkiem wykluczona, podtrzymywał również swoją tezę, że skoro stosunek Żydów do pieniędzy pewnie już od dziecka związany jest z tradycją, to może dlatego chcą uzyskać jak najwięcej za wniesione opłaty szkolne. Choć dyrektor brzydził się zaglądać w prywatne życie rodziców *refugees*, to przecież dobrze wiedział, że wielu z nich wysupłanie kilku funtów na opłaty za szkołę przychodziło tylko z największym trudem, a przepisowej sumy kieszonkowego dzieci nie dostawały od nich wcale.

Za typowy uważał dyrektor przypadek dziewczynki o niemożliwym do wymówienia imieniu i trzech zdenerwowanych mężczyzn, którzy przed sześcioma miesiącami oddali ją do Nakuru School. Inge Sadler nie mówiła wtedy ani słowa po angielsku, chociaż wyraźnie potrafiła czytać i pisać, co tak naprawdę nauczycielka zapisywała jej raczej na minus niż na plus. W pierwszych dniach onieśmiałe dziecko milczało i

zachowywało się jak dziewczka ze wsi podająca herbatę w domu pana.

Kiedy Inge zaczęła mówić, jej angielszczyzna, jeśli pominąć przykre drżenie wszystkich głosek „r”, była niemal płynna. Potem zaś jej postępy były tyleż ogromne, co irytujące. Panna Serwer, która broniła się bardzo energicznie przed przyjęciem dziecka bez znajomości języka, musiała sama zaproponować przeniesienie Inge o dwie klasy wyżej. Taka promocja w środku roku jeszcze nigdy w szkole się nie zdarzyła i była odpowiednio niemile widziana, ponieważ dzieci mniej zdolne mogły tutaj wietrzyć faworyzowanie innych. To zaś często prowadziło do przykrych dysput z rodzicami.

Także dziewczynka z Ol' Joro Orok, której imię było równie trudno wymówić jak imię tamtej małej karierowiczki z Londiani, uniemożliwiła dyrektorowi zachowanie jego wypróbowanej zasady, by nie stwarzać precedensów. Tak samo jak wcześniej przed nią Inge, przez pierwsze tygodnie w Nakuru School Regina przyjmowała to, co się dzieje, w milczeniu, potakując lękliwie, ilekroć została zagadnięta. Potem zaś tak nagle, że pan Brindley uważał to już za trochę prowokujące, dała do zrozumienia nauczycielom, że nie tylko nauczyła się mówić po angielsku, ale również czytać i pisać. Regina także została przeniesiona o dwie klasy wyżej. Tak tedy dwie małe *refugees*, które i bez tego były nierozłączne, znowu siedziały razem i pewnie już w niedalekiej przyszłości miały wprowadzić kolejny ferment przez swoją nachalną ambicję.

Dyrektor szkoły wzdychał, ilekroć myślał o tych komplikacjach. Z przyzwyczajenia spoglądał w stronę krzewów pieprzu. Jego złość na uzdolnienia wyłamujące się z ram wydała mu się małostkowa. Uważał jednak za znamienne, że akurat te dwie dziewczynki, które zmusiły go do sprzeniewierzenia się zasadzie równego traktowania wszystkich, stale usuwały się z życia towarzyskiego. Tak jak przypuszczał, ujrzał dwie małe czarnowłose cudzoziemki siedzące w zaroślach. Rozgniewał się na myśl, że one prawdopodobnie uczą się także w czasie wolnym, a

rozmawiają między sobą po niemiecku, chociaż poza lekcjami było to surowo zabronione.

Dyrektor się mylił. Inge rozmawiała z Regina po niemiecku tylko wówczas, gdy już nie potrafiła inaczej. Nieoczekiwane ponowne spotkanie z przyjaciółką z hotelu Norfolk uszczęśliwiło ją, a instynkt outsidera kazał jej nie zwracać na siebie większej uwagi niż to konieczne. Inge nieświadomie, lecz konsekwentnie sprawiła, że Regina, tak jak i ona kilka miesięcy wcześniej, kategorycznie wyzwołała się ze swojego milczenia.

– Teraz – powiedziała, gdy Regina mogła usiąść koło niej po raz pierwszy – znasz już angielski. Już nie musimy szeptać.

– Nie – stwierdziła Regina. – Teraz każdy może nas zrozumieć.

To było spotkanie towarzyszek niedoli będących w tym samym wieku, ale mających odmienne usposobienia. Dla Inge Regina była jak dobra wróżka, która uwolniła ją z męki osamotnienia. Regina nie starała się nawiązać kontaktu z rówieśniczkami w klasie. Fascynowały ją, ale Inge jej wystarczała. Obie dziewczynki czuły, że nie tylko bariera językowa utrudniająca start broni im wejścia do grupy. Te krzepkie i radosne dzieci kolonii, które, mimo bezlitosnego regulaminu szkolnego, cieszyły się wspólnym życiem, znały tylko terażniejszość.

Rzadko opowiadały o farmach, na których mieszkały, i niemal nigdy nie tęskniły za rodzicami. Lekcewały nostalgię nowych uczennic, wyśmiewały wszystko, co było im obce, i w równej mierze gardziły słabością fizyczną dziewczynek, jak ich dobrymi wynikami w nauce. Ani zimna poranna kąpiel o szóstej i bieg na długi dystans przed śniadaniem, ani przypalone słodkie kartofle z tłustą baraniną na obiad czy nawet szykanowanie przez starszych uczniów, prace karne i kary cielesne nie były w stanie złamać hartu ducha tych dzieci, wychowywanych surowo również przez rodziców.

Co niedziela z niechęcią zabierały się do pisania listów do domu, podczas gdy Inge i Regina czas pisania odczuwały jako najważniejszy moment w tygodniu. Mimo to ich listy nie były beztrioskie. Wiedziały, że ich rodzice nie potrafią przeczytać listów napisanych po angielsku, a jednak nie miały odwagi powiedzieć o tym nauczycielowi. Inge pomagała sobie, rysując małe obrazki, Regina – wstawiając słowa w suahili. Obie czuły, że łamią reguły obowiązujące w szkole, więc z pokorą modliły się w kościele o pomoc. Tę praktykę wprowadziła Inge.

– Żydzi też mogą się modlić w kościele, jeśli skrzyżują przy tym palce – mówiła każdej niedzieli.

Była praktyczna, rezolutna i nie tak wrażliwa jak jej przyjaciółka, silniejsza od niej i zręczniejsza. Nie miała wyobraźni, a już w ogóle talentu Reginy do wyczarowywania obrazów słowami. Gdy przyjaciółki nie musiały już uciekać się do języka ojczystego, aby się nawzajem zrozumieć, Inge chłonęła opowieści Reginy jak dziecko słuchające czytającej mu mamy.

Przepelniona tęsknotą i odurzona wspomnieniami, Regina drobniawo opowiadała o życiu w Ol' Joro Orok, rodzicach, Owuorze i Rummlerze. Przywoływała te historie spragniona świata łagodności. Miała przy tym łzy w oczach i czuła gorąco na całym ciele, ale te opowieści były także pocieszeniem w świecie obojętności i przymusu.

Regina potrafiła też słuchać. Bezustannie pytając o farmę w Londiani i mamę Inge, którą dobrze pamiętała z czasów pobytu w hotelu Norfolk, sprawiła, że koleżanka również zaczęła odczuwać wspomnienia jak symboliczny powrót do domu.

Obie dziewczynki nienawidziły szkoły, obawiały się innych uczennic i nie ufały nauczycielom. Nadzieje, jakie pokładali w nich rodzice, odczuwały jako najcięższe brzemię.

– Tatuś powiedział, że nie mogę przynieść mu wstydu i muszę być najlepsza w klasie – mówiła Inge.

– Mój tato też tak mówi – przytakiwała Regina. – Często myślę – dodała w przedostatnią niedzielę przed feriami – że chciałabym mieć *daddy*, a nie tatę.

– Wtedy twój ojciec nie byłby twoim ojcem – zawyrokowała Inge, która zawsze długo się ociągała, zanim podażyła za Reginalą w świat fantazji.

– Ależ byłby moim ojcem. To ja nie byłabym Reginalą. Mając *daddy*, byłabym Janet. Miałabym długie blond warkocze i mundurek szkolny z grubego materiału, który nie uwiera. I gdybym była Janet, to wszędzie miałabym przyszyte godła. Potrafiłabym dobrze grać w hokeja i nikt by się na mnie nie gapił, dlatego że czytam lepiej od innych.

– W ogóle nie umiałabyś czytać – powiedziała z wyrzutem Inge. – Janet nie potrafi czytać. Jest tutaj już trzy lata i ciągle w pierwszej klasie.

– Jej *daddy* musi być wszystko jedno – obstawała przy swoim Regina. – Ale Janet wszyscy lubią.

– Może dlatego, że podczas ferii pan Brindley jeździ z jej ojcem na polowania.

– Z moim ojcem nigdy nie będzie polować.

– Czy twój ojciec jeździ na polowania? – spytała Inge zdumiona.

– Nie. Nie ma broni.

– Mój też nie – odparła Inge uspokojona. – Ale gdyby miał, to pozabijałby wszystkich Niemców. On nienawidzi Niemców. Moi wujkowie też ich nienawidzą.

– Nazistów – poprawiła ją Regina. – W domu nie wolno mi nienawidzić Niemców. Tylko nazistów. Ale ja nienawidzę wojny.

– Czemu?

– Wojna jest wszystkiemu winna. To ty nie wiesz? Przed wojną nie musieliśmy chodzić do szkoły.

– Za dwa tygodnie i dwa dni – obliczyła Inge – będzie już po wszystkim. Będziemy mogli wrócić do domu. Wiesz – wybuchnęła śmiechem, bo spodobał jej się pomysł, który przed chwilą przyszedł jej do głowy – mogę mówić do ciebie Janet, kiedy jesteśmy same i nikt nas nie słyszy.

– Co ty bredzisz. Kiedy jesteśmy same i nikt nas nie słyszy, wcale nie chcę być Janet.

Pan Brindley również tęsknił za wakacjami. Im był starszy, tym bardziej dłużyły mu się trzy miesiące szkoły. Nie sprawiało mu większej radości życie wśród dzieci i w grupie kolegów, którzy, wszyscy od niego młodszy, nie podzielali ani jego poglądów, ani ideałów. Czas przed feriami, w którym musiał czytać egzaminacyjne prace semestralne i wystawiać świadectwa, bardzo nadwątlał jego siły, gdyż pracował nawet w niedziele.

Chociaż był wycieńczony, a świat sprowadzał się dla niego tylko do monotonnych zmian z atramentu niebieskiego na czerwony, natychmiast spostrzegł, że te małe *refugees*, jak je wciąż nazywał na własny rachunek, znów wypadły szczególnie dobrze na egzaminach. Czekał na złość, która wzbierała w nim za każdym razem, gdy miał do czynienia z przekraczaniem norm, ale ze zdziwieniem zauważył, że to nieprzyjemne uczucie się nie pojawia.

Mimo depresyjnych myśli związanych ze swoją słabnącą elastycznością, odszedł naprawdę daleko od swoich zasad, które kazały mu cenić o wiele bardziej przeciętność niż wybitność, na której, jak sądził, nie można polegać. Z przekorą, która wprawiła go w zdumienie, bo mu się ze swojej istoty nie podobała, powiedział sobie, że koniec końców, zadaniem szkoły jest również formowanie umysłów dzieci, a nie tylko dbałość o to, by miały jak najlepsze osiągnięcia sportowe.

Pan Brindley trochę niechętnie zauważył, że takie myśli nie przychodziły mu do głowy od czasów studiów w Oksfordzie. Gdyby był w lepszej kondycji, na pewno by ich nie posłuchał, ale w obecnym stanie zmęczenia i niewytłumaczalnego sprzeciwu tego

rodzaju rozważania ożywiały w nim uczucia, od jakich, jako dyrektor, dawno już się odzwyczaił.

– Ta mała z Ol’ Joro Orok – powiedział na głos, gdy zobaczył świadectwo Reginy – jest naprawdę zdumiewającą uczennicą.

Żywił awersję do ludzi, którzy mieli skłonność do rozmawiania z samymi sobą. Mimo to uśmiechnął się, usłyszawszy własny głos. Zaraz potem złapał się na myśli, że imię Reginy wcale nie jest tak trudne do wymówienia, jak zawsze sądził. W końcu przez długie lata studiował łacinę, i to z przyjemnością. Zastanowiło go, co tym Niemcom wpada do głowy, by nadawać dzieciom takie imiona. Doszedł do wniosku, że ma to związek z ich pragnieniem wyróżniania się, także w drobnych sprawach.

Nie starając się w ogóle usprawiedliwić tego tyleż niestosownego, co osobliwego zachowania, odszukał zeszyt Reginy w stosie leżącym na parapecie i zaczął czytać wypracowanie. Już pierwsze zdania wzbudziły jego ciekawość, całość zaś wprowadziła go w zdumienie. Jeszcze nigdy nie spotkał się z takim sposobem wyrażania się u ośmioletniego dziecka. Regina nie tylko pisała bezbłędną angielszczyznę. Miała także bogate słownictwo i niezwykłą wyobraźnię. Pana Brindleya zaabsorbowały w szczególności porównania, które zdawały się mu jak z obcego świata, a ich przesadny styl był poruszający. Nauczycielka panna Blandford na końcu wypracowania napisała *Well done!* Ulegając impulsowi, który przypisał swojej radości z powodu nadchodzących ferii, chwycił świadectwo Reginy i powtórzył na nim pochwałę pochyłym pismem.

Arthur Brindley nigdy nie miał zwyczaju zajmować się jednym dzieckiem dłużej niż to konieczne. Nigdy też nie pozwalał sobie na czułość wynikającą z emocji, bo w swoim zawodzie uważał ją za głupią. Jednak i Regina, i jej wypracowanie nie dawały mu spokoju. Niechętnie zabrał się do czytania pozostałych prac, ale trudno mu było się skoncentrować. Niechętnie poddał się rzadkiemu u niego uczuciu wzruszenia wywołanego wspomnieniami z przeszłości, o której, jak mniemał, dawno już

zapomniał. Ta zaś stroiła sobie z niego żarty, zalewając go osobliwymi i nachalnie drobiazgowymi obrazami.

O piątej poprosił, żeby przyniesiono mu herbatę, co z zasady czynił tylko wówczas, gdy był chory. Na wieczornym nabożeństwie z trudem się skupiał. Przestraszył się, gdy spostrzegł, że szuka w tłumie jej twarzy, i niemal się uśmiechnął, gdy ujrzał ją, jak przy odmawianiu pacierza porusza tylko wargami, nie wymawiając słów modlitwy. Z ową bezkompromisowością wobec samego siebie, która zazwyczaj chroniła go przed rozklejeniem się, pan Brindley wymyślał sobie od starych głupców, a jednak fakt, że rutyna dnia codziennego całkowicie go jeszcze nie znieczuliła, jak często sądził podczas kończącego się teraz semestru, znajdował jako wcale przyjemny. Następnego dnia posłał po Reginę.

Stała w jego gabinecie blada, chuda i, jak dla dyrektora, który przywiązywał wagę do tego, żeby także młodsze dzieci wykazywały się odwagą i potrafiły panować nad swymi uczuciami, obraźliwie nieśmiała. Irytował go fakt, że większość dzieci z kontynentu sprawia wrażenie nie dość silnych, a na dodatek podczas roku szkolnego nieustannie traci na wadze. Może, pomyślał, były przyzwyczajone do innego jedzenia. Na pewno je rozpieszczano i nie zachęcano, by same rozwiązywały swoje problemy.

Podróżując w młodości po Włoszech, czynił wiele takich obserwacji, patrząc, jak matki wręcz bezwstydnie ubóstwiają swoje dzieci i napychają je jedzeniem. Czasem ciągle jeszcze niepokoiła go świadomość, że wówczas obrażał swoim zachowaniem te despotyczne księżątka i wyelegantowane księżniczki. Spostrzegł, że za daleko odbiegł myślami. Ostatnio zdarzało mu się to zbyt często. Jak staremu psu, który zapomniał, gdzie zakopał kość.

– Czy jesteś tak piekielnie mądra, czy po prostu nie mogłabyś znieść tego, że nie jesteś pierwsza w klasie? – zapytał.

Jego własny ton od razu mu się nie spodobał. Pomyślał z zakłopotaniem, że nie odzywa się do dziecka, które nie uczyniło niczego innego poza tym, że dało z siebie wszystko co najlepsze.

Regina nie zrozumiała pytania pana Brindleya. Znaczenie poszczególnych słów było dla niej jasne, ale nie składały się w sensowną całość. Była przestraszona i zaniepokojona głośnym biciem swojego serca, więc tylko leciutko kiwała głową to w lewo, to w prawo i czekała, aż ustąpi suchość w jej ustach.

– Zapytałem cię, dlaczego tak dobrze się uczysz.

– Ponieważ nie mamy pieniędzy, proszę pana.

Dyrektor przypomniał sobie, że gdzieś kiedyś czytał, iż w zwyczaju Żydów leży mówienie o pieniądzach niezależnie od poruszanego tematu. Czuł jednak zbyt wielki wstręt do uogólnień, by zadowolić się tym wyjaśnieniem, które uważał za naiwne i w pewnym stopniu odrażające. Zdało mu się, że jest jak myśliwy, który przez pomyłkę ubił matkę młodego zwierzęcia, i uczył nieprzyjemny ucisk w żołądku. Również lekkie pulsowanie w skroniach wprowadzało go w oszołomienie.

Teśknota za światem bez komplikacji, który można by ogarnąć jednym spojrzeniem, światem poddającym się tradycyjnym kryteriom dającym wsparcie starzejącemu się człowiekowi, była jak fizyczny ból. Przez krótką chwilę pan Brindley rozważał, czy nie odprawić Reginy z powrotem, jednak uświadomił sobie, że ośmieszyłby się, kończąc rozmowę, która w ogóle się nie rozpoczęła. Czy ta mała wiedziała, o co chodzi? Prawdopodobnie tak, przecież z taką gorliwością chciała wszystko zrozumieć.

– Mój ojciec – przerwała milczenie Regina – zarabia tylko sześć funtów na miesiąc, a szkoła kosztuje pięć.

– Tak dokładnie o tym wiesz?

– Och, tak, proszę pana. Ojciec mi o tym powiedział.

– Naprawdę?

– On mi mówi o wszystkim, proszę pana. Przed wojną nie mógł posłać mnie do szkoły. To bardzo go martwiło. Moją mamę też.

Dyrektor jeszcze nigdy nie był postawiony w nie milej sytuacji, w której musiał roztrząsać wysokość opłat za szkołę, a to, że miałby rozmawiać o pieniądzach jak jakiś hinduski handlarz z uczennicą, i to w dodatku tak małą, wydało mu się groteskowe. Poczucie powagi i godności nakazywało mu rozpocząć tę rozmowę od nowa, jeśli nie można było jej zakończyć, jednak zamiast tego zapytał:

– Co ma do tego ta przeklęta wojna?

– Kiedy wybuchła wojna – relacjonowała Regina – mieliśmy wystarczająco dużo pieniędzy na szkołę. Nie potrzebowaliśmy ich już wtedy dla mojej babci i cioci.

– Dlaczego?

– One nie mogą już przyjechać z Niemiec do Ol' Joro Orok.

– A co takiego robią w Niemczech?

Regina poczuła, jak pała ją policzki. To niedobrze, że lęk zmieniał kolor na twarzy. Zastanowiła się, czy musi opowiadać, że jej matka zawsze płacze, kiedy ktoś mówił o Niemczech. Jeśli pan Brindley nigdy nie słyszał o płaczących matkach, na pewno by mu one przeszkadzały. Nie lubił przecież płaczących dzieci.

– Przed wojną – wykrztusiła – moja babcia i ciocia pisały listy.

– Mała Nell – powiedział cicho pan Brindley.

Był zdziwiony, ale także w jakiś wręcz absurdalny sposób czuł ulgę, że w końcu zdobył się na odwagę wymówić to imię. Regina przypominała mu małą Nell już wówczas, gdy weszła do jego gabinetu, jednak w tamtym momencie bronił sobie dostępu do swej pamięci. Dziwne, że po tylu latach musiał pomyśleć akurat o tej powieści Dickensa. Uważał ją zawsze za jedną z najgorszych, zbyt sentymentalną, melodramatyczną i zupełnie, ale

to zupełnie nieangielską. Teraz jednak wydała mu się utworem pisany od serca i w jakiś sposób pięknym. Osobliwe, jak rzeczy zmieniały się wraz z wiekiem.

– Mała Nell – powtórzył dyrektor z powagą, która absolutnie nie sprawiła mu przykrości, a nawet go rozweseliła. – Czy tylko dlatego uczysz się tak dobrze, że ta szkoła tak piekielnie dużo kosztuje?

– Tak, proszę pana – przytaknęła Regina. – Mój ojciec powiedział: „Nie możesz wyrzucać naszych pieniędzy przez okno. Jeśli jest się biednym, trzeba być zawsze lepszym od innych”.

Była zadowolona. Nie było łatwo wypowiedzieć słowa taty w języku pana Brindleya. Dyrektor, bądź co bądź, wciąż nie mógł zapamiętać imienia jednej ze swoich uczennic i z pewnością jeszcze nigdy nie słyszał o ludziach, którzy nie mają pieniędzy, ale może jednak ich zrozumiał.

– Co twój ojciec robił w Niemczech?

Bezradność zamknęła Reginie usta. Jak ma powiedzieć po angielsku, że tatuś jest byłym adwokatem?

– Gdy pracował – wpadła nagle na pomysł – miał na sobie czarny płaszcz, ale na farmie już go nie potrzebuje. Podarował go Owuorowi. W dniu, w którym przyleciała szarańcza.

– Kto to jest Owuor?

– Nasz kucharz – wyjaśniła Regina i z zadowoleniem przypomniała sobie tamtą noc, kiedy jej ojciec płakał. Ciepłymi, niesionymi łzami. – Owuor przybiegł do Ol’ Joro Orok z Rongai. Z naszym psem. Mógł przyjść tylko dlatego, że znam jaluo.

– Jaluo? Co to jest, do diabła?

– Język Owuora – odparła Regina zaskoczona. – Owuor ma tylko mnie na farmie. Wszyscy pozostali to Kikuju. Oprócz Daji Diwana. On jest Hindusem. I nas oczywiście. My jesteśmy Niemcami, ale – dodała natychmiast – nie nazistami. Mój ojciec

mówi zawsze: „Ludzie potrzebują swojego języka”. Owuor też tak mówi.

– Bardzo kochasz ojca, prawda?

– Tak, proszę pana. I matkę też.

– Twoi rodzice się ucieszą, kiedy pokażesz im świadectwo i przeczytają twoje dobre wypracowanie.

– Tego nie potrafią, proszę pana. Ale ja im wszystko przeczytam. W ich języku. Ten też znam.

– Możesz już iść – powiedział pan Brindley i otworzył okno. Gdy Regina była już prawie przy drzwiach, dodał: – Nie sędzę, aby twoje koleżanki interesowało to, o czym tutaj rozmawialiśmy. Nie opowiadaj im o tym.

– Nie, proszę pana. Mała Nell tego nie zrobi.

W poniedziałki, środy i piątki z Thomson's Falls do Ol' Joro Orok przyjeżdżała ciężarówka. Była zbyt szeroka jak na wąską drogę, ponad którą zwieszały się drżące gałęzie drzew, popędzając samochód wiozący do sklepu Patela – prócz rzeczy użytecznych, takich jak parafina, sól i gwoździe – wielki wór listów, gazet i paczek. Kimani zawsze długo siedział w cieniu gęstych morw, zanim podjął decyzję. Skoro tylko zobaczył zarysy chmury czerwonego kurzu, która podlatywała do niego jak ptak, w jego śpiące stopy znowu wstępowało życie, podnosił się i napinał swoje ciało jak cięciwę łuku gotowego do strzału. Kimani uwielbiał te regularnie powracające okresy oczekiwania, ponieważ jako doręczyciel poczty i towarów był dla *bwana* ważniejszy niż deszcz, kukurydza i len. Wszyscy mężczyźni z farmy zazdrościli Kimanemu, że tak wiele znaczy.

Zwłaszcza Owuor, Jaluó śpiewający głośnie piosenki, którymi wyczarowywał śmiech w gardle *bwana*, nieustannie próbował wykraść Kimanemu jego dni, ale zawsze pozostawał niefortunnym myśliwym polującym na zdobycz, jaka mu się nie należała. Również w chatach Kikuju mieszkało wielu młodych mężczyzn, którzy mieli dłuższe nogi i więcej powietrza w piersi niż Kimani i mogliby bez trudu przebiec do *duka* Patela i z powrotem na farmę, ale mądry język Kimaniego miał taką siłę, że odpierał każdy atak na jego prawa.

Kiedy wstawał o poranku i wychodził z chaty, widział jeszcze gwiazdy na niebie; do złego psa Patela docierał dopiero wtedy, gdy słońce zaczynało pożerać cienie. Jednak zawsze to Kimani musiał czekać na ciężarówkę, a nie ciężarówka na niego. Podróż przez las pełen milczących małą, ukazujących swoje grzywy tylko przy susach z jednego drzewa na drugie, była uciążliwa. W gorące dni w okresie pomiędzy porami deszczowymi Kimani słyszał krzyk

swoich kości już w drodze do sklepu. Gdy powracał, przed chatami płonęły ogniska, a jego stopy były tak gorące, jak gdyby musiały zdeptywać rozżarzone węgle. Ciało Kimaniego karmiło się jednak radością, choć przez cały dzień pił jedynie wodę. *Memsahib* nalewała ją poprzedniego wieczoru do pięknej zielonej butelki.

Złe były dni, w których ta hiena Patel na pytanie o pocztę dla farmerów odpowiadał gniewnym potrząśnięciem głowy, a wyglądał przy tym tak, jakby wyrwał sępom najlepsze kąski. *Bwana* potrzebował swoich listów tak jak spragniony człowiek kilku kropli wody, które chronią go przed zaśnięciem na zawsze. Gdy Kimani nie przynosił ze śmierdzącego *duka* Patela nic oprócz mąki, cukru i półpłynnego żółtego tłuszczu dla *memsahib*, oczy *bwana* matowiały jak sierść zdychającego psa. Już jedna jedyna gazeta sprawiała mu radość. Przyjmował tę rolkę papieru z westchnieniem, które było jak słodkie lekarstwo dla uszu, co przez cały dzień mogły żywić się tylko dźwiękami wydawanymi przez zwierzęta.

Bwana mieszkał na farmie, odkąd przeminęły trzy małe i dwie duże pory deszczowe. Ten czas wystarczył Kimaniemu, by – wprawdzie tak powoli jak przedwcześnie narodzony osioł – zrozumiał wiele rzeczy, które na początku jego nowego życia z *bwana* robiły mu zamęt w głowie. Wiedział już teraz, że słońce za dnia i księżyc w nocy nie wystarczały *bwana*; ani deszcz na wysuszoną skórę, ani ogień głośno krzyczący na zimnie, głosy z radia, które nie dawały spać, ani nawet łóżko *memsahib* czy oczy córki, gdy wracała na farmę ze szkoły z dalekiego Nakuru.

Bwana potrzebował gazet. Karmiły jego głowę i naoliwiały gardło, które potem opowiadało okropności, o jakich nie słyszał nigdy żaden człowiek z Ol' Joro Orok. W drodze na pola lnu i kwitnące plantacje złocienia *bwana* opowiadał o wojnie. Były to niepokojące opowieści o białych ludziach, którzy zabijali się nawzajem, tak jak to za starych czasów czynili Masajowie ze swoimi pokojowo nastawionymi sąsiadami posiadającymi bydło i kobiety budzące ich pożądanie.

Uszy Kimaniego lubowały się w słowach, które były jak młody, silny wiatr, ale w swojej piersi czuł również, że gdy *bwana* opowiadał, zżerał go jakiś stary smutek, ponieważ, wybierając się w długie safari do Ol' Joro Orok, nie pomyślał o tym, by zabrać ze sobą swoje serce. Pewnego razu *bwana* wyciągnął z kieszeni niebieski obrazek z wieloma kolorowymi plamami i paznokciem najdłuższego palca wskazał na nim maleńki punkcik.

– Tu, mój przyjacielu – powiedział – leży Ol' Joro Orok. – Potem nieznacznie przesunął palec i dalej mówił bardzo wolno: – Tutaj stała chata mojego ojca. Nigdy tam już nie pojedę.

Kimani roześmiał się, bo jego duża dłoń bez trudu mogła dotknąć naraz obu punktów na niebieskim obrazku, poczuł jednak, że jego głowa nie rozumiała tego, co *bwana* chciał mu powiedzieć. Inaczej było z obrazkami w gazetach przynoszonych przez Kimaniego ze sklepu Patela. Bez ustanku kazał je sobie pokazywać i uczył się ich znaczenia.

Były na nich domy wyższe niż drzewa, a jednak rozwścieczonym samolotom udawało się je zburzyć, tak jak pożar buszu zabija las. Statki z wielkimi kominami szły pod wodę, jakby były małymi kamieniami w rzece zbyt szybko wezbranej po wielkim deszczu. Obrazki cały czas pokazywały zabitych ludzi. Niektórzy leżeli na ziemi tak spokojnie, jakby chcieli się przespać po pracy, inni byli porozrywani jak zebry, które zbyt długo leżały w słońcu. Koło wszystkich zabitych leżała broń, ale nie mogła im pomóc, bo w wojnie białych wszyscy mają broń.

Kiedy *bwana* opowiadał o wojnie, zaraz potem mówił o swoim ojcu. Nigdy przy tym nie patrzył na Kimaniego; wysyłał swoje oczy ku wysokiej górze, ale nie widział jej śnieżnej głowy. Mówił głosem zniecierpliwionego dziecka, które chce, żeby w dzień świecił księżyc, a w nocy słońce, i kończył:

– Mój ojciec umiera.

Te słowa Kimani znał tak dobrze jak własne imię i chociaż czekał jakiś czas, zanim otworzył usta, wiedział przecież, co ma powiedzieć. Pytał:

– Czy twój ojciec chce umrzeć?

– Nie, nie chce umierać.

– Człowiek nie może umrzeć, jeśli nie chce – mówił wtedy za każdym razem Kimani.

Na początku zawsze przy tym pokazywał zęby, co czynił wówczas, gdy było mu wesoło, jednak z czasem przyzwyczał się wydobywać z piersi westchnienie. Trapiło go, że jego *bwana*, który wiedział tak wiele, nie był na tyle mądry, by pojąć, że życie i śmierć nie zależą od człowieka, tylko od potężnego boga Mungo.

Jeszcze bardziej niż gazet z obrazkami, na których były zniszczone domy i zabici ludzie, *bwana* pragnął listów. O listach Kimani wiedział wszystko. Gdy *bwana* przybył na farmę, Kimani myślał jeszcze, że każdy list jest jak wszystkie inne. Ale teraz już nie był taki głupi. Listy były jak ludzie, nigdy jednakowe, nie takie jak dwaj bracia, którzy razem wyszli z brzucha matki.

Wszystko zależało od znaczka. Bez niego list był tylko kawałkiem papieru i nie mógł się wybrać nawet w najmniejsze safari. Jeden jedyny znaczek z głową człowieka, który miał jasne włosy i twarz kobiety, opowiadał o podróży, którą mężczyzna mógłby odbyć o własnych nogach. Właśnie takie listy Kimani przynosił z *duka* Patela. Przychodziły z Gilgil od *bwana*, który miał tańczący gruby brzuch, gdy się śmiał, i *memsahib*, która umiała śpiewać piękniej niż ptak.

Oboje często przyjeżdżali z Gilgil na farmę, lecz kiedy wielki deszcz zamieniał drogę w błoto i przyjaciele *bwana* nie mogli dostać się do Ol' Joro Orok, wysyłali listy. Z Nakuru przychodziły listy od *memsahib kidogo*, która uczyła się pisać w szkole. Na żółtych kopertach były takie same znaczki jak na listach z Gilgil, ale Kimani wiedział, kto napisał list, zanim zdradził mu to *bwana*. Jeśli listy przychodziły od małej *memsahib*, jego oczy błyszczały jak kwiecie lnu i nigdy jego skóra nie miała zapachu strachu.

Długą podróż odbywały listy z wieloma znaczkami. Gdy tylko *bwana* zobaczył je w ręku Kimaniego, nie zdążył nawet wypuścić

powietrza z piersi, a już rozrywał kopertę i zaczynał czytać. Był też znaczek, który miał więcej mocy niż wszystkie inne razem wzięte i potrafił móc rozpalić *bwana*. On również ukazywał mężczyznę bez rąk i nóg, ale nie o włosach blond. Włosy opadające z jego głowy były czarne jak sierść śmierdzącego psa Patela. Jego oczy były małe, a między nosem i ustami wyrastał mu starannie zasadzony, bardzo mały busz z gęstych czarnych włosów.

Kimani przypatrywał się temu znaczkowi szczególnie chętnie i długo. Mężczyzna wyglądał tak, jakby chciał coś mówić i jak gdyby miał głos, który ciężko odbijałby się od gór. Gdy tylko *bwana* widział ten znaczek, jego oczy przemieniały się w głębokie otwory, a on sam sztywniał jak człowiek stojący przed zdziczałym złodziejem zagrażającym mu świeżo oszlifowanym *panga*, który zapomniał, jak się bronić.

Obrazek z człowiekiem z włosami pod nosem wyganiał życie z ciała *bwana*, a on sam chwiał się jak drzewo, które jeszcze nie nauczyło się uginać pod naporem wiatru. Zanim trawiony przez ogień *bwana* rozerwał taki list, wołał zawsze: „Jettel!” A jego głos stawał się tak cienki, jak zwierzęcia niemającego już woli, by uciec śmierci.

Mimo to Kimani wiedział, że *bwana* chce dostawać właśnie te listy, które napędzają mu stracha. On ciągle jeszcze był jak dziecko, które nie potrafi w spokoju siedzieć i przesiewać między palcami drobne grudki ziemi, aż głowa opadnie na piersi i przyjdzie sen. Kimani czuł słoność w gardle, gdy myślał o tym, że aby *bwana* mógł jeszcze czuć siły w członkach, potrzebuje podniet, które odbierają mu zdrowie.

Już długo nie przychodził żaden taki list. Kiedy jednak w przededniu wielkich zbiorów lnu Kimani zapytał o pocztę u Patela, Hindus sięgnął ręką na drewniany regał stojący przy ścianie i wyciągnął list. Kimani od razu zobaczył, że ten list jest inny od wszystkich, jakie do tej pory przynosił do domu.

Papier był cienki, a w ręku Patela szumiał jak umierające drzewo na pierwszym wieczornym wietrze. Koperta była mniejsza

niż zazwyczaj. Kolorowego znaczka brakowało. Zamiast niego Kimani ujrzał czarne koło z małymi, cienkimi liniami pośrodku, podobnymi do maleńkich jaszczurek. W prawym rogu koperty jaśniał czerwony krzyż. Już z daleka podskoczył Kimanemu do oczu jak zbyt długo głodzony wąż. Przez moment ogarnął go strach na myśl, że Patelowi też spodoba się ten czerwony krzyż i nie da mu listu od razu. Jednak Hindus właśnie wyklócał się z kobietą należącą do Kikuju, która za głęboko wsadziła palce do worka z cukrem, więc, wymyślając, rzucił list ponad brudnym stołem.

Kimani zatrzymał się dopiero w lesie, by już wolny od złego wzroku Patela przyjrzeć się krzyżowi. W cieniu lśnił jeszcze jaśniej niż w sklepie i sprawiał radość oczom, które pod drzewami nawet za dnia łowiły zawsze tylko kolory nocy. Gdy Kimani przymknął jedno oko, krzyż zaczął tańczyć. Roześmiał się, bo przyszło mu do głowy, że zachowuje się jak dziecko małpy, które po raz pierwszy widzi kwiatek.

Kimani cały czas stawiał sobie pytanie, czy ten piękny czerwony krzyż spodoba się *bwana* tak samo jak jemu, czy też rzuca on zły urok, paląc tak jak człowiek z czarnymi włosami. Jakkolwiek by jednak pobudzał swoją głowę do myślenia, nie mógł znaleźć ostatecznego rozwiązania. Ta niepewność odebrała mu radość z otrzymanego listu, a także weszła mu w nogi. Zmęczenie przygniatało mu plecy i zaklejało oczy. Krzyż teraz wyglądał już inaczej niż w sklepie i w porze długiego cienia. Coś odebrało mu kolor.

Kimani przestraszył się. Poczuł, że dopuścił do siebie noc zbyt blisko, a ona wykorzystała to, że nie ma lampy. Jeśli nie wzmocni i nie pospieszy swojego ciała, to zanim zobaczy pierwsze pola farmy, usłyszy wycie hien. A to nie było dobre dla mężczyzny w jego wieku. Ostatni odcinek drogi musiał już biec, więc kiedy dobiegł do pierwszych pól, miał więcej powietrza w ustach niż w piersi.

Noc jeszcze nie doszła do farmy. Kamau polerował przed domem szklanki, łapiąc ostatni czerwony promień słońca. Zawijał

go w ściereczkę, a potem znów zwracał mu wolność. Owuor siedział na drewnianej skrzyni przed wejściem do kuchni i czyścił paznokcie srebrnym widelcem. Wypuszczał swój głos w kierunku góry w piosence, od której Kimaniemu zawsze cierpła skóra, a która zawsze rozśmieszała *bwana*.

Mała *memsahib* pobiegła z psem do domku z sercem na drzwiach i wskoczyła w wysokie zielone trawy. Tak zamasyściła wymachiwała lampą, która nie była jeszcze zapalona, jakby była lekka jak kawałek papieru. Kania wycinał swoją miotłą okrągłe otwory w powietrzu. Obgryzał przy tym mały kijek, polerując swoje zęby, z których był bardzo dumny, tak by były jeszcze bielsze. *Bwana*, jak zawsze, gdy czujnie wyczekiwał poczty, stał bez ruchu przed domem jak wojownik, który jeszcze nie wypatrzył wroga. *Memsahib* obok niego. Małe białe ptaki, które żyły tylko na jej sukni, podlatywały do żółtych kwiatów na czarnym materiale.

Sapiąc z wysiłku po szybkim biegu, Kimani czekał na radość, która ogarniała go zazwyczaj wówczas, gdy tych dwoje podbiegało do niego, ale tym razem zadowolenie zwlekało, a gdy podeszli, zniknęło tak nagle jak poranna mgła. Chociaż chłód już lizał jego skórę, do oczu napłynęły mu obficie krople potu. W jednej chwili Kimani poczuł się jak stary człowiek, który pomylił swoich synów i w synach synów ujrzał swych braci.

Poczuł dłoń *bwana* na swoim ramieniu, ale był zbyt zmieszany, by czerpać przyjemność z tej ciepłej poufałości. Spostrzegł, że głos *bwana* nie był mocniejszy od głosiku dziecka niemogącego od razu znaleźć piersi matki. Wiedział, że strach, który przeszedł przez niego jak nagła gorączka, popędził go w samą porę.

– Napisali przez Czerwony Krzyż – wyszeptał Walter. – Zupełnie nie wiedziałem, że tak można.

– Kto? No mów. Jak długo będziesz jeszcze tak trzymał ten list? Otwórz go. Strasznie się boję.

– Ja też, Jettel.

– No już.

Gdy Walter wyciągał z koperty cienką kartkę papieru, przypomniał sobie jesienne liście w podmiejskim lasku w Żorach. Mimo że natychmiast zaczął się zaciekle bronić przez tym wspomnieniem, z udręką dojrzał wyraźne kontury liścia kasztanowca. Potem jego zmysły stępiały. Tylko nos jeszcze złośliwie podsuwał mu męczący zapach.

– Tata i Liesel? – zapytała cicho Jettel.

– Nie. Mama i Käte. Przeczytać ci?

Czas, którego Jettel potrzebowała, by odwrócić głowę, był czasem darowanym. Wystarczyło go Walterowi, by mógł przeczytać skreślone najwyraźniej w wielkiej udręce dwie linijki tekstu, trzymając przy tym list przed samymi oczami, tak by Jettel nie mogła widzieć ani treści, ani jego samego.

– „Moi kochani – odczytał Walter. – Jesteśmy bardzo zdenerwowane. Jutro musimy jechać do Polski na roboty. Nie zapomnijcie o nas. Mama i Käte”.

– I to wszystko? To przecież nie może być wszystko?

– Tak, Jettel, tak. Mogły napisać tylko dwadzieścia słów.

– Dlaczego do Polski? Twój ojciec zawsze przecież mówił, że Polacy są gorsi od Niemców. I jak mogły to zrobić? Przecież w Polsce jest wojna. Będzie im tam gorzej niż we Wrocławiu. A może, jak myślisz, może chcą spróbować wyjechać przez Polskę? No, powiedz coś wreszcie!

Walka o to, czy byłoby grzechem do wybaczenia, po raz ostatni miłosiernie okłamać Jettel, trwała tylko chwilę. Już sama myśl o takiej ucieczce wydała się Walterowi bluźnierstwem i przekleństwem.

– Jettel – rzekł i przestał szukać słów, które mogłyby uczynić prawdę łatwiejszą do zniesienia. – Musisz to wiedzieć. Twoja mama tego chciała. Inaczej nie napisałaby tego listu. Nie wolno nam już mieć nadziei. Polska to śmierć.

Regina szła wolno z Rummlerem do domu z toalety. Zapaliła lampę i pozwalała Rummlerowi polować na cienie chwiejące się na wybrukowanej jasnymi kamieniami ścieżce pomiędzy grządką róż a kuchnią. Pies próbował zaryć się łapami w czarnych plamach i skowyczał rozczarowany, gdy te ulatywały w niebo.

Walter ujrzał, jak Regina się śmieje, lecz jednocześnie usłyszał, że krzyknęła, tak jakby była w śmiertelnym niebezpieczeństwie:

– Mama!

Najpierw pomyślał, że pojawił się wąż, przed którym rano ostrzegał Owuor, więc ryknął:

– Nie ruszaj się!

Gdy jednak krzyki stawały się coraz głośniejsze, zagłuszając wszystkie inne dźwięki w zapadających ciemnościach, pojął, że to nie Regina tak woła swoją mamę, tylko Jettel.

Chciał wziąć żonę w ramiona, ale jej nie znalazł, lęk go ogarnął, aż w końcu udało mu się kilka razy zawołać jej imię. Wstyd, że stał się niezdolny do współczucia, zamienił się w paraliżującą panikę. Jeszcze bardziej upokorzyła go świadomość, że zazdrości żonie tej straszliwej pewności, jakiej los odmówił mu w stosunku do ojca i siostry.

Po jakimś czasie, który wydał mu się niezmiernie długi, zorientował się, że Jettel przestała krzyczeć. Stała przed nim ze zwieszonymi ramionami. Cała drżała. Walter wreszcie znalazł w sobie siłę, by jej dotknąć i chwycić ją za rękę. W milczeniu poprowadził żonę do domu.

Owuor, który zazwyczaj nigdy nie opuszczał kuchni, dopóki nie zaparzył wieczornej herbaty, stał przed palącym się kominkiem ze wzrokiem wbitym w stos ułożonych dREW. Była tam także i Regina. Zdjęła kalosze i siedziała z Rummlerem pod oknem, jakby nigdzie nie wychodziła. Pies oblizywał jej twarz, ale ona patrzyła w podłogę, gryząc kosmyk swoich włosów i

bezustannie tuląc się do masywnego ciała zwierzęcia. Walter wiedział, że jego córka płacze. Nie musiał jej już nic wyjaśniać.

– Mama mi obiecała – załkała Jettel, choć z jej oczu nie płynęły już łzy – że tu będzie, kiedy będę miała dziecko. Obiecała mi to na pewno, kiedy urodziłam Reginę. Nie pamiętasz?

– Nie, Jettel, nie. Wspomnienia tylko męczą. Usiądź.

– Uroczyście mi to przyrzekła. I zawsze dotrzymywała swoich obietnic.

– Nie wolno ci płakać, Jettel. Tacy jak my nie mogą wylewać łez. To cena, jaką musimy zapłacić za to, że uszliśmy z życiem. To już nigdy się nie zmieni. Ty nie jesteś tylko córką, ale też i matką.

– Kto tak powiedział?

– Dobry Bóg. Powiedział mi to przez Ohę w kampusie, gdy chciałem dać za wygraną. I nie martw się, Jettel. Nie będziemy mieć dzieci, dopóki czas nie zacznie się z nami lepiej obchodzić. Owuor, przynieś teraz *memsahib* szklanek mleka.

Owuor dał sobie jeszcze więcej czasu niż w dniach bez łez na decyzję, który kawałek drewna powinien wrzucić do ognia. Gdy wstał, patrzył na Jettel, chociaż mówił do Waltera.

– *Bwana* – powiedział i długo musiał czekać, zanim jego własny język zaczął go słuchać. – Zrobię ciepłe mleko. Gdy *memsahib* za dużo płacze, znowu nie będziesz miał syna.

Nie odwracając się, podszedł do drzwi.

– Owuor! – krzyknęła Jettel, a wielkie zdumienie w końcu przywróciło jej normalny głos. – Skąd wiesz?

– Wszyscy na farmie wiedzą, że mama będzie miała dzidziusia – powiedziała Regina i położyła sobie głowę Rummlera na kolanach. – Wszyscy oprócz taty.

Doktor James Charters zauważył drganie swojej lewej brwi i odnotował denerwującą scenę, gdy dwie nieznane mu kobiety stanęły przed jego ulubionym obrazem przedstawiającym przepiękne psy myśliwskie. Dzielił je od niego przynajmniej metr, a one już wyciągały do niego rękę. To było wystarczającym dowodem na to, że pochodziły z kontynentu. Wyćwiczony, niezauważalny rzut oka na żółtą kartę koło kałamarza umocnił go w tym podejrzeniu. Pod dziwnym nazwiskiem Charters spostrzegł dopisek mówiący o tym, że tę pacjentkę skierował na konsultację Stag's Head.

Od kiedy wybuchła wojna, już nie można było polegać na hotelowych recepcjach. Najwyraźniej mieli tam trudności z oceną gości, którzy zmienili całą strukturę życia w kolonii. W jedynym hotelu w Nakuru mieszkali niemal wyłącznie farmerzy z okolic, którzy, odwożąc dzieci do szkoły, odwiedzając lekarza czy załatwiając jakieś sprawy u okręgowych władz, pozwalali sobie na kilka dni wolnego, chcąc poddać się iluzji życia w wielkim mieście. W czasach, które Charters już nazywał „starymi dobrymi”, choć faktycznie nie upłynęły jeszcze trzy pełne lata, w Stag's zatrzymywali się niekiedy w gościnie również myśliwi, przeważnie z Ameryki. Byli to sympatyczni, twardzi chłopcy, którzy w żadnym wypadku nie potrzebowali ginekologa i z którymi doktor w wolnych chwilach mógł uciąć miłą pogawędkę.

Charters, który nigdy nie kazał czekać nowym pacjentkom, z trudem pohamował westchnienie i oddał się dalszym niewesołym rozmyśleniom. Życie w Nakuru przestało mu się podobać. Gdyby nie wojna, to, wykorzystując zaskakująco wysoką sumę, jaką otrzymał w spadku po ciotce, mógłby sobie pozwolić na otwarcie gabinetu w Londynie. O Harley Street marzył znacznie wcześniej, jednak nieostrożnie stracił z oczu swój cel, poślubiając w drugim

małżeństwie córkę pewnego farmera z Naivasha. Młoda żona potrafiła go zawsze urobić na własną modłę, a ponieważ panicznie bała się wojny błyskawicznej, to w żadnym wypadku nie można było jej namówić na przeprowadzkę do Londynu. Dla pociechy zaczął wynosić się nad innych, czego odmawiał sobie latami, i nie przyjmował już więcej pacjentek, które nie odpowiadały jego poziomowi społecznemu.

Skrupulatnie zeskrobując z okna martwą muchę, Charters obserwował w szybie obie kobiety, które nieproszone usiadły na świeżo obitych krzesłach stojących przed jego biurkiem. Niewątpliwie pacjentką była młodsza kobieta i tę przykrość należało przypisać wyłącznie nieuwadze panny Colins pracującej u niego dopiero od czterech tygodni i niemającej jeszcze intuicji do spraw, które miały dla niego znaczenie.

Starsza wzbudziła w Chartersie pewne zainteresowanie, które, w obliczu niezawodnie czekających go za chwilę dyskusji, wydało się mu zupełnie nie na miejscu. Dopóki nie otworzyła ust, można było ją brać za lady z angielskiej prowincji. Była szczupła, zadbana, wyglądała na pewną siebie i miała włosy koloru blond, czyli takie, jakie lubił u kobiet. Było w niej coś ze smukłej Norweżki, na wszelki wypadek sprawiającej wrażenie, jakby była przyzwyczajona do kosztownych wizyt u lekarza.

Pacjentka była przynajmniej w szóstym miesiącu i jak się Charters zorientował, jej zdrowie odbiegało od owego stanu nieprzysparzającego żadnych przykrych komplikacji, jaki cenił u kobiet w ciąży. Miała na sobie sukienkę w kwiatki, która kojarzyła mu się z modą, jaka panowała na kontynencie w latach trzydziestych. Śmieszny kołnierz koronkowy przypominał mu we wręcz groteskowy sposób drobnomieszczanki z wiktoriańskich czasów, jak również okoliczność, że do tej pory nigdy nie musiał się zajmować ludźmi z tej klasy społecznej. Sukienka podkreślała biust, a z brzucha czyniła kulę, która według Chartersa swoją wielkością wskazywałaby raczej na termin bezpośrednio przed porodem. Niewątpliwie kobieta ta jadła za dwoje już w pierwszym miesiącu ciąży. Obcych nacji nic nie było w stanie odwieść od ich

dziwnych przyzwyczajęń. Kobieta była blada i wyglądała na przemęczoną. Onieśmielona jak służąca oczekująca nieślubnego dziecka, sprawiała wręcz wrażenie, jakby ciąża była dla niej dopustem losu. Z pewnością lubiła narzekać. Charters odchrząknął. Jeśli chodziło o ludzi z kontynentu, to doświadczenie miał niewielkie, ale za to trwałe. Byli przesadnie wrażliwi i nie potrafili z godnością znieść bólu.

W pierwszych miesiącach wojny Charters odbierał poród bliźniąt od żony pewnego żydowskiego właściciela fabryki z Manchesteru. Nagłe zawieszenie większości rejsów pasażerskich nie pozwoliło małżeństwu na powrót do Anglii we właściwym czasie. Zachowanie tych ludzi było absolutnie bez zarzutu, zapłacili też bez szemrania mocno zawyżone honorarium, które Charters wśród kolegów określił jako zadośćuczynienie za ból dla lekarza. Mimo to tamten przypadek pozostał dla niego niemiłym wspomnieniem. Nauczył go tego, że żydowska rasa, generalnie rzecz biorąc, nie wykazuje chyba dość dyscypliny, by w decydującym momencie zacisnąć zęby.

To wtedy doktor James Charters powziął postanowienie, że będzie leczył pacjentki tylko ze swojej sfery, i teraz także nie zamierzał czynić wyjątku, bo byłoby to ze szkodą dla obu stron. A już na pewno nie w przypadku kobiety, która w tak bijący w oczy sposób nie umiała sobie sprawić jakiejś rozsądnej sukni ciążowej.

Gdy Charters nie miał już pomysłu, co by można jeszcze zrobić z oknem prócz tego, że otworzył je gwałtownie kilka razy i znowu zamknął, odwrócił się do swoich gości. Zirytowany zauważył, że kobieta o włosach blond już coś mówi. Było dokładnie tak jak się tego obawiał. Akcent brzmiał wyraźnie nieprzyjemnie, w żadnym wypadku szarmancko i bez owej norweskiej nuty, jaką można było usłyszeć w wyświetlanych ostatnio pięknych filmach.

Blondynka właśnie mówiła:

– Nazywam się Hann, a to jest pani Redlich, która czuje się źle już od czwartego miesiąca.

Charters odchrząknął po raz drugi. Ton kaszlnięcia nie był przypadkowy, lecz starannie dobrany, tak by wykluczyć wszelką dalszą poufałość, zanim sytuacja ostatecznie się wyjaśni.

– Proszę się nie martwić o honorarium.

– Ja się nie martwię.

– Na pewno – przytaknęła Lilly, starając się ukryć zażenowanie, tak by nie zdradziła jej mimika twarzy. – Niemniej opłaty są ustalone. Pani Williamson radziła nam zwrócić na to panu uwagę.

Charters natężył umysł, starając się dociec, czy i kiedy słyszał już to nazwisko. I właśnie chciał zaznaczyć, że pani Williamson z pewnością nie należy do jego pacjentek, gdy przyszło mu na myśl, że przed dwoma laty w Nakuru osiedlił się dentysta o tym nazwisku. Potem potrzebował jeszcze trochę czasu, zanim przypomniał sobie, gdzie poza kręgiem własnej działalności słyszał to nazwisko. Nieszczęsny pan Williamson chciał się zapisać do klubu gry w polo, który jednak nie przyjmował Żydów. To była naprawdę przykra sytuacja. Przynajmniej tak samo prowokująca jak uwaga o warunkach finansowych wypowiedziana, jeszcze zanim lekarz w ogóle miał okazję rozpocząć pierwsze badanie.

Charters poczuł, że potraktowano go opryskliwie. Zachował jednak rozsądek i zmusił się do zachowania spokoju, skoro ludzie z kontynentu być może mieli skłonność do czynienia takich grubiaństw, nie mając wcale złych zamiarów. Niestety, mieli również upodobanie do przesadnego zwierzania się, jak zauważył z zakłopotaniem, gdy pojął, że nie zatrzymał w porę potoku słów kobiety o prowokująco jasnych włosach. Zanosilo się na to, że będzie musiał wysłuchać nader skomplikowanej historii o obcych ludziach z Niemiec, którzy najwyraźniej mieli ścisły związek z ciężarną.

– Jak to się stało, że ona mieszka w Stag's Head? – zapytał doktor, przerywając relację Lilly. Natychmiast rozgniewał się na

siebie za szorstki ton, który zupełnie nie pasował do jego tak przez wszystkich cenionego uprzejmego sposobu wyrażania się.

– Cięża była trudna od samego początku. Nie sądzimy, by moja przyjaciółka dała radę sama urodzić dziecko na farmie.

Charters stwierdził, że rozsądniej będzie nie zadawać więcej pytań, bo nie chciał zostać zmuszony do zajęcia się tym przypadkiem tylko dlatego, że zbyt wcześnie zaangażował się jako lekarz. Przywołał na twarz starannie odmierzony cień uśmiechu, czym udało mu się pokonać uczucie dyskomfortu.

– Ona chyba nie mówi po angielsku? – zapytał i wskazał Jettel ruchem głowy tak nieznacznym, że nie musiał przy tym na nią patrzeć.

– Słabo. Właściwie to prawie w ogóle. Dlatego ja z nią przyszedłam. Mieszkam w Gilgil.

– To bardzo miło z pani strony. Ale chyba nie zostanie pani tutaj aż do czasu porodu, a później nie będzie pani stała obok mnie w szpitalu, żeby tłumaczyć.

– Nie – wyjąkała Lilly. – To znaczy, nie planowałyśmy czegoś takiego. Pani Williamson poleciła pana jako lekarza, który może nam pomóc.

– Pani Williamson – odparł Charters po pauzie, która nie wydała mu się ani za długa, ani za krótka – już od dawna tutaj nie mieszka. W przeciwnym wypadku na pewno wspomniałaby o doktor Arnold. Ona będzie dla pań najodpowiedniejsza. To nadzwyczajna lekarka.

Charters był uradowany i zdumiony, jak eleganckie w tym momencie znalazł rozwiązanie, jednak musiał się starać, by nie pokazać po sobie zadowolenia. Stara dobra Janet Arnold naprawdę była jego wybawieniem. Czasami zapominał, że mieszkała teraz w Nakuru. Swoim rozklekotanym fordem, który sam w sobie był już żartem, ciągnęła od lat w najodleglejsze zakątki, by leczyć tubylców żyjących na farmach czy w rezerwatach.

Stara panna, mieszkanka Florence Nightingale i irlandzkiego uparciucha, nic sobie nie robiła z zasad dobrego smaku, konwencji i tradycji. W Nakuru ta wieczna buntowniczką leczyła całe masy Hindusów, Ghańczyków i oczywiście Murzynów, od których nie dostała pewnie nigdy ani centa, a także z pewnością biedaków z kontynentu, dla których już złamana ręka stanowiła finansową katastrofę. W każdym razie Janet Arnold miała wyłącznie pacjentów, którym nie robiło różnicy, że nie należy już do najmłodszych, a do tego ma cholernie niebrytyjski zwyczaj, niepytana wyrażać swoje zdanie.

Charters odłożył kalendarz, który kartkował zawsze wtedy, gdy chciał wyraźnie dać do zrozumienia, jak jest mu przykro, i rzekł:

– Nie jestem dla pań odpowiednią osobą, dlatego w najbliższym czasie radzę dobrze wypocząć. Pani Arnold – uśmiechnął się – na pewno się paniom spodoba. Włada wieloma językami. Być może waszym także.

Nieco nieodpowiedni wydał mu się sposób, w jaki, odchodząc od swojego zwykłego taktu, sformułował przynajmniej to ostatnie zdanie, więc dodał z życzliwością, która wydała mu się bardzo na miejscu:

– Chętnie dam paniom skierowanie do doktor Arnold.

– Dziękuję – odcięła się Lilly. Zaczekała, aż wściekłość, która w niej wezbrała, zamieni się w słabe przyływy irytacji i powiedziała tym samym spokojnym tonem co lekarz, ale po niemiecku: – Arogancka świnia, pieprzony bydlak, nie lekarz. My już to wszystko przerabialiśmy. Nie chcesz leczyć Żydów.

Chartersowi tylko lekko drgnęła brew, gdy rozdrażniony spytał:

– Przepraszam?

Lecz Lilly już wstała i podniosła z krzesła Jettel, która ciężko oddychała, a jednocześnie próbowała wyprostować ramiona. Kobiety w milczeniu opuściły gabinet. W ciemnym korytarzu

rozchichotały się, a ta głupkowata wesołość, której nie zdołały stłumić, zagłuszyła w nich bezradność i ogarniające je dreszcze. Dopiero kiedy umilkły w jednej chwili, spostrzegły, że płaczą.

Lilly zamierzała zostać z oczekującą dziecka Jettel przynajmniej przez dwa tygodnie, jednak już nazajutrz dostała list od męża i musiała wracać do Gilgil.

– Wrócę, jak tylko Oha będzie się mógł beze mnie obyć – mówiła na pocieszenie. – Następnym razem przywiozę ci Waltera. Teraz jest ważne, żebyś nie była sama i starała się nie myśleć o przykrych rzeczach.

– Nie martw się, czuję się dobrze – powiedziała Jettel. – Najważniejsze, że już nigdy nie będę musiała patrzeć na Chartersa.

Pierwszy dzień bez opieki Lilly i jej zaraźliwego optymizmu był dla Jettel jak czarna dziura samotności. *Muszę natychmiast wrócić*, napisała do Waltera, ale nie miała znaczków, a krępowała się pytać o nie w recepcji hotelu swoją złą angielszczyzną. Jednak już pod koniec tygodnia ten niewysłany list wydał się jej znakiem danym od losu. Uświadomiła sobie, że upokarzające traktowanie Chartersa wcale jej tak bardzo nie zraniło, lecz paradoksalnie wręcz dodało jej odwagi do przyznania się przed sobą do czegoś, co długo od siebie odsuwała.

Ani ona, ani Walter nie pragnęli mieć drugiego dziecka, ale żadne z nich nie znalazło w sobie dość siły, by o tym powiedzieć. Teraz, gdy została sama ze swoimi myślami, nie musiała już dłużej udawać radości. Jasno zdała sobie sprawę, że jest za słaba na to, by żyć na farmie z dzieckiem, w ciągłym strachu, że w decydującym momencie nie może liczyć na pomoc lekarską, ale przestała się wstydzić tej nieporadności. Łatwiej było jej także znieść wstyd i z tego powodu, że Hahnowie i mała gmina żydowska w Nakuru musieli płacić za jej pokój w Stag's Head.

Jettel nauczyła się traktować to małe, skąpo wyposażone pomieszczenie, tak wyraźnie kontrastujące z luksusem poczekalni, jak ochronę przed światem, który był dla niej

zamknięty. Nie mogła porozmawiać z żadnym z gości, przeczytać żadnej książki z biblioteki, a po jednej jedynej próbie zrezygnowała ze wspólnego słuchania audycji radiowych emitowanych po głównym posiłku w salonie dla gości w strojach wieczorowych i smokingach. Miała tylko dwie sukienki, które nadawały się na tę okazję. Jej skóra poszarzała i stała się sucha; z trudem przychodziło jej mycie włosów w małej misce i stale miała wrażenie, że nie powinna się pokazywać innym gościom. Swoją pokój opuszczała więc tylko w porach posiłków i na czas codziennych spacerów po ogrodzie, do których lekarka, zawzięcie gestykulując, namawiała ją przy każdej wizycie.

– *Babys need walks.* – Chichotała, obmacując za każdym razem brzuch Jettel.

Życie nauczyło ją zaufania do sił natury i mocy we własnym ciele, dzięki której można pomóc samemu sobie, więc nigdy się nie zdradziła, że Jettel ją martwi. Lekarka przychodziła do Stag's Head co środę, przynosiła ze sobą cztery znaczki pocztowe i kładła na rozchybotany stół słownik angielsko-włoski wraz z najnowszym wydaniem „Sunday Post”, chociaż już podczas pierwszej konsultacji zorientowała się, że obie te rzeczy nie przydadzą się na nic.

Janet Arnold była kobietą gorącego serca, od której lekko pachniało whisky, a silnie koźmi, mającą zawsze dobry humor i emanującą jeszcze większym optymizmem. Na przywitanie brała Jettel w objęcia, podczas badania śmiała się dźwięcznie, a przed wyjściem głaskała jej brzuch.

Jettel pragnęła zwierzyć się tej pulchnej kobiecie w znoszonym męskim ubraniu i opowiedzieć o przebiegu ciąży, która nie wydawała jej się normalna. Bariera językowa była jednak nie do przebycia.

Najłatwiej jeszcze było porozumieć się w suahili, ale obie kobiety wiedziały, że dostępne wyrazy nadawały się tylko dla przyszłych matek, które mogą urodzić swe dzieci także bez pomocy lekarskiej. Skoro więc doktor Arnold stwierdziła, że

powiedziała już wszystko, co najważniejsze, uciekała się do słów pochodzących ze wszystkich innych języków, które kiedykolwiek zasłyszała w swoim pełnym przygód życiu. Ciągłe próbowała z afrikaans i hindi. Nadaremnie szukała wśród dźwięków języka swojego dzieciństwa, gaelickiego.

Gdy wybuchła I wojna światowa, Janet Arnold jako młoda lekarka opatrywała rany pewnego niemieckiego żołnierza w Tanganice. Jego samego już nie pamiętała, ale w ostatnich dniach gasnącego życia często wypowiadał słowa: „przeklęty cesarz”. Te dwa wyrazy utkwily jej w pamięci na tyle głęboko, by mogła wypróbować je na pacjentach, co do których żywiła przypuszczenie, że pochodzą z Niemiec. W wielu przypadkach poprzez wywołany tym śmiech nawiązywała się między nimi nic porozumienia, co doktor Arnold ceniła jako skuteczny element terapii. Zmartwiło ją, że akurat Jettel, którą tak chętnie chociaż raz chciałaby rozweselić, nie zareagowała w ogóle, słysząc język ojczysty.

Sytuacja, w której Jettel z nikim nie mogła podzielić się swoim smutkiem i zwątpieniem, była dla niej nowa, a mimo to przestała już tęsknić za możliwością porozmawiania, której tak bardzo pragnęła na farmie. Często dziwiło ją, że niemal w ogóle nie brakuje jej Waltera i wręcz cieszy się na myśl, iż jest on tak daleko w Ol' Joro Orok. Czuła, że jej bezradność wzmocniłaby jeszcze jego bezsilność. Tym bardziej cieszyły ją listy od niego. Były pełne czułości, którą w beztroskich latach brała za miłość. Mimo to rozmyślała, czy ich małżeństwo jeszcze kiedykolwiek będzie mogło stać się czymś więcej niż jedynie związkiem przypieczętowanym przez wspólny los.

Jettel nie wierzyła, że urodzi zdrowe dziecko. W pierwszym miesiącu nadal jeszcze paraliżowało ją uczucie szoku, jakiego doznała, gdy list z Wrocławia odebrał jej wszelką nadzieję ponownego ujrzenia mamy i siostry. Na początku wcale nie odsuwała od siebie przeczucia, że ten list mógł być wskazówką przestrzegającą przed nieszczęściem, jakie jej grozi. Już sama

myśl, że ma zrodzić nowe życie, wydawała się jej szydercza i grzeszna.

Jettel nie opuszczało przeświadczenie, że los nakazuje jej iść za matką na śmierć. Z udręką wyobrażała sobie ze szczegółami Waltera i Reginę na farmie, jak się zamęczają, próbując odchowić pozbawione matki niemowlę. Czasem widziała także Owuora huśtającego ze śmiechem dziecko na swoich dużych kolanach i gdy pewnej nocy obudziła się przestraszona, zauważyła, że zawołała nie Waltera, lecz właśnie jego.

Gdy przygniatały ją lęk i urojenia, pragnęła tylko ujrzeć Reginę, która była tak blisko i tak nieosiągalna.

Szkołę Nakuru i Stag's Head dzieliło tylko sześć kilometrów, ale regulamin szkolny zabraniał Reginie odwiedzać matkę. Jettel również nie pozwolono by na spotkanie z córką. Co noc Jettel widziała światła palące się w szkole na wzgórzu i uczepliła się myśli, że Regina macha do niej z jednego z wielu okien. Potrzebowała coraz więcej czasu, żeby wrócić z takich urojeń do rzeczywistości.

Dreńczyła się także Regina, która nigdy się nie uskarżała z powodu długich rozstań z rodzicami. Prawie codziennie do hotelu przychodziły krótkie listy, pisane niezgrabną, pełną błędów niemczyzną. Błędy i niezrozumiałe dla niej wyrażenia po angielsku wzruszały Jettel bardziej jeszcze niż namalowane drukowanymi literami prośby i znaczki pocztowe. *Musisz o siebie take care, zaczynał się każdy list, that nie byłaś hora.* Niemal zawsze Regina pisała: *Chcę ciebie odwiedzić, ale nie pozwalam. My tutaj jesteśmy soldiers.* Zdanie: *Cieszę się z dziziusia* było zawsze podkreślone czerwonym atramentem, a często dopisywała: *Ja make jak Alexander the Great. Musisz nie have strahu.*

Jettel czekała z taką niecierpliwością na te listy dlatego, że naprawdę dodawały jej odwagi. Na farmie ciążyło jej, że z trudem nawiązuje kontakt z Regina, ale teraz przywiązanie i troska córki były dla niej jedyną podporą w niedoli. Czuła się tak, jak gdyby ponownie przeżywała bliski kontakt ze swoją matką. Każdy list

uświadamiał jej coraz bardziej, że prawie dziesięcioletnia córka nie jest już dzieckiem.

Regina nigdy nie stawiała żadnych pytań, a mimo to rozumiała wszystko, co było ważne dla jej rodziców. Wiedziała wcześniej od Waltera, że jej matka jest w ciąży. Była zaznajomiona z narodzinami i śmiercią, biegła do chat, gdy na którąś z kobiet przychodziły bóle, ale Jettel nigdy nie miała odwagi porozmawiać o tym z córką. W ogóle rzadko była zdolna zamienić z nią kilka słów, nie odczuwając przy tym onieśmienia, ale teraz pragnęła powierzyć Reginie swoje troski.

Pisanie listów do córki było dla Jettel łatwiejsze niż pisanie do Waltera. Dokładne opisywanie swojego fizycznego stanu stało się jej potrzebą, a już wkrótce odnalazła także poczucie wolności w opowiadaniu o swoich rozterkach duchowych. Gdy wypełniała arkusze hotelowego papieru listowego swoim dużym, czytelnym pismem i rósł przed nią stos zapisanych kartek, mogła być znowu zadowolona małą Jettel z Wrocławia, która przy najmniejszym zmartwieniu musiała tylko przypuścić szturm na jeden schodek, by znaleźć pocieszenie u mamusi.

W końcu lipca w Gilgil zaczęły padać wielkie deszcze, zatapiając ostatnią iskierkę nadziei Jettel, że Hahnowie przyjadą do niej z Walterem. W Nakuru dni i noce aż się gotowały. Murawa w ogrodzie hotelowym schła w ziemi umierającej z pragnienia, a śpiew ptaków gasł już z samego rana. Powietrze ciężkie od soli z jeziora było tak gryząco ostre, że każdy zbyt głęboki wdech niechybnie wywoływał mdłości. Całe życie zamierało w porze obiadowej.

Każdej niedzieli, gdy nie było jeszcze widoków na pocztę od Reginy, Jettel walczyła ze sobą, by nie poddać się chęci pozostania w łóżku, niejedzenia niczego i zabicia czasu snem. Ledwo słońce pokazywało się na niebie, wilgotny upał stawał się tak nieznośny, że mimo wszystko ubierała się i siadała na brzegu łóżka. Wtedy koncentrowała się tylko na tym, by uniknąć każdego niepotrzebnego ruchu. Godzinami wpatrywała się w gładką toń jeziora, w którym nie było już prawie wody, i nie życzyła sobie już

niczego innego, jak tylko przemienić się we flaminga, którego jedyną powinnością jest wysiadywać jaja.

W tym stanie zawieszenia pomiędzy niechętnym czuwaniem a niespokojnym rojeniem stawała się szczególnie wrażliwa na dźwięki. Słyszała hotelowych chłopców rozpalających ogień w kuchni, kelnerów szczekających sztuczcami w jadalni, skomlenie małego psa w sąsiednim pokoju i każdy samochód, zanim jeszcze zatrzymał się przed wejściem do hotelu. Chociaż rzadko widywała gości, którzy mieszkali na jej piętrze, umiała rozróżniać ich kroki, głosy i kaszel. Zanim Chai, bosonogi Kikuju, który o jedenastej rano i piątej po południu serwował herbatę, dotknął klamki u drzwi do pokoju Jettel, już wiedziała, że to on. Nie usłyszała nic jedynie wtedy, gdy przyszła Regina.

Była ostatnia niedziela lipca, kiedy Regina zapukała trzy razy do drzwi i bardzo wolno je otworzyła. Jettel wlepiła wzrok w córkę, jak gdyby nigdy jej przedtem nie widziała. Przez jedną straszną chwilę, bez czucia i pamięci, niezdolna do odczuwania radości ani do żadnej reakcji, nie będąc w stanie niczego pojąć, usiłowała odgadnąć, w jakim powinna odpowiedzieć języku. W końcu rozpoznała białą sukienkę i przypomniała sobie, że Nakuru School wymaga białych sukienek na cotygodniowe wizyty w kościele.

Hinduski krawiec, który w regularnych odstępach czasu przyjeżdżał do Ol' Joro Orok i instalował swoją maszynę pod drzewem przed *duka* Patela, uszył tę sukienkę ze starej serwety. Nie dał sobie wybić z głowy białych falbanek wokół szyi i przy rękawach i wziął za nie trzy szylingi ekstra. W jednej chwili Jettel przypomniała sobie każde słowo z tamtej rozmowy i to, co powiedział Walter, gdy zobaczył sukienkę:

– Bardziej mi się podobała, kiedy była serwetą w hotelu Redlichów.

Jak na gust Jettel, powiedział to zbyt głośno i bardzo szorstko, więc rozsierdzona chciała wyrazić swój sprzeciw, ale słowa w jej ustach kleiły się tak, jak do jej ciała lepił się stary

niebieski fartuch. Wysiłek był tak wielki, że ucisk w gardle puścił i zalała się łzami.

– *Mummy!* – krzyknęła Regina wysokim, obcym głosem. – Mama – wyszeptała już znajomym tonem.

Dyszała jak podszcztuty pies, który ma przed oczami tylko swoją zdobycz i nie czuje, że już ją stracił. Jej twarz miała kolor groźnej czerwieni płonących nocą lasów. Pot spływał jej z czoła, przebijając się przez cienką warstewkę rudawego kurzu. Wilgotna ciemność spadała z włosów na białą sukienkę.

– Regina, musiałaś pędzić jak diabeł. Skąd się tu wzięłaś? Kto cię przyprowadził? Na Boga, co się stało?

– Sama się przyprowadziłam – odpowiedziała Regina, ciesząc się, że odzyskała już głos na tyle, by móc pokazać swoją dumę. – Uciekłam, jak szliśmy do kościoła. I teraz będę tak robić co niedziele.

Po raz pierwszy, odkąd zamieszkała w Stag's Head, Jettel poczuła, że jest jeszcze możliwe, by głowa i ciało były lekkie w tym samym momencie, ale mówienie w dalszym ciągu przychodziło jej z trudnością. Pot Reginy pachniał słodko, sprawiając, że Jettel nie pragnęła niczego innego, niż czuć przy sobie parujące ciało córki i słyszeć bicie jej serca. Ułożyła usta do pocałunku, ale wargi jej drżały.

– *Ich hab mein Herz in Heidelberg verloren...* – zaintonowała Regina i przerwała speszona. Wiedziała, że nie potrafi zaśpiewać czysto nawet najprostszej melodii. – Piosenka Owuora – powiedziała. – Ale ja nie umiem śpiewać tak pięknie jak on. Nie jestem taka mądra jak Owuor. Pamiętasz jeszcze, jak wtedy przyszedł do nas w nocy? Z Rummlerem. I jak tata płakał.

– Jesteś mądra i dobra – rzekła Jettel.

Regina odczekała jeszcze chwilę, jakiej potrzebowały jej uszy, by zachować na zawsze te pieszczotliwe słowa. Potem siadła na łóżku koło mamy i obie milczały. Trzymały się w objęciach,

czekając cierpliwie, aż uczucie szczęścia zamieni się w radość z tego, że znów mogły się zobaczyć.

Jettel cały czas nie miała odwagi, by mówić, ale mogła już słuchać. Regina opowiadała, z jakim uporem i tęsknotą planowała ucieczkę i jak odłączyła się od grupy pozostałych dziewczynek, żeby pójść do hotelu. Była to długa i pełna skomplikowanych szczegółów historia, którą recytowała jednym tonem, kunsztownie powtarzając pewne jej fragmenty (nauczyła się tej sztuki od Owuora), i Jettel, mimo wszelkich wysiłków, nie mogła za nią nadążyć. Zauważyła, że Regina zaczyna odczuwać rozczarowanie z powodu jej milczenia, i przeraziła się jeszcze bardziej, gdy usłyszała swoje słowa:

– Dlaczego tak się cieszysz, że będę miała dziecko?

– Bo go potrzebuję.

– Ty potrzebujesz dziecka? Dlaczego?

– Bo nie będę sama, jak ty i tata nie będziecie żyli.

– Ale skąd ten pomysł, Regina? Tak starzy jeszcze przecież nie jesteśmy. Dlaczego mielibyśmy umierać? Kto ci naopowiadał takich bzdur?

– Ale twoja mama umiera – odparła Regina i poczuła słony smak w ustach. – A tata mi mówił, że jego tata też umiera. I ciocia Liesel też. Ale on powiedział, że nie wolno mi tobie tego mówić. *I'm so sorry.*

– Twój dziadkowie i ciocie – wykrztusiła Jettel – nie mogli już wyjechać z Niemiec. Przecież ci to tłumaczyliśmy. Ale nam nic nie może się stać. Jesteśmy tutaj. Wszyscy troje.

– Czwooro – poprawiła ją Regina i z zadowoleniem przymknęła oczy. – Niedługo będzie nas czwooro.

– Ach, Regina, ty w ogóle nie wiesz, jak ciężko jest być w ciąży. Kiedy ty się urodziłaś, było zupełnie inaczej. Nigdy nie zapomnę, jak twój tata tańczył w mieszkaniu. Teraz wszystko jest straszne.

– Wiem – skinęła głową Regina. – Byłam przy tym, jak Warimu rodziła. Prawie umarła. Dzidzius wyszedł nóżkami z jej brzucha. Pomagałam go wyciągać.

Jettel szybko przełknęła obrzydzenie, które podeszło jej do gardła.

– I nie bałaś się? – zapytała.

– Nie, w ogóle – przypomniała sobie Regina, usiłując się domyślić, czy mama żartuje. – Warimu strasznie głośno krzyczała i to jej pomagało. Ona też się nie bała. *Nobody* się nie bał.

Potrzeba zwrócenia Reginie najślabszego choćby poczucia bezpieczeństwa, którego zbyt długo jej odmawiała, była dla Jettel jeszcze bardziej męcząca niż patrzenie na jej niedolę. Regina wydawała się jej tak samo bezbronna, jak ona sama.

– Nie będę się bać – powiedziała.

– Obiecuj mi to.

– Na pewno.

– Musisz to powiedzieć jeszcze raz. Wszystko musisz powiedzieć jeszcze raz – naciskała Regina.

– Obiecuję ci, że nie będę się bała, kiedy będę rodziła dziecko. Nigdy nie wiedziałam, że dzidzius jest dla ciebie tak ważny. Inne dzieci chyba się tak nie cieszą jak ty, że będą miały rodzeństwo. A wiesz – oświadczyła Jettel, sięgając do wspomnień, które zawsze niezawodnie przynosiły jej pociechę – ja zawsze rozmawiałam z moją mamą tak jak teraz z tobą.

– Ale nie chodziłaś do Boarding School.

Jettel czyniła wysiłki, by nie pokazać po sobie żalu, że została sprowadzona do teraźniejszości. Wstała i objęła Reginę.

– A co będzie – spytała zaniepokojona – jak zauważą, że uciekłaś? Nie dostaniesz kary?

– Dostanę, ale *I don't care*.

– Czy to znaczy, że nie robi ci to różnicy?

– Tak, nie robi mi to różnicy.

– Ale żadne dziecko nie chce dostać kary!

– Ja chcę – roześmiała się Regina. – Wiesz, jak ma się karę, to trzeba się uczyć wierszy na pamięć. Ja uwielbiam wiersze.

– Ja też lubiłam recytować wiersze. Jak będziemy już wszyscy razem na farmie, powiem ci *Pieśń o dzwonie* Schillera. Ten jeszcze pamiętam.

– Ja potrzebuję wierszy.

– Dlaczego?

– Może dlatego – odpowiedziała Regina, nie zauważając, że posłała swój głos na safari – że kiedyś pójdę do więzienia. Wtedy wszystko mi zabiorą. Moje sukienki, jedzenie i włosy. Nie będą mi też dawać żadnych książek, ale wierszy nie dostaną. Bo one są w mojej głowie. Jak będę bardzo smutna, to zacznę sobie mówić moje wiersze. Ja sobie to wszystko dokładnie wymyśliłam, ale nikt o tym nie wie. Bo jak o tym opowiem, czar nie zadziała.

Chociaż w plecach, a także przy każdym oddechu, Jettel czuła przenikliwy ból, powstrzymywała łzy, dopóki Regina nie wyszła. Wtedy przycisnęła do siebie swój smutek tak mocno, jak przedtem córkę. Niemal z upragnieniem czekała na uczucie zwątpienia, dobrze jej znane i przez to niosące wsparcie. Ze zdumieniem, a także z pewną pokorą, której nigdy przedtem nie czuła, uświadomiła sobie jednak, że przyszła jej chęć do wzięcia się z życiem za bary. Dla Reginy, która pokazała jej drogę, Jettel zdecydowała się walczyć. Gdy kładła się do snu, towarzyszył jej już tylko ból fizyczny.

W nocy, o cztery tygodnie za wcześnie, naszły ją bóle, a następnego ranka Janet Arnold powiedziała jej, że dziecko jest martwe.

Ostatni dzień bez *memsahib* był dla Owuora słodki jak sok z młodej trzciny cukrowej i nie dłuższy niż noc w pełnym świetle księżyca. Już wkrótce po wschodzie słońca kazał Kani wyszorować wrzątkiem deski podłogi od pieca do szafy i nowo ułożonego stosu drewna. Kamau musiał wrzucić wszystkie garnki, szklanki i talerze, a także ulubiony mały czerwony samochód *memsahib* z maleńkimi kołami do gorącej kąpieli w ługu. Jogona kąpał psa tak długo, aż zaczął wyglądać jak biała świnka. Kimani pod naciskiem Owuora zgodził się z pomocą swoich *schambaboy*s w odpowiednim momencie uwolnić od sępów rosnące przed domem kolczaste drzewa. Owuor nie rozmawiał o sępach z *bwana*, ale jego głowa mówiła mu, że białe kobiety na pewno nie różnią się pod tym względem od czarnych. Kto zobaczył śmierć, nie chciał słuchać łopotu skrzydeł sępów.

Szmatką miękką jak materiał jego czarnej peleryny w miejscu, w którym okrywała szyję, Owuor przecierał długą warząchew, aż z lśniącego metalu spojrzwały na niego jego własne oczy. Spijały już radość z dni, które jeszcze nie nadeszły. Jak dobrze, że wkrótce ta łyżka znów zatańczy dla *memsahib* w gęstym, brunatnym sosie z mąki, masła i cebuli.

Gdy Owuor pobudzał swoje nozdrza zapachem radości, bez których musiały obywać się już zbyt długo, czuł, jak znów ogarnia go zadowolenie.

Pracować samemu dla *bwana* nie było już tak łatwo jak w Rongai w dniach, które już umarły. Gdy był sam na farmie, pozwalał, żeby zupa była zimna, a w budynku robiły się grudki. Jego język nie potrafił już czuć smaku chleba wyjmowanego z pieca. W tamten zły dzień, w którym *memsahib* z dzieckiem w brzuchu odwieziono do Nakuru, oczy *bwana* przestały pomagać

bić jego sercu. Od tej pory poruszał się jak stary człowiek, który jeszcze tylko nasłuchuje wołania swoich trzeszczących kości i nie słyszy już głosu Mungo.

Od pierwszego dnia wielkiej suszy aż do dnia śmierci dziecka Owuor myślał, że *bwana* nie ma żadnego boga, który prowadzi jego głowę jak dobry gospodarz zaprzęg wołów, ale od niedawna wiedział już, że się pomylił. Kiedy *bwana* opowiadał mu o swoim zmarłym dziecku, to on właśnie, a nie Owuor, mówił: *schauri ja Mungo*. Owuor powiedziałby to samo, gdyby śmierć pokazała mu zęby jak wygłodniały lew uciekającej gazeli. Tylko że, rozmyślał Owuor, człowiek nie powinien budzić Mungo, aby zajął się jego dzieckiem. O dzieci troszczy się nie bóg, tylko człowiek, który ich potrzebuje.

Czekając na dzień, który powinien wnieść do domu i do kuchni dawne życie, Owuor wzdychał na myśl, że *bwana* nie jest dostatecznie mądry, by we śnie osuszyć z soli swoje gardło. Gdy nie było *memsahib* i jego córki, *bwana* otwierał uszy tylko na radio. Po tych kilku tygodniach, w czasie których Owuor chciał pomóc żyć swojemu *bwana* i nie wiedział jak, czuł się zmęczony. Jego plecom było zbyt ciężko dźwigać ten obcy ciężar. Dlatego cieszył się teraz dniem, w którym musiał się troszczyć tylko o małą *memsahib*, jak człowiek, który biegł zbyt długo i szybko i u celu nie jest w stanie uczynić niczego innego, niż położyć się pod drzewem i patrzeć na chmury, jak pięknie polują na siebie nawzajem na bezkrwawych łowach.

– To jest dobre – powiedział i wywiercił lewym okiem dziurę w niebie.

– To jest dobre – powtórzyła Regina, pieszcząc ucho Owuora miękkimi dźwiękami jego własnej mowy.

Również ona odczuwała dzień powrotu Jettel jako inny od wszystkich, które odeszły i które miały przyjść. Siedziała na skraju pola lnu kołyszącego na wietrze cienką kołderką z błękitnych kwiatów i zanurzała stopę w gęstym rudym szlamie. Czowała przy tym ciepło rozchodzące się w ciele, a w głowie

przyjemną senność, na którą w blasku dnia mogła sobie pozwolić tylko wówczas, gdy była sam na sam z Owuorem. Jednak Regina nie była jeszcze tak śpiąca, by nie zauważyć przez na wpół przymknięte oczy, jak jej myśli zamieniają się w małe kolorowe kółka i ulatują ku słońcu.

Dobrze, że jej tata pojechał z Hahnem do Nakuru już dzień wcześniej. W czasie wielkich deszczy drogi przemieniały się w rozmiękle koryta pełne błota i wody; z podróży, która w czasie suchych miesięcy trwała tylko trzy godziny, robiło się wtedy safari przedłużające się aż do wieczora. Ospałym ruchem Regina zdjęła bluzkę, wyciągnęła z kieszeni mango i wgryzła się w nie, choć serce zabiło jej mocno, gdy uświadomiła sobie, że prowokuje tym los. Jeśli udałoby się jej zjeść całe mango i nie uronić przy tym ani jednej kropli soku, byłby to znak, że tego dnia lub przynajmniej następnego Mungo sprawi cud.

Była już na tyle mądra, by temu wielkiemu nieznanemu bóstwu, z którym jednak zdążyła się już oswoić, nie mówić, co ma uczynić. Nakazała głowie posłuszeństwo i połknęła głęboko swoje pragnienia, ale nie miała na tyle siły, by ukryć swoje życzenia. Zapomniała o mango. Kiedy poczuła na piersi ciepły sok, a w chwilę później zobaczyła żółtą plamę na skórze, wiedziała już, że Mungo jest przeciwko niej. Nie zdecydował się jeszcze wypuścić z więzienia jej serca.

Usłyszała słaby, jękliwy dźwięk, który mógł dobiec się tylko z jej ust, więc błyskawicznie spojrzała w kierunku góry, żeby nie rozgniewać Mungo. Przepędziła żal za straconym dzidziusiem z taką zajadłością, z jaką pies przepędza szczura dobierającego się do zakopanej przez niego kości. Te szczury jednak nigdy nie dawały się odgonić na długo. Wracały i wracały. Szczur Reginy tylko czasem za dnia, ale nigdy w nocy, pozwalał jej zapomnieć o tym, że w przyszłości jedynie ona będzie musiała karmić dumą głodne serca rodziców.

Wiedziała, że jej mama jest inna niż kobiety z chat. Kiedy im umierał dzidzius, musiał upłynąć czas nie dłuższy niż od małej pory deszczowej do dużej, by ich brzuch znowu stał się gruby.

Rozmyślając, jak długo to potrwa, zanim będzie mogła znowu cieszyć się nadzieją na kolejnego dzidziusia, Regina wgryzła się mocno w pestkę mango i czekała na trzask w ustach. Gdy poczuła ból zębów, jej głowa nie umiała już dłużej powstrzymać złości. Smutek minął jednak natychmiast, gdy Regina pomyślała o rodzicach.

Ich uszu nie cieszył deszcz, a nogi nie wiedziały nic o życiu budzącym się w porannej rosie. Gdy tata malował słowem piękne obrazy, mówił o Żorach, gdy mama wypuszczała się w marzeniach na safari, opowiadała o Wrocławiu. W Ol' Joro Orok, o którym w szkole Regina mówiła jak o *home*, a podczas ferii – o domu, oboje dostrzegali jedynie czarne barwy nocy, a nie ludzi, którzy podnosili głos tylko wówczas, gdy się śmiali.

– Zobacysz – powiedziała do Rummlera – oni nie zrobią nowego dzidziusia.

Pies, gdy zbudził go głos Reginy, potrząsnął prawym uchem, jakby chciał odgonić muchę. Trzymał pysk otwarty tak długo, aż wiatr za bardzo wyziębł mu zęby, szczeknął i zadygotał na całym ciele, bo przestraszył się echa.

– Rummler, ty głupku – zaśmiała się Regina. – Głowa pusta jak kapusta.

Wtuliła nos w parującą na słońcu sierść psa i wreszcie się trochę uspokoiła.

– Jesteś mądry, Owuor – oświadczyła. – Dobrze jest powąchać wilgotnego psa, jak ma się mokre oczy.

– To ty zmoczyłaś oczami jego futro – rzekł Owuor. – A teraz oboje będziemy spać.

Cienie były cienkie i krótkie jak młoda jaszczurka, gdy Regina usłyszała nęcące odgłosy, jakie wydawał dychawiczny motor. Przesiedziała wiele godzin na skraju lasu, nasłuchując bębnow, obserwując *dik-diks* i patrząc z zazdrością na małpią mamę noszącą swoje dziecko pod brzuchem. Skoro tylko wyłapała pierwszy, daleki jeszcze warkot, pokonała przestrzeń dzielącą ją

od rozmięklej drogi akurat w czasie potrzebnym na to, by móc wskoczyć na stopień i przejechać na nim ostatni odcinek trasy.

Oha siedział za kierownicą i pachniał tytoniem z własnej uprawy; obok niego Jettel wydzielająca ostrą woń szpitalnego mydła. Z tyłu siedzieli Lilly, Walter i Manjala, z którym Hahnowie nigdy nie rozstawali się w porze deszczowej, ponieważ lepiej niż inni umiał sobie radzić z samochodami, które grzęzły w błocie. Jechał też pudełek, który bez przerwy czekał.

Regina potrzebowała tej krótkiej przejażdżki w podmuchach wiatru, by wyostrzyć zmysły i przyzwyczaić oczy do widoku mamy. Wydawała jej się inna niż przedtem, zanim na farmie zawitał wielki smutek. Jettel wyglądała jak szczupłe angielskie matki, niemówiące prawie nic i uśmiechając się tylko, gdy na początku ferii odbierały ze szkoły swoje dzieci. Jej twarz była okrąglejsza, a oczy pełne spokoju jak u sytych krów. Skóra nadal połyskiwała kolorem, którego Regina nie umiała nazwać w żadnym ze znanych jej języków, chociaż bezustannie czyniła takie próby.

Kiedy samochód się zatrzymał, przed domem stali już Owuor i Kimani. Kimani milczał, a jego twarz pozostawała nieruchoma, jednak wyczuwał nadchodzącą radość. Owuor błysnął zębami.

– Ty dupku! – Zawołał bardzo wyraźnie i starannie, tak jak nauczył go *bwana* na okazje, kiedy farmę odwiedzali goście.

To były dobre czary. Chociaż *bwana* z Gilgil już je znał, śmiał się na tyle głośno, by wzbudzić echo, które rozpalało nie tylko uszy Owuora, ale całe jego ciało.

– Jaka jesteś piękna – zdziwiła się Regina. Pocałowała mamę, rysując palcami po falach jej włosów.

Jettel uśmiechnęła się zażenowana. Przetarła czoło, spojrzała nieśmiało na dom, z którego tak często chciała uciec, aż w końcu, wciąż zakłopotana, ale bez drżenia w głosie, zapytała:

– Czy bardzo ci smutno?

– Och, nie. Wiesz, kiedyś możemy mieć nowego dzidziusia. Zawsze możemy – powiedziała Regina i chciała mrugnąć, ale jej

prawe oko pozostało otwarte zbyt długo. – Wszyscy jesteście przecież tacy młodzi.

– Regina, teraz nie wolno ci mówić mamie takich rzeczy. Oboje musimy się starać, żeby dobrze wypoczęła. Mama była bardzo chora. Psiakrew, już ci to mówiłem.

– Zostaw ją – sprzeciwiła się Jettel. – Ja wiem, co ona ma na myśli. Pewnego dnia będziemy mieć dzidziusia, Regino. Ty przecież potrzebujesz dzidziusia.

– I wierszy – szepnęła Regina.

– I wierszy – potwierdziła Jettel z powagą. – Zobaczysz, że o niczym nie zapomniałam.

Wieczorny ogień pachniał wielkim deszczem, ale drewno musiało w końcu się poddać i przemieniło się w barwny, wściekły płomień. Oha, który trzymał ręce przy ogniu, nagle odwrócił się, chociaż nikt go nie wołał, objął Reginę i podniósł wysoko w górę.

– Jak to się stało, że macie takie jasnowidzące dziecko? – zapytał.

Regina tak długo cieszyła się serdecznym spojrzeniem jego oczu, że poczuła, jak jej skóra i twarz stają się czerwone.

– Ale – powiedziała i pokazała na okno – jest już ciemno.

– Ty jesteś małą Kikuju, panienko – oświadczył Oha. – Drobiazgowa w każdym słowie. Byłby z ciebie dobry prawnik, ale los prawdopodobnie ci tego oszczędzi.

– Nie, nie Kikuju – zaproponowała Regina. – Jestem Jalu. – Spojrzała na Owuora i przechwyciła ciche cmoknięcie, które usłyszeć mogli tylko oni dwoje.

Owuor w jednej ręce trzymał tacę, a drugą głaskał jednocześnie Rummlera i pudelka. Potem przyniósł kawę w dużym dzbanku, który mógł napełniać tylko w dobre dni, i zaserwował małe bułeczki. Chwalił go już za nie pierwszy pan, kiedy jeszcze nie był kucharzem i nie wiedział nic o białych

ludziach, którzy wydobywali z głowy lepsze dowcipy niż jego bracia z plemienia.

– Takie małe bułeczki! – zawołał Walter i zadzwonił widelcem w talerz. – Jak takie duże ręce robią tak małe bułeczki? Owuor, jesteś najlepszym kucharzem w Ol’ Joro Orok. A dzisiaj wieczorem – ciągnął i ku rozczarowaniu Owuora zmienił język – wypijemy butelkę wina.

– I pobiegiesz po nie do sprzedawcy na rogu – zaśmiała się Lilly.

– Mój ojciec dał mi dwie butelki na pożegnanie. Na specjalną okazję. Kto wie, czy kiedykolwiek będziemy mogli otworzyć drugą. Pierwszą wypijemy dzisiaj, ponieważ dobry Bóg oddał nam Jettel. Czasami ma więc także czas dla *bloody refugees*.

Regina zepchnęła głowę Rummlera z kolan, podeszła do taty i ścisnęła go za rękę tak mocno, że czuła czubki jego paznokci. Patrzyła na niego z wielkim podziwem, bo w tym samym momencie uwolnił ze swojego gardła śmiech, a z oczu łzy, i chciała mu o tym powiedzieć, ale jej język był zbyt szybki, więc zamiast tego zapytała:

– Czy przy winie trzeba płakać?

Pili je z kolorowych kieliszków do likieru stojących na dużym stole z cedrowego drewna niczym kwiaty, które po deszczu po raz pierwszy czekają na pszczoły. Owuor dostał mały niebieski kielich, Regina czerwony. Pomiedzy malutkimi łyżkami, które wpuszczała do gardła, patrzyła przez kieliszek na drżące światło lampy Petromax i przemieniała go w roziskrzony pałac królowej wrózek. Przetykała smutek na myśl, że nie może o tym nikomu opowiedzieć, ale była niemal pewna, że w Niemczech nie ma wrózek. Na pewno żadne nie mieszkały w Żorach, Głubczycach czy Wrocławiu. W przeciwnym razie rodzice wspomnieliby o tym wówczas, gdy jeszcze naprawdę wierzyła we wróżki.

– O czym myślisz, Regino?

– O kwiatku.

– To prawdziwa znawczyni wina – pochwalił ją Oha.

Owuor ciągle wkładał język do kieliszka, by móc nie tylko kosztować, ale i zatrzymać smak wina. Nigdy jeszcze nie miał w ustach równocześnie słodkiego i kwaśnego. Mrówki na jego języku chciały zamienić nowe czary w dłuższą opowieść, ale Owuor nie wiedział, od czego powinien zacząć.

– To są – przyszło mu nagle na myśl – łyzy Mungo, kiedy się śmieje.

– Chętnie powracam myślami do Assmannshausen – przypomniał sobie Oha i obrócił butelkę etykietką do światła. – Bywaliśmy tam często w niedzielne popołudnia.

– Czasem zbyt często – rzekła Lilly. Jej dłoń była jak malutka kuleczka. – Może pamiętasz, jak akurat z naszej przytulnej winiarni po raz pierwszy zobaczyliśmy przemarsz oddziałów szturmowych NSDAP. Jeszcze dzisiaj słyszę ich wrzaski.

– Masz rację – odparł pojednawczo Oha. – Nie trzeba oglądać się za siebie. Ale czasem człowieka nadchodzą wspomnienia. Mnie też.

Walter i Jettel kłócili się z dawną ochotą i nową radością o to, czy kieliszki były prezentem zaręczynowym od cioci Emmy czy cioci Cory. Nie mogli dojść do porozumienia także i w tej kwestii, czy na wieczorne pożegnalnym u Gutfreundów w Głubczycach podano karpia z chrzanem czy w sosie polskim. Byli w tym tak gorliwi, że za późno zauważyli, iż zaszli zbyt daleko i trudno im będzie nie wypowiedzieć swoich myśli. Ostatnia karta dań od Gutfreundów pochodziła z października 1938 roku.

– Ale ona była taka dzielna i zawsze umiała znaleźć wyjście – wspominała Jettel.

– Wyjścia już nie ma – odparł cicho Walter. – Są tylko drogi bez odwrotu.

Żądzy mówienia o przeszłości nie dało się już jednak ugasić.

– Pewnie nie wiesz też – zapytała Jettel z triumfem – skąd mamy tę zieloną serwetę? Teraz już mi nic nie wmówisz. Od Bilzowskiego.

– Nie. Ze sklepu z bielizną Weyla.

– Mama kupowała zawsze tylko u Bilzowskiego. A serweta to część mojej wyprawy. Czy o to też się chcesz wyklócać?

– Leżała u nas w hotelu. Na stoliku do gry, kiedy nie był używany. A Liesel kupowała zawsze u Weyla, gdy była we Wrocławiu. Jettel, nie mówmy już o tym – zaproponował Walter z nagłą determinacją, która zwróciła uwagę wszystkich, i sięgnął po kieliszek. Ręka mu drżała.

Bał się spojrzeć na Jettel. Nie pamiętał, czy wiedziała o śmierci Siegfrieda Weyla. Ten stary człowiek, który wzdragał się już na samą myśl o emigracji, zmarł w więzieniu w trzy tygodnie po aresztowaniu. Walter złapał się na tym, że próbuje wyobrazić sobie jego twarz, ale widział tylko ciemną boazerię w sklepie i monogramy, które Liesel zawsze zlecała tam haftować na bieliźnie hotelowej. Białe litery, które pamiętał, najpierw były aż nazbyt wyraźne, ale później zmieniły się w czerwone węże.

Od czasu przyjazdu do Kenii Walter nie pił żadnego alkoholu. Zauważył, że nawet najmniejsza dawka wina wprawia go w oszołomienie, więc zaczął sobie masować pulsujące skronie. Oczy z trudem zatrzymywały narzucające mu się obrazy. Kiedy bele drewna z trzaskiem rozłamały się w kominku, usłyszał w głowie piosenki ze studenckich czasów, więc zaczął spoglądać na Ohe, chcąc dzielić z nim radość płynącą z tych upajających dźwięków. Ten nabił fajkę i z groteskową uwagą przypatrywał się czarnemu pudelkowi przebierającemu we śnie łapami.

Jettel wciąż w rozmarzeniu rozprawiała o delikatnej bieliźnie stołowej od Bilzowskiego.

– Jeśli chodzi o adamaszek, to nie było w ogóle lepszego adresu we Wrocławiu – opowiadała. – Mama dodatkowo kazała

uszyć białą serwetę na dwanaście osób z serwetkami do kompletu.

Lilly również mówiła o swojej wyprawie.

– Kupiliśmy ją w Wiesbaden. Czy pamiętasz tamten piękny sklep przy Luisenstrasse? – zapytała męża.

– Nie – powiedział Oha i popatrzył w ciemność. Ja nawet nie wpadłbym na to, że w Wiesbaden była jakaś Luisenstrasse. Jak tak dalej pójdzie, to zaraz zaśpiewamy sobie *Du schöner deutscher Rhein*. A może byłoby lepiej, gdyby damy przeszły z powrotem do salonu i przedyskutowały, co mają włożyć na najbliższą teatralną premierę.

– To jest to! Oha i ja moglibyśmy wtedy w spokoju zrobić sobie powtórkę z najważniejszych spraw w naszej prawniczej karierze.

Oha wyjął fajkę z ust.

– To – powiedział z porywcznością, której sam się przestraszył – jest jeszcze gorsze od karpia w sosie polskim. Nie mogę sobie przypomnieć ani jednego z moich procesów. A podobno byłem dobrym obrońcą. Tak mówili. Ale to było w innym życiu.

– Moja pierwsza sprawa – zaczął Walter – dotyczyła sporu Greschka i Krausego. Chodziło o pięćdziesiąt marek, ale to było Greschkowi obojętne. On był prawdziwym pieniaczem. Gdyby miał inny charakter, mógłbym zamknąć moją praktykę już w 1933 roku. Czy możesz sobie wyobrazić, że Greschek towarzyszył mi aż do Genui? Oglądaliśmy tam pewien cmentarz. Był w sam raz dla mnie.

– Przestań! Czy ty już kompletnie zwariowałeś? Jeszcze nie masz czterdziestki, a żyjesz tylko przeszłością. *Carpe diem*. Czy nie nauczyli cię tego w szkole? I czy nie tak żyłeś?

– To było kiedyś. Ale Hitler to zmienił.

– To ty pozwalasz na to, by cię uśmiercał – rzekł Oha, a współczucie sprawiło, że jego głos znowu złagodniał. Zabija cię

tutaj, w samym środku Kenii. Czy po to stamtąd uciekłeś? Człowieku, zadomów się wreszcie w tym kraju! Zawdzięczasz mu wszystko. Zapomnij o bieliźnie stołowej, twoich głupich karpfach, o całej tej cholernej nauce prawa i o tym, kim byłeś. Zapomnij wreszcie o tych swoich Niemczech. Bierz przykład z córki.

– Ona też nie zapomniała – zaprzeczył Walter i delektował się oczekiwaniem, które ożywiało jego uczucia. – Regina, czy pamiętasz jeszcze Niemcy?! – zawołał wesoło.

– Tak – odpowiedziała szybko Regina. Odczekała jeszcze tylko chwilę, której potrzebowała, żeby odprowadzić wróżkę z powrotem do czerwonego kieliszka z likierem. Uwaga, z jaką wszyscy się jej przyglądali, odbierała jej pewność siebie, a jednocześnie czuła, że nie może rozczarować taty.

Wstała i postawiła swój kieliszek na stole. Wróżka, która mówiła tylko po angielsku, wytargała ją za ucho. Ciche brzęczenie pomagało jej mówić.

– Pamiętam, jak niszczone okna – powiedziała i ucieszyła się, widząc zdziwienie na twarzach rodziców. – I jak oni wyrzucili wszystkie sukienki na ulicę. I jak ludzie pluli. A ogień też był. Bardzo duży.

– Regina, ale ty przecież wcale tego nie przeżyłaś. To była Inge. Nas wtedy już w ogóle nie było w domu.

– Przestań – powiedział Oha. Przyciągnął Reginę do siebie. – Masz całkowitą słuszność, moja panno. Tylko ty jesteś mądra w tym towarzystwie. Nie licząc Owuora i psów. Z Niemiec rzeczywiście nie musisz pamiętać nic oprócz stert gruzu i płomieni. I nienawiści.

Regina właśnie zamierzała przedłużyć działanie pochwały i po małej, ale nie za krótkiej pauzie, zadać pewne pytanie. Wtedy zobaczyła oczy taty. Były wilgotne jak u szczekającego zbyt długo psa, którego do zamknięcia pyska zmusza dopiero wycieńczenie. Tak krzyczał Rummler, gdy staczał walki z księżycem. Regina

przyzwyczała się do tego, że musiała mu pomóc, zanim cały by zaczął cuchnąć ze strachu.

Na myśl o tym, że taty może nie da się pocieszyć tak łatwo jak psa, Reginie ścisnęło się gardło, ale z całą mocą odrzuciła to przypuszczenie. Dobrze, że nauczyła się przemieniać westchnienia w kaszel.

– Niemców nie wolno ci nienawidzić – powiedziała i usiadła na kolanach Ohy. – Tylko nazistów. Wiesz, kiedy Hitler przegra wojnę, wszyscy pojedziemy do Głubczyc.

Teraz to Oha oddychał za głośno. I chociaż Regina tego nie chciała, zaśmiała się, bo on w ogóle nie wiedział, jak czarami przemieniać zmartwienie w dźwięki, które nie zdradzają tego, co wie tylko własna głowa.

Zanim przed czterema porami deszczowymi jego *bwana* pojawił się na farmie, Kimani nie wiedział niemal nic o sprawach, które działały się poza chatami, w których mieszkały jego dwie żony, sześcioro dzieci i stary ojciec. Wystarczała mu wiedza o lnie, złocieniach i potrzebach swoich *schambaboy*s, za których był odpowiedzialny. Wszyscy *mesungu* o jasnych włosach i bardzo białej skórze, których Kimani spotykał przed przyjazdem tego czarnowłosego *bwana* z obcego kraju, mieszkali w Nairobi. Rozmawiał z nimi tylko o nowych polach, drewnie na budowę chat, deszczu, zbiorach i pieniądzach na wynagrodzenia. Kiedy przyjeżdżali na swoje farmy, codziennie szli na polowanie i znikali, nie mówiąc nawet *kwaheri*.

Bwana, który ze słów budował obrazy, nie był taki jak oni, znający tylko własną mowę i te kilka niezbędnych okrucich suahili, które wypowiadali głośno, z językiem potykającym się o zęby. Z *bwana*, który dawał mu teraz w podarunku wiele jasnych godzin dnia, Kimani mógł toczyć rozmowy ciekawsze niż z własnymi braćmi. Był to człowiek, którego oczy często spały, nawet jeśli były otwarte. Chętniej używał uszu i ust.

Uszami odnalazł ślady drogi, którą Kimani nigdy przedtem nie chodził i do której odtąd chętnie powracał na nowo każdego dnia. Kiedy *bwana* kazał mówić swojemu *kinanda*, robił to tak zręcznie jak pies, który w spokojny dzień wydaje z siebie tajemnicze dźwięki, niesłyszalne dla człowieka. Inaczej jednak niż pies, który je zatrzymuje dla siebie jak zakopaną kość, *bwana* dzielił się z Kimanim swoją radością z *schauris*, jakie usłyszał.

Z biegiem czasu utarł się zwyczaj, który był tak oczywisty jak słońce albo wieczorny garnek *poscho*. Po porannym obchodzie *schambas* obaj mężczyźni, nie zamieniając między sobą nawet

słowa, siadali na skraju największego pola lnu i sycili swe oczy widokiem połyskującego bielą wysokiego kapelusza wielkiej góry. Gdy długie milczenie sprowadzało senność na Kimaniego, wiedział, że *bwana* jest gotowy posłać swą głowę na długie safari.

Dobrze było tak siedzieć w milczeniu i łykać promienie słońca; jeszcze lepiej było, kiedy *bwana* opowiadał o różnych rzeczach, a jego palce drżały leciutko jak krople w ostatniej godzinie dnia. Te rozmowy miały w sobie tyle czaru, co spragniona ziemia po pierwszej nocy czasu wielkiego deszczu. W tych godzinach, za którymi tęsknił bardziej niż za jedzeniem dla brzucha czy ciepłem dla bolących go kości, Kimani wyobrażał sobie, że drzewa, rośliny, a nawet czas, którego nie da się dotknąć, rozgryzają ziarnko pieprzu, żeby człowiek mógł je lepiej poczuć na języku.

Zawsze gdy *bwana* zaczynał mówić, opowiadał o wojnie. Dzięki tej wojnie potężnych *mesungu* w kraju umarłych Kimani dowiedział się o życiu więcej niż wszyscy mężczyźni z jego rodziny przed nim. Im więcej słyszał o połykającym życie żarłocznym ogniu, tym mniej jego uszy chciały czekać na to, aż *bwana* zacznie mówić. Każde milczenie można było jednak rozciąć tak łatwo jak świeżo upolowaną zdobycz dobrze zaostrzonym *panga*. Żeby odpędzić głód, który stale go męczył, ale nigdy w brzuchu, wystarczyło tylko, żeby Kimani wypowiedział jedno z piękniejszych słów, jakie kiedykolwiek słyszał od *bwana*.

– El Alamein – rzekł Kimani w dniu, w którym nie było już wątpliwości co do tego, że akurat dwa najsilniejsze woły na farmie już więcej nie będą oglądać zachodu słońca. Przypomniawszy sobie, w jaki sposób *bwana* wypowiedział to słowo po raz pierwszy. Jego oczy były o wiele większe niż zazwyczaj. Poruszał się szybko jak młoda roślinność na polu targanym przez wiatr, ale cały czas się śmiał, a potem nazwał Kimaniego swoim *rafiki*.

Rafiki był człowiekiem, który dla innych zawsze miał tylko dobre słowo i pomagał im, gdy życie tratowało ich jak oszalały koń. Do tej pory Kimani nie wiedział, że *bwana* w ogóle zna to

słowo. Nie używało się go często na farmie, a nigdy przedtem nie powiedział tak do niego żaden *bwana*.

– El Alamein – powtórzył Kimani. Dobrze, że *bwana* w końcu pojął, iż rzeczy ważne człowiek musi powiedzieć dwa razy.

– El Alamein było już rok temu – rzekł Walter i uniósł wysoko najpierw dziesięć palców, później zaś jeszcze dwa.

– A Tobruk? – spytał Kimani lekko śpiewnym głosem, który pojawiał się u niego w chwilach najbardziej wytężonego oczekiwania. Roześmiał się cicho, gdy sobie przypominał, ile musiał się namęczyć, zanim wymówił te dźwięki. W jego ustach brzmiały one nadal jak kamienie rzucane na blachę falistą.

– Tobruk też niewiele pomógł. Wojny są długie, Kimani. Ludzie ciągle umierają.

– W Bengasi też umarli. Tak mówiłeś.

– Umierają każdego dnia. Wszędzie.

– Jeśli człowiek chce umrzeć, innemu nie wolno go trzymać. Czy nie wiesz o tym, *bwana*?

– Ale oni nie chcą umierać. Nikt nie chce umierać.

– Mój ojciec chce umrzeć – powiedział Kimani, nie przestając wyrywać z ziemi źdźbeł traw.

– Czy twój ojciec jest chory? Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? *Memsahib* ma w domu lekarstwa. Pójdziemy do niej.

– Mój ojciec jest stary. Nie potrafi już policzyć dzieci swoich dzieci. Dlatego nie potrzebuje już lekarstwa. Wkrótce wyniosę go przed chatę.

– Mój ojciec także umiera – rzekł Walter – ale ja ciągle szukam lekarstwa.

– Bo nie możesz go wynieść przed chatę – stwierdził Kimani.
– To robi ból w twojej głowie. Syn musi być przy ojcu, jeśli on chce umrzeć. Dlaczego twojego ojca tutaj nie ma?

– Chodźmy, o tym opowiem ci jutro. To długa *schauri*. I niedobra. Teraz *memsahib* czeka już zjedzeniem.

– El Alamein – spróbował ponownie Kimani. Zawsze gdy safari się przerywało, dobrze było wrócić jeszcze raz na początek drogi. Jednak w dniu umierających wołów to słowo straciło swoją moc. *Bwana* zamknął uszy, a w czasie długiej drogi do domu nie otwierał także ust.

Kimani zauważył, że jego skóra zrobiła się zimna, chociaż słońce w porze obiadowej miało więcej ciepła dla ziemi i roślin, niż go potrzebowały. Nie zawsze było dobrze wiedzieć zbyt wiele o życiu poza chatami. To czyniło człowieka słabym, a jego oczy zmęczonymi, jeszcze zanim nadszedł jego czas. Mimo to Kimani chciał wiedzieć, czy głodni biali wojownicy dają broń do umierania również tak starym ludziom jak ojciec *bwana*. Jednak słowa, które tłukły mu się pod czaszką, nie chciały mu przejść przez gardło, więc starał się tylko wypełniać komendy, jakie dawały mu nogi. Zanim doszli do domu, czmychnął, jak gdyby przypomniał sobie o jakiejś niewykonanej jeszcze robocie.

Walter stał w płytkim cieniu akacji, dopóki nie stracił Kimaniego z oczu. Ich rozmowa sprawiła, że serce zaczęło mu bić szybciej. Nie tylko dlatego, że jej tematem była wojna i ojcowie. Uzmysłowił sobie po raz kolejny, że swoimi myślami, a także obawami dzielił się chętniej z Kimanem czy z Owuorem niż z własną żoną.

Inaczej było bezpośrednio po narodzinach martwego dziecka. Wraz z Jettel pograżyli się w głębokiej żałobie, wyrzekając wspólnie na los i odnajdując pocieszenie we własnej bezradności. Jednak po roku, raczej z bezsilnością niż złością, uświadomił sobie, że to milczenie i osamotnienie oddaliły ich od siebie. Każdy dzień na farmie był jak ciernie wbijające się w rany nie do zagojenia.

Gdy tak krążył myślami wokół przeszłości, jak to czynią woły zdychające w gorączce nad ostatnim splechem trawy, Walter wydał się sam sobie tak upokorzony i głupi, że ogarnął go wielki

wstyd. Podobnie jak Regina, zaczął wymyślać sobie bezsensowne gry, żeby sprowokować los. Gdy co rano w domu pojawiali się chorzy robotnicy i kobiety z dziećmi proszący o pomoc i lekarstwa, Walter był niemal przekonany, że ten dzień będzie dobry, jeśli piątą osobą z kolei okaże się matka z niemowlęciem na plecach. Gdy spiker w wieczornych wiadomościach wymieniał więcej niż trzy zbombardowane miasta w Niemczech, uważał to za dobry omen. Z czasem rozwinął niekończącą się serię zabobonnych rytuałów, które albo dodawały mu odwagi, albo rozniecały w nim lęk. Swoje fantazje uważał za niegodne, ale pozwalały mu one na bezustanną ucieczkę od rzeczywistości. Gardził nasilającą się u niego skłonnością do wymyślania coraz to nowych życzeń i martwił się o stan swojego umysłu. Zwykle jednak tylko na chwilę udawało mu się wyrwać z zastawianych przez siebie pułapek.

Wiedział, że z Jettel jest podobnie. Jej myśli biegly ku matce tak samo intensywnie jak w dniu, w którym przyszła ostatnia poczta. Pewnego razu zastał ją, jak obrywała płatki złocienia, mrużąc przy tym do siebie:

– Żyje, nie żyje, żyje...

Zszokowany, grubiańskim ruchem – którego później żałował całymi dniami – wyrwał Jettel roślinę z ręki, a wtedy ona naprawdę to powiedziała:

– No to dzisiaj już się tego nie dowiem.

Stali na polu i oboje płakali, a Walter czuł się jak dziecko, które bardziej niż kary boi się tej ostatecznej pewności, że nikt go już nie będzie kochać.

Kimani już dawno zniknął wśród drzew przed chatami, ale Walter nadal stał w tym samym miejscu. Nasłuchiwał trzasków gałęzi i krzyków małp, pragnąc, jakby to miało jakieś znaczenie, odczuć choćby małą cząstkę radości, jaką te odgłosy sprawiały Reginie. Żeby odwlec moment powrotu do domu przynajmniej aż do chwili, kiedy uspokoją się jego rozdrażnione zmysły, zaczął liczyć sępy siedzące na drzewach. W południowym skwarze

pochowały swoje głowy w upierzeniu i wyglądały jak czarne kule z wielkich piór.

Parzystą ich liczbę Walter interpretował jako znak, że ten dzień nie przyniesie mu nic gorszego od nękającego go niepokoju. Liczba nieparzysta mniejsza od trzydziestu oznaczała wizytę, zbiorowy odlot tych odpychających ptaków miał zwiastować poprawę warunków finansowych.

– Nie zapomnimy – krzyknął pomiędzy drzewa – że jeszcze nigdy nie było tu dnia bez was, przekłeta hołoto!

To, że głośno dał upust złości, trochę go uspokoiło. Nie mógł już teraz jednak wyłuskiwać pojedynczych ptaków, by je przeliczyć. W pewnym momencie wydało mu się ważne, aby przypomnieć sobie łacińskie słowo oznaczające wróżącego z lotu ptaków kapłana. Jednak mimo wysiłków nie mógł go odnaleźć w pamięci.

– Tutaj traci się nawet tę odrobinę wiedzy, jaką się kiedyś miało – powiedział do Rummlera, który wybiegł mu naprzeciw. – Sam powiedz, ty głupku, któż mógłby nas odwiedzić?

Dni dłużyły się coraz bardziej. Walterowi dotkliwie brakowało Süsskinda, optymistycznego herolda pierwszych dni jego emigracji. Już sam ten okres wydawał mu się idyllą. Z perspektywy czasu i w porównaniu z Ol' Joro Orok Rongai jawiło mu się jako raj. Süsskind chronił ich tam przed uczuciem osamotnienia, które tutaj tak przygniatało, że oboje nie mieli odwagi o tym mówić.

Władze racjonowały benzynę i coraz mniej przychylnie udzielały zezwoleń potrzebnych *enemy aliens* na opuszczenie farmy. Ożywcze wizyty Süsskinda, jedyny czas ochronny dla skołatanych nerwów, stały się rzadsze. Ale jeśli udało mu się tu dotrzeć ze swojego zdrowego świata – przynosząc nowiny z Nakuru i niezachwianą przez żadne logiczne wywody wiarę w to, że wojna potrwa jeszcze nie dłużej niż kilka miesięcy – wówczas na tę krótką błogosławioną chwilę opadały kraty więzienia utkanego z czarnych dziur. Tylko Süsskind potrafił jeszcze

przemienić Jettel z powrotem w kobietę, jaką Walter pamiętał ze starych dobrych czasów.

Myśl o Süsskindzie zajmowała go do tego stopnia, że z wielką starannością zaczął sobie wyobrażać, co by mógł zrobić, powiedzieć i czego się dowiedzieć, gdyby przyjaciel nagle tu przed nim stanął. Wydało mu się nawet, że słyszy głosy dobiegające z kuchni. Już od dawna się nie bronił przed takimi urojeniami. Jeśli tylko traktował je odpowiednio poważnie, dodawały mu sił na przekształcenie smutnej terażniejszości w kilka szczęśliwych chwil.

Między domem i aneksem kuchennym Walter zauważył cztery koła, a na nich otwartą skrzynię. Zirytowany przymknął oczy, chroniąc je przed ostrym światłem południa. Prócz auta Hahnów tak długo nie widział żadnego innego samochodu, że nie mógł się zdecydować, czy chodzi tu o pojazd wojskowy, czy jedno z tych złudzeń, jakie ostatnimi czasy nieustannie sobie z niego drwiły. Ponętny obraz robił się coraz bardziej wyraźny, a Walter z każdym spojrzeniem pewniejszy, że między cedrem o grubym pniu a cysterną na wodę faktycznie stoi dżip.

Nie wykluczał możliwości, że z posterunku policji w Thomson's Fall przyjechał do Ol' Joro Orok jakiś urzędnik, by go ponownie internować. Dziwnym trafem lądowanie wojsk sprzymierzonych na Sycylii spowodowało kilka aresztowań, choć tylko w okolicach Nairobi i Mombasy. Wizja odejścia z farmy w ten sam sposób co na początku wojny nie była Walterowi niemiła, jednak przy wszystkich tego konsekwencjach nie potrafił sobie wyobrazić tak gwałtownej zmiany w swoim życiu.

Wtedy usłyszał głos podnieconej czymś Jettel. Był mu obcy, a jednocześnie w niepokojący sposób znajomy. Jettel wykrzykiwała na zmianę: „Martin, Martin!” i „Nie, nie, nie!” Rummler, który biegł przodem, szczekał wysokim, skowyczącym tonem, który miał zawsze dla nieznanym gości.

Gdy Walter pędził, potykając się o małe korzenie w wysokich trawach, próbował sobie uzmysłwić, kiedy ostatnim razem

słyszał to imię. Przypominał mu się tylko listonosz z Głubczyc, który przynosił pocztę i był im życzliwy do samego końca.

Mimo coraz częstszych gróźb kierowanych w stronę Żydów człowiek ten przyszedł do biura Waltera w 1936 roku ze skomplikowaną sprawą spadkową. Na powitanie zawsze mówił „Heil Hitler”, a na pożegnanie wstydlive „Do widzenia”. Teraz wyraźnie stanął Walterowi przed oczami. Nazywał się Karl Martin, nosił wąsy i pochodził z miejscowości Wódka. Z gospodarstwa wuja dostało mu się kilka mórg więcej, niż się spodziewał, i na Boże Narodzenie pojawił się na Asternweg, gdzie mieszkali, z gęsią. Oczywiście dopiero wówczas, gdy miał pewność, że nikt go nie widzi. Ludzie uczciwi, żeby przeżyć, potrzebowali ciemności.

Owuor wychylał się przez okienko aneksu kuchennego i kąpał swoje zęby w słońcu. Klasnął w dłonie.

– *Bwana!* – zawołał i mlasnął językiem jak w dniu, w którym podano wino. – Chodź szybko! *Memsahib* płacze, a *askari* płacze jeszcze bardziej.

Drzwi do kuchni były otwarte, ale bez światła lampy, którą ze względu na zużycie drogiej parafiny zapalano tylko po zachodzie słońca, w pomieszczeniu było za dnia niemal tak samo ciemno jak w nocy. Minęła długa, męcząca chwila, zanim oczy Waltera zaczęły rozróżniać jakieś kontury. Wtedy zobaczył, że Jettel i jakiś mężczyzna, który naprawdę ma na głowie czapkę listonosza z Głubczyc, tańczą po kuchni mocno objęci. Odrywali się od siebie, by podskoczyć z radości, po czym znów wpadali sobie w ramiona i obsypywali pocałunkami. Walter nie mógł się zorientować, czy tych dwoje się śmieje, czy też płacze, jak twierdził Owuor.

– O, jest Walter! – krzyknęła Jettel. – Martin, patrz, jest Walter. Puść mnie, bo mnie zadusisz. On na pewno myśli, że jesteś duchem.

Walter spostrzegł wreszcie, że mężczyzna ma na sobie mundur w kolorze khaki i angielską czapkę wojskową. Potem

usłyszał, jak ktoś woła go po imieniu. Jeszcze zanim ujrzał twarz, rozpoznał ten głos.

– Walter! – ryknął gość, a potem wyszeptał: – Ja chyba zwariuję. Że się tego doczekałem!

Żołądek tak gwałtownie podszedł Walterowi do gardła, że go zemdliło. Chciał oprzeć się o stół, ale nie zdołał, bo nogi się pod nim ugięły i mało brakowało, a by upadł. Oszołomiony szczęściem, wstrząśnięty bardziej niż kiedykolwiek w chwili największego lęku, złożył swą głowę na ramieniu Martina Batschinsky'ego. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że w ciągu tych długich sześciu lat rozłąki przyjaciel zmienił się aż tak bardzo.

Owuor nacierał swoją skórę śmiechem i łzami *memsahib*, *bwana* i pięknego *bwana askari*. Kazał Kamau postawić stół z krzesłami pod drzewem o grubym pniu, o który *bwana* ocierał się plecami zawsze, gdy złapały go bóle, które czyniły jego skórę białą jak światło młodego księżyca. Chociaż naczynia nie były brudne, Kania musiał wrzucić wszystkie talerze, noże i widelce do dużej wanny. Sam Owuor miał na sobie *kanzu*, które wkładał wówczas, gdy goście bardzo przypadli mu do gustu. Długą białą koszulę, sięgającą mu do ud, przewiązał czerwoną szarfą. Była tak miękka jak ciało dopiero co wyklutego pisklęcia.

Na brzuchu Owuora widniały słowa wypisane przez *bwana*, którym *memsahib* z Gilgil za pomocą grubej igły i złotej nici nadała barwę słońca.

Kiedy *bwana askari* zobaczył Owuora w ciemnoczerwonym fezie, przy którym huśtał się czarny pompon, i z wyhaftowaną szarfą, jego oczy stały się duże jak u kota w nocy. Śmiał się tak głośno, że echo trzykrotnie odbijało się od gór.

– Mój Boże, Walter, wciąż jesteś taki jak kiedyś. Ale by się twój tata ucieszył, jakby zobaczył tego bałwana z pokrywką na głowie i szarfą z napisem REDLICH'S HOTEL. JUŻ w ogóle nie wiem, kiedy ostatnio myślałem o Żorach.

– A ja wiem. Przed godziną.

– Dzisiaj w ogóle nie myślimy – rzekła Jettel. – Cały czas patrzemy tylko na Martina.

– I szczypiemy się, żeby wiedzieć, że żyjemy.

Poznali się we Wrocławiu. Walter uczył się na pierwszym, a Martin na trzecim semestrze, a obaj byli tak zazdrośni o siebie z powodu Jettel, że gdyby nie bał sylwestrowy w 1924 roku, o mały włos zapanowałaby między nimi nienawiść na całe życie, zamiast niezwyklej przyjaźni. Jej więzy zerwały się dopiero po nazbyt pośpiesznej ucieczce Martina do Pragi w 1937 roku. Na balu, który potem wszyscy troje uważali za zrzędzenie losu, Jettel wybrała doktora Silbermanna, bez jakichkolwiek wyjaśnień, dając odprawę dwóm młodym kawalerom.

W obu zadra tkwiła tak samo głęboko. Do momentu, w którym sześć miesięcy później Silbermann poślubił córkę zamożnego jubilera z Amsterdamu, Martin i Walter na tyle otrzęsnęli się ze swojego pierwszego zawodu miłosnego, że z całej ich rywalizacji pozostała tylko ta z Silbermannem. Minęło pół roku i to właśnie Walter w geście pocieszenia wziął Jettel w ramiona.

Martin nie należał do tych, którzy łatwo zapominają zniewagi, jednak przyjaźń z Walterem była już zbyt wielka, by nie przeniósł jej także na Jettel. Spędził wiele przerw semestralnych w Żorach, ponieważ przez pewien czas wyglądało na to, że może zostanie szwagrem Waltera, ale Liesel zbyt długo nie mogła się zdecydować, a Martin nie miał wystarczająco dużo talentu do przebywania w stanie zawieszenia i zaniechał swoich starań. Zamiast tego został świadkiem Jettel. Gdy w 1933 roku musiał zamknąć praktykę prawniczą i zaczął pracować jako przedstawiciel w firmie meblowej, przyjeżdżał bardzo często do Głubczyc. Dzięki tym wizytom miał wrażenie, że nie wszystko w jego życiu się zmieniło. Większość czasu spędzał na rozpieszczaniu Jettel swoimi pełnymi fantazji komplementami,

które na nowo rozpalały zazdrość w Walterze, i na ubóstwianiu Reginy.

– Ona chyba najpierw powiedziała słowo „Martin”, a dopiero potem „tata” – wspominał.

– Zawsze ci zazdrościłem, że masz taką kiepską pamięć. Coś takiego dzisiaj jest u nas na wagę złota. Szkoda, że nie zobaczysz Reginy. Spodobałaby ci się.

– Dlaczego, na miłość boską, miałbym jej nie zobaczyć? Po to przecież tutaj przyjechałem.

– Jest w szkole.

– Jeśli tylko dlatego, to mam pewien pomysł.

Ojciec Martina, handlarz bydłem z wioski pod Neisse, był wiernym cesarzowi patriotą i uparł się, że wszystkich jego pięciu synów – „właśnie tylu miał Wilhelm II”, nadmieniał przy każdej okazji – jeszcze przed studiami, na które oszczędzał, odmawiając sobie niemal wszystkiego, wyuczy się jakiegoś rzemiosła. Martin, zanim przystąpił do pierwszego egzaminu państwowego z prawa, zdał egzamin czeladniczy na ślusarza.

W domu Martin nauczył się bronić pozycji beniaminka wśród swoich braci i dumny był z niezłomności swojej woli. Za kłótliwego uchodził także wśród dobrych przyjaciół. Jego skłonność do wyolbrzymiania rzeczy błahych oraz to, że nie dał sobie w kaszę dmuchać, zawsze imponowały Walterowi i Jettel, a w Ol’ Joro Orok były źródłem najradośniejszych wspomnień.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak często o tobie mówiliśmy.

– Wyobrażam sobie – odparł Martin. – Już zdążyłem zauważyć, że wy tutaj rozmawiacie tylko o przeszłości.

– Często się baliśmy, że już nigdy nie wyrwiesz się z Pragi.

– Wyjechałem stamtąd, jeszcze zanim zrobiło się niebezpiecznie. Pracowałem wtedy u pewnego księgarza, z którym nie mogłem dojść do zgody.

– A potem?

– Najpierw pojechałem do Londynu. Kiedy wybuchła wojna, internowali mnie. Większość z nas wysłano na wyspę Man, ale można też było pojechać do wschodniej Afryki. Jeśli się miało jakiś fach rzemieślniczy. Mój świętej pamięci tata naprawdę miał rację. Rzemiosło jest złotodajną żyłą. Mój Boże, jak ja dawno słyszałem to zdanie.

– A dlaczego poszedłeś do wojska?

Martin przetarł czoło. Czynił tak zawsze, gdy czuł się zakłopotany. Bębnił palcami w stół i wiele razy rozglądał się wokół siebie, jak gdyby chciał coś ukryć.

– Chciałem po prostu coś zrobić – powiedział cicho. – Zaczęło się to wtedy, kiedy przez przypadek się dowiedziałem, że na krótko przed śmiercią taty oni zaciągnęli go do więzienia i zmusili do stosunku z jedną z naszych służących. W tamtej chwili pierwszy raz poczułem, że nie jestem taki twardy, jak myślałem. Jakoś mi się wydawało, że tata byłby rad, gdybym poszedł do wojska. *Pro patria mori*, jeśli pamiętasz, co to znaczy. Stara ojczyzna nigdy nie wymagała ode mnie śmiertelnej ofiary. Podczas pierwszej wojny światowej byłem za młody, a obecnej też bym nie doświadczył, gdyby kochana ojczyzna nie dała mi kopa w odpowiednim momencie. Ta nowa, dzięki Bogu, myśli inaczej o Żydach.

– Jeszcze nie zauważyłem – rzekł Walter. – W każdym razie – uściślił – nie tutaj w Kenii. Tu biorą tylko Austriaków. W międzyczasie stali się *friendly aliens*. A ciebie gdzie umieszczą?

– Nie mam pojęcia. Na wszelki wypadek dali mi nagle trzy tygodnie urlopu. To zazwyczaj oznacza front. Nic mnie to nie obchodzi.

– Jak w armii wymawiają twoje nazwisko?

– Bardzo prosto, Barret Nie nazywam się już Batschinsky. Miałem nieprawdopodobne szczęście z moją naturalizacją. Zwykle to trwa latami. Trochę w tym było przekupstwa urzędnika.

Umizgnąłem się do dziewczyny, która wyciągnęła mój wniosek ze sterty akt i przełożyła na górę.

– Nigdy bym tak nie mógł!

– Czego mianowicie?

– Zrzec się mojego nazwiska. I mojej ojczyzny.

– I wchodzić w stosunki z obcymi paniami. Ach, Walter, z nas dwóch ty byłeś zawsze lepszym człowiekiem. A ja mądrzejszym.

– Jak ty w ogóle nas znalazłeś? – spytała Jettel, gdy jedli kolację.

– Już w 1938 roku wiedziałem, że wylądowaliście w Kenii. Liesel napisała mi o tym w liście do Londynu – powiedział Martin i znów potarł czoło dwoma palcami. – Może mogłem jej pomóc. Anglicy przyjmowali wtedy jeszcze niezamężne kobiety. Ale Liesel nie chciała zostawiać taty samego. Czy słyszeliście coś o nich?

– Nie – powiedzieli jednocześnie Walter i Jettel.

– Przykro mi, ale musiałem o to zapytać.

– Od mojej mamy i Käte przyszedł jeszcze tylko jeden list. Mieli je przewieźć na wschód.

– Przykro mi. Mój Boże, co my za bzdury wygadujemy!

Martin zamknął oczy, żeby odpędzić wizje, ale mimo to musiał dopuścić do siebie obraz szesnastoletniej Jettel w pierwszej sukni balowej. Kwadraty z tafty, żółte, fioletowe i zielone jak mech w małym zagajniku pod Neisse, tańczyły w jego głowie, podczas gdy on walczył ze złością i bezsilnością, usiłując zabić w sobie smutek.

– Wiesz co – powiedział łagodnym tonem, całując Jettel – opowiedz mi teraz wszystko o mojej najlepszej przyjaciółce. Mogę się założyć, że Regina jest wyśmienitą uczennicą. A jutro przejedziemy przez ten kraj dżipem.

– *Enemy aliens* muszą mieć pozwolenie, żeby mogli opuścić farmę.

– Nie wtedy, gdy za kierownicą siedzi sierżant Jego Królewskiej Mości – powiedział, śmiejąc się, Martin.

Pierwsza jazda z Walterem i Jettel obok Martina z przodu oraz Owuorem i Rummlerem z tyłu zakończyła się już przy *duka* Patela. Dzięki niezłomnemu talentowi Martina do czynienia z małej scysji wielkiej wojny stała się piękną zemstą za wszystkie małe strzały, które Patel w ciągu tych czterech lat wypuszczał ze swojego zawsze pełnego kołczanu w nieumiejących się przed nim bronić ludzi.

Wojna i związane z nią trudności ze sprowadzaniem do Kenii co roku jednego syna, gdy na jego miejsce trzeba było z powrotem odsyłać do Indii innego, sprawiały, że Patel pogardzał ludźmi jeszcze bardziej niż uprzednio. *Refugees* z farm, którzy lepiej znali suahili od angielskiego i z którymi trudno było się porozumieć, stanowili zawsze dla Patela mile widziany wentyl, pozwalający mu odreagować zły humor.

Trzymał ich tak krótko Jeśli chodziło o rzeczy, których potrzebowali, że rozwinął swój własny czarny rynek. Walter i kilku pracowników z farmy musieli płacić podwójną cenę za mąkę, konserwy mięsne, ryż, budyń w proszku, rodzyнки, przyprawy, tkaniny, galanterię, a zwłaszcza za parafinę. Chociaż takie podbijanie cen było oficjalnie zabronione, w przypadku *refugees* Patel mógł liczyć na tolerancję władz. Dla nich te szykany były czymś niewinnym i współgrały z ich patriotyczną postawą i wrogimi uczuciami wobec obcych, które pogłębiały się z każdym rokiem wojny. Martin dopiero w drodze do Patela dowiedział się o niedostatkach i upokorzeniach. Zatrzymał się za ostatnim gęstym krzewem morwy, wysłał Waltera i Jettel samych do sklepu, pozostając z Owuorem w dżipie. Później Patel nie mógł sobie wybaczyć, że nie przyszło mu od razu do głowy, iż te splukane łąjzy z farmy Gibsona mogły się pojawić w jego sklepie tylko w przypadku, gdy ktoś im towarzyszył.

Patel, zanim spojrzał na Waltera i Jettel, najpierw doczytał do końca swój list. Nie zapytał, czego potrzebują, tylko w milczeniu położył przed nimi mąkę z widocznymi na niej śladami mysich odchodów, wgniecione konserwy, zawilgotniały ryż i gdy wydało mu się, że zauważył zwyczajowe wahanie klientów, zrobił swój rutynowy ruch ręką.

– *Take it or leave it* – zadrwił.

– *You bloody fuckin' Indian!* – wrzasnął Martin od drzwi. – *You damn'd son of a bitch!*

Wszedł do sklepiku i zrobił kilka kroków, zrzucając ze stołu konserwy i worek z ryżem. A potem wypluł z siebie wszystkie przekleństwa, jakich nauczył się od czasu przyjazdu do Anglii, zwłaszcza te, które poznał w wojsku. Walter i Jettel rozumieli z tego tak samo niewiele co Owuor, który stał u wejścia, ale wyraz twarzy Patela mówił sam za siebie. Z niezadowolonego, sadystycznego dyktatora zmienił się, jak to określił jeszcze tego wieczoru Owuor, relacjonując wydarzenie w chatach, w skamlącego psa.

Patel miał zbyt małą wiedzę o brytyjskiej armii, by móc choć w przybliżeniu ocenić sytuację. Martina z jego potrójną belką sierżanta brał za oficera i miał na tyle rozumu w głowie, by nie ryzykować dyskusji. W żadnym wypadku nie miał zamiaru jedynie z powodu kilku funtów ryżu czy kilku puszek peklowanej wołowiny psuć sobie stosunków ze sprzymierzonymi siłami zbrojnymi. Nieproszony wyciągnął z ukrytego za kotarą przyległego pomieszczenia artykuły żywnościowe w nienagannym stanie, trzy duże wiadra parafiny i dwie bele tkaniny, które przyjechały z Nairobi dopiero poprzedniego dnia. Jąkając się, położył jeszcze na to wszystko cztery skórzane paski.

– *Zanieś to do samochodu!* – rozkazał Martin tym samym tonem, którym jako sześciolatek komenderował polskimi służącymi, za co dostał w twarz od ojca.

Patel był tak wystraszony, że sam zaniósł towary do dżipa. Owuor przechadzał się przed nim z kijem w rękę, jakby Patel, wykolejony syn suki, był tylko kobietą.

– Materiał jest dla Jettel, a paski dla ciebie – rzekł Martin. – Ja dostaję swoje od króla.

– Ale co ja zrobię z tymi paskami? Mam tylko trzy pary spodni, a jedna z nich już się zniszczyła.

– No to jeden dostanie Owuor, żeby zawsze o mnie myślał.

Owuor uśmiechnął się, słysząc swoje imię, i zaniemówił wobec potęgi czarów, gdy *bwana askari* wręczył mu pasek. Zasalutował dwoma palcami przy głowie, tak jak to czynili młodzi mężczyźni, którzy w Nakuru sami mogli stać się *askaris* i przyjeżdżali na kilka dni do swoich braci w Ol' Joro Orok.

Tak zakończył się pierwszy dzień z łącznie siedemnastu dób pełni szczęścia. Następnego ranka mieli jechać do Naivashy.

– Naivasha – powątpiewał Walter, gdy Martin pokazał mu mapę – jest tylko dla ludzi w dobrym gatunku. Nie wywiesili tam wprawdzie szyldów z napisem ŻYDOM WSTĘP WZBRONIONY, ale chętnie by to zrobili.

Süsskind mi o tym opowiadał. Kiedyś musiał towarzyszyć szefowi i został w samochodzie, kiedy ten wszedł do hotelu na obiad.

– Jeszcze zobaczymy – odparł Martin.

Naivasha było tylko zbiorowiskiem małych, ale solidnie zbudowanych domów. Jezioro ze swoją florą i ptactwem stanowiło atrakcję turystyczną kolonii i otoczone było kilkoma hotelami, które wyglądały jak angielskie prywatne kluby. Najstarszy i najelegantszy był Lake Naivasha. Tam usiedli przy obiedzie na porośniętym bugenwillami tarasie, jedli rostbef i pili pierwsze od wyjazdu z Wrocławia piwo. Jettel i Walter ośmielali się mówić tylko szeptem. Czuli się zażenowani, że mówią po niemiecku, a mundur Martina był dla nich jak fartuch mamy, za który dzieci mogą się schować przed każdym niebezpieczeństwem.

Później popłynęli łódką po jeziorze wśród lilii wodnych, prowadzeni przez połyskujące błękitem gwiazdy. Choć kierownictwo hotelu najpierw się wahało, to jednak uległo wrażeniu, jakie robił groźny ton Martina, i dało do dyspozycji dodatkową łódkę dla Owuora z Rummlerem. Hinduski portier stale podkreślał, że ma oficjalne polecenie, by szczególnie uwzględniać życzenia wojskowych.

Gdy tydzień później zaplanowano wycieczkę do Naro Moru, skąd roztaczał się najpiękniejszy widok na Mount Kenya, Walter obstawał przy tym, by wziąć ze sobą nie tylko Owuora, ale także Kimaniego.

– Wiesz, we dwóch każdego dnia gapimy się na tę górę. Kimani jest moim najlepszym przyjacielem. A Owuor należy już do rodziny. Zapytaj kiedyś Kimaniego o El Alamein.

– Ty to jesteś! – roześmiał się Martin, usadzając Kimaniego między Owuorem i Rummlerem. – Twój tata zawsze się skarżył, że rozpuściłeś mu personel.

– Kimaniego nie da się rozpuścić. On mnie chroni przed obłędem, kiedy strach zżera moją duszę.

– A czego ty się boisz?

– Że najpierw stracę posadę, a potem rozum.

– Wojownikiem to ty nigdy nie byłeś. Dziwię się, że ci się dostała Jettel.

– Byłem trzeci w kolejce. Kiedy straciła Silbermanna, chciała mieć ciebie.

– Nonsens.

– Ty nigdy nie potrafiłeś kłamać.

Hotel Naro Moru miewał lepsze dni. Przed wojną wyruszali stąd w trasy alpiniści, lecz od czasów mobilizacji nie prowadzono już go z myślą o przyjmowaniu gości. Martin jednak nadal potrafił być równie szarmancki, jak rozkapryszony. Postarał się o to, by sprowadzono kucharza oraz by obiad podano w ogrodzie. Owuora

i Kimaniego umieszczono w pomieszczeniach dla personelu, ale zaraz po posiłku błyskawicznie przyszedli z powrotem, by popatrzeć na górę. Jettel spała na leżaku, a Rummler chrapał u jej stóp.

– Jettel wygląda tak jak dawniej – powiedział Martin. – Ty też – dodał spieszenie.

– Takim durniem jeszcze nie jestem, żebym nie miał lusterka. Ale wiesz, myślę, że nie dałem Jettel dużo szczęścia.

– Tylko że Jettel w ogóle nie da się uszczęśliwić. Nie wiedziałaś o tym?

– Ależ tak. Lecz nie robię jej wyrzutów. Nie była dostatecznie ostrożna, wybierając sobie męża. Przeżyliśmy trudne chwile. Straciliśmy dziecko.

– Straciliście siebie nawzajem.

Owuor otworzył uszy na tyle szeroko, by złapać wiatr wysłany przez górę. Nigdy jeszcze nie słyszał *bwana askari* mówiącego głosem, który był jak woda skacząca ponad małymi kamieniami. Kimani spojrział tylko w oczy swojego *bwana* i odkaszlnął solą.

– Teraz brakuje mi tylko Reginy – stwierdził Martin wieczorem, gdy przyjechali z Naro Moru. – Dopóki jej nie zobaczę, nie jadę na wojnę. Tak się cieszyłem, że ją spotkam.

– Ferie zaczynają się dopiero za tydzień.

– Właśnie wtedy muszę wyjechać. A właściwie jak wyją odbierzecie ze szkoły?

– Ten problem powtarza się co trzy miesiące, zawsze się o to martwimy. Jeśli jesteśmy grzeczni, zabierają pewien Bur z sąsiedniej farmy.

– Bur – powtórzył Martin z obrzydzeniem. – Do tego już doszło! Czegoś takiego po prostu w ogóle nie mów człowiekowi ze wschodniej Afryki. Jaja przywiozę. Zupełnie sam. Najlepiej w czwartek. Jutro wyślemy do niej telegram.

– Prędzej możemy się przenieść do ratusza we Wrocławiu i powybić szyby nazistom. Szkoła nie puszcza dzieci nawet dzień przed feriami. Ani razu nie pozwolili Reginie odwiedzić Jettel w szpitalu, chociaż lekarka specjalnie telefonowała w tej sprawie. Ta szkoła jest jak więzienie. Regina o tym nie mówi, ale my to wiemy już od dawna.

– No to poczekajmy i zobaczymy, czy odważą się czegokolwiek odmówić jednemu z własnych dzielnych żołnierzy. W czwartek stanę przed tą cholerną szkołą i tak długo będę śpiewał *Rule Britannia*, aż mi oddadzą dziecko.

Pan Brindley zaszeleścił papierem, który trzymał w ręku, i zapytał: – Kto to jest sierżant Martin Barret?

Regina już miała otworzyć usta, gdy zdała sobie sprawę, że tym razem nie przychodzi jej do głowy żadna odpowiedź. Z większą niż zazwyczaj bezradnością przeżuwała swoje zażenowanie, które ciągle jeszcze rzucało się na nią jak czuwający nocą pies na złodzieja, gdy stała w gabinecie dyrektora. Z wysiłkiem, który był zresztą niepotrzebny, zmuszała swoją pamięć do przypomnienia sobie wszystkich książek, które pan Brindley dawał jej do przeczytania w ostatnich tygodniach, ale wypowiedziane przez niego nazwisko nie budziło żadnych skojarzeń.

Już od dawna nie miała uczucia, że jest zdana na łaskę słów. Wydawało jej się, że przez jakieś niedopatrzenie, którego nie umiała sobie wytłumaczyć, zniszczyła najlepsze czary w swoim życiu, ponieważ nie okazała się ich godna. W przestachu otworzyła dłoń, by zatrzymać tę jedyną moc, jaka pozwalała uczynić ze znenawidzonej szkoły maleńką wysepkę, na której wolno było mieszkać tylko Charlesowi Dickensowi, panu Brindleyowi i jej samej. I to już od dłuższego czasu.

Miała więcej wiadomości niż każda z jej szkolnych koleżanek. Nawet Inge nie przeczuwała istnienia największej tajemnicy na świecie. Wróżka, która podczas strasznych trzech miesięcy szkoły mieszkała w krzewie ozdobnego pieprzu w Nakuru, a w czasie ferii w kwiecie hibiskusa na skraju pola lnu w OF Joro Orok, podzieliła pana Brindleya na dwie połówki. Przyprawiająca o lęk pierwsza część, którą znali wszyscy, nie lubiła dzieci, była zła, niesprawiedliwa i składała się tylko z regulaminu szkolnego, srogości, kary i trzcinowej różgi.

Zaczarowana połowa pana Brindleya była łagodna jak deszcz, który podczas jednej jedynej nocy obdarowywał spragnione róże nowym życiem rozkwitającym z nasionka od jej dziadka. Ten obcy mężczyzna, który dziwnym sposobem również nazywał się Arthur Brindley, kochał Davida Copperfielda i Nicholasa Nickleby'ego, Olivera Twista, biednego Boba Cratchitta i jego maleńkiego Tima, a szczególnie – małą Nell. Regina podejrzewała pana Brindleya i o to, że lubi też pewną *bloody refugee* z Ol' Joro Orok, ale na takie przypuszczenie pozwalała sobie bardzo rzadko, bo wiedziała, że wróżki nie lubią zarozumiałych ludzi.

Wiele dni minęło od chwili, kiedy dyrektor szkoły po raz pierwszy nazwał Reginę małą Nell. Dobrze jednak pamiętała ten dzień, w którym czary zaczęły działać, ponieważ w końcu było coś bardzo szczególnego w tym, że żydowskiej dziewczynce pożyczono angielskie imię. Z biegiem lat powtarzający się i niestety zawsze za krótki okres, w którym Reginie wolno było zachować to słodkie i łatwe do wymówienia imię, przemienił się w grę o ślicznych, ściśle ustalonych regułach, jakich wymagali od niej w domu Owuor i Kimani.

Dyrektor kazał Reginie przychodzić do siebie podczas jedynej wolnej godziny w dniu, między odrabianiem pracy domowej a kolacją. W pierwszym straszliwym momencie jego usta były bardzo małe, a oczy ciskały iskry jak u skąpca Scrooge'a w *Opowieści wigilijnej*. Kiedy Regina robiła kilka kroków od drzwi do biurka, wstrzymując przy tym oddech, pan Brindley robił wrażenie, jakby zawołał ją jedynie po to, by udzielić jej kary.

Jednak po jakiejś chwili, która Reginie zawsze wydawała się bardzo długa, wstawał, nabierał powietrza w usta, gasił ogień w oczach, uśmiechał się i z szafy ze złotym kluczem wyciągał książkę. W szczególnie dobre dni mały kluczyk przemieniał się we flet, na którym Pan, bóg błękitnych pól lnianych i zielonych wzgórz, grał w porze długich cieni. Książka zawsze była napisana przez Dickensa i miała miękką oprawę z ciemnoczerwonej skóry. Za każdym razem gdy Regina przyjmowała ją ze ściśniętym

sercem, jakby przyłapano ją na popełnieniu jakiegoś' wykroczenia przeciwko szkolnemu regulaminowi, podzielony na dwie części dyrektor mówił:

– Za trzy tygodnie przyniesiesz ją z powrotem i opowiesz, o czym przeczytałaś.

Bardzo rzadko się zdarzało, że Regina nie umiała odpowiedzieć na pytania pana Brindleya, gdy zwracała mu książkę. Przez ostatnie cztery tygodnie przed feriami oboje rozmawiali tak długo o cudownych historiach, jakie Dickens opowiadał tylko dla nich, że Regina spóźniała się na kolację, ale kary wymierzane przez nauczycielkę, która nadzorowała dzieci w jadalni i zawsze udawała, że nie wie, gdzie Regina była, znaczyły niewiele wobec radości, jaką sprawiały jej czary.

Gdy po śmierci dzidziusia rozpoczęły się ferie, Regina po raz pierwszy spróbowała opowiedzieć o tym tacie, ale on wróżki uważał za „angielską bzdurę”, a poza Oliverem Twistem, który mu się nie podobał, nie znał żadnego z ludzi, których znał Dickens, pan Brindley i ona. Ponieważ Regina nie chciała denerwować swojego taty, o Dickensie mówiła tylko wtedy, gdy jej usta były szybsze od głowy.

– Pytałem cię – powtórzył ze zniecierpliwieniem dyrektor – kim jest sierżant Martin Barret.

– Nie wiem, proszę pana.

– Co to ma znaczyć?

– Nie wiem naprawdę – powiedziała Regina zakłopotana. – W żadnej z książek, które pan mi dał, nie było sierżanta. Od razu bym to zauważyła i na pewno bym to sobie zapamiętała.

– Do licha, mała Nell, ja nie mówię o Dickensie.

– Och, przepraszam pana. Nie wiedziałam o tym. To znaczy, nie mogłam się tego domyślić.

– Mówię o sierżancie Barretcie. To on wysłał do ciebie telegram?

– Do mnie? Wysłał do mnie telegram? Ja jeszcze nigdy nie widziałam telegramu.

– Mam go tutaj – powiedział dyrektor i podniósł wysoko papier. – Przeczytaj go na głos.

– „Odbieram cię w czwartek. Poinformuj dyrektora – odczytała Regina i za późno się zorientowała, że jej głos brzmi o wiele za głośno jak dla wrażliwych uszu pana Brindleya. – Za tydzień muszę jechać na front” – dokończyła szeptem.

– Masz może wujka, który się tak nazywa? – zapytał dyrektor i na jeden straszny moment przeistoczył się w Scrooge’a w dniu wigilii Bożego Narodzenia.

– Nie, proszę pana. Mam tylko dwie ciocie. Musiały zostać w Niemczech. Każdego dnia modłę się za nie, ale nigdy nie robię tego na głos, bo mówię po niemiecku.

Dyrektor szkoły zły poczuł, że wiedziony niecierpliwością postąpi wobec dziewczynki niesprawiedliwie i bardzo szorstko. Trochę go to krępowało, ale nie lubił, gdy z małej Nell robiła się ta przekłeta mała cudzoziemka ze swoimi nierozwiązywalnymi problemami, o których czasem czytał w gazetach z Londynu, jeśli tylko miał na tyle energii, by dokładnie studiować doniesienia z wewnętrznych stron. W „East African Standard”, który czytywał regularniej i od wybuchu wojny również o wiele chętniej, na szczęście niemal nie pojawiały się rzeczy wykraczające poza świat jego wyobraźni.

– Jednak musisz znać sierżanta Barreta, skoro wysłał do ciebie telegram – drażył. Już nie zadawał sobie trudu, żeby ukryć swój zły humor. – W żadnym wypadku niech mu się nie roi, że wolno ci będzie wyjechać do domu na pięć dni przed rozpoczęciem ferii. Wiesz, że to absolutnie wbrew szkolnym zasadom.

– Och, proszę pana, ja wcale tego nie pragnę. Mnie już wystarczy, że dostałam telegram. To dokładnie tak jak u Dickensa. U niego również do biednych ludzi pewnego dnia przychodzi szczęście. Przynajmniej czasami.

– Możesz już iść – rzekł pan Brindley, a zabrzmiało to tak, jakby musiał odnaleźć swój głos.

– Czy mogę zatrzymać telegram? – spytała nieśmiało Regina.

– Dlaczego nie?

Gdy Regina zamknęła za sobą drzwi, Arthur Brindley westchnął. Kiedy oczy zaczęły mu łzawić, zdał sobie sprawę, że znowu się przeziębził. Uznał, że jest sentymentalnym starym głupcem, który obarcza się zupełnie niestosownymi problemami, ponieważ jego umysł jest nie dość ostry, a serce zbyt otwarte. Nie było dobrze zajmować się jednym dzieckiem bardziej niż to konieczne, i nigdy tego przedtem nie robił, ale talent Reginy, jej nienasycony głód czytania, a także jego miłość do literatury, niemogąca znaleźć spełnienia w monotonnym życiu zawodowym, połączyły się, co uczyniło go niewolnikiem groteskowej wręcz namiętności.

W chwilach zadumy zapytywał siebie, co myślała Regina, gdy nabijał jej głowę książkami, których jeszcze nie mogła zrozumieć. Po każdej rozmowie postanawiał sobie już więcej jej nie sprowadzać. To, że nigdy nie zrealizował tego zamiaru, odczuwał zarówno jako przykre, jak i niegodne człowieka, który zawsze gardził słabością. Jednak samotność, której nie doświadczył w latach młodości, a także w wieku średnim, na starość zaczęła brać górę nad siłą woli, a on sam stał się tak skłonny do zmiany nastrojów, jak wrażliwe były jego kości na wilgotne powietrze znad Jeziora Sodowego.

Regina złożyła telegram w tak mały zwitek, że mógłby posłużyć za materac jej wróżce, i wetknęła go do kieszeni swojego szkolnego mundurka. Czyniła wielkie wysiłki, żeby nie myśleć o nim przynajmniej za dnia, ale jej się to nie udawało. Papier szeleścił przy każdym ruchu, czasem tak głośno, że sądziła, iż wszyscy słyszą te zdradzieckie odgłosy i każdy jej się przygląda. Telegram z dużym czarnym stemplem był dla niej jak wiadomość od nieznanego króla, który da się jej poznać, jeśli tylko będzie w niego mocno wierzyć. Gdy nadchodziła chwila, w której musiała

zamykać na cztery spusty zamek swojej wyobraźni, chłostała pamięć bezlitośnie jak tyran swoich niewolników, żeby wydobyć na jaw, czy kiedykolwiek słyszała to nazwisko. Bardzo szybko pojęła, że nie ma sensu szukać sierżanta Martina Barreta w historiach, które opowiadali jej rodzice. Niewątpliwie ten zagraniczny król miał angielskie nazwisko, ale oprócz pana Gibsona, obecnego szefa taty, i pana Morrisona z Rongai rodzice nie znali żadnych Anglików. Był jeszcze oczywiście doktor Charters, który ponosił winę za narodziny martwego dzidziusia, ponieważ nie chciał badać Żydów, ale Regina zdawała sobie sprawę, że on i tak nie wchodzi w rachubę, jeśli to właśnie jej przydarzyło się coś dobrego.

Miała nadzieję i jednocześnie się obawiała, że pan Brindley jeszcze raz będzie ją nagabywać o sierżanta, ale mimo że w środę każdą wolną chwilę spędziła, stojąc w korytarzu prowadzącym do gabinetu dyrektora, nie zobaczyła go ani razu. Czwartek był ulubionym dniem Reginy, ponieważ wtedy przychodziła poczta z Ol' Joro Orok; jej rodzice należeli do nielicznych, którzy pisali także w ostatnim tygodniu przed feriami. Listy rozdawane były po obiedzie. Reginę również wezwano, ale zamiast wręczyć jej kopertę, nauczycielka pełniąca dyżur podczas obiadu rozkazała:

– Masz natychmiast udać się do pana Brindley a.

Tuż za grządką róż, a już na pewno w chwili, gdy Regina stała dokładnie pośrodku między potężnymi kolumnami, wróżka powiedziała jej, że jej wielka godzina wybiła. W gabinecie dyrektora stał król, który wysyłał telegramy do nieznanomych księżniczek. Był bardzo wysoki, miał na sobie wymięty mundur w kolorze khaki, włosy jak pszenica, która była za długo na słońcu, i oczy lśniące mocnym niebieskim blaskiem, które nagle rozjaśniły się tak jak sierść *dik-diks* w skwarze południa.

Oczy Reginy znalazły czas na to, by przewędrować z wielkim spokojem od błyszczących czarnych wysokich butów aż po założoną nieco na bakier czapkę. Gdy wreszcie zakończyła obserwację, doszła do porozumienia z kołatanem w piersi, że jeszcze nigdy nie widziała piękniejszego człowieka. Patrzył na

pana Brindleya tak nieustraszenie, jakby dyrektor był człowiekiem takim jak inni, niepodzielonym na dwie części, i jak gdyby jego dwie połowy można było rozśmieszyć tak łatwo jak Owuora, kiedy śpiewał *Ich hab mein Herz in Heidelberg verloren*.

Nie było wątpliwości, że pan Brindley pokazywał trzy ze swoich zębów, co oznaczało, że się śmieje.

– To jest sierżant Barret – powiedział – i jak słyszę, od bardzo dawna jest przyjacielem twojego taty.

Regina wiedziała, że powinna teraz coś powiedzieć, ale żadne słowo nie przechodziło jej przez gardło. Skinęła więc tylko głową i ucieszyła się, że dyrektor mówi dalej.

– Sierżant Barret – rzekł – przyjechał ze wschodniej Afryki i za dwa tygodnie musi być na froncie. Chciałby zobaczyć jeszcze raz twoich rodziców i już dziś zabrać cię na ferie do domu. To stawia mnie w prawdziwie nietypowej sytuacji. W tej szkole nigdy nie robiliśmy wyjątków i tak też będziemy czynić w przyszłości, lecz w końcu jesteśmy w stanie wojny i wszyscy musimy się uczyć składać najbardziej osobiste ofiary.

Łatwo było, słuchając tego zdania, odważnie patrzeć na pana Brindleya, a jednocześnie przyciskać podbródek do piersi. Zawsze gdy była mowa o ofiarach, dzieci musiały się tak zachowywać, żeby okazać swój patriotyczny zachwyt. Mimo to Regina była tak zmieszana, jakby akurat o zmierzchu biegła przez las bez lampy. Po pierwsze, jeszcze nigdy nie słyszała dyrektora przemawiającego tak długo. Po drugie, ofiary, których wymagała wojna, służyły zazwyczaj za wyjaśnienie, dlaczego nie ma zeszytów, ołówków, dzemu na śniadanie albo budyniu na kolację i ogłaszane były zaraz po nadejściu smutnej wiadomości o zatonięciu jednego z angielskich statków. Regina zastanawiała się, dlaczego żołnierz ze wschodniej Afryki, który chciał ją zabrać na ferie już na cztery dni przed zakończeniem roku, miał być ofiarą, ale wszystko, co przyszło jej na myśl, to że jej podbródek powinien leżeć na piersi.

– Nie mogę – zakończył pan Brindley – nie spełnić życzenia jednego z naszych żołnierzy, który już dziś chce cię zabrać do OY Joro Orok.

– Regina, czy nie podziękujesz panu dyrektorowi?

Regina błyskawicznie pojęła, jak bardzo musi być ostrożna, twarz jej stężała, chociaż była niemal pewna, że w jej gardle tkwi pióro pisklaka flaminga. W ostatnim momencie udało się jej tylko zdusić zdradliwy chichot, który zniszczyłby czary. Król żołnierzy ze wschodniej Afryki przetykał angielskie głoski z takim samym trudem jak Oha i w całym zdaniu wymówił poprawnie tylko jedno słowo, a było nim akurat jej imię.

– Dziękuję. Bardzo panu dziękuję.

– Idź i powiedz pani Chart, żeby pomogła ci się pakować, mała Nell. Nie wolno nam kazać dłużej czekać sierżantowi Barretowi. Na wojnie czas jest cenną rzeczą. Wiemy o tym wszyscy.

Już godzinę później Regina wypuściła powietrze z płuc, wciągnęła je z powrotem i uwolniła swój nos od zniechęcającego ostrego zapachu mydła, czosnku, baraniny i potu, który był dla niej jednym z zagrożeń, jakie wiązały się ze szkołą, tak samo jak łyżki, które dziecko musiało przetykać, zanim zmieniły się w oczach w twarde ziarna soli. Podczas gdy rozwiązywała swój szkolny krawat, a spódniczkę unosiła tak wysoko, że jej kolana patrzyły prosto w słońce, wiatr wymyślał coraz to nowe zabawy z jej włosami.

Za każdym razem, gdy spoglądała przez delikatną czarną siatkę, biała szkoła stojąca na górze była troszkę ciemniejsza. Gdy mnóstwo niewielkich budynków w końcu rozplynęło się w dalekich cieniach pozbawionych konturów, jej ciało stało się lekkie jak młody ptaszek próbujący po raz pierwszy swoich skrzydeł. Regina jeszcze nie odważyła się powiedzieć słowa i w obawie, że król ze wschodniej Afryki przemieni się w pragnienie, jakim mogła jedynie oszukać swoje serce i głowę, zmuszała się, żeby nie patrzeć na Martina. Pozwalała sobie zerkać tylko na jego

ręce obejmujące kierownicę tak mocno, że kostki wyglądały jak kamienie szlachetne.

– Dlaczego ten stary dziwak nazywa cię małą Nell? – zapytał Martin, gdy wykręcił dżipem ze szlaku wiodącego do Nakuru i wjechał na zakurzoną drogę do Gilgil.

Regina roześmiała się, kiedy usłyszała, że król mówi po niemiecku i takim samym tonem jak jej tata.

– To jest długa historia – powiedziała. – Czy znasz się trochę na wrózkach?

– Oczywiście. Jedna stała przy twojej kołysce, kiedy się urodziłaś.

– Co to jest kołyska?

– Uważaj teraz, ty opowiesz mi wszystko, co wiesz o wrózkach. A ja wyjaśnię ci, co to jest kołyska.

– I powiesz mi też, dlaczego zmyśliłeś, że jesteś przyjacielem taty?

– Nie szachrowałem. Twój tata i ja jesteśmy naprawdę starymi przyjaciółmi. Spędziliśmy razem młodość. A twoja mama była niewiele starsza od ciebie, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy.

– Myślałam, że chcesz mnie porwać.

– Dokąd?

– Tam, gdzie nie ma szkół i dyrektorów. I bogatych ludzi, którzy nie lubią biednych. I listów z Niemiec – wyliczała Regina.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem. Ale rzeczywiście trochę żelgałem twojemu dyrektorowi. Przyjechałem z farmy. Spędziliśmy razem wspaniałe dni, twoi rodzice, ja, Kimani i Owuor. I naturalnie Rummler. Ale nie chciałem wyjeżdżać, dopóki cię nie zobaczę.

– Czemu?

– Za trzy dni naprawdę muszę jechać dalej. Na wojnę. Wiesz, poznałem cię, jak byłaś jeszcze bardzo mała.

– To było moje inne życie i nie mogę go sobie przypomnieć.

– Moje też. I niestety mogę je sobie przypomnieć.

– Mówisz jak tata.

Martin był zaskoczony, jak łatwo mu się rozmawia z Regią. Przygotował sobie zwyczajne pytania, jakie zadaje dzieciom dorosły, który nie miał z nimi nigdy do czynienia. Ona jednak opowiadała o szkole w taki sposób, że był zafascynowany, ponieważ rozpoznawał w nim poczucie humoru Waltera z lat młodości, a jednocześnie wyczuwał pewną ironię, która u jedenastolatki była zdumiewająca. Wkrótce orientował się tak dobrze w zawrotnie szybko następujących przejściach z fantazji do rzeczywistości, że mógł podążać za nią bez trudu od jednego świata do drugiego. Po każdej historii Regina robiła długą przerwę, a kiedy zauważyła, że Martina to irytuje, wyjaśniła mu, jakby to on był dzieckiem, a ona nauczycielką:

– Kimani mnie tego nauczył. Nie jest dobrze dla głowy, jeśli usta są otwarte zbyt długo.

Na odcinku pomiędzy Thomson's Falls a Ol' Joro Orok, gdzie droga stawała się coraz węższa, stroma i kamienista, Regina poprosiła:

– Poczekajmy tutaj, aż słońce będzie czerwone. To jest moje drzewo. Kiedy je widzę, wiem, że wkrótce będę w domu. Może przyjdą tu małpy. Możemy sobie pomyśleć jakieś życzenie.

– Czy małpa jest czymś w rodzaju wróżki?

– Wróżek nie ma. Ja tylko tak udaję. To pomaga, chociaż tata mówi, że tylko Anglikom wolno marzyć.

– A więc dzisiaj pomarzemy oboje. Twój tata jest błaznem.

– Och, nie – zaprotestowała Regina, krzyżując palce. – On jest *refugee*... – Jej głos przycichł.

– Bardzo go kochasz, prawda?

– Bardzo. Mamę też – dodała szybko. Zobaczyła, że Martin, który oparł się o gruby pień jej drzewa, zamknął oczy i sama też je zamknęła. Uszy wylapały pierwsze *schauris* opowiadane przez bębny, a skóra nadciągający wiatr, chociaż trawy jeszcze się nie poruszały. Radość z powrotu do domu paliła jej ciało. Rozluźniła gorset, by móc dobrać z piersi lekkie westchnienia, które pełne były tonów zadowolenia, jakiego tak długo jej brakowało.

Martina przywróciły do rzeczywistości jakieś świszczące odgłosy. Zbyt długo patrzył na Reginę i za późno zauważył ogarniający go niepokój. Przez chwilę wmawiał sobie, że to uczucie samotności, które nigdy jeszcze nie dopadło go z taką siłą, odgłosy, których nie umiał sobie wytłumaczyć, i las pełen posepnych olbrzymów wprowadzają zamęt w jego głowie, ale wkrótce pojął, że dręczą go wspomnienia, o których, jak sądził, dawno już zapomniał.

Gdy cyfry na tarczy jego zegarka utworzyły czarny krąg, bijący mu w oczy fioletowymi iskrami, uległ w końcu upojnemu pragnieniu i cofnął się myślami w przeszłość. Najpierw jego nowe angielskie nazwisko rozpadło się na sylaby, których nie umiał już połączyć, a w chwilę potem znów był we Wrocławiu i widział Jettel po raz pierwszy. Martina trochę zdziwiło to, że jest naga, ale taniec jej czarnych loków wprowadził go w stan błogości. Cały czas jednak jego rozsądek brał górę nad pamięcią. Zanim obrazy ostatecznie wypowiedziały mu wojnę, przypominały mu się dziwne historie o Afryce, które opowiadali sobie ludzie z Europy. Wszyscy bali się, że w pewnym momencie sparaliżują ich wizje z przeszłości, odbierając poczucie czasu.

– Przeklęte tropiki – zaklął Martin. Przestraszył się, gdy jego głos eksplodował, rozsadzając ciszę, ale kiedy odpowiedział mu tylko ptak, pojął, że w ogóle nie powiedział tego na głos. Przez pewien czas, którego nie potrafił określić, odczuwał ulgę, że jakoś się wyratował z opresji.

Regina nie była ani podobna do Jettel, ani tak piękna jak ona w dzieciństwie, ale nie była już dzieckiem. Poczuł, że niektóre historie nieustannie się powtarzają, i serce zabiło mu mocno. Kiedyś Jettel uświadomiła mu, że jest mężczyzną. Regina obudziła w nim pragnienie życia przyszłością, a nie przeszłością.

– Chodź – powiedział. – Jedziemy dalej. Przecież chciałaś być zaraz w domu.

– Już jestem w domu.

– Kochasz tę farmę, prawda?

– Tak, ale to jest mój *secret*. Rodzice nie mogą się o tym dowiedzieć. Oni kochają Niemcy.

– Czy obiecasz mi coś? Ze jeśli kiedyś będziesz musiała opuścić farmę, nie będziesz się smucić.

– Czemu miałabym wyjeżdżać?

– Może twój tata też zostanie żołnierzem.

– To będzie śliczne. Będzie miał taki sam mundur jak ty. A pan Brindley powie: „Nie wolno kazać czekać żołnierzowi”. I wszyscy będą mi zazdrościć. Tak jak dzisiaj.

– Zapomniałaś o swojej obietnicy – powiedział z uśmiechem Martin. – Że nigdy nie będziesz się smucić.

Regina znowu spostrzegła, że Martin jest kimś więcej niż zwykłym człowiekiem. On wiedział, że ważne słowa dobrze jest wypowiedzieć więcej niż raz. Odczekała chwilę, zanim zapytała:

– A dlaczego chcesz, żebym się nie smuciła?

– Bo jak się skończy wojna, wrócę do ciebie. Wtedy będziesz kobietą. Ale przedtem muszę wyjechać na front. A tam świat nie jest taki piękny jak tutaj. Więc chciałbym przynajmniej móc pomyśleć, że ty jesteś tak szczęśliwa jak teraz. Czy to by było dla ciebie trudne?

– Nie. Po prostu sobie wyobrażę, że jesteś królem. Moim. Chyba ci to nie przeszkadza?

– Ależ skąd – roześmiał się Martin. – Na tym kawałku ziemi zapomnianym przez Boga można nauczyć się marzyć.

Schylił się i podniósł Reginę na wysokość ramion, a kiedy jej dotknął, czas znowu stanął na głowie. Najpierw poczuł się młody i beztroski, potem zaś, gdy usłyszał, jak ciężko oddycha – stary i głupi. Zebrał się w sobie, by się opanować i zdusić tęsknotę. – Co robisz? – zachichotała Regina. – Łaskocze.

Na początku grudnia 1943 roku pułkownik Whidett otrzymał rozkaz, który całkowicie zepsuł mu radość ze starannie zaplanowanego na święta Bożego Narodzenia urlopu, jaki chciał spędzić w siedzibie ekskluzywnego Mount Kenya Safari Club, i które to zadanie okazało się ponadto, jak dotąd, najtrudniejszym wyzwaniem w jego dotychczasowej karierze wojskowej. Ministerstwo Wojny w Londynie uczyniło go odpowiedzialnym za akcję „J”, która w konsekwencji oznaczać miała reorganizację sił zbrojnych stacjonujących w Kenii.

Kolonia miała, i to niezwłocznie, pójść za przykładem macierzy i innych krajów Wspólnoty Brytyjskiej i przyjąć do Armii Jego Królewskiej Mości także tych ochotników, którzy nie byli obywatelami brytyjskimi, „jeśli tylko wykazywali przyjazne nastawienie wobec sił sprzymierzonych i nie stanowili zagrożenia dla bezpieczeństwa wewnętrznego kraju.” Sformułowanie „w przypadku odnośnych *refugees* należy najpierw ostatecznie potwierdzić ich anty niemiecką postawę” wzmocniło w pułkowniku Whidetcie nabyte podczas dwóch wojen przekonanie, iż brytyjski zdrowy rozsądek nie należał do podstawowych warunków zatrudnienia w angielskim Ministerstwie Wojny.

Ponadto w następnym, nad wyraz rozwlekłym zdaniu, wskazywano na to, że należy również koniecznie wziąć pod uwagę krąg emigrantów z Niemiec. Właśnie tę część rozporządzenia pułkownik uważał w równym stopniu za dezorientującą i zbyteczną, co absurdalną. Zbyt dobrze pamiętał jeszcze wytyczne obowiązujące od czasu wybuchu wojny. Tylko uciekinierzy z samowolnie przyłączonej przez Niemcy Austrii, z brutalnie napadniętej Czechosłowacji i pożałowania godnej Polski uchodzili wówczas za *friendly*, ci z Niemiec zaś bez różnicy za *enemy aliens*. Od tamtego czasu, jak przynajmniej zgodnie twierdziły władze

wojskowe Kenii, nie wydarzyło się absolutnie nic, co miałoby wywrócić ustalony porządek rzeczy.

Pułkownik Whidett najpierw wysłał swoją rodzinę na ferie do Malindi, rozczarowany odwołał własny urlop i z pewnym rozgoryczeniem, niemniej zachowując dyscyplinę, której mimo zrozumiałych pokus nigdy nie poświęcił na rzecz opieszałego stylu kolonialnego, przygotował się do procesu myślenia, którego najwyraźniej od niego wymagano. Z przenikliwością, jaka, jeśli chodziło o rzeczy wykraczające poza granice jego pojmowania, zazwyczaj nie była mu dana, zorientował się szybko, tak jak na początku wojny, że podejrzany już wówczas krąg *refugees* dostarcza problemów, których za pomocą rutynowego postępowania wojskowego nie daje się rozwiązać.

Rozkaz z Londynu Whidett odbierał jako niemal niedopuszczalną zmianę ogólnie, jak dotąd, zadowalającej sytuacji. To jej, bądź co bądź, kolonia zawdzięczała fakt, że większość ludzi z kontynentu zamieszkująca farmy na wyżynie znalazła się w dobrych rękach. Tam w żadnym wypadku nie stanowili oni ryzyka i ponadto byli prawdziwą pomocą dla brytyjskich farmerów służących w wojsku, a oficerowie tacy jak Whidett wcale nie musieli się interesować ich poglądami i przeszłością.

Powoływanie tych ludzi do służby dla Jego Królewskiej Mości w rozległym i – jak na warunki panujące w czasie wojny – niewystarczająco dostępnym państwie takim jak Kenia, było dla nich bezsprzecznie o wiele bardziej uciążliwe, niż myśleli ludzie siedzący przy zielonym stole w kraju macierzystym. W kasynie oficerskim, gdzie Whidett, wbrew swojemu dawniejszemu nawykowi nierozprawiania o sprawach zawodowych, opowiadał o swoich troskach, szybko rozeszło się powiedzenie: *Germans to the front*. Ten przykry przejaw natchnienia pułkownik odbierał nie tylko jako wyzwanie rzucone jego tradycyjnemu brytyjskiemu poczuciu humoru, lecz również jako perfidię, z jaką bezwstydnie odsłaniano jego bezradność. Nie wiedział, jak mógłby dotrzeć do

tych fucking Jerries, pieprzonych Szwabów; nie miał też najmniejszego pojęcia, jak powinien zbadać ich przekonania.

Aż za dobrze funkcjonująca w tym momencie pamięć uświadamiała mu nadto wyraźnie, że w większości przypadków chodziło o ludzi z niebywale zawiłymi życiorysami, którymi obarczali go już na początku wojny. W naj intymniej szych kręgach dodawał bez ogródek, że początek wojny, przynajmniej pod tym względem, był „łatwym ćwiczeniem” w porównaniu z dylematem, którego nie udało się mu rozwiązać jeszcze w lutym 1944 roku, a więc wcale dwa miesiące po nadejściu rozporządzenia z Londynu.

– W 1939 roku – stwierdził Whidett z godnym podziwu sarkazmem – ciężarówki dostarczyły nam chłopców i mogliśmy ich schować w kampusie. Teraz pan Churchill najwyraźniej oczekuje, żebyśmy pojechali do nich na farmy i osobiście sprawdzili, czy żrą jeszcze kiszoną kapustę i mówią „*Heil Hitler*”.

Dziwnym sposobem to właśnie nostalgiczne wspomnienia z początku wojny pomogły pułkownikowi znaleźć zbawienne wyjście z sytuacji. W najodpowiedniejszym momencie przypomniał sobie o rodzinie Rubensów, a więc o godnych uwagi ludziach, którzy w 1939 roku namawiali go do zwolnienia internowanych *refugees*. Skrupulatnie studiując dokumenty, pułkownik natknął się także i na te nazwiska, które niestety znowu były mu potrzebne.

Listem, który napisał nie bez niechęci, ponieważ przyzwyczajony był do wydawania rozkazów, a nie proszenia, Whidett nawiązał kontakt z domem Rubensów. Już dwa tygodnie później w jego gabinecie odbyła się decydująca rozmowa. Pułkownik dowiedział się ze zdumieniem, że czterech synów spośród nadal według niego zbyt ekspresyjnej, lecz z drugiej strony naprawdę teraz przydatnej rodziny Rubensów, jest w wojsku. Jeden z nich w Birnie, która doprawdy nie była rajem dla uchylających się od obowiązków, drugi zaś służył w siłach powietrznych w Anglii. Archie i Benjamin stacjonowali na razie w Nairobi. David mieszkał w domu z ojcem, co dla Whidetta oznaczało dwóch dodatkowych doradców.

– Sądzę – rzekł Whidett do czterech mężczyzn, którzy, jak stwierdził także za pierwszym razem, nie pasowali wyglądem do jego gabinetu – że w Londynie nie przemyślano pewnych rzeczy do końca. Chodzi mi o to – zaczął od nowa i nie bez zażenowania, ponieważ nie wiedział dokładnie, jak powinien wyrazić swoje obiekcje – dlaczego ktoś ma dobrowolnie iść do tej przeklętej armii, jeśli nie musi? Wojna jest przecież daleko stąd.

– Nie dla ludzi, którzy cierpieli przez Niemców.

– A tak było? – spytał Whidett z zainteresowaniem. – O ile sobie przypominam, większość z nich była przecież już tutaj, kiedy wybuchła wojna.

– W Niemczech nie trzeba było czekać na wojnę, żeby ucierpieć od Niemców – powiedział stary Rubens.

– Oczywiście, że nie – pośpiesznie zapewnił Whidett, zastanawiając się, czy tamto zdanie mogło znaczyć coś więcej, niż mu się wydawało.

– A jak pan sądzi, pułkowniku, dlaczego moi synowie są w wojsku?

– Rzadko sobie łamię moją starą głowę problemem, dlaczego ktoś jest w wojsku. Siebie też nie pytam, czemu noszę ten wsza wy mundur.

– A chyba pan powinien, pułkowniku. My to robimy. Dla Żydów wojna przeciwko Hitlerowi nie jest zwykłą wojną. Bardzo niewielu z nas miało wybór, czy chce walczyć, czy nie. Większość naziści mordują, nie dając im możliwości obrony.

Pułkownik Whidett pozwolił sobie na ciche westchnienie wyrażające dezaprobatę. Pamiętał, chociaż nie dał tego po sobie poznać, że ten silny człowiek siedzący przed jego biurkiem również przy pierwszych spotkaniach miał skłonność do stosowania mało apetycznych zwrotów. Doświadczenie i logika podpowiadały mu jednak, że Żydzi, ogólnie rzecz biorąc, potrafią sami rozwiązywać swoje problemy lepiej, niż nie do końca chyba bezstronni obcy.

– Jak w tym cholernym kraju mam w ogóle dotrzeć do waszych ludzi i poinformować ich, że nagle zainteresowała się nimi armia? – zapytał.

– Proszę pozostawić to nam – odparli Archie i Benjamin. Roześmiali się głośno, gdy spostrzegli, że powiedzieli to równocześnie, po czym zaproponowali, również wspólnie, jakby nie umieli mówić oddzielnie: – Jeśli to panu odpowiada, pojeździmy po farmach i zawiadomimy mężczyzn, których to dotyczy.

Pułkownik Whidett kiwnął głową z odrobiną życzliwości. Nie czynił także zbyt wielkich wysiłków, by ukryć uczucie ulgi. Wprawdzie niekonwencjonalne rozwiązania doceniał tylko w stopniu umiarkowanym, jednak gdy wydawały się mu użyteczne, nigdy nie wzbraniał się przed spontanicznym wyrażeniem aprobaty. W ciągu miesiąca otrzymał z Londynu oficjalne zezwolenie na zwolnienie Archiego i Benjamina z regularnej służby wojskowej i powierzenie im misji specjalnej. Do ich ojca napisał list utrzymany w przyjaznym tonie, w którym prosił o dalsze wsparcie. Oszczędził im w ten sposób ponownego spotkania, które, zdaniem Whidetta, dla obu stron byłoby zbyt osobiste.

W następną piątek po wieczornym nabożeństwie stary Rubens wygłosił krótką przemowę, w której mówił o obowiązku podziękowania za gościnę w tym kraju, jaki spoczywa na młodych żydowskich imigrantach, i nie tracąc czasu, zabrał się do organizowania, czego trzeba. David podjął się nawiązać kontakt z *refugees* mieszkającymi pomiędzy Eldoret i Kisumu, Benjamin miał objechać wybrzeże, a Archie regiony wyżynne.

– Zacznę od człowieka w Sabbatii. Bez tłumacza nigdzie się nie ruszę – zdecydował.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że nasi współwyznawcy wciąż jeszcze nie znają angielskiego? – zapytał go brat.

– Spotyka się tutaj naprawdę dziwne przypadki. Od dwóch lat mamy w pułku jednego takiego zabawnego Polaka, który nie mówi prawie ani słowa – odparł Archie.

– Moim mądrym synom nic takiego by się oczywiście nie przytrafiło, gdyby musieli wyemigrować. Wszyscy ci, którzy mieszkają na farmach Kikujus, wyuczyli się najlepszej oksfordzkiej angielszczyzny – rzekł ich ojciec.

Ponieważ mała pora deszczowa w Ol' Joro Orok jeszcze się nie rozpoczęła, farma Gibsona była jedną z pierwszych na trasie Archiego. Tym sposobem w marcu 1944 roku, tak jak Whidettowi, przypomniano Walterowi o wojnie. Człowiekiem, który poinformował go o decydującym zwrocie w jego życiu, i tym razem był Süsskind.

Dotarł na farmę późnym popołudniem wraz z Archiem – który był w mundurze starszego sierżanta – i gdy tylko wysiadł z samochodu, krzyknął:

– Już czas! Jeśli chcesz, możesz od teraz liczyć swoje dni. Chcą nas nareszcie złapać.

Potem podbiegł do Jettel, zakręcił nią w koło i powiedział ze śmiechem:

– A ty będziesz najpiękniejszą panną młodą w Nairobi. Daję głowę.

– Co to znowu ma znaczyć? – zapytała Jettel.

– Możesz zgadywać trzy razy – powiedział Walter.

Farma właśnie szykowała się do pożegnania dnia. Z powodu silnego wiatru Kimani głośniejszym niż zwykle uderzał żelaznym prętem w cysterne na wodę. Echo odpowiadało głębokimi tonami, odbijając się od gór. Sępy, skrzecząc, zrywały się z drzew i natychmiast siadały z powrotem na rozkołysanych gałęziach.

Rummler, sapiąc, wgramolił się ociężale do dżipa Archiego, umościł się na siedzeniach i wygrzewał swoją wilgotną sierść. Kamau w koszuli, która miała kolor młodej trawy, nosił do kuchni

drewno na podpałkę. Z lasu dobiegały wyraźnie głuche odgłosy bicia w bębny. Powietrze było jeszcze ciepłe i miękkie od światła słońca, które dopiero co zaszło, a już wilgotne pierwszymi perlami wieczornej rosy. Przed chatami zapalono ogień, a psy *schambaboy*s, głośno szczekając, węszyły za hienami, które zaczynały wyc.

Walter zauważył, że palce mu zdrętwiały, a w gardle poczuł suchość. Oczy go piekły. Tak jak gdyby widział to wszystko po raz pierwszy i jeszcze nigdy przedtem nie słyszał znajomych sobie dźwięków. Serce biło mu jak oszalałe, przez co czuł się coraz mniej pewnie. Chociaż próbował się bronić, przeczuł ów znienawidzony, tnący i niewytłumaczalny ból pożegnania, który mógł go dosięgnąć.

– Jak Faust – powiedział nagle zbyt głośno. – Dwie dusze w piersi.

– Jak kto? – spytał Süsskind.

– Ach, nic. Nie znasz go, to nie *refugee*.

– Czy nie zechciałbyś im w końcu wytłumaczyć? – zapytał Archie.

W jego głosie słyhać było niecierpliwość człowieka z miasta. Zauważył to i uśmiechnął się do psa leżącego w samochodzie, ale Rummler wyskoczył, warcząc przez zęby.

– Nie trzeba – uspokoił go Süsskind – oni już wiedzą. My tutaj poza miastem już od wielu miesięcy o niczym innym nie myślimy.

– Tak bardzo wam się śpieszy do wyjazdu z farmy? Albo boicie się, że wojna się skończy, zanim wy zdążycie odegrać bohaterów?

– Mamy rodzinę w Niemczech.

– *Sorry* – wyjąkał Archie, idąc za Süsskindem w stronę domu. Miał takie samo nieprzyjemne uczucie miękkości w kolanach, jak wtedy kiedy był chłopcem, a ojciec karmił go za

bezczelną uwagę. Zapragnął więc usiąść. Jednak zanim jeszcze znalazł jakieś krzesło, uniósł głowę i rozejrzał się wokoło. Najpierw pobieżnie, potem z dokładnością, która go rozweseliła, przypatrzył się rycinie przedstawiającej wrocławski ratusz. Żółty papier oprawiony był w czarną ramę.

Archie nie był przyzwyczajony do oglądania innych widoków niż portret dziadka w jadalni lub fotografie z własnego dzieciństwa czy z safari i polowań z udziałem jego kuzynów z Londynu, jednak wizerunek budowli z wieloma oknami, imponujących rozmiarów wejściem, przed którym stało kilku mężczyzn w wysokich kapeluszach, i dachem, który bardzo mu się spodobał, jednocześnie przykuł jego uwagę i go rozdrażnił.

Obraz jawił mu się jako część świata, o którego istnieniu nie wiedział więcej niż *hausboys* jego ojca wiedzieli o żydowskich świętach.

To porównanie wydało mu się groteskowe. Skubiąc rękaw swojego munduru z koroną naszytą nad trzema belkami z białego materiału, zastanawiał się, czy Airforce już zrzuciła bomby na miasto, w którym stał ten zwracający uwagę budynek, i czy był przy tym jego brat Dan. Zdziwił się nieco, że ta myślenie mu się nie spodobała; niezadowolenie przeradzało się w irytację. Ale było już za późno, by dojechać do następnej farmy.

Jettel poprosiła Owuora, żeby zaparzył kawę. Archie zdumiał się, słysząc jej płynny suahili. Zadał sobie pytanie, dlaczego wydało mu się to takie nieoczekiwane, i poczuł się głupio, bo nie umiał znaleźć odpowiedzi. Kiedy się do niej uśmiechnął, stwierdził, że jest piękna i zupełnie inna niż kobiety, które znał z Nairobi. Tak samo jak obraz oprawiony w czarną ramę robiła wrażenie, jakby pochodziła z innego świata.

Jego żona Dorothy na pewno nie włożyłaby na farmie sukienki, tylko spodnie, i to prawdopodobnie te należące do niego. Czerwone kwadraty na czarnym materiale głęboko wyciętej sukienki Jettel zaczęły rozmazywać się Archiemu przed oczami, a kiedy się odwrócił i znów popatrzył na ratusz, wydało mu się, że

liczne małe okienka są teraz większe. Zauważył, że właśnie zaczyna się jeden z jego ataków migreny, i zapytał, czy nie mógłby poprosić o kieliszek whisky.

– Na coś takiego nie ma tutaj pieniędzy – odpowiedział mu Süsskind.

– Co on mówi? – chciał dowiedzieć się Walter.

– Że mu się podoba wasz obraz – wyjaśnił Süsskind.

– To wrocławski ratusz – rzekła Jettel. Zauważyła, że Archie znów powiedział *sorry* i tym razem to ona posłała mu uśmiech, jednak lampy nie były jeszcze zapalone i nie mogła zobaczyć, czy odpowiedział na jej spojrzenie. Uzmysłowała sobie, że w czasach jej młodości taka wymiana niewinnych znaków mogłaby być początkiem flirtu, ale nim się ożywiła, zdała sobie sprawę, że zapomniała już sztuki kokieterii.

Na kolację jedli ryż z mocno przysmażoną cebulą i suszonymi bananami.

– Wyjaśnij, proszę, naszemu gościowi – tłumaczyła się Jettel – że nie byliśmy przygotowani na wizytę.

– A poza tym przestaliśmy jeść mięso, odkąd Regina okazała się na tyle bezwzględna, by wyrosnąć ze swoich butów – powiedział Walter. Próbował przy tym złagodzić ironię uśmiechem.

– To jest tradycyjna potrawa niemiecka – przetłumaczył Süsskind, postanawiając, że przy najbliższej okazji odnajdzie w leksykonie angielski odpowiednik Śląska.

Archie musiał się bardzo namęczyć, żeby nie dłużyć w stojącej przed nim potrawie. Przypomniał sobie, że kiedyś na trzecim roku Boarding School raz spóźnił się na posiłek i za karę musiał nauczyć się na pamięć jakiegoś idiotycznego wierszyka o głupkowatej dziewczynce, która nie lubiła budyniu z ryżem, ale teraz pamiętał tylko pierwszy wers. Daremne usiłowania odnalezienia w pamięci drugiego nie starczyły mu na długo.

Postanowił więc połykać ryż, a zwłaszcza słone banany, bez przeżuwania, żeby móc krócej czuć ich smak. Przychodziło mu to łatwiej niż uporanie się z ogarniającym go wstydem. Z początku sądził, iż tym, co go tak drażni, jest tylko wstręt, jaki czuje na widok tego niezwykłego pożywienia, i dziwna atmosfera, jednak nieznosnie szybko zaciążyła mu myśli, że jego rodzina i pozostali z dawna osiadli w Nairobi Żydzi zawsze tak chętnie pomagali emigrantom, czy to w kwestiach finansowych, czy służąc radą, jednak nigdy nie zajmowali się ich przeszłością, obecnym życiem, troskami i uczuciami.

W dodatku coraz bardziej dokuczliwa stawała się dla Archiego konieczność kierowania każdego słowa do Süsskinda, by ten tłumaczył gospodarzom wszystko, co chciał powiedzieć. Odczuwał wręcz absurdalne pragnienie whisky, a jednocześnie wydawało mu się, jakby wychylił już trzy podwójne na czczo.

Znowu był jak dziecko przyłapanie na podsłuchiwanie pod drzwiami. Długo wówczas trwało, zanim zdołano go od tego odzwyczać. W końcu dał za wygraną w tej walce o zachowanie panowania nad sobą i oznajmił, że jest zmęczony. Z ulgą przyjął propozycję powrotu do pokoju Reginy.

Süsskind wpatrywał się w ogień, Jettel wyskrobywała resztki ryżu z miski i podsuwała je pod pysk Rummlerowi, Walter kręcił nożem, obracając go wokół własnej osi. Wszyscy troje jak gdyby tylko czekali na jakiś znak, by móc oddać się naturalnej wesołości, jakiej zaznawali przy okazji tradycyjnych wizyt Süsskinda, ale milczenie ciążyło im za bardzo; wybawienie nie nadchodziło. Wszyscy to czuli, także Süsskind, który bardzo się dziwił, że stracili już umiejętność akceptowania zmian. Już samo to, że życie mogłoby potoczyć się innym torem, wprawiało ich w lęk. Łatwiej im było znosić krępujące ich więzy, niż je przeciąć. Łzy, których jeszcze nie przeczuwała, trysnęły Jettel z oczu.

– Jak możesz nam to robić?! – krzyknęła. – Tak po prostu ginąć na wojnie, po tym wszystkim, co przeżyliśmy? A co będzie ze mną i Regina?

– Jettel, nie rób scen. Armia jeszcze mnie nie wzięła.

– Ale cię weźmie. Dlaczego akurat ja miałabym mieć szczęście?

– Mam czterdzieści lat – powiedział Walter. – Dlaczego akurat ja miałbym mieć szczęście? Nie mogę sobie wyobrazić, że Anglicy czekają tylko na mnie, żeby w końcu wygrać tę wojnę.

Wstał i chciał pogłaskać Jettel, ale nie czuł ciepła w swoich dłoniach, więc opuścił ręce i podszedł do okna. Znajomy zapach, który wydzielala wilgotna ściana drzew, tym razem okazał się łagodny i słodki. Walter widział jedynie ciemność, jednak wyczuwał piękno, które zazwyczaj cieszyło tylko oczy Reginy. Jak ma o tym powiedzieć Reginie? Zbyt późno spostrzegł, że mówi na głos.

– O Reginę nie musisz się martwić – płakała Jettel. – Ona każdego wieczoru się modli, żebyś mógł pójść do wojska.

– Od kiedy?

– Odkąd był tu Martin.

– Nie wiedziałem o tym.

– A o tym, że jest w nim zakochana, pewnie też nie wiesz.

– Bzdura.

– Nie zapomniała niczego, co Martin jej powiedział. Uczepiła się każdego jego słowa. To ty musiałeś go namówić, żeby przygotował Reginę na wyjazd z farmy. Zawsze przecież spiskowaliście razem.

– O ile pamiętam, to raczej ty weszłaś z nim w spisek. O zmroku z zamroczonym Martinem. Czy naprawdę myślisz, że już nie pamiętam, co się wtedy stało we Wrocławiu?

– Nic się wtedy nie stało. Po prostu znowu byłeś zazdrosny bez powodu. Jak zawsze.

– Dzieciaki, nie kłóćcie się. Bądź co bądź, nie jest tak źle – powiedział Süsskind. – Archie mówił mi, jak to będzie wyglądać.

Zostaniesz wezwany przed komisję i będziesz musiał powiedzieć, dlaczego chcesz iść do armii. Tylko nie bądź durniem. Anglicy na pewno nie chcieliby usłyszeć, że gnijecie na farmie.

– Ja nie chcę wyjeżdżać z farmy – szlochała Jettel. – Ta farma to mój dom.

Poczuła satysfakcję, że bez wielkiego wysiłku udało jej się głosem i mimiką wyrazić kłamstwo, naiwność i upór, ale potem zrozumiała, że Walter przejrzał te jej gierki.

– Odkąd jesteśmy na emigracji, Jettel cały czas spędza na użalaniu się z powodu utraconych rozkoszy życia. – Mówiąc to, Walter patrzył tylko na Süsskinda. – Naturalnie, że chcę wyjechać z farmy. Ale nie tylko to. Po raz pierwszy od lat mam uczucie, że ktoś mnie pyta, czy mam ochotę coś uczynić, czy nie, i że mogę zrobić coś, do czego mam przekonanie. Mój ojciec by chciał, żebym poszedł do wojska. On też wypełnił swój obowiązek jako żołnierz.

– Myślałam, że nie lubisz Anglików – wytknęła mu Jettel. – Dlaczego teraz chcesz dla nich ginąć?

– Wielki Boże, Jettel, na razie jeszcze nie jestem martwy. A poza tym to Anglicy mnie nie lubią. Ale jeśli oni teraz mnie potrzebują, chcę w tym wziąć udział. Może potem pewnego dnia będę mógł spojrzeć w lustro i nie czuć się jak stary głupiec. Jeśli chcesz wiedzieć dokładnie, to zawsze chciałem być żołnierzem. Od pierwszego dnia wojny. Owuor, co ty robisz, dlaczego wrzucasz do ognia taki wielki kawał drewna? Przecież niedługo idziemy spać.

Owuor miał na sobie jego adwokacką togę. Cicho pogwizdując, dołożył jeszcze kilka konarów do kominka, napełnił usta ciepłym powietrzem z płuc i karmił nim delikatnie płomienie. Potem wstał tak powoli, jakby najpierw musiał obudzić każdy członek swego ciała. Cierpliwie czekał, aż przyjdzie także jego czas na mówienie.

– *Bwana* – powiedział, ciesząc się z góry z wielkiego zdumienia, na jakie czatował od przyjazdu *bwana askari*. –

Bwana – powtórzył i zaśmiał się jak hiena, która znalazła zdobycz. – Kiedy wyjedziesz z farmy, pójdę z tobą. Nie chcę cię znowu szukać, jak w dniu, w którym wyjechałeś z Rongai na safari. *Memsahib* potrzebuje swojego kucharza, jak pójdziesz do *askaris*.

– Co ty mówisz? Skąd wiesz?

– *Bwana*, ja potrafię czuć zapach słów. I dni, które jeszcze nie przyszły. Czy o tym zapomniałeś?

Rankiem szóstego czerwca 1944 roku, na dwie godziny przed pobudką Walter siedział w żołnierskiej kantynie. Przez wąskie otwarte okno wpadało ożywcze chłodne powietrze księżycowej nocy i parując, wnikało w drewniane ściany, które przez krótkie, nieoczekiwane radosne momenty miały świeży zapach cedrów z Ol' Joro Orok. Czas, w którym noc przeradzała się w świt, był dla Waltera jak miłe zadośćuczynienie za jego bezsenność. Idealna chwila na porządkowanie splątanych myśli i obrazów, pisanie listów czy wyszukiwanie wiadomości w języku niemieckim, z dala od podejrzliwych spojrzeń żołnierzy, którzy szczęśliwie urodzili się we właściwym kraju, lecz nie mieli na tyle wyobraźni, by umieć to docenić. Wepchnął w spodnie zgrzebną koszulę w kolorze khaki, która o wiele lepiej nadawała się na wojnę w warunkach europejskiej zimy niż na gorące dni na południowym brzegu Jeziora Sodowego w Nakuru, i delektował się uczuciem zadowolenia – odbierał je jako najbardziej podniecające doświadczenie nowego bezpieczeństwa.

Po pierwszych czterech tygodniach pobytu w wojsku wciąż jeszcze nie zdołał się przyzwyczać do bieżącej wody, światła elektrycznego i intensywności każdego dnia na tyle, by przestać cieszyć się tymi długo niedostępnymi dobrodziejstwami. Odczuwał dziecienną radość, gdy w czasie wolnym mógł przyjść do biura i popatrzeć na aparat telefoniczny. Czasem brał do ręki słuchawkę, tylko po to, by usłyszeć sygnał wolnej linii.

Każdego dnia słuchał radia szczęśliwy, że nie musi już myśleć o bateriach. Kiedy dentysta z kompanii niewprawnie i niedelikatnie wyrwał mu dwa zęby, które nękały go już od pierwszych dni w Ol' Joro Orok, nawet ten ból odczuł jako dowód na to, że daleko zaszedł – nie musiał się troszczyć o rachunek. Gdy tylko nie był zbyt wycieńczony fizycznie i nie oblewały go gwałtowne poty, jak to się zdarzało przez kilka ostatnich dni,

pozwał sobie na przyjemność dokonywania bilansu swojego tak nagle odmienionego życia.

W ciągu miesiąca słuchał, mówił i śmiał się więcej niż przez pięć lat na farmach w Rongai i Ol' Joro Orok. Jadł cztery razy dziennie, w tym dwa posiłki mięsne, które nic go nie kosztowały, miał do dyspozycji bieliznę, buty i więcej par spodni, niż potrzebował, papierosy kupował po tańszej taryfie przysługującej żołnierzom, a także miał prawo do tygodniowej racji alkoholu, który już dwukrotnie kupował dla niego pewien wąsaty Szkot, gdy Walter poklepał go przyjaźnie po plecach. Jako rentier British Army mógł opłacać z żołdu szkołę Reginy i jeszcze posyłać Jettel do Nairobi jednego funta. Ponadto otrzymywał od armii miesięczny dodatek. Najważniejsze jednak było dla Waltera to, że żył bez lęku, iż każdy list może oznaczać zwolnienie z nielubianej posady, a więc jego zgubę.

Papier i koperty na listy znajdowały się w szafce; między pustymi butelkami i zapełnionymi popielniczkami znalazł kałamarz i obsadkę. Na myśl, że ma się tylko sam obsłużyć, a potem armia już opłaci i wyśle jego pocztę, poczuł się jak żebrak, który stanął przed górą ze słodkiej kaszy w Szlarafii, kraju próżniaków z niemieckiej bajki. Na ścianie wisiała pożółkła fotografia Jerzego VI. Walter uśmiechnął się do surowo spoglądającego na niego angielskiego króla. Zanim rozcieńczył wodą wyschły atrament, liczył krople spadające z kranu do zardzewiałego zlewu, gwizdząc przy tym melodię *God Save the King*.

Moja ukochana Jettel, napisał i odłożył obsadkę na stół nieco wylękniony, jakby sprowokował los i musiał teraz stanąć przed zazdrosnymi bogami. Przyszło mu bowiem na myśl, że już od lat nic podobnego do żony nie powiedział, ani też niczego takiego do niej nie poczuł. Przez moment zastanawiał się, czy ta czułość, która wyszła od niego tak naturalnie, ma go cieszyć czy zawstydząć, ale nie umiał sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Mimo to był z siebie dość zadowolony, gdy na żółtym papierze skrobał słowa: *Masz zupełną rację. Znów piszemy do*

siebie listy jak wówczas, gdy byłaś we Wrocławiu i czekałaś na wyjazd. Z tą różnicą, że teraz wszyscy troje jesteśmy bezpieczni i możemy czekać w spokoju na to, co nam przyniesie życie. I sądzę, w przeciwieństwie do Ciebie, że powinniśmy być szczególnie wdzięczni losowi i nie wolno nam się uskarżać tylko z tego powodu, że musimy zmienić przyzwyczajenia. Mamy w ten sposób jakieś nowe zadanie.

A teraz o mnie. Przez cały dzień mam tu coś do zrobienia i nie mogę pojąć, jak ci Anglicy tak długo dawali sobie radę beze mnie. Szkołą nas tak dokładnie, jakby tylko czekali na bloody refugees, by w końcu móc uderzyć. Ze mnie, jak sądzę, chcą zrobić mieszankę zawodnika do walki wręcz i kreta. Wieczorami wydaje mi się, jakbym znowu miał malarię, ale mam nadzieję, że wkrótce mi się polepszy. W każdym razie cały dzień czołgam się w błocie i szlamie, i czasami po ćwiczeniach nie wiem już, czy jeszcze żyję, czy też nie. Ale nie przejmuj się. Twój stary dobrze się trzyma, a wczoraj wieczorem miałem nawet wrażenie, że sierżant do mnie mrugnął. Chociaż on ma zęza jak stary Wanja z Żor. Może chciał mi nawet przyznać jakiś order, boja to wszystko wytrzymuję z bąblami na stopach. No ale oczywiście nie potrafił wymówić mojego nazwiska, więc nic nie powiedział.

Jeślibyś się dziwiła tym bąblom, to mam je dlatego, że wydali mi zbyt ciasne buty, a ja nie znam angielskiego tak dobrze, by móc im o tym powiedzieć. Postanowiłem sobie jednak nie prosić żadnego z refugees z mojej unit (to znaczy jednostki) o tłumaczenie. Może w ten sposób nauczę się tego języka. A poza tym instruktorzy nie lubią, jak się mówi po niemiecku. Sami przynajmniej zauważyli, że moja czapka jest za duża i stale zsuwa mi się z głowy. Od dwóch dni mogę więc znowu widzieć, gdy jestem w mundurze. Widzisz teraz, że żołnierz też ma swoje problemy, tylko nieco inne niż dotychczas.

Pomyślałem sobie, że musimy koniecznie uświadomić Reginie najważniejszą zmianę w jej życiu. Nie musi się już teraz modlić każdego wieczoru o to, żebym nie stracił posady, lecz może się skupić na proszeniu dobrego Boga o zwycięstwo sprzymierzonych.

Ona oczywiście nie ma pojęcia, że stacjonuję w Nakuru. Pewnie już zauważyłaś, że poczta z wojska wysyłana jest bez nadawcy. Ale niechętnie stawiałbym ją w takim samym położeniu, w jakim znalazła się, gdy byłaś w ciąży.

W każdym razie jestem pewny, że podjęliśmy właściwą decyzję. Pewnego dnia przyznasz mi rację. Tak jak w międzyczasie zrozumiałaś, jak dobrze się stało, że wyemigrowaliśmy do Kenii zamiast do Holandii. Zresztą poznałem tutaj całkiem sympatycznego chłopaka, który miał w Gorlicach sklep z radioodbiornikami. Oczywiście on umie się obchodzić z radiem o wiele lepiej ode mnie, więc jest dobrze poinformowany. Powiedział mi, że również dla Żydów holenderskich nie ma już żadnej nadziei. Ale nie wspominaj o tym swoim gospodarzom. O ile pamiętam, Bruno Gordon miał brata, który w 1933 roku wyjechał do Amsterdamu.

Mam nadzieję, że wkrótce znajdziesz w Nairobi jakieś zajęcie, a może nawet pracę, która będzie ci odpowiadać. Kto wie, czy pewnego dnia nie będziemy mogli odłożyć trochę pieniędzy na potem, jak skończy się wojna. (Wtedy już nie będą potrzebowali żołnierzy, ale za to my zaczniemy nowe życie). Gdy nie będziesz musiała mieszkać u Gordonów i żyć tak, jak chcesz, na pewno się zaprzyjaźnisz z Nairobi. Przecież zawsze chciałaś być pomiędzy ludźmi. Ja tutaj właśnie z tego czerpię wielką satysfakcję mimo całej tej mitręgi.

Wszyscy Anglicy w naszej unit to bardzo młodzi chłopcy i właściwie są całkiem sympatyczni. Wprawdzie nie rozumieją, dlaczego człowiek, który ma ten sam kolor skóry co oni, nie mówi także w ich języku, ale niektórzy klepią mnie życzliwie po plecach. Prawdopodobnie dlatego, że z ich punktu widzenia jestem stary jak świat. W każdym razie po raz pierwszy od czasu pożegnania z Głubzcycami nie czuję się tak zupełnie jak człowiek drugiej klasy, chociaż mam podejrzenie co do sierżanta, że nie jest filosemitą. Czasem to nawet lepiej, gdy się nie zna języka.

Bardzo brakuje mi Kimaniego. Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale po prostu nie mogę sobie darować, że jak

wyjeżdżaliśmy z farmy, nie zdążyłem się z nim spotkać i powiedzieć mu, jakim dobrym był przyjacielem. A ty się ciesz, że masz przy sobie Owuora i Rummlera, nawet jeśli Owuor wadzi się ze służącymi Gordona. W Ol' Joro Orok, poza nami, z nikim nie miał dobrych stosunków. Dla nas on jest kawałkiem ojczyzny. Tak to przede wszystkim odbierze Regina, kiedy po raz pierwszy będzie spędzać ferie w Nairobi. Widzisz, że na stare lata robię się sentymentalny. Ale armia angielska miała ostatnio tyle sukcesów, że może sobie pozwolić na jednego sentymentalnego żołnierza. Ten ostatni nauczył się już nawet kilku angielskich przekleństw i notabene czeka z utęsknieniem na Twój list. Skrobnij wkrótce do Twojego starego Waltera.

W nowej rzeczywistości Waltera pojawiały się rysy, tylko kiedy myślał o Reginie. Ogarniał go wówczas lęk tak przeraźliwy, jak za dni największego zwątpienia. Nie mógł sobie wyobrazić w Nairobi córki, dla której domem stało się OF Joro Orok. Nie do zniesienia była dla niego myśl, że pozbawił ją korzeni, wymagając od niej ofiary, której nie rozumiała.

Brak wyjścia z sytuacji i zwątpienie nie łamały jego dumy tak boleśnie jak wiedza, że powołanie do wojska zdegradowało go w oczach córki, która teraz uważała go za tchórza. To, że będzie trzeba rozstać się z farmą, musiał zakomunikować jej pisemnie. Było to pierwsze cierpienie, które zadał Reginie świadomie. W liście wysłanym jej do szkoły starał się odmalować życie w Nairobi jako pasmo pogodnych, beztroskich, urozmaiconych dni spędzonych w towarzystwie nowych przyjaciół, jednak nie potrafił znaleźć właściwych słów, bo nie mógł nie myśleć przy tym o swoich pożegnaniach z Zorami, Głubczycami i Wrocławiem. Regina odpowiedziała natychmiast, ale słowem nie wspomniała o farmie, której miała już nigdy nie zobaczyć. *England*, napisała podkreślonymi na czerwono drukowanymi literami, *expects every man to do his duty. Admiral Nelson*⁷.

⁷ England expects every man... (ang.) – Anglia spodziewa się, że każdy z was będzie wykonywać swoje obowiązki; hasło, które na swoim okręcie flagowym kazał wywiesić admirał Horatio Nelson (1758-1805) (przyp. red.).

Gdy Walterowi w końcu udało się przetłumaczyć to zdanie z pomocą małego leksykonu, który od pierwszego dnia pobytu w armii był jego jedyną lekturą, stwierdził, że zna je już od ósmej klasy gimnazjum, i nie wiedział, czy to los z niego drwi, czy własna córka. Żadna z tych możliwości mu się nie podobała.

Dreńczyło go pytanie, czy Regina jest już rzeczywiście na tyle dorosła, przepełniona patriotyzmem, a przede wszystkim tak zanglicyzowana, by nie okazywać swoich uczuć, czy to po prostu tylko zranione dziecko, które gniewa się na tatę. Zawsze gdy tak rozmyślał, jedno było dla niego jasne: wiedział zbyt mało o córce, by móc wytłumaczyć sobie jej reakcje. I o ile nie wątpił w jej uczucie, o tyle nie ulegał już złudzeniom. On i jego dziecko już nie mówili tym samym językiem ojczystym.

Przez jedną chwilę, w której pozostawał głuchy na dźwięki nadchodzącego dnia, wyobraził sobie, że gdy nauczy się angielskiego, nie będzie już nigdy rozmawiał z Regimą po niemiecku. Słyszał, że czyni tak wielu emigrantów, by zapewnić swoim dzieciom bezpieczeństwo i poczucie silnego zakorzenienia się w nowym środowisku. Wizja siebie samego bełkoczącego wstydlawie i z zażenowaniem słowa, których nie potrafił wymówić, wymachującego rękami, by móc się porozumieć, przybrała w świetle brzasku groteskowo namacalną formę.

Walter usłyszał, jak Regina się śmieje, najpierw cicho, potem rażąco głośno. Jej śmiech brzmiał jak znielowidzone wycie hien. Myśl, że ona się z niego naigrawa, a on nie potrafi się obronić, wprawila go w panikę. Jak miał wyjaśnić córce w obcym języku, co takiego się stało, że wszyscy troje stali się na zawsze odszczepieńcami? Jak po angielsku mówić o ojczyźnie, która zadreńczyła jego serce?

Jedynie wielkim wysiłkiem udało mu się uspokoić, a potrzebował tego na cały dzień. Nerwowym ruchem poruszył pokrętlami radia, chcąc wyzwolić się od zaklętych przez siebie samego widziadeł. Gdy poczuł krople zimnego potu spływające mu z karku na plecy, zadrżał, bo zrozumiał, że przeszłość jednak go dopadła. Odkąd znalazł się w wojsku, po raz pierwszy się

zdarzyło, iż to, o czym wiedział i co od siebie odsuwał, wróciło i zaatakowało. Nosił piętno bezdomności na czole i do końca życia miał pozostać obcy wśród obcych.

Dobiegły go strzępy słów. Chociaż regulator radia nie był podkrecony do końca, słowa były głośne i przebijało z nich zdenerwowanie, czasem niemal histeria, a mimo to uspokoiły jego pomieszane zmysły. Wkrótce zauważył, że głos spikera brzmi inaczej niż zwykle. Walter próbował złożyć w słowa poszczególne sylaby, ale bez powodzenia. Wyciągnął z szafy czystą kartkę papieru i zmuszał się, by każdy usłyszany dźwięk zamienić w litery. Nie składały się one na żaden sens, a jednak zauważył, że dwa słowa powtarzały się wielokrotnie w krótkich odstępach czasu i że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, były to wyrazy: *Ajax* i *Argonaut*. Waltera zdumiało, że mimo nosowej angielskiej wymowy rozpoznał obie znajome nazwy. Przed jego oczami przesunął się obraz nauczyciela Gladischa ze szkoły założonej przez księcia w Pless, z kamiennym wyrazem twarzy rozdającego zeszyty po pracy kontrolnej z języka greckiego, ale nie miał już czasu na zagłębianie się we wspomnienia. Miękką drewnianą podłogą pomieszczenia rozbrzmiewała nowymi odgłosami.

Sierżant Pierce pojawił się równocześnie ze wschodzącym słońcem. Jego kroki miały już moc, która przydawała mu dumy, lecz reszta ciała walczyła jeszcze z nocą, obojętną na jego talent do umieszczania podwładnych w łatwym do ogarnięcia, bezpiecznym świecie własnych przekleństw i bezkompromisowości. Niemrawym i pozbawionym koncentracji ruchem sierżant przejechał ręką po bujnych włosach, ziewnął kilka razy jak pies, który leżał zbyt długo na słońcu, zapiął bardzo powoli pas i rozejrzał się, jakby czegoś szukał. Jak gdyby czekał na jakiś określony znak, by móc zacząć dzień.

Gdy tak w milczeniu lustrował Waltera nie do końca jeszcze przytomnym wzrokiem, wyglądał jak dawno zapomniana przez historię statua, lecz nagle, z nieoczekiwaną raptownością, życie wstąpiło w jego członki. Wykonał kilka groteskowych skoków i

rzucił się do radia, niemal nie dotykając podłogi ciężkimi buciorami. Łapiąc gwałtownie oddech, nastawił radio na cały regulator. Wielce niezwykły jak na jego bladą cerę rumieniec zdradzał równie niezwykłe jak na niego osłupienie. Sierżant Pierce ceremonialnym ruchem wyprostował się na całą wysokość, oparł ręce na biodrach i wypuszczając powietrze z płuc, przeraźliwie wrzasnął:

– *They've landed!*

Walter natychmiast poczuł, że musiało się wydarzyć coś niezwykłego i że sierżant czeka na jego reakcję, ale nie miał odwagi na niego spojrzeć, tylko zakłopotany wlepił wzrok w kartkę zapisaną własnym pismem.

– *Ajax* – powiedział w końcu, chociaż było dla niego jasne, że Pierce musi go brać za kretyna.

– *They've landed!* – krzyknął jeszcze raz sierżant. – *You bloodyfool, they've landed!*

Wymierzył Walterowi mocnego szturchańca w ramię, który, prócz zniecierpliwienia, wyrażał także pewną dozę życzliwości. Chwycił go za rękę i pociągnął do niewyraźnie wydrukowanej mapy wiszącej pomiędzy wizerunkiem króla a pouczeniem, by nie zdradzać lekkomyślnie tajemnic wojskowych.

– *Here!* – ryknął.

– *Here* – powtórzył Walter rad, że udało mu się przynajmniej raz uchwycić głoski wypowiedziane przez Pierce'a. Bezradnie wodził wzrokiem za mięsistym paluchem sierżanta wędrującym po mapie, który w końcu zatrzymał się na Norwegii.

– *Norway* – przeczytał z gorliwością Walter na głos, zastanawiając się z napięciem, czy słowo to rzeczywiście rymuje się z *Ei*, jajko, i co takiego mogło się właśnie tam wydarzyć.

– *Normandy, you damn'd fool* – poprawił go Pierce podniecony. Przesunął najpierw palec wskazujący na wschód ku Finlandii, a potem na południe do Sycylii, a gdy Walter nadal stał bez słowa, zabębnił w mapę Europy całą wytatuowaną ręką.

Wreszcie wpadł na niezwykle jak na człowieka o tak donośnym głosie pomysł, żeby użyć obsadki. Niezgrabnymi ruchami namalował słowo: *Normandy*. Popatrzył w napięciu na Waltera i niczym bojaźliwe dziecko, podał mu rękę.

Walter chwycił ją w milczeniu i łagodnie położył silnie drżący palec wskazujący sierżanta Pierce'a na wybrzeżu Normandii. Sam jednak dowiedział się dopiero przy śniadaniu i od handlarza odbiornikami radiowymi z Gorlic, że wylądowali tam alianci. Zamiast przewidzianego dla rekrutów marszu na przełaj w pełnym ekwipunku, sierżant Pierce wyznaczył Walterowi dyżur dzienny w biurze i chociaż jego twarz nie wyrażała więcej niż zazwyczaj, Walter wyobraził sobie, że chce mu w ten sposób sprawić przyjemność.

Na kolację podano pieczeń baranią w sosie miętowym, niedogotowaną zieloną fasolkę i, jak na cud w dalekiej Francji przystało, bardzo tłusty i gęsty yorkshire pudding – ucza jakiej nie było od czasu lądowania sprzymierzonych na Sycylii. Nim zaczęli jeść, w kantine bogato przystrojonej małymi angielskimi flagami zabrzmiały najpierw słowa *God Save the King* i *Rule Britannia*, przy sałatce owocowej z gorącym sosem waniliowym śpiewano *Keep the Homefires Burning*. Przy *It's Long Way to Tipperary* entuzjazm sięgnął zenitu.

Już po pierwszej brandy, którą pili ze szklanek na wodę, polały się rzewne łzy. Sierżant Pierce był w podniosłym nastroju i w przerwach między pieśniami przyjmował dowody podziwu swoich rozradowanych chłopców, którzy obsypywali go pochwałami za to, że jako pierwszy dowiedział się o szczęśliwym wydarzeniu. Lecz sierżant, który cenił sobie uczciwość i doskonale pamiętał, w jakich okolicznościach dotarła do niego radosna wieść, nie chciał stroić się w cudze piórka.

Jeszcze podczas posiłku i przed wysłuchaniem na nowo uszczęśliwiającego skrótu wiadomości dnia domagał się małego aplauzu dla Waltera, który od razu wiedział, gdzie jest *bloody Normandy*. Pierce osobiście dopilnował, by szklanka Waltera nie była pusta. Bez przerwy nalewał mu na przemian to brandy, to

whisky, a poczuł się jeszcze bardziej rozochocony, gdy ten dziwny, milczący typek z Europy wreszcie się nauczył mówić *cheers*, i to z pięknym cockneyowskim akcentem, który uchodził za jeden ze znaków rozpoznawczych sierżanta.

Walter przyjmował brandy jako dobrodziejstwo dla swojego zbuntowanego już od kilku dni żołądka, a whisky jako trunek idealnie nadający się do równomiernego rozprowadzenia w ustach niesmacznego, zimnego tłuszczu z baraniny. Po każdym łyku było mu coraz trudniej skupić się na rozmowie, której i tak nie rozumiał. Czuł wprawdzie, jak ciąży mu głowa, ale także przyjemny szum w uszach, który w niezwykle radosny sposób przypominał mu o jego studenckich czasach i który brał za oznakę zadowolenia, dopóki nie zaczął marznąć. Z początku nie odebrał tego jako coś nieprzyjemnego, bo pozwalało mu to ochłodzić głowę zanurzoną w oparach alkoholu, tytoniu i potu oraz uczynić znośniejszym pulsujący ból w skroniach.

Potem jednak przed jego oczami zaczęły się kołysać najpierw meble, a wkrótce też i ludzie. Sierżant Pierce rósł w zadziwiającym tempie. Jego twarz wyglądała jak jeden z bezwstydnie czerwonych balonów, jakie Walter widział ostatni raz z okazji święta obchodzonego na pokładzie „Ussukumy”. Wydało mu się dziecinne, a przede wszystkim strasznie lekkomyślne to, że alianci zastosowali podczas lądowania w Normandii tak tanie balony, zwłaszcza że zbyt często pękały, zamieniając się w małe swastyki zuchwale i głośno śpiewające *Gaudeamus igitur*.

Gdy tylko śpiew ucichł, a na chwilę ustąpił także nawał obrazów, Walter zdał sobie sprawę, że jako jedyny uległ działaniu alkoholu. Zrobiło mu się przykro z tego powodu, więc mimo zalewającego go potu, opierając się plecami o krzesło i zaciskając zęby, usiłował trzymać się tak prosto, jak to tylko możliwe. Gdy odkrył, że zimny tłuszcz z baraniego mięsa zamienił się w jego ustach w gorącą krew, chciał wstać, lecz powiedział sobie, że zwłaszcza jemu, jako *refugee*, nie wolno zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi. Siedział więc, wpijając się paznokciami w kant stołu.

Zaczęły go nękać głosy jeszcze bardziej męczące niż poprzednio; były tak napastliwe, że siedział jak sparaliżowany. Walter usłyszał śmiech Owuora, a zaraz potem wołanie ojca, ale tylko przez krótką chwilę mógł rozróżnić ich głosy, zanim przerodziły się w zatrważające jęki. Mimo to poczuł bezgraniczną ulgę, gdy nabrał pewności, że ojciec jest w Normandii, choć trochę trapiło go, że nie może sobie przypomnieć imienia siostry. W żadnym wypadku nie wolno mu było jej obrażać, nawet gdyby to ona go zawołała, ale wysiłek, jaki podjął, żeby w porę przypomnieć sobie jej imię i po tak długim czasie usprawiedliwić się przed ojcem, że zostawił ich samych w Żorach, sprawił, że jego ciało zaczęło roztapiać się z gorąca. Walter wiedział, że jest to ostatnia okazja, żeby podziękować staremu Rubensowi za poręczenie dla Jettel i Reginy i za to, że wyciągnął ich z piekła. Dobrze było już nie czuć wewnętrznego zimna. Naraz z łatwością przyszło mu wstać i podążyć za swoim wybawcą.

Obudził się po trzech dniach na krótką chwilę, i to nie w wojskowym baraku, tylko w General Army Hospital w Nakuru. Kiedy się ocknął, kapral Prudence Dickinson, którą większość pacjentów podziwiała za godną pozazdroszczenia ruchliwość bioder i nazywała w skrócie Pnie, przypadkiem znajdowała się na miejscu. Nie była jednak mile usposobiona do rozmów z mężczyzną, który mającąc w gorączce bez wątpienia mówił po niemiecku, obrażając tym jej patriotyczne uszy bardziej, niż kiedykolwiek mógłby to zrobić sam nieprzyjaciel.

Prue starła jednak choremu pot z czoła, tym samym roztargnionym ruchem wygładziła mu poduszkę i oliwkowozieloną szpitalną koszulę, wetknęła termometr między zęby i odezwała się do niego całym zdaniem, zupełnie odwrotnie, niż zwykła to czynić w przypadku pacjentów, którzy jej się nie podobali. Z autoironią, która wprawdzie nie odpowiadała jej charakterowi i poczuciu humoru, a która mimo to była jej jedyną bronią, pozwalającą łatwiej znieść napawającą ją obrzydzeniem służbę w tej nędznej kolonii, Prue pouczyła samą siebie, że mogła sobie oszczędzić trudu. Walter znowu zasnął, straciwszy tym samym okazję dowiedzenia się, że za jego stan nie była odpowiedzialna ani

whisky, ani brandy, ani pieczeń barania. Nastąpił u niego nawrót malarii.

Życie zawdzięczał szybkiej reakcji sierżanta Pierce'a, który jako żołnierz miał zbyt duże doświadczenie z alkoholem i jako dziecko londyńskich slumsów zbyt często patrzył na ludzi ogarniętych odurzeniem gorączkowym, by podczas świętowania zwycięstwa mylnie zrozumieć stan Waltera. Gdy w kantine zobaczył, jak ten śmieszny dziwak runął na ziemię, ani na moment nie dał się wprowadzić w błąd fetującym kompanom, którzy proponowali wrzucić Waltera do kadzi z zimną wodą. Postarał się, by niezwłocznie przetransportowano Waltera do szpitala. Wieść o tym rozeszła się szeroko i dotarła aż do Nairobi, dając świadectwo niezwykłego talentu organizacyjnego wykwalifikowanego żołnierza, który w dzień lądowania w Normandii potrafił znaleźć trzeźwego kierowcę.

Chociaż miał wystarczające powody, by zajmować się wyłącznie własną osobą, ponieważ doszły go pierwsze plotki o awansowaniu go na starszego sierżanta, codziennie dowiadywał się o stan Waltera. O swoim dziwnym zachowaniu mówił możliwie jak najmniej. Zainteresowanie wyłącznie jednym ze swoich ludzi Pierce uważał za nie całkiem odpowiednie, a przede wszystkim za wyróżnienie, którego tamten nie był godny. Wprawiało go to w niepokój. Tę osobliwą wycieczkę w prywatność tłumaczył sobie okolicznością, że był to ten sam *funny refugee*, z którym dowiedzieli się razem o „tej sprawie z Normandią”. Czasem droczono się z nim, bo niejednokrotnie używał słowa *funny*, a tylko wyjątkowo: *bloody*, ale Pierce nie miał w zwyczaju bawić się w analizę niuansów językowych, więc nie dostrzegał żadnego powodu do czynienia poprawek.

Gdy upłynął tydzień, odwiedził Waltera w szpitalu i przestraszył się, gdy ujrzał go leżącego w apatii, z posiniałymi wargami i skórą o żółtym kolorze. Radość, z jaką przywitał go Walter, i to, że naprawdę powiedział *cheers*, na dodatek jeszcze z pięknym cockneyowskim akcentem, rozczuliły Pierce'a. Po tym wiele obiecującym powitaniu obaj mogli co prawda tylko patrzeć

na siebie w milczeniu, jednak gdy cisza się przedłużała, sierżant mówił: *Normandy*, na co Walter reagował śmiechem, a wtedy Pierce niemal zawsze klaskał w dłonie, w czym nie widział nic, co mogłoby go ośmieszyć. Na wizytę na początku drugiego tygodnia zabrał ze sobą Kurta Katschinsky'ego, handlarza radioodbiornikami z Gorlic, i zrozumiał, po raz pierwszy w życiu, jakie to jednak ważne, by ludzie mogli się porozumiewać między sobą.

Dobrze odżywiony, ubrany w szorty koloru khaki, oszczędny w słowach wysłannik niebios, który nazywał się Katschinsky i właściwie był na dobrej drodze, by zapomnieć język ojczysty, poinformował Waltera o jego malarii, uwalniając go wreszcie od wyrzutów, jakimi się zameczał, sądząc, że jak ostatni kretyn zatruł się alkoholem. Swojemu sierżantowi, który w ciężkich przypadkach zobowiązany był do zorganizowania wizyty małżonki w szpitalu, w tym przypadku nie miał jednak adresu Jettel, Katschinsky przekazał, że Walter ma dwunastoletnią córkę, która uczy się w oddalonej zaledwie o kilka kilometrów szkole. Już następnego dnia Pierce pojawił się z Reginą.

Gdy Walter ujrzał córkę wchodzącą na palcach do sali, był pewny, że nastąpił u niego nawrót wysokiej gorączki. Szybko zamknął oczy, by zatrzymać piękny obraz, zanim okaże się omamem. W pierwszych dniach choroby nieustannie widział ojca i Liesel, którzy siedzieli na jego łóżku i przemieniali się w bezcielesne istoty, gdy tylko do nich przemówił; w żadnym wypadku nie wolno mu było powtórzyć tego błędu teraz, gdy zobaczył Reginę.

Zdał sobie sprawę, że jego córka jest jeszcze za młoda, by zrozumieć, co dzieje się z *refugees*, którzy nie chcą zapomnieć. Dla nich obojga było bardziej miłosiernie nie utrzymywać ze sobą kontaktu, by później nie musieć się znowu rozdzielać. Regina będzie mu kiedyś wdzięczna. Gdy sobie uświadomił, że nie będzie chciała uczyć się na jego doświadczeniach, w geście obrony zakrył rękami twarz.

– Tato, tato, poznajesz mnie? – usłyszał jej głos.

Dochodził on z takiej dali, że Walter nie mógł rozpoznać, czy córka zawołała go z Głubczyc, czy z Żor, ale czuł, że nie ma czasu do stracenia, jeśli chce ją uratować. Groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo, gdy tak sobie po prostu stała na ziemi ojczyściej, jakby była dzieckiem takim jak wszystkie inne. Regina była za mądra na rojenia, na które ludzie wyjęci spod prawa nie mogli sobie pozwolić. Jej zatwardziałość rozwścieczyła Waltera, jednak gniew dodał mu sił, gdy uzmysłowił sobie, że aby ją uratować, musi ją uderzyć w twarz. Udało mu się podnieść na łóżku i cofnąć ramiona. Wtedy uderzyło na niego gorąco, a głos Reginy usłyszał tuż koło ucha, tak że mógł wyczuć drgania poszczególnych tonów.

– Nareszcie, tato. Myślałam, że już nigdy się nie obudzisz.

Walter był tak oszołomiony rzeczywistością, która odsłaniała się przed nim bardzo powoli, że nie miał odwagi wyrzec słowa. Nie zauważył też stojącego u wezglowia łóżka sierżanta Pierce'a.

– Czy dostałeś ranę? – zapytała Regina.

– Mój Boże, zapomniałem, że nie mówisz już poprawnie po niemiecku.

– Dostałeś? – drażyla Regina.

– Nie, twój tata jest tylko totalnie głupkowskim żołnierzem, który zafundował sobie malarię.

– Ale jest żołnierzem – dumnie obstawała przy swoim Regina.

– *Cheers* – powiedział Pierce.

– *Three cheers for my daddy!*⁸ – zawołała głośno Regina. Uniosła ręce nad głowę i wtedy spostrzegła, że ten zabawny żołnierz, mówiący tak komiczną angielszczyzną, iż z wielkim trudem powstrzymywała się od śmiechu, podnosi prawą rękę i razem z nią zgodnym chórem, radośnie i cudownie głośno krzyczy:

⁸ *Three cheers for my daddy!* (ang.) – Po trzykroć. Niech żyje mój tata! (przyp. tłum.).

– *Hipp, hipp, hooray.*

Dużo później Walter zaproponował córce:

– Powiedz mu, żeby się może dowiedział, dlaczego ta latawica sanitariuszka tak mnie nie znosi.

Sierżant Pierce słuchał z uwagą, podczas gdy Regina w podnieceniu relacjonowała mu to, czego się dowiedziała, a potem kazał przyjść kapral Prudence Dickinson. Najpierw zadał jej kilka uprzejmych pytań, lecz potem nagle wziął się pod boki i, ku zdumieniu Reginy, nazwał siostrę Prue *a nasty bitch*, na co ona bez słowa, nie kołysząc już biodrami i czerwona na twarzy bardziej niż płonący busz, który nie musi się bać deszczu, wyszła z sali.

– Powiedz ojcu, że ta kobieta jest głupią kozą – rzekł do niej Pierce. – Zdenerwowało ją, że mówił w gorączce po niemiecku. Ale myślę, że to opowiesz mu, jak już wyzdrowieje.

– On chciał wiedzieć cos jeszcze – powiedziała cicho Regina.

– Słucham.

– Chce wiedzieć, czy nadal może być żołnierzem.

– Dlaczegoż to?

– Bo tak od razu zachorował.

Pierce poczuł, jak gardło ściska mu się ze wzruszenia, więc musiał odchrząknąć. Uśmiechnął się, choć w tym momencie nie wydawało mu się to całkiem odpowiednie. Podobała mu się ta mała. Mimo że nie miała warkoczyków, rudych włosów ani piegów, przypominała mu jedną z jego sióstr, ale nie pamiętał już którą. Prawdopodobnie wszystkie pięć. Z dawnych lat. Upłynęło wiele czasu, odkąd nie widział się z dziewczynami. W każdym razie ten dzieciak mówiący wyniosłym oksfordzkim akcentem ludzi bogatych miał rezon. I to mu się podobało.

– Powiedz ojcu – rzekł Pierce – że armia go jeszcze potrzebuje.

– Możesz utrzymać swoją pozycję. Tak powiedział – szepnęła Regina. Szybko złożyła pocałunki na obu jego powiekach, tak aby sierżant nie zauważył, że płacze.

Hove Court Hotel ze swoimi wysuszonymi palmami rosnącymi po obu stronach solidnie okutej bramy wejściowej z czarnego żelaza, cytrynowcami o twardych, zielonych i połyskliwie żółtych owocach, wybujałymi morwami, kaktusami olbrzymami, wyrośniętymi różami w wielkim ogrodzie i bugenwillami o fioletowych kwiatach posadzonymi przed białymi domkami, równo rozstawionymi wokół krótko przyciętego trawnika, był niemal tak samo stary jak miasto Nairobi. Gdy w 1905 roku zrealizowano ten zakrojony na szeroką skalę projekt pewnego wierzącego w przyszłość architekta z Sussex, służył on nowo przybyłym urzędnikom rządowym za pierwszą kwaterę dopóty, dopóki nie sprowadzili do kolonii swoich rodzin i nie przeprowadzili się do własnych domów.

Atmosfera niewymuszonej elegancji, która sprawiła, że to młode miasto w swoich szalonych pionierskich latach rozwoju stało się bardzo angielską enklawą, zniknęła od czasu, gdy właścicielem hotelu stał się pan Malan.

Zamawiając nowe szyldy, które w wyniku przenikliwej analizy postanowił pozbawić słowa „hotel”, szybko postarał się o to, by Hove Court przestał być właściwym adresem dla ludzi żyjących stosownie do swego stanu. Doświadczony kupiec z Bombaju wprawnym okiem rozpoznał potrzeby charakteryzujące nowe czasy. Klientami mieli już być nie urzędnicy rządowi śniący swe nostalgiczne sny o starej ojczyźnie, ani też goście wybierający się na safari, o wyraźnie określonych wymaganiach względem elegancji i komfortu, jakich mieli zaznawać, zanim wyruszą po przygodę, lecz uchodźcy z Europy. A współpraca z nimi, jak sądził Malan, który swój majątek zawdzięczał wspaniałemu wyczuciu najtrudniejszych momentów w życiu, układała się dobrze. Musieli oni od nowa budować egzystencję, a przy całej swojej gorliwości i

pilności byli tak oszczędni i niewymagający jak jego rodacy, którzy odważyli się na nowe życie w Kenii.

Uchodźcom, którzy nie mogli sobie pozwolić na nostalgię, o wiele bardziej przydawały się niskie ceny niż tradycja dawnych angielskich dworów wiejskich. Już w połowie lat trzydziestych, gdy do kraju dotarli pierwsi imigranci, Malan przekształcił wielkie pokoje w małe mieszkania. Salony z małymi kuchenkami i łazienkami przebudował na pokoje jednoosobowe z oddzielnymi kotarą umywalkami oraz zainstalował zbiorowe toalety. W niezmiennym stanie pozostawił tylko małe niechlujne chatki dla czarnego personelu, pokryte dachem z blachy falistej i znajdujące się na wolnym obszarze za wielkim ogrodem. To, że w tym jedynym przypadku uwzględnił miejscowy zwyczaj, okazało się wkrótce niezwykle zręcznym manewrem.

Lokatorzy Malana żyjący w ubóstwie jak na białych niezwykle, mieszkając niemal w tak samo prymitywnych warunkach i w takim samym ścisku jak jego krewni w Bombaju, mogli jednak, dzięki jego dobrze przemyślanemu psychologicznemu posunięciu, pozwolić sobie na personel przysługujący na mocy niepisanego prawa białym z wyższej warstwy, ulegając w ten sposób iluzji, że są na dobrej drodze do integracji, a standard ich życia jest taki sam jak bogatych Anglików mających domy na obrzeżach miasta. Kto po okresie trwożliwego oczekiwania, a często także po dopłaceniu dużej sumy do pierwszej opłaty najmu, znajdował schronienie w Hove Court, urządzał się tam na dłużej. Niektóre rodziny mieszkały w nim całymi latami.

Pan Malan mało się znał na geografii Europy, nie miał też uprzedzeń, do których jako człowiek tak majątny miał prawo. Zwykł tylko przy wyborze swoich lokatorów dawać pierwszeństwo *refugees* z Niemiec. Byli o wiele bardziej nieśmiali niż, na przykład, pewni siebie Austriacy, czystszy od Polaków, a przede wszystkim terminowo płacili. Nie robili też, tak jak aroganccy biali miejscowi, cierpiętniczych min, słysząc jego akcent. Z powodu

trudności językowych nie mieli też oczywiście skłonności do wyrażania sprzeciwu, czym Malan się brzydził.

Doszedł do wniosku, że Niemcy, przeciwko którym nic zresztą nie miał także po wybuchu wojny choćby dlatego, że nienawidził wyłącznie Anglików, boją się zmian i jeszcze chętniej niż większość ludzi przebywają wśród równych sobie ludzi. A to było mu na rękę. Przeprowadzenie szybkich zmian w Hove Court i wiążące się z tym renowacje, których nie dało się uniknąć, nadwyrężyły go finansowo. Jednak z każdym rokiem suma na jego koncie zaczęła się powiększać, rósł także jego autorytet – również poza wąskim kręgiem hinduskich ludzi interesu. Natomiast ani trochę nie niepokoił go fakt, że jego dobrze prosperująca posiadłość musiała być mierzona zupełnie inną miarą niż eleganckie hotele w centrum miasta.

Malan pojawiał się w Hove Court trzy razy w tygodniu – głównie po to, żeby uświadamiać ludziom składającym skargi, że teraz żyją w wolnym kraju i mają prawo w każdej chwili wyprowadzić się od niego i przenieść gdzie indziej. O hierarchię panującą w Hove Court nie troszczył się wcale. W najładniejszym mieszkaniu, z rozrośniętym eukaliptusem przed oknem i maleńkim ogródkiem z krwistoczerwonymi, kremowymi i różowymi goździkami, mieszkali leciwa pani Clavy i jej stary pies Tiger, brązowy bokser żywiący odrazę do twardych niemieckich głosek. Sama pani Clavy natomiast, której narzeczony zmarł na malarię sześć tygodni po przyjeździe do Nairobi, na długo przed I wojną światową, uważana była za miłą osobę. Nie oceniała dzieci wedle ich języka ojczystego i posyłała im uśmiechy bez żadnych ograniczeń.

Lydia Taylor, niegdyś kelnerka w londyńskim Savoyu, była drugą Angielką, która znosiła życie we wspólnocie obcojęzycznych ludzi ze spokojem, który, jak sądzili *refugees*, bynajmniej nie był naturalny. Jej trzeci mąż był kapitanem i nie zamierzał dawać żonie i trojgu dzieciom, z których tylko jedno było jego, więcej niż comiesięczna opłata za wynajem dwóch pokoi w Hove Court.

Jej kosztowne i głęboko wydekoltowane suknie jedwabne pochodzące z krótkiego okresu jej drugiego małżeństwa z kupcem z Manchesteru handlującym tekstyliami, trzech służących i aja w podeszłym wieku, która gdy tylko wschodziło słońce, zaczynała chodzić po ogrodzie, głośno śpiewając i pchając przed sobą wózek dziecięcy, dostarczały tematów do rozmów. Pani Taylor zazdrozczono tarasu. Tam za dnia karmiła i kołysała dziecko, a po zapadnięciu zmroku gościła wielu swoich młodych umundurowanych przyjaciół o donośnych głosach. Stanowili zabezpieczenie jej społecznego prestiżu, odkąd, ku jej uldze, męża przeniesiono do Birmy.

Równie nieźle rozlokowani, prawie zawsze w pożądanej zacienionej stronie ogrodu, a często z oknami w małych wykuszach, na tyle jednak dużych, by pomieścić doniczki z dobrze przyjmującym się szczypiorkiem, byli pierwsi emigranci. Wzbudzali w znacznym stopniu zazdrość przybyłych po nich uchodźców, a ze swojej strony traktowali ich z ową dobroduszną nonszalancją, która w starej ojczyźnie uchodziła za ton odpowiedni wobec ubogich krewnych.

Do obdarzonej przez los elity imigrantów należeli starzy Schlachterowie ze Stuttgartu, których nie można było namówić do zdradzenia przepisów na pierogi ze szpinakiem i kluski oraz sekretu, co jest ich źródłem utrzymania, niesympatyczny stolarz Keller z żoną i impertynenckim synem, wyrostkiem z Erfurtu, który dorobił się pozycji menedżera w fabryce drewna, oraz Leo Slapak z Krakowa wraz z żoną, teściową i trojgiem dzieci. Slapak zarabiał wprawdzie nieźle pieniądze, prowadząc sklep z rzeczami używanymi, jednak nie był gotowy, by wydać je akurat na lepsze mieszkanie.

Za wieloletnią mieszkankę Hove Court uchodziła, co prawda niesłusznie, Elsa Conrad, którą, za jej niezależną postawę wobec pana Malana, szybko zaczęto darzyć szacunkiem. Chociaż wprowadziła się dopiero po wybuchu wojny, miała dwa duże pomieszczenia i taras prawie tak obszerny jak ten należący do pani Taylor.

Osiemdziesięcioletni profesor Siegfried Gottschalk faktycznie należał do pierwszych lokatorów Hindusa. Mimo to nawet ci, którzy nie mieli szczęścia i mieszkali w małych pokoikach z przepierzeniami, uważali go za sympatycznego człowieka. Jako jedyny nie chełpił się statusem dalekowzrocznego imigranta pioniera, który we właściwym momencie rozpoznał znaki zwiastujące nadchodzące nieszczęście.

W I wojnie światowej poświęcił dla cesarza czucie w prawym ramieniu, a następnie, równie radośnie, służył miastu rodzinnemu jako profesor filozofii. Pewnego pięknego wiosennego dnia 1933 roku, w którym odczuł dziwny niepokój w sercu i który na zawsze wyrył się w jego pamięci, studenci frankfurckiego uniwersytetu, wrzeszcząc, wypędzili go na ulicę. Dopóki nie wybiła ta godzina, żył w bezpiecznym świecie iluzji, jako uwielbiany przez nich aż nazbyt widoczną miłością nadzwyczajny mentor.

Wbrew zwyczajowi panującemu w Hove Court, Gottschalk rzadko mówił o świetności swoich dawnych dni. Każdego ranka wstawał o siódmej rano i szedł na małe wzgórze wznoszące się za chatami służących, których z uporem nazywał *adlati*, pomocnikami, z tropikalnym kaskiem na głowie chroniącym przed słońcem, który kupił sobie przed wyjazdem, w ciemnym garniturze i szarym krawacie także pochodzących z kraju ojczystego. Również w skwarze nie pozwalał sobie na jakieś lżejsze ubranie oraz na zwyczajowy czas na wypoczynek.

„Nasz profesor”, jak nazywali go także i ci mieszkańcy Hove Court, którzy w swojej ojczyźnie nie mieli okazji do wglądu w życie akademickie, więc uważali go tylko za roztrzepanego pajaca, był ojcem Lilly Hahn. Jej kilkakrotne błagania, by przeprowadził się do niej i Ohy na farmę w Gilgil, odrzucał niezmiennie ze słowami:

– Potrzebuję wokół siebie ludzi, a nie bydła.

Od niemal dziesięciu lat zadawał sobie i swoim książkom pytanie, dlaczego to akurat on musiał być świadkiem wyścigu jeźdźców Apokalipsy i nadal żyć, ale nie skarżył się nigdy.

Niedawno przyszedł list od jego córki, który go, przynajmniej na kilka dni, jednocześnie ożywił i wzburzył. Lilly prosiła ojca, by odwiedził Jettel mieszkającą u rodziny Gordonów i wstawił się za nią dobrym słowem u Malana, żeby ona i jej córka mogły zamieszkać w Hove Court.

Chociaż postawiono przed nim najtrudniejsze zadanie od czasu, gdy dotarł do portu w Kilindini, starszy pan z radością przyjął perspektywę spędzenia ułamka swojego czasu w towarzystwie ludzi innych niż Seneka, Descartes, Kant czy Leibniz. W niedzielę o ósmej rano, z małą buteleczką wody w kieszeni marynarki przeszedł energicznie przez żelazną bramę Hove Court. Nie odważył się skorzystać z autobusu, ponieważ nie potrafiłby wyjawić kierowcy swego celu ani po angielsku, ani w suahili, więc trzykilometrowy odcinek drogi do Gordonów przeszedł na piechotę.

Ku jego radości gościnną parą małżonków pochodziła z Królewca, gdzie jako chłopak często spędzał ferie u wuja. Błada cera Jettel, jej ciemne oczy, dziecinny sposób wyrażania się i czarne loczki przypominające mu pewien miły obrazek, który kiedyś wisiał w jego pracowni, wzruszyły go, tym bardziej więc czuł się zażenowany tym, że nie może jej pomóc.

– Mogę pani służyć – rzekł po trzeciej filiżance kawy – jedynie towarzystwem, lecz nie wstawiennictwem. Języka angielskiego nie zdażyłem się wyuczyć.

– Ach, panie Gottschalk, Lilly opowiadała mi o panu tyle dobrego. Jeśli tylko pójdzie pan ze mną do Malana, już będę się lepiej czuła. Ja go w ogóle nie znam.

– Słyszałem, że nie jest filantropem.

– Ale pan przyniesie mi szczęście.

– Czegoś takiego już dawno od kobiety nie słyszałem – uśmiechnął się Gottschalk. – A od tak pięknej nigdy. Jutro pokażę pani najpierw nasz Hove Court i może tam przyjdzie nam na myśl, co moglibyśmy zrobić.

To był, napisał dwa dni później w liście do córki, najlepszy pomysł, jaki kiedykolwiek przyszedł mi do głowy w tym zaklętym kraju. Bieg rzeczom nadał jednak nie on, tylko przypadek oraz Elsa Conrad. Gottschalk właśnie zamierzał zwrócić uwagę Jettel na delikatne kwiaty hibiskusa, który, otoczony przez fruwiąjące żółte motyle, piął się po murze, gdy Elsa Conrad wylała z konewki resztki wody na boksera pani Clavy, wyzywając go przy tym od „gównianych kundli”. Jettel błyskawicznie rozpoznała pełną temperamentu towarzyszkę drogi z pierwszych dni wojny po długim wzorzystym szlafroku i czerwonym turbanie na głowie.

– Mój Boże, Elsa z hotelu Norfolk! – zawołała podniecona. – Pamiętasz mnie jeszcze? Byłyśmy razem internowane w 1939 roku!

– Czy myślisz, że można strawić całe życie w barze, nie pamiętając twarzy? – zapytała Elsa oburzona. – No, wchodźże. Pan też, panie Gottschalk. Pamięć mam jeszcze bardzo dobrą. Twój mąż był adwokatem. A ty masz ładniutkie, bojaźliwe dziecko. No, ale wy mieszkaliście przecież na farmie. Więc co ty robisz w Nairobi? A może czmychnęłaś od męża?

– Nie. Mój mąż jest w armii – powiedziała Jettel z dumą. – A ja – ciągnęła – nie wiem w ogóle, co mam robić. Nie mam kwatery, a Regina wkrótce zaczyna ferie.

– Ten bezradny ton też jeszcze pamiętam. Czy wciąż jeszcze jesteś wydelikacaną małżonką adwokata? W każdym razie dojrzała się nie wydajesz. Ale to nic. Elsa pomagała zawsze, gdy tylko mogła. Zwłaszcza bohaterom wojennym. Trzeba, żeby ktoś z tobą poszedł do Malana. Proszę mi nie brać za złe, profesorku, ale pan nie jest odpowiednią osobą. My tam jutro pójdziemy. I tylko nie zacznij beczeć. Na tym hinduskim wstręciuchu łzy nie robią wrażenia.

Malan stłumił złość i westchnienie, gdy Elsa Conrad zaatakowała jego biuro, przedstawiając Jettel jako dzielną małżonkę żołnierza, która bezzwłocznie i oczywiście po cenie, jakiej nie żądałby od niego nawet najukochańszy brat, potrzebuje

kwatery. Wiedział ze zbyt wielu bolesnych doświadczeń, że nie ma sensu się jej przeciwstawiać. Zadowalał się więc spojrzeniami, które każdego innego doprowadziłyby do porządku, oraz przynoszącym mu ulgę wyobrażeniem, że ta krzykliwa osoba o sile zdziwiającego byka staje się coraz bardziej podobna do okrętów wojennych, które od dnia lądowania w Normandii przedstawiane były nawet w zdecydowanie antyangielskich gazetach hinduskich.

Elsa Conrad nie pozwoliła sobie zamknąć ust jego zwykłymi trikami. Jej głos był o wiele donośniejszy niż jego, a samo babsko wysuwało argumenty, na które on nie potrafił odpowiedzieć już choćby dlatego, że swoje tyrady podgrzewała jeszcze stekiem popędliwych słów wyrzucanych w nieznanym mu języku. W dodatku Malan musiał niestety brać pod uwagę swoją liczną rodzinę i nie mógł się narażać temu szatańskiemu wulkanowi.

Ta kobieta olbrzym w irytującym turbanie z przypiętym do niego błazeńskim goździkiem, który, żeby było śmieszniej, pochodził z jego ogrodu, nie tylko wiedziała o tym, że przez większość czasu trzymał w Hove Court jeden pokój wolny na specjalne okazje. Akurat ona była też menedżerem w Horse Shoe. W tym małym barze, który ze względu na swoją intymną atmosferę, lody waniliowe i potrawy z curry był jednym z najbardziej lubianych punktów spotkań angielskich żołnierzy w Nairobi. Przy kuchni zatrudniony był tam wyłącznie hinduski personel, składający się najczęściej z pracowitych krewnych pana Malana.

W przypadku żony żołnierza zatem, która nastrajała Malana nadzwyczaj łagodnie, bo jej oczy przypominały mu o przepięknych krowach, jakie pasł za młodu, i która, ku jego zadowoleniu, okazała się przynajmniej *refugee* z Niemiec, handel trwał krótko. Jettel dostała wolny pokój i pozwolenie na zamieszkanie z psem i służącym. Najmłodszy brat jego żony, który nie miał dwóch palców prawej ręki i dlatego szczególnie trudno było znaleźć mu posadę, mógł na razie zająć się pielęgnacją męskiej toalety w Horse Shoe.

Wszyscy w Hove Court, którzy coś znaczyli, wiedzieli, że nowa lokatorka jest pod ochroną Elsy Conrad, dlatego Jettel zostało oszczędzonych wiele drobnych szykan, na które nowi musieli zwykle godzić się bez szemrania, jeśli nie chcieli już na zawsze być naznaczeni jako zrzędy, których porządni ludzie omijają szerokim łukiem. Skargi Jettel dotyczyły jeszcze tylko panującej w Nairobi duchoty, do której nie nawykła, ograniczonych warunków po „życiu jak w raju na naszej farmie” i tego, że Owuor musiał przyrządzać jedzenie na małej płytce elektrycznej. Elsa Conrad jednak zawsze w odpowiednim momencie tłumiała w zarodku te lamenty, mówiąc:

– Przed emigracją każdy jamnik był bernardynem. Poszukaj sobie lepiej jakiejś roboty.

Jednak gdy Regina przyjechała do Hove Court na pierwsze ferie, Jettel tak się już przyzwyczaiła do nowego życia, a przede wszystkim do wielu ludzi, z którymi mogła rozmawiać i biadolić, że każdego dnia obiecywała córce:

– Tutaj szybko zapomnisz o farmie.

– Ja nie chcę zapomnieć o farmie – odpowiadała Regina.

– Nawet dla twojego ukochanego taty?

– Tata mnie rozumie. On też przecież nie chce zapomnieć o Niemczech.

– Nie będziesz się tutaj nigdy nudzić i możesz codziennie jeździć do biblioteki, żeby sobie wypożyczyć tyle książek, ile tylko chcesz. Ci, którzy należą do armii, mają to za darmo. Pani Conrad już się cieszy, że będziesz mogła przynosić jej książki.

– A komu mam opowiadać, co przeczytałam, skoro taty tu nie ma?

– Tutaj jest wiele dzieci.

– Mam opowiadać o książkach dzieciom?

– To tej twojej głupiej wróżce – odparła Jettel niecierpliwie. Regina skrzyżowała palce za plecami, żeby matka pozostała w

swoim świecie niezrozumienia. Już pierwszego dnia ferii ulokowała swoją wróżkę w guawie o odurzającym zapachu i krzepkich konarach. Ona sama także bez trudu mogła wspiąć się na to drzewo o zielonych owocach. Listowie dawało jej schronienie i pozwalało marzyć przez cały dzień, jak w Ol' Joro Orok. Nie było jej łatwo przyzwyczać się do nowego otoczenia. Lęk budziły przede wszystkim kobiety, gdy późnym popołudniem ostro umalowane i w długich sukniach, które nazywały *housecoats*, przechadzały się po ogrodzie, nagabując ją, gdy tylko zeszła z drzewa. Naprzeciwko małego, ciemnego pokoju, w którym stały dwa łóżka, miska do mycia, dwa krzesła i stół z elektryczną płytą do gotowania, a który dzieliły Jettel i Regina z Rummlerem, mieszkała pani Clavy. Podobała się Reginie, bo uśmiechała się do niej, nie mówiąc przy tym ani słowa, głaskała Rummlera i karmiła go resztkami, które zostawił jej pies Tiger. Ta regularność, z jaką rozdawała uśmiechy i dokładnie zmielone białe mięso, przeszła wkrótce w zwyczaj, który Regina w swoich marzeniach rozwinęła w wielką przygodę, jaka się jej przydarzyła podczas ferii.

W dniach, które nie chciały się skończyć, wyobrażała sobie, jak Rummler i Tiger przemieniają się w konie, a ona jedzie na nich z powrotem do Ol' Joro Orok. Jednak Diana Wilkins, która mieszkała obok Jettel w mieszkaniu z dwoma pokojami, jedną jedyną szarżą zburzyła mury samotnej twierdzy Reginy.

Gdy pewnego dnia, który był tak gorący i suchy jak przekarmiony pożar buszu, Regina wróciła po obiedzie na swoje drzewo, Diana siedziała na jednej z gałęzi. Smukła kobieta o niebieskich oczach, długich włosach koloru blond i skórze lśniącej wśród gęstego listowia jak światło księżyca, miała na sobie białą, przezroczystą suknię koronkową sięgającą do jej bosych stóp. Usta miała uszmkowane delikatnym różem, a na jej głowie błyszczała złota korona z wysadzonymi na każdej palce małymi kolorowymi kamyczkami.

Przez moment równy jednemu uderzeniu serca Regina myślała ze zdumieniem, że udało się jej obudzić do życia wróżkę, w którą już od dawna nie wierzyła. Bała się odetchnąć, ale jej

ciałem wstrząsnął śmiech tak gwałtowny, że spłonęła ze wstydu, kiedy Diana powiedziała:

– Jeśli ty nie podejdziesz do mnie, ja podejde do ciebie. Angielszczyzna, jaką mówili *refugees* i jaka hulała w uszach Reginy niczym wiatr staczający walkę z lasem pełnym olbrzymów, w porównaniu z twardą wymową Diany był jak łagodne szemranie.

– Jeszcze nigdy nie widziałam, jak się śmiejesz – stwierdziła Diana z zadowoleniem.

– W Nairobi jeszcze się nie śmiałam.

– Smutek szpeci. Ale teraz znów się śmiejesz.

– Czy jesteś księżniczką?

– Tak. Ale ludzie, którzy tu mieszkają, w to nie wierzą.

– Ja wierzę – powiedziała Regina.

– Bolszewicy ukradli mi ojczyznę.

– Mojemu tacie też ukradli ojczyznę.

– Ale nie bolszewicy!

– Nie, naziści.

Diana Wilkins pochodziła z Łotwy, skąd jako młoda dziewczyna uciekła przez Niemcy, Grecję i Maroko, a na początku lat trzydziestych utknęła w Kenii tylko dlatego, że ktoś jej powiedział, iż w Nairobi ma być otwarty teatr. Była tancerką, przekonana, że jej czas jeszcze nadejdzie. Swoje angielskie nazwisko i wdowią rentę, której mieszkańcy Hove Court zazdrościli jej bardziej jeszcze niż urody, zawdzięczała bardzo krótkiemu małżeństwu z pewnym młodym oficerem. Zastrzelił go zazdrosny rywal.

Gdy pokazała Reginie swoje mieszkanie po raz pierwszy, z dumą wskazywała zaschnięte krople krwi na ścianie. Co prawda były to ślady po zabitych moskitach, ale Diana pragnęła romantyzmu jeszcze bardziej niż whisky, a wizja zmarłego

porucznika Wilkinsa, który poza nazwiskiem nie pozostawił w jej życiu żadnego śladu, jawiła się jej jako zbyt smutna.

– Czy byłaś przy nim, jak go zastrzelili? – spytała Regina.

– Ależ tak. Zanim umarł, powiedział jeszcze do mnie: „Twoje łzy są jak rosa”.

– Czegoś tak pięknego jeszcze nigdy nie słyszałam.

– Poczekaj. Pewnego dnia też przeżyjesz coś takiego. A masz już jakiegoś chłopca?

– Tak. Ma na imię Martin i jest żołnierzem.

– Tu w Nairobi?

– Nie, w południowej Afryce.

– I twoim największym marzeniem jest wyjść za niego?

– Nie wiem. Nie myślałam jeszcze o tym. Bardziej chciałabym mieć brata.

Regina przestraszyła się, gdy usłyszała własne słowa. Od kiedy pożegnała się z Martinem na farmie, jego imię wspominała tylko w swoim dzienniku. Speszyła się, że teraz od razu opowiedziała nie tylko o nim, ale i o zmarłym dzidziusiu. Dziki taniec w jej głowie wydał się jej jakimś szczególnymi czarami, które sprawiają, że smutek umiera z pragnienia jak rzeki podczas suszy.

Odkąd Regina podzieliła się z Dianą obydwojoma sekretami, dni biegły w szaleńczym tempie jak woły kręcące się w kółko w gorączce. Jej uszy stały się głuche na płaczące prośby mamy, a co dopiero na komendy Elsy Conrad nakazującej jej rozejrzeć się za koleżanką w jej wieku.

– Nie lubisz Diany?

– Lubię – powiedziała Jettel z wahaniem. – Ale wiesz, jaki tata jest dziwny.

– Dlaczego?

- Jest mężczyzną.
- Wszyscy mężczyźni lubią Dianę.
- No właśnie. On ma coś przeciwko kobietom, które śpią z każdym mężczyzną.
- Diana powiedziała, że nie śpi z wszystkimi mężczyznami – wyjaśniła Regina następnego dnia. – Ona tylko idzie z nimi na kanapę.
- Ale wytłumacz to tacie.

Jedynymi istotami płci męskiej, które Diana naprawdę kochała, były: maleńki piesek Reppi, którego nosiła na ręku podczas spacerów w ogrodzie, a który, o czym wiedziała tylko Regina, w rzeczywistości był zaczarowanym księciem z Rygi, oraz jej służący. Chepoi był wysokim, szpakowatym Nandi o twarzy pokrytej bliznami po ospie i o delikatnych rękach, w których drzemała wielka siła i jeszcze większa łagodność. Dianę uważał za zobowiązującą spuściznę po swoim zmarłym *bwana*, który uratował go przed oszalałym bawołem, i opiekował się nią z miną zatroskanego ojca.

Nocą, gdy minął już czas dla ostatniego adoratora, Chepoi znów powracał ze swojej maleńkiej chaty, która znajdowała się z tyłu, za kwaterami dla personelu, wślizgiwał się do zadymionej, śmierdzącej alkoholem nory Diany, wyjmował swojej *memsahib* butelkę z ręki i zanosił ją do łóżka. W Hove Court opowiadano sobie, że często musiał ją wręcz rozbierać i koić jej rozstrojone nerwy, śpiewając piosenki, ale Chepoi nie używał zbyt wielu słów. Wystarczało mu, że jest opiekunem swojej pięknej *memsahib*, a mógł nim być tylko wtedy, gdy nie rozmawiał z ludźmi, których języki były tak samo złe, jak ich uszy.

Dla Reginy robił wyjątek. Mimo początkowych wątpliwości Jettel i zazdrosnych krzyków Owuora Chepoi bardzo często zabierał ją na targ, gdzie kupował mięso i po burzliwych scysjach i zażartych kłótniach o cenę decydował się na ogromne główki

kapusty, żeby móc ugotować niezastąpioną potrawę, która zmęczonej po nocy *memsahib* dodawała sił.

Na targu w centrum Nairobi przed Regina otwierał się nowy świat. Jej oczy upajały się widokiem błyszczących pomarańczowych mango leżących obok zielonych papai, wielkich kiści bananów mieniących się czerwienią, żółcią i zielenią, pełnych i soczystych ananasów o koronach z lśniących kolców koloru głębokiej zieleni i rozciętych marakuj z pestkami jak połyskujące szarością szklane paciorki, jej nos odurzały zapachy kwiatów, palonej kawy i świeżo mieszanych przypraw, odór psujących się ryb i ociekającego krwią mięsa. Obfitość ślicznych, oryginalnych, a także odrażających rzeczy przytłumiła w końcu dręczącą tęsknotę za dniami, których już nie było.

Piętrzyły się tam wysokie wieże z koszy wyplatanych z sizalu, które ludzie nazywali *kikapus*, skrzyło się więcej kolorów niż ma tęcza, były też miniaturowe rzeźby z kości słoniowej, gładko wypolerowani wojownicy z długimi dzidami z czarnego drzewa, pasy haftowane kolorowymi perłami i materiały, których desenie opowiadały o zaczarowanych ludziach i dzikich zwierzętach, jakie poskromić mogłaby tylko wyobraźnia. Łuskowate skóry węży, skóry lampartów i zebr, wypchane ptaki z żółtymi dziobami, rogi bawołów, gigantyczne muszle z Mombasy, delikatne bransoletki z sierści słonia i złociste łańcuchy wysadzone kolorowymi kamieniami sprzedawali czarnoocy Hindusi o zwinnych rękach.

Powietrze było ciężkie, a koncert odgłosów tak ogłuszający jak huczące wodospady w Thomson's Falls. Gdakały kury, czekały psy. Pomiedzy straganami przeciskały się starsze kobiety o urodzie Angielek, cienkiej jak papier bladej skórze, w pożółkłych kapeluszach słomkowych i białych rękawiczkach. Za nimi ciągnęli ich służący z ciężkimi *kikapus* jak dobrze wytresowane psy. Podnieceni Goańczycy mówili między sobą szybko jak paplające małpy, a Hindusi w turbanach w żywych kolorach bardzo uważnie i powoli lawirowali między towarami.

Można było zobaczyć licznych Kikujus w szarych spodniach i kolorowych koszulach, podkreślających swój wielkowiejski wygląd

ciężkimi butami, małomównych Somalijczyków, z których wielu wyglądało, jakby się wybierali na wojnę w starym stylu. Słabowici, woniejący gnojem żebracy o martwych oczach, wielu z nich zżartych przez trąd, prosili o jałmużnę, a matki siedzące wprost na ziemi z kamiennym wyrazem twarzy karmiły niemowlęta piersią.

Na targu Regina zakochała się w Nairobi i Chepoi. Najpierw była jego towarzyszką w zakupach, później zaufaną. Ponieważ mówiła w kikuju, mogła handlować z mężczyznami na straganach jeszcze lepiej niż on, który był zdany na suahili. Z zaoszczędzonych pieniędzy Chepoi kupował jej mango albo przypieczoną kolbę kukurydzy, która miała cudowny zapach palonego drewna, a w najpiękniejszy dzień ferii, porozumiewszy się uprzednio ze swoją *memsahib*, podarował jej pasek haftowany maleńkimi kolorowymi perełkami.

– W każdym małym kamieniu zaklęte są czary – rzekł, otwierając szeroko oczy.

– Skąd wiesz?

– Wiem. I niech to ci wystarczy.

– Chcę mieć brata – powiedziała Regina.

– A czy masz ojca?

– Tak. Jest *askari* w Nakuru.

– To najpierw musisz chcieć, żeby przyjechał do Nairobi – poradził Chepoi. Gdy się śmiał, jego żółte zęby jaśniały, a gardło rozgrzewała chryпка.

– Lubię cię wachać – stwierdziła Regina, wycierając nos.

– Jaki mam zapach?

– Dobry. Pachniesz jak mądry człowiek.

– Ty też nie jesteś głupia – powiedział Chepoi. – Jesteś młoda. Ale to się zmieni.

– Pierwszy kamień już pomógł – ucieszyła się Regina. – Nie mówiłeś mi czegoś takiego jeszcze nigdy.

– Mówiłem to już często. Tylko ty tego nie słyszałaś. Ja nie zawsze mówię ustami.

– Wiem. Mówisz oczami.

Kiedy minęli ogromne kaktusy przysypane drobną czerwoną ziemią i wrócili do Hove Court, nieznośny skwar wywoływał wielkie pragnienie, ale jeszcze nie wypędził, jak zazwyczaj, ludzi do ich czarnych dziur. Stary Schlachter wyglądał przez okno i ssał kostkę lodu. Miał słabe serce i nie mógł dużo pić. Wiedzieli o tym wszyscy, lecz mimo to każdy zazdrościł Schlachterom lodówki.

Regina patrzyła przez chwilę, jak ten zmęczony mężczyzna o zmętniałych oczach i okrągłym brzuchu brał z małego srebrnego rondelka jedną kostkę po drugiej i powolnym ruchem wkładał je sobie do ust. Myślała intensywnie, czy za jedną małą perełkę też wolno by jej było zażyczyć sobie chorego serca i mnóstwa kostek lodu, ale speszył ją sposób, w jaki spojrzał na nią stary Schlachter, mówiąc:

– Też bym chciał móc tak skoczyć.

Różowe niemowlę w jasnoniebieskich śpioszkach ssało białą pierś pani Taylor, wzbudzając w Reginie zazdrość, która zjadała jej spokój szybciej niż wielkie mrówki pożerały na safari kawałek drewna. Żeby się wyciszyć, obserwowała, jak pani Friedlander trzepie czarne karkuły, które sobie kupiła przed wyjazdem i których jeszcze nigdy nie nosiła.

Pani Clavy stała w ogrodzie i wyjaśniała swoim czerwonym goździkom, że może je podlać dopiero po zachodzie słońca. Regina oblizwała wargi, żeby móc się do niej uśmiechnąć, lecz zanim poczuła wilgoć w ustach, pod usychającym cytrynowcem ujrzała Owuora z Rummlerem. Zawołała psa, który leniwie poruszył tylko jednym uchem, przypominając sobie z żalem, że nie troszczyła się o niego przez cały dzień.

Zastanawiała się, jak mogłaby pokazać Owuorowi pasek, żeby nie rozpaść w nim zazdrości o Chepoi. Wtedy zobaczyła, że jego wargi się poruszają, a w oczach płonie ogień. Gdy mknęła do Owuora, jego głos wybiegł jej naprzeciw.

– *Ich hab mein Herz in Heidelberg verloren...* — zaśpiewał tak głośno, jakby zapomniał, że w Nairobi nie ma echa.

Regina poczuła kłujący ból oczekiwania, za którym tak długo daremnie tęskniła.

– Owuor, Owuor, on przyjechał?

– Tak, *bwana* przyjechał – zaśmiał się Owuor. – *Bwana askari* przyjechał – oświadczył z dumą. Podniósł wysoko Reginę jak w dniu, w którym zaczęły działać czary, i przycisnął do siebie. Przez króciuteńką, błogą chwilę była tak blisko jego twarzy, że mogła zobaczyć sól osiadłą na jego powiekach.

– Owuor, jesteś bardzo mądry – powiedziała cicho. – Pamiętasz jeszcze, jak przyleciała szarańcza?

Gdy nasyciła się już radością i wspomnieniami, odczekała, aż mlaskanie jego języka przestanie brzmieć w jej uszach. Potem zdjęła buty, by móc szybciej przefrunąć nad trawnikiem, wpadła niecierpliwie do mieszkania i otworzyła drzwi tak raptownie, jakby musiała wybijać dziurę w ścianie.

Jej rodzice siedzieli ciasno spleceni na wąskim łóżku, ale odskoczyli od siebie tak gwałtownie, że stojący przed nimi stolik kołysał się przez moment. Ich twarze przybrały barwę najzdrowszych goździków pani Clavy. Regina usłyszała głośny i szybki oddech Jettel i spostrzegła, że mama nie ma na sobie ani bluzki, ani spódnicy. A więc nie zapomniała o swojej obietnicy, że gdy przyjdą lepsze dni, jeszcze będzie miała dziecko. Czy dobre dni już wybrały się na safari?

Widząc, że rodzice nic nie mówią i są sztywni, milczący i poważni jak drewniane figurki na targu, Regina poczuła się niepewnie. Zauważyła, że także jej skóra robi się czerwona. Trudno było otworzyć usta.

– Tato – powiedziała wreszcie, a potem uwolniła słowa, które chciała zamknąć na klucz, ale były jak ciężkie kamienie i nie dało się ich zatrzymać. – Wyrzucili cię?

– Nie – odparł Walter, sadzając Reginę na nagim kolanie i gasząc ogień w oczach uśmiechem. – Nie – powtórzył – król Jerzy jest ze mnie bardzo zadowolony. Specjalnie mnie prosił, żebym ci o tym powiedział.

Leciutko uderzył w rękaw swojej mocnej, usztywnionej koszuli w kolorze khaki. Świeciły się tam dwie belki z białego lnu.

– Zostałeś kapralem – zdziwiła się Regina. Dotknęła jednego z kamyczków na swoim nowym pasku i czując, że pokonała niepewność, oblizwała twarz taty, tak jak robił to Rummler, ciesząc się przy każdym ponownym spotkaniu.

– *Corporal is bloody good for a fucking refugee* – powiedział Walter.

– *You are speaking English, daddy* – zachichotała Regina.

To zdanie wzbudziło w niej wstęt i poczucie winy. Czy jej tata domyślał się może, że już od tak dawna chciała mieć *daddy*, który by wyglądał jak inni tatusiowie, mówiłby po angielsku i nie tęskniłby za żadną utraconą ojczyzną? Bardzo się wstydziła, że była takim dzieckiem.

– Pamiętasz jeszcze starszego sierżanta Pierce'a?

– Sierżanta – poprawiła Regina, ciesząc się, że przełknęła swój smutek i się przy tym nie zakrztusiła.

– Starszego sierżanta. Anglików też awansują. Ale zgadnij tylko, czego ja go nauczyłem! On teraz potrafi śpiewać po niemiecku *Lilii Marleen*.

– Ja też bym potrafiła – powiedziała Regina. Potrzebowała tylko ułamka sekundy, by przemienić kłamstwo w słodczy, o której Diana mówiła, że tylko ona jest prawdziwym smakiem wielkiej miłości.

O tym, że ósmego maja 1945 roku wszystkie wiadomości dnia emitowane przez radio rozpoczynały się od zdania: „Nie zdarzyło się nic szczególnego”, zadecydowała aura, która, jak na tę porę roku, była niesłychanie stabilna i sucha od Mombasy do Jeziora Rudolfa. Ze względu na farmerów, od których nie można było wymagać, by akurat w porze pierwszych żniw co godzinę słuchali przede wszystkim wiadomości o tym, co się dzieje gdzieś w dalekim świecie, a dopiero po nich szczegółów dotyczących spraw istotnych, w rozgłośni w Nairobi informacje meteorologiczne od dawna miały pierwszeństwo.

Ani śmierć króla Jerzego V, abdykacja króla Edwarda III, koronacja Jerzego VI, ani też wybuch II wojny światowej nie dały wystarczającego powodu, by złamać tę tradycję. I tak kompetentny redaktor nie zrobił również wyjątku dla informacji o bezwarunkowej kapitulacji Niemców. Mimo to kolonia upajała się zwycięstwem, choć radość pod żadnym względem nie dorównywała tej, jaka panowała w cierpiącej macierzy.

W Nakuru pan Brindley kazał oflagować całą szkołę, co wymagało wykorzystania talentu zarówno nauczycieli, jak i uczniów na niespotykaną wcześniej skalę. Szkoła dysponowała tylko jedną wyblakłą flagą narodową, która i tak każdego dnia powiewała na głównym budynku. Pomagano więc sobie naprędce sklejonymi i zszytymi flagami z wybranych prześcieradeł i kostiumów czerwonych małą z ostatniego przedstawienia zrobionego przez uczniów. Żeby uzupełnić brakujący kolor niebieski na chorągiewkach, rozcinano skautowskie i szkolne mundurki należące do dzieci dobrze sytuowanych, które miały wystarczająco dużo garderoby i chęć zadania sobie trudu, by nie okazywać nadmiernej dumy z powodu radośnie złożonej ofiary.

Reginie nie sprawiał przykrości fakt, że ma tylko jedną jedyną spódniczkę szkolną i zbyt spłowiały mundurek skauta, i że

mogła się tylko przyglądać w milczeniu tej patriotycznej bitwie o materiały do flag. Los jednak zgotował dla niej coś lepszego.

Pan Brindley nie tylko zwolnił z zadań na następny dzień wszystkie dzieci służących w armii, lecz także nakłaniał je wyjątkowo przyjaznym tonem, by napisały do swoich umundurowanych ojców, przebywających na dalekich scenach teatru wojennego, stosowne do okoliczności listy, pogratulowały zwycięstwa i oswobodzenia świata za jednym zamachem.

Regina miała najpierw pewne trudności z wykonaniem tego zadania. Głowiła się, czy Ngong, oddalony od Nairobi zaledwie o kilka kilometrów, a tam jej tata stacjonował od trzech miesięcy, był w mniemaniu dyrektora szkoły daleką sceną teatru wojennego. W dodatku czuła się zawstydzona, bo nie miała ochoty poświęcać taty dla Imperium Brytyjskiego. W obliczu zwycięstwa już nie wydawało jej się słuszne, że czuła taką ulgę i nawet dziękowała Bogu, gdy odrzucono jego prośbę o przeniesienie do Birmy.

Mimo wszystko swój list rozpoczęła od słów: *Mój bohaterze, mój tato*, a zakończyła go wersem z ulubionego wiersza: *Theirs but to do and die*⁹.

Co prawda przypuszczała, że tata nie będzie w stanie docenić urody języka oraz że będzie wiedział zbyt mało o zesłanej przez los bitwie pod Bałakławą i wojnie krymskiej, ale w tym decydującym dla historii świata momencie nie mogła sobie odmówić pochwalenia angielskiej waleczności.

Żeby jednak w tej wielkiej dla Anglii godzinie sprawić tacie szczególną radość, obdarowała go słowami w jego języku, dopisując bardzo małymi literkami: *Wkrutce pojedziemy do Głupczyc*, co pan Brindley, mimo swojej nieufności wobec rzeczy dla niego niezrozumiałych, wspaniałomyślnie przeoczył. Za to znany cytat przeczytał z aprobatą, pokiwał dwa razy głową i

⁹ *Theirs but to do and die* (ang.) – fragment poematu *Szarża lekkiej brygady* Alfreda Tennysona (1809-1892).

poprosił Reginę, żeby pomogła w pisaniu listów dziewczynkom mającym mniej wyrazisty styl.

Niestety, tym zupełnie nieangielskim postępkim zawstydził gorsze uczennice, ale Regina mimo to czuła się tak, jakby spełniło się jej dawne marzenie i odznaczono ją Krzyżem Wiktorii. Gdy na koniec dyrektor zaprosił dzieci uczestników wojny do swego gabinetu na herbatę, poprosiła o swój list, bo chciała jeszcze opowiedzieć, jakie ją spotkało wyróżnienie. Całe szczęście, że na koniec pan Brindley nie zauważył, że już odczytane przez niego publicznie i pochwalone podziękowanie dla bohaterów wojny zamykało zdanie: *Bloody good for a fucking refugee*. Akurat Regina wiedziała doskonale, jak bardzo się brzydził wulgarnością.

Również w Nairobi zakończenie wojny w Europie świętowano z takim zaangażowaniem, jakby do zwycięstwa przyczyniła się wyłącznie kolonia. Delamare Avenue przemieniła się w morze kwiatów i flag, nawet w tanich sklepach z małymi witrynami, w których biali nie kupowali niemal nigdy, wystawiono pośpiesznie wyszukane zdjęcia Montgomery'ego, Eisenhowera i Churchilla obok wizerunku króla Jerzego VI. Zupełnie jak wtedy, gdy oswobodzono Paryż, co widzowie kinowi mogli zobaczyć w tygodniowych przeglądach: obcy ludzie padali sobie z radością w ramiona i całowali mężczyzn w mundurach, przy czym w euforii sporadycznie zdarzało się, że pieszczoty dostawały się także Hindusom o szczególnie jasnej skórze.

Szybko uformowane chóry męskie intonowały *Rule Britannia* i *Hang out your Washing in the Siegfried Line*, starsze panie zawiązywały wokół swoich kapeluszy i na szyjach piesków czerwono-biało-niebieskie wstążki, piszczące dzieci Kikuju zakładały sobie na głowy papierowe czapeczki złożone z dodatku specjalnego „East African Standard”. Recepcje w New Stanley Hotel, U Thorów oraz Norfolk już w południe nie miały miejsc na uroczyste obiady wyprawione z okazji obchodów zwycięstwa. Na wieczór zaplanowano wielki pokaz sztucznych ogni, a na następne dni zwycięskie parady.

W Hove Court pan Malan uniesiony falą patriotyzmu, który skonfundował go bardziej jeszcze niż jego własnych lokatorów, kazał spryskać wodą rosnące przy bramie uschnięte na kamień kaktusy, zgrabić ścieżki wokół okrągłego klombu róż i wciągnąć flagę na stary maszt, który miał być naprawiony specjalnie na tę okazję. Nie używano go, odkąd Hindus przejął hotel. Po południu pani Malan, ubrana w świąteczne czerwono-złote sari, poleciła postawić pod drzewem eukaliptusowym o nisko zwieszonych konarach mahoniowy stół i krzesła obite jedwabiem, gdzie chciała wypić herbatę z czterema dorastającymi córkami, wyglądającymi jak tropikalne kwiaty, których głowy, gdy często chichotały, przypominały pijane róże kołyszące się na wietrze.

Mimo gniewnych protestów Chepoi Diana nie dała się odwieść od pomysłu, by boso, w przezroczystej koszuli nocnej i z wypełnioną do połowy butelką whisky w ręku przeparadować przez ogród, krzycząc na przemian:

– *To hell with Stalin, damned Bolsheviks.*

Pewien major będący w gościnie u pani Taylor ostrym tonem zwrócił jej uwagę, że Rosjanie znacznie przyczynili się do zwycięstwa, ponosząc podziwu godne ofiary. Gdy Dianie przyszło do głowy, że nawet jej pies nie chce uwierzyć, że jest najmłodszą córką cara, chociaż przysięgała mu to na jego życie, poczuła się tak nieszczęśliwa, że rzuciła się z płaczem pod cytrynowiec. Chepoi skoczył, żeby ją uspokoić, i w końcu zaniósł do mieszkania. Niósł ją na rękach jak dziecko, nucąc smutną piosenkę o lwie, z którego uszły siły.

Profesor Gottschalk w ciągu ostatnich miesięcy schudł i zrobił się bardzo małomówny. Chodził tak, jakby każdy krok sprawiał mu ból, przestał się bawić z dziećmi w wózkach, z rzadka tylko jeszcze pogłaskał jakiegoś psa i prawie się już nie zdarzało, by prawil komplementy młodym kobietom.

Ci, którzy byli z nim bliżej, przypuszczali, że lubiany przez wszystkich profesor zamknął się w sobie dokładnie wtedy, gdy sprzymierzeni zaczęli codziennie bombardować niemieckie miasta,

ale nigdy nie dawał się namówić na rozmowę na ten temat. Teraz zaś, w dniu świetnego triumfu siedział blady przed swoim mieszkaniem na starym krześle kuchennym i zamiast jak zwykle czytać, patrzył zamyślony na drzewa, mruczając raz po raz:

– Mój piękny Frankfurt.

Podobnie jak jemu, wielu *refugees* zaczęło nieoczekiwanie sprawiać trudność wyrażanie w odpowiedniej formie uczucia ulgi z powodu nadejścia tak długo wyczekiwanego końca wojny. Byli tacy, co już od dawna nie chcieli mówić po niemiecku i naprawdę sądzili, że zapomnieli ojczystej mowy. I to właśnie oni musieli sobie uświadomić w tak szczęśliwym momencie, że ich angielski żadną miarą nie wystarcza, by mogli dać wyraz uwolnionym uczuciom. Z goryczą, której nie umieli sobie wyjaśnić, zazdrościli ludziom, którzy bez skrępowania płakali. Takie zbawienne łzy wywoływały jednak u ich brytyjskich sąsiadów podejrzenie, że *refugees* potajemnie trzymali z Niemcami i teraz oplakują zasłużone zwycięstwo Anglików.

Jettel odczuwała tylko przelotny żal, że jak na małżonkę uczestnika wojny przystało, nie może spędzić tego niezwykłego wieczoru u boku Waltera. Zbyt się jednak przyzwyczaiła do dwutygodniowego rytmu jego wizyt i uważała, że częstotliwość ich spotkań była dobrana tak dobrze, że nawet w tak wiele obiecującej chwili nie życzyła sobie żadnych zmian. Była zresztą w zbyt dobrym nastroju, by zadrećcać się wyrzutami sumienia. Tego dnia upłynęły dokładnie trzy miesiące, od kiedy zaczęła pracować w Horse Shoe i odkąd co wieczór dostawała długo wytęsknione potwierdzenie, że jest jeszcze młodą i wzbudzającą pożądanie kobietą.

Horse Shoe, ze swoją ladą w kształcie podkowy, był jedynym lokalem w Nairobi, w którym za ladą stały białe kobiety. Choć nie podawano tam alkoholu, to jednak ten sympatyczny lokalik z czerwonymi ścianami i białymi meblami uchodził za bar. Był szczególnie lubiany przez zazwyczaj męską klientelę właśnie dlatego, że obsługiwały tam kobiety, a nie miejscowi kelnerzy. Młodzi oficerowie z Anglii, którzy w Horse Shoe bywali regularnie,

cały czas tęsknili za krajem i mieli nienasycone pragnienie kontaktu i flirtu. Nie przeszkadzał im ani twardy zbyt głośny i wymawiany z berlińskim akcentem angielski Elsy Conrad, ani mizerne słownictwo Jettel. To ostatnie właśnie się gościom podobało; mogli podziwiać jej urok, nie troszcząc się zbyt o słowa. Korzyść była obopólna. Jettel dawała im brakujące poczucie, że są dla kogoś ważni, a dla niej życzliwość i wesoły nastrój, jakie w nich wywoływała, były jak lekarstwo, które przynosi człowiekowi po obłożnej chorobie nieoczekiwane już ozdrowienie.

Gdy Jettel malowała się późnym popołudniem, wypróbowywała nowe fryzury albo tylko usiłowała sobie przypomnieć jakiś szczególnie podniecający komplement młodych żołnierzy o dziwnie powtarzających się imionach: John, Jim, Jack czy Peter, wciąż na nowo zakochiwała się w swoim lustrzanym odbiciu. W niektóre dni skłonna była nawet wierzyć we wróżki Reginy. Jej jasna skóra, która na farmie była zawsze koloru żółtego lub szarego, teraz znów jak dawniej tworzyła piękny kontrast z czarnymi włosami, oczy błyszczały jak u rozpieszzonego pochwałami dziecka, a rysująca się kragłość przydawała kobiecości jej pozornie niefrasobliwej naturze.

W Horse Shoe Jettel mogła na parę godzin zapomnieć, że ona i Walter nadal są *refugees* z ledwo starczającymi na życie dochodami, wygnańcami lękającymi się o swoją przyszłość, i odsuwała tę rzeczywistość od siebie, upajając się radością.

Czuła się jak otoczony rojem adoratorów podlotek, który na żadnym z wrocławskich studenckich balów nie mógł opuścić choćby jednego tańca. Nawet jeśli to tylko Owuor, mlaszcząc językiem, nazywał ją swoją piękną *memsahib*, Jettel czuła się szczęśliwa.

– Jeśli choć raz zdradzisz męża, połamię ci wszystkie kości – mówiła jej co wieczór Elsa Conrad.

I gdyby nie to, Jettel upiłaby się swoją zarozumiałością w sposób tak niepohamowany, w jaki od czasu do czasu oddawała

się rojeniom o przyszłości, w której Walter był kapitanem, wybudował dom w najlepszej części Nairobi, a ona sama podejmowała towarzystwo z elity, które oczywiście było oczarowane jej leciutkim akcentem i brało ją za Szwajcarkę.

Jettel wiedziała, że zwycięstwo będzie obchodzone hucznie także w Horse Shoe i że do jej patriotycznych obowiązków należy wyszykowanie się na cześć walczących, nawet jeśli są daleko od ojczyzny. Gdy rozeszły się pierwsze pogłoski o niemieckiej kapitulacji, natychmiast zapisała się na listę oczekujących w kolejce do łazienki i po bardzo gwałtownej kłótni z panią Keller, która akurat w tak ważnym dla Jettel dniu chciała przeforsować poza kolejnością kąpiel dla męża, wywalczyła sobie wejście do umywalni. Po długim namyśle zdecydowała się, nie bez lekkiego wahania, na wciąż jeszcze niewypróbowaną długą suknię wieczorową, która od czasu przyjazdu do Rongai wywoływała ustawiczne scysje z Walterem, niepotrafiącym zapomnieć o swojej lodówce.

Potrzebowała więcej czasu, niż przewidywała, żeby precyzyjnie przecisnąć przez biust i biodra sukienkę z ciężkiej niebieskiej tafty, z górną częścią w biało-żółte pasy, bufiastymi rękawami i małymi guziczkami na plecach. Jeszcze dłużej trwało, zanim w lusterku na ścianie odnalazła kobietę, którą spodziewała się zobaczyć, ale tak długo dodawała sobie odwagi uśmiechem i wyobraźnią, że w końcu poczuła się zadowolona.

– Zawsze wiedziałam, że ta sukienka jest mi potrzebna – powiedziała, zbliżając podbródek do lustra.

Jednak przekora, na którą sobie pozwoliła, a która miała być tylko krótkotrwałą przyjemnością Jak lody waniliowe, specjalność Horse Shoe, przemieniła się w nóż i jednym ostrym cięciem obróciła wniwecz cudowny portret pięknej młodej kobiety upojonej zwycięstwem.

Tak nagle, że aż się zadyszała, ujrzała oczami wyobraźni dom na farmie w Rongai, pokryty dachem, który nie chronił ani

przed deszczem, ani przed upałem, zobaczyła, jak Walter stoi rozczarowany nad skrzynią z Wrocławia, usłyszała, jak wyrzeka:

– Tego nigdy nie będziesz tu nosić. Nawet nie wiesz, jak nam zaszkodziłaś.

Usiłowała chichotem błyskawicznie zdusić oba zdania, ale pamięć zamknęła jej drogę odwrotu i te słowa wydały się symbolem lat, które potem nastąpiły.

Szerokie białe i żółte pasy spadające jej na piersi przeistoczyły się w ciasne i zbyt mocne, by je rozerwać, żelazne obręcze. A każda z nich jak batem gnała Jettel ku z trudem wypartym wspomnieniom. Z niezwykłą, bolesną dokładnością jeszcze raz przeżyła dzień, w którym do Wrocławia przyszedł list od Waltera z wiadomością o gotowych poręczeniach potrzebnych na jej wyjazd z Reginą. W słodkim poczuciu wyzwolenia wybrała się z matką po wieczorową suknię. Jakże się zaśmiewały, wyobrażając sobie osłupienie Waltera, gdy zamiast lodówki zobaczy sukienkę.

Myśl, że mama z nikim innym nie śmiała się tak często i serdecznie jak z nią, ogrzała Jettel tylko na chwilę. Bezlitośnie narzucał się jej ostatni obraz. Mama zdążyła tylko powiedzieć:

– Bądź dobra dla Waltera, on tak cię kocha.

A potem już stała, płacząc i machając ręką, w hamburskim porcie, stając się coraz mniejsza i mniejsza. Jettel poczuła, że to ostatnia chwila, by wrócić do terażniejszości. Wiedziała, że nie może teraz myśleć o mamie, jej czułości, dzielności i bezinteresowności, a już na pewno nie o strasznym ostatnim liście, jeśli chce uratować swój sen o szczęściu. Ale było już za późno.

Poczuła suchość w gardle, a wtedy ból rozdarł jej ciało z taką siłą, że nie dała rady zdjąć sukienki i z cichym jękiem osunęła się na łóżko. Chciała zawołać mamę, potem Waltera, aż wreszcie, w przystępie najgłębszej rozpacz, Reginę, ale nie miała siły poruszyć ustami. Kiedy Owuor wrócił z rozkrzyczanej Delamare

Avenue, jego *memsahib* leżała na łóżku bezwładnie jak skóra susząca się na słońcu.

– Nie płakać – powiedział cicho, głaszcząc psa.

Owuor stłumił uczucie zadowolenia. Już od jakiegoś czasu chciał mieć *memsahib*, która by była jak dziecko, taką, jaką widział u Chepoi, gdy wrywał Dianę ze szponów strachu, a później chodził z dumną twarzą. Dla Owuora życie w Nairobi było bardzo podniecające, ale mimo że miał często zatkane oczy, to jego głowa pozostawała otwarta. Zbyt rzadko żarty *bwana* łaskotały mu gardło, a mała *memsahib* podczas ferii zbyt często mówiła i śmiała się do Chepoi. Owuor czuł się jak wojownik, którego posłano w bój, ale skradziono mu broń.

Gdy widział, jak Chepoi nosi swoją *memsahib* po ogrodzie, rozpalał się w nim żółty ogień niczym jaskrawa, rozedrgana błyskawica. Uczucie zazdrości siało zamęt w jego głowie. Nie pragnął przecież zobaczyć Jettel pijanej, leżącej pod drzewem albo na wpół rozebranej, o niewidzących oczach, a jego *bwana* też na pewno by to odebrał jak cios, który zwała drzewo. Jednak mężczyzna taki jak Owuor musiał cały czas odczuwać swoją moc, jeśli nie chciał być taki jak inni.

Jettel leżała na łóżku w sukience, która skradła kolory niebu i słońcu, i wyglądała właśnie jak dziecko, którego życzył sobie Owuor, lecz mimo to niepokój wbijał się w jego głowę ostrymi pazurami. Pomalowane na czerwono usta *memsahib* były jak krwawa piana na pysku młodej gazeli, która, ugryziona śmiertelnie w kark, podnosi się po raz ostatni. Strach, jaki bił z leżącego bez życia ciała, miał zapach ostatniego mleka od zatrutej krowy. Gdy Owuor otworzył okno, Jettel jęknęła.

– Owuor, ja już nigdy nie chciałam płakać.

– Tylko zwierzęta nie płaczą.

– Dlaczego nie jestem zwierzęciem?

– Mungo nie pyta nas, kim chcemy być, *memsahib*.

W głosie Owuora było tyle spokoju, współczucia i pewności, że Jettel podźwignęła się i nie namawiana przez niego, wypła szklanke wody, która jej podał. On zaś musnął ją dłonią, poprawiając poduszkę za jej plecami. Przez krótki moment łaski Jettel wydało się, że jego chłodne palce za jednym zamachem oddaliły od niej wszelki wstyd i zwątpienie, ale uczucie ulgi nie trwało długo. Obrazy, których nie chciała widzieć, słowa, których nie chciała słyszeć, dręczyły ją jeszcze okrutniej niż przedtem.

– Owuor – wyrzuciła z siebie – to jest sukienka. *Bwana* miał rację. Ona nie jest dobra. Pamiętasz, co powiedział, jak ją zobaczył po raz pierwszy?

– Wyglądał jak lew, który zgubił ślad swojej zdobyczy – zaśmiał się Owuor.

– No, pamiętasz jeszcze?

– To było na długo przed tym, jak do Rongai przyleciała szarańcza. To były dni – przypominał sobie Owuor – w których *bwana* jeszcze nie wiedział, że jestem mądry.

– Jesteś mądrym człowiekiem, Owuor.

Owuor odczekał tylko taką chwilę, jakiej człowiek potrzebuje, by zachować w głowie piękne słowa. Potem zamknął okno, zaciągnął zasłony, jeszcze raz pogłaskał śpiącego psa i powiedział:

– Zdejmij sukienkę, *memsahib*.

– Dlaczego?

– Przecież sama mówiłaś. Ona nie jest dobra.

Jettel pozwoliła, żeby Owuor rozpiął liczne małe guziczki na jej plecach, pozwoliła także, by znów dał jej poczuć swój miły dotyk, dodający jej sił i niosący ratunek. Czowała na sobie jego spojrzenie i wiedziała, że intymność tej nigdy jeszcze niezaistniałej sytuacji powinna ją peszyć, ale nie odczuwała nic prócz przyjemnego ciepła wychodzącego z jej uspokojonych nerwów. W oczach Owuora widziała tę samą łagodność co przed laty, w dniu,

w którym wyciągnął Reginę z samochodu, przytulił i na zawsze zaczarował.

– Słyszałeś o tym, Owuor? – zapytała Jettel i zdziwiła się, gdy spostrzegła, że szepcze. – Wojna się skończyła.

– W mieście wszyscy o tym mówią. Ale to nie jest nasza wojna, *memsahib*.

– Nie, Owuor, to była moja wojna. Dokąd idziesz?

– Do *memsahib monenu mingi* – zachichotał Owuor, bo wiedział, że Jettel zawsze się śmiała, gdy tak nazywał Else Conrad, która mówiła więcej, niż mogło pomieścić największe ucho. – Idę jej powiedzieć, że nie przyjdiesz dzisiaj do pracy.

– Ale tak nie można. Ja muszę pracować.

– Najpierw musi się skończyć wojna w twojej głowie – oświadczył Owuor. – *Bwana* zawsze mówi: „Najpierw musi się skończyć wojna”. Czy on jeszcze dzisiaj przyjdzie?

– Nie. Dopiero w następnym tygodniu.

– To nie była jego wojna? – zapytał Owuor i zrobił mały krok w stronę drzwi. Dla niego dni bez *bwana* były jak noce bez żon.

– To była jego wojna, Owuor. Przyjdź zaraz. Nie chcę być sama.

– Będę na ciebie uważał, *memsahib*, dopóki nie przyjdzie *bwana*.

Osobista wojna Waltera wybuchła w jego głowie w sielankowym krajobrazie Ngong, gdy najmniej się tego spodziewał. O czwartej po południu stał w oknie swojego baraku i przyglądał się bez żalu, jak większa część Dziesiątej Jednostki Królewskiego Korpusu Wschodniej Afryki pakuje się do dżipów, by w niedalekim Nairobi oblać zwycięstwo. Zgłosił się dobrowolnie na nocny dyżur, za co rozradowani żołnierze z jego jednostki, a nawet sam porucznik McCall, małomówny Szkot, krótko i spontanicznie pochwalili go jako *a jolly good chap*, bardzo równego faceta.

Walter nie był w nastroju do świętowania. Wieść o kapitulacji nie wzbudziła w nim ani radości, ani poczucia wyzwolenia. Męczyła go ta sprzeczność uczuć, którą uważał za wyjątkowo złośliwą ironię historii, a u kresu dnia był tak przygnębiony, jakby wraz z końcem wojny jego los został przypieczętowany. Sytuacja, w której rezygnacja z nocy spędzonej poza barakami nie wiązała się dla niego z żadnym poświęceniem, była już typowa. Potrzeba samotności w dniu, który dla innych znaczył tak dużo, a dla niego nie aż tak wiele, była zbyt silna, by wymieniać ją na drobne nieprzyjemności wywołane jego niezapowiedzianą wizytą u Jettel.

Niedługo po przeniesieniu go do Ngong i odkąd ona zaczęła pracować w Horse Shoe, Walter uświadomił sobie, że w jego małżeństwie zaczęły zachodzić zmiany. Jettel, od której w Nakuru dostawał jeszcze listy pełne czułości, a czasem także tęsknoty, w Nairobi nie zależało już na jego nieoczekiwanych odwiedzinach. Ale on ją rozumiał. Małżonek z belkami kaprała na pagonie, osowiały i siedzący w milczeniu przy barze, podczas gdy jego żona pracowała, nie pasował do życia kobiety otoczonej rojem życzliwie usposobionych kawalerów w oficerskich mundurach. Paradoksalnie zazdrość sprawiła, że najpierw poczuł raczej ożywienie niż udrękę. W łagodny, romantyczny sposób przypomniła mu o czasach studenckich. Przez krótką chwilę Jettel znów była piętnastolatką w sukni balowej w liliowo-zieloną kratę, ślicznym motylem szukającym uwielbienia; on zaś znowu był na pierwszym semestrze, miał dziewiętnaście lat i wystarczająco dużo optymizmu, by wierzyć, że życie kiedyś w końcu nagradza cierpliwych. Monotonia wojskowej rutyny, a tym bardziej to, czego doświadczał w czasie wolnym, sprawiły jednak, że zazdrość pełna nostalgii i promiennych obrazów z Wrocławia przeistoczyła się w afrykańskie otępienie umysłu. Jego nadwrażliwość – choć sądził, że lata emigracji zniszczyły ją tak samo jak marzenia o lepszych dniach – obudziła się znowu.

Gdy musiał czekać w Horse Shoe, aż Jettel skończy pracę, wyczuwał jej nerwowość i niechęć. Jeszcze bardziej raniły go wyniosłe i nieufne spojrzenia właścicielki baru, pani Lyons, która

nie była zadowolona z prywatnych wizyt składanych jej pracownikom i zdawało się, że z drżącą powieką liczy każdą porcję lodów stawianą przez Jettel przed mężem, chcąc podtrzymać jego dobry nastrój i spokój, dopóki oboje nie będą mogli pójść do domu.

Już sama myśl o pani Lyons, jej Horse Shoe i atmosferze, jaka będzie panowała tam wieczorem w dzień zakończenia wojny, zrodziła w Walterze uczucie buntu i potrzebę ucieczki, co ciężko zraniło jego dumę. Z wściekłością zatrzaskał okno. Przez chwilę wyglądał jeszcze przez szybę brudną od martwych much, myśląc ze wstrętem nad sposobem na jednoczesne zabicie czasu, podejrzeń i powoli ogarniającego go pesymizmu. Ucieszył się, gdy przyszło mu do głowy, że już od dłuższego czasu nie słuchał wiadomości po niemiecku, a teraz jest dobra okazja, by znów to zrobić. Jadalnia, w której stoi świetne radio, pewnie będzie pusta. Nie wywołają więc żadnych ataków wydobywające się z niego wrogie dźwięki, i to na koniec dnia wielkiego zwycięstwa.

Nieliczni w jednostce Waltera *refugees* protestowali najgłośniej przeciwko słuchaniu audycji w języku niemieckim, podczas gdy Anglików tylko z rzadka wyprowadzało to z równowagi. Najczęściej i tak nie wiedzieli, jaki w ogóle język słyszą, jeśli nie była to ich własna mowa. Walter stwierdzał to nieustannie i w większości przypadków nie budziło to w nim emocji, jednak pewnego razu mania *refugees* do niezwracania na siebie uwagi nagle przestała mu się wydawać śmieszna, tylko zaczęła się jawić jako godny pozazdroszczenia talent do odrywania się od przeszłości. On jednak pozostał outsiderem.

Idąc ze swojego baraku do jadalni w budynku głównym, próbował uciec przed melancholią, która niechybnie skończyłaby się depresją. Jak dziecko, które uczy się na pamięć pracy domowej, nie próbując doszukać się w niej sensu, powtarzał sobie nieustannie, czasami wręcz na głos, że to szczęśliwy dzień dla ludzkości. Mimo to czuł jedynie pustkę i wyczerpanie. Z tęsknotą, którą wyrzucał sobie jako szczególnie idiotyczny sentymentalizm, pomyślał o początku wojny i Süsskindzie, który wprost z

ciężarówce ogłosił mu internowanie i konieczność pożegnania się z Rongai.

To wspomnienie w bolesnym tempie wzmagało w nim pragnienie ponownego spotkania z Süsskindem. Już od dawna nie widział swojego opiekuna z pierwszych dni w Afryce, ale kontakt nigdy się nie urwał. W przeciwieństwie do Waltera, który, jako zbyt stary, nie został oddelegowany przez armię do walki na froncie, Süsskinda wysłano na Daleki Wschód, gdzie odniósł lekką ranę. Teraz stacjonował w Eldoret. Jego ostatni list przyszedł nie dalej niż przed pięcioma dniami.

Prawdopodobnie wkrótce stracimy naszą wspianą posadę u króla Jerzego, pisał Süsskind, ale być może w dowód wdzięczności załatwi nam pracę, która pozwoli starym przyjaciółom znowu być sąsiadami. Wielki król jest to winny starym bojownikom. To, co Süsskind zamyślił jako żart, a Walter początkowo odbierał w podobny sposób, w to samotne popołudnie ósmego maja wydało się mu okrutną i znaczącą wskazówką na przyszłość, o której ód pierwszego dnia w mundurze nie chciał więcej myśleć. Napreżył ramiona i potrząsnął głową, ale zauważył, że mimo to oklapł i powłóczy nogami.

Do zachodu słońca brakowało zaledwie dwóch godzin. Swoją bezradność Walter odczuwał jak fizyczny ból. Wiedział, że te jego rozmyślania wkrótce przemienia się w atakujące go widma, od których już nie było ucieczki i które nie znały litości. Wycieńczony usiadł na jednym z dużych głazów, wypolerowanych przez wiatr, pod starą akacją o rozłożystej koronie. Serce waliło mu szybko. Skrzywił się, słysząc swoje, wypowiedziane na głos słowa:

– Walther von der Vogelweide¹⁰.

Zmieszany głowił się, kto to mógłby być, ale imię było mu obce. Sytuacja wydała się tak groteskowa, że głośno się roześmiał. Chciał wstać, ale nie mógł się podnieść. Nie wiedział jeszcze, że

¹⁰ Walther von der Vogelweide – (ok. 1170-1230) jeden z niemieckich minnesingerów, czyli wędrownych poetów śpiewających pieśni miłosne, religijne lub eposy rycerskie (przyp. red.).

oto nadszedł moment, gdy jego oczy otworzyły się na sielankowy krajobraz, przed którym tak długo uparcie się bronił.

Połyskujące błękitem, łagodne wzgórza Ngong wznosiły się spośród ciemnych traw, wychodząc naprzeciw drobniutkim obłokom, które w podmuchach zrywającego się wiatru wzbijały się do lotu. Krowy o ogromnych głowach i garbie, który nadawał im wygląd zwierząt z czasów prehistorycznych, w tumanach czerwonego kurzu torowały sobie drogę ku wąskiej rzeczce. Słysząc było wyraźnie donośne okrzyki pasterzy. W oddali siatka z czarno-białego światła odsłaniała widok na wielkie stado zebr z wieloma młodymi.

W ich pobliżu żyrafy, które niemal w ogóle nie poruszały długimi szyjami, objadały drzewa z liści. Walter przyłapał się na tym, że zazdrości tym zwierzętom, których, zanim przyjechał do Ngong, nigdy przedtem nie widział, iż nie mogą żyć inaczej niż z podniesioną głową. Speszyło go, że nagle ujrzał swoje otoczenie jak raj, z którego ma być wypędzony. Ta świadomość, jakiej nie doświadczał już od czasu wyjazdu z Żor, targała jego uczuciami.

Chłód nocy gwałtownie spętał mu ramiona i poszarpał nerwy. Ciemność, która spadła jak kamień z jasnego jeszcze nieba, odebrała mu możliwość ponownego spojrzenia na łańcuch wzgórz i go zdezorientowała. Walter znów chciał sobie wyobrazić Żory, tym razem dokładniej, jednak nie widział ani rynku, ani domu, ani rosnących przed nim drzew, tylko ojca i siostrę stojących na wielkiej, pustej równinie. Miał znowu szesnaście lat, a Liesel czternaście; ojciec wyglądał jak średniowieczny rycerz. Wrócił z wojny, pokazywał swoje orderzy i chciał wiedzieć, dlaczego jego syn porzucił ojczyznę.

– *I am a jolly good chap* – oznajmił Walter i poczuł się zażenowany, gdy spostrzegł, że rozmawia z ojcem po angielsku.

Bardzo powoli wracał do terażniejszości i ujrzał siebie na farmie, liczącego godziny upływające od świtu do zachodu słońca. Ogarnął go gniew.

– Nie przeżyłem po to, by sadzić len albo grzebać w tyłku krowom – rzekł.

Powiedział to spokojnie i cicho, jednak biały pies z czarną łatą nad prawym okiem, który codziennie przychodził do baraków, a teraz zamierzał przewrócić wiadro pełne śmierdzących odpadków, usłyszał jego głos i zastrzygł uszami. Najpierw szczerknął, by spłoszyć nieoczekiwany dźwięk, nasłuchiwał go przez chwilę z uniesionym pyskiem, podbiegł do mężczyzny i zaczął mu się łąsić do kolan.

– Ty mnie zrozumiałeś – powiedział Walter – widzę to po tobie. Pies też nie zapomina i zawsze znajduje drogę do domu.

Zwierzę, zaskoczone niezwykle czułością, polizało Waltera po rękę. Jego wyliniała sierść i pysk zrobiły się wilgotne, a oczy stały się duże. Łeb poruszył się nieznacznie ku górze i wsunął między nogi Waltera.

– Zauważyłeś? Człowieku, przed chwilą mówiłem o domu. Wyjaśnię ci to, przyjacielu. I to bardzo dokładnie. Dzisiaj nie tylko skończyła się wojna. Uwolniona została moja ojczyzna. Mogę znowu mówić o ojczyźnie. Nie musisz się tak głupio gapić. Ja też nie wpadłem na to od razu. Nie ma już morderców, ale Niemcy jeszcze są.

Walterowi głos jeszcze drżał, lecz wniosek, do jakiego doszedł, był pokrzepiający. Z pedanterią usiłował dojść przyczyny tej nagłej zmiany nastroju, ale nie potrafił zebrać myśli. Zbyt silne było w nim uczucie wyzwolenia. Zrozumiał, jak jest ważne, by jeszcze raz zmierzyć się z prawdą, którą tak długo od siebie odsuwał.

– Nie zdradzę tego nikomu prócz ciebie – powiedział do śpiącego psa – ale tam wrócę. Nie mogę inaczej. Nie chcę już dłużej być obcym wśród obcych. W moim wieku człowiek musi dokądś należeć. I zgadnij, dokąd ja należę?

Pies obudził się i zaskomlał jak młode zwierzę, które po raz pierwszy odważyło się wypuścić bez matki w zbyt wysokie trawy. Jasnobrązowe ślepia błyszcząły w półmroku.

– Chodź, ty *son of a bitch*. W kuchni Polak gotuje kapuśniak. Wiesz, on też tęskni za domem. Może będzie miał dla ciebie kość. Zaszłyłeś na nią.

W jadalni Walter kręcił wszystkimi pokrętłami radia, ale znajdował tylko muzykę. W jakiś czas potem opróżnili wraz z Polakiem, który mówił po angielsku jeszcze gorzej od niego, pół butelki whisky. Żołądek palił go tak jak głowa. Polak nalał zupę do dwóch talerzy i wybuchnął płaczem, gdy Walter powiedział łamaną polszczyzną:

– Dziękuję.

Psa, który od wczesnego wieczoru nie odstępował go ani na krok, Walter postanowił nauczyć tekstu i melodii *Ich weiss nicht, was soll es bedeuten*.

Zasnęli wszyscy trzej, Polak i Walter na ławce, a pies pod nią. O dziesiątej wieczorem Walter się zbudził. Radio jeszcze grało. To była niemieckojęzyczna rozgłośnia BBC. Po streszczeniu wiadomości na temat bezwarunkowej kapitulacji Trzeciej Rzeszy podano informację specjalną o wyzwoleniu obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen.

Regina starannie ułożyła kapelusz, który w pierwszych dniach strachu i nostalgii miał barwę ciemnoniebieską, na półce bagażowej zawieszanej nad siedzeniem obitym jasnobrazowym aksamitem, i od dawna wyćwiczonym ruchem wygładziła szorstki filc. Gdy opadła na siedzenie, musiała mocno przycisnąć twarz do szyby, by głośno nie zachichotać. Przyzwyczajenie, które kazało jej troszczyć się najpierw o swój kapelusz, a dopiero potem o samą siebie, rozśmieszyło ją, gdy pomyślała o czekających ją zmianach. Na końcu podróży ten od lat za ciasny i spłóviały od słońca i powietrza zasolonego przez Jezioro Sodowe kapelusz będzie tylko jeszcze jednym nakryciem głowy, takim jak wszystkie inne.

Wąska wstążka od kapelusza w biało-niebieskie prążki, z herbem i napisem *QUISQUE PRO OMNIBUS*, była niemal nowa. Napis wyhaftowany mocną złotą nitką skrzył się prowokująco w niewielkiej plamie światła słonecznego, które wpadło do przedziału pociągu. Tak jakby chciało zadrwić sobie z herbu. Regina próbowała wzbudzić w sobie przedsmak radości z czekających ją ferii, ale szybko spostrzegła, że za daleko wybiegła myślami, co zbiło ją z tropu.

Latami daremnie marzyła o wstążce od kapelusza z naszytym herbem Nakuru School, żeby w końcu przestać być outsiderem w społeczności, która oceniała ludzi po mundurach, a dzieci po dochodach ich rodziców, aż w końcu dostała ją na trzynaste urodziny, nieomal za późno. Gdy tylko lokomotywa wjedzie do Nairobi, Regina nie będzie już potrzebowała ani kapelusza, ani wstążki. Nakuru School, która pochłoneła pensje taty jak żarłoczne potwory z greckich mitów pożerały swoje bezbronne ofiary, tego dnia była jej szkołą jeszcze tylko przez kilka godzin.

Po feriach Regina miała iść do Kenya Girls' High School w Nairobi i dobrze wiedziała, że nowej szkoły będzie nienawidzić tak

samo jak starej. Drobne szykany, które każdego wieczoru spiętrzały się w jedną udrekę, zaczęły się od nowa – nauczycielki i uczennice niepotrafiące wymówić jej imienia i wykrzywające przy tym twarz tak, jakby każda najmniejsza sylaba sprawiała im ogromny ból. Daremne wysiłki, by dobrze grać w hokeja lub przynajmniej zapamiętać reguły tej gry i zachowywać się tak, jakby dla sportowej łamagi najważniejsze było to, w której bramce wylądował piłeczka. Ból przynależności do najlepszych na lekcji lub, co gorsza, po raz kolejny bycia pierwszą w klasie. A najbardziej uciążliwe okazało się mieć i kochać rodziców mówiących z akcentem, który odbiera dziecku wszelkie szanse pozostania niezauważonym, akceptowanym członkiem szkolnej społeczności.

Dobrze, że Inge też idzie do szkoły w Nairobi, rozmyślała Regina ze wzrokiem utkwionym w zadrapaniach jej skórzanej walizki. Jedyna przyjaciółka, jaką sobie znalazła podczas tych pięciu lat w Nakuru i z jaką chciała przebywać, już nie nosiła tradycyjnych sukienek. Twierdziła bez żadnego wstydu, że zna tylko jeden język, i to angielski, i bardzo ją krępowało jej niemieckie nazwisko. Jednak ser smażony domowej roboty, który mama przysyłała jej na podwieczorek, wciąż jeszcze jadła chętniej niż pikantne keksy imbirowe, o jakich marzyły dzieci angielskie. I nadal jeszcze całowała rodziców, gdy zobaczyła ich po długiej rozłące, zamiast lekkim skinieniem dać im do zrozumienia, że nauczyła się już powściągać uczucia. Przede wszystkim nie stawiała głupich pytań, dlaczego Regina nie ma nikogo poza ojcem i matką, i czemu podczas modlitwy wieczornej w auli nigdy nie zamyka oczu i nie otwiera ust.

Na myśl o Inge Regina swobodnie westchnęła do zasłonki w oknie przedziału. Obejrzała się z obawą, czy ktoś tego nie zauważył. Pozostałe dziewczynki, które razem z nią jechały na ferie do Nairobi, były jednak zajęte swoją przyszłością, opowiadając sobie różne historie podnieconymi, cienkimi głosikami, z pewnością siebie, jaką zawdzięczały swoim domom rodzinnym i mowie ojczystej. Regina już nie zazdrościła koleżankom. I tak ich przecież więcej nie zobaczy. Pam i Jennifer

miały zacząć naukę w prywatnej szkole w Johannesburgu, Helen i Daphne jechały do Londynu, a na Janet, która nie zdała egzaminu końcowego w Nakuru School, czekała zamożna ciotka hodująca konie w Sussex. Regina pozwoliła sobie, tym razem z przyjemnością, na jeszcze jedno ożywcze westchnienie.

Dopiero oślepiająca jasność, jaka zapanowała w przedziale, uzmysłowiła jej, że pociąg wyjechał już z cienia rzucanego przez płaski budynek stacji. Była zadowolona, że siedzi przy oknie i bez przeszkód może jeszcze raz popatrzeć na swoją starą szkołę. Co prawda czuła się jak wyczerpany wół, któremu za późno zdjęto jarzmo, ale mimo to potrzebowała tego długiego pożegnania. Nie tak jak w Ol' Joro Orok, gdy nic nie przeczuwając, opuściła farmę i we wszystkich dniach, które potem nastąpiły, jej oczy nie mogły się przydać już na nic.

Pociąg jechał powoli i z łomotem. Pojedyncze białe budynki szkoły – które tak bardzo przeraziły Reginę, gdy miała siedem lat, że jeszcze długo potem miała tylko jedno życzenie, by jak Alicja w krainie czarów zniknąć w wielkiej norze – w mgiełce narastającego upału odcinały się wyraźnie od czerwonego piasku pokrywającego wzgórze. Domki z szarymi dachami z falistej blachy, a nawet główny budynek ze swoimi potężnymi kolumnami sprawiały wrażenie mniejszych, a przez to, że były jej już znajome, przyjaźniej szych, niż wydawały się poprzedniego dnia.

Chociaż wiedziała, że to się jej tylko roi, wyobraziła sobie, że widzi okno gabinetu pana Brindleya i jego samego powiewającego flagą z białych chusteczek. Już od wielu niepokojących miesięcy wiedziała, że będzie jej go brakowało, ale nie przeczuwała, że tęsknota będzie wzrastać tak szybko jak len po pierwszej nocy pory deszczowej. Ostatniego dnia przed feriami dyrektor jeszcze raz wezwał ją do siebie. Nie powiedział wiele, tylko popatrzył na Reginę tak, jakby szukał określonego słowa, które gdzieś zagubił. To jej usta nie potrafiły się zamknąć. Reginie znów zrobiło się gorąco, gdy tylko sobie przypomniała, jak zacinając się, przerwała wtedy błogą ciszę:

– Dziękuję panu, dziękuję panu za wszystko.

– Nie zapomnij – powiedział pan Brindley, a wyglądał przy tym tak, jakby to on, a nie Regina, musiał wyjechać w safari bez powrotu. Potem wymamrotał jeszcze: – Mała Nell.

A ona szybko, bo już z trudem przychodziło jej przełykanie, odpowiedziała:

– Nie zapomnę, proszę pana. – I mimo że właściwie tego nie chciała, dodała: – Nie, panie Dickens.

Oboje się roześmiali i w tym samym momencie musieli także odchrząknąć. Dyrektor, który wciąż jeszcze nie lubił płaczących dzieci, na szczęście nie zauważył łez w oczach Reginy.

Pewność, że odtąd już nie będzie ani pana Brindleya, ani w ogóle nikogo innego, kto by znał Nicholasa Nickleby, Dorrit czy Boba Cratchitta, a już na pewno Małej Nell, stanęła jej w gardle jak połknięta przez nieuwagę kurza kość. To było takie samo uczucie, jakie dudniło w jej głowie, gdy myślała o Martinie. Jego imię przypomniawszy sobie zbyt raptownie. Gdy tylko zabrzmiało jej w uszach, w mgle zasnuwającej oczy zaczęły tworzyć się dziury, z których wystrzeliwały maleńkie, dobrze naostrzone strzały.

Zbyt dobrze Regina pamiętała, jak Martin ubrany w mundur zabrał ją ze szkoły, jak oboje jechali dżipem na farmę i na krótko przed końcem podróży położyli się pod drzewem. Czy to wtedy, czy później postanowiła poślubić tego zaczarowanego księcia o blond włosach? Czy Martin myślał jeszcze o swojej obietnicy, że będzie na nią czekał? Ona swojej dotrzymała i nie płakała nigdy, gdy pomyślała o Ol' Joro Orok. W każdym razie nie łzami.

Doświadczenie, że żałoba pochłania smutek, było dla Reginy nowe, ale nie sprawiało jej przykrości. Pociąg rozbijał jej myśli do tego stopnia, że chociaż słyszała jeszcze pojedyncze słowa, to nie potrafiła ich połączyć w zdanie. Kiedy właśnie zamierzała wyjaśnić Martinowi, że nie nazywa się Regina, tylko Mała Nell, na co Martin wybuchnął swoim cudownym śmiechem, który po tych wszystkich latach palił jej uszy jak ogień, pierwszy wagon, dysząc, wtoczył się do Naivashy. Para z lokomotywy otuliła mały

jasnożółty domek zawiadowcy stacji wilgotnym białym welonem. Nawet hibiskus pnący się po murze stracił kolor.

Stare, wychudłe kobiety z plemienia Kikuju, z wydętymi brzuchami ukrytymi pod białymi chustami, zmatowiałymi oczami i ciężkimi kiściami bananów na zgiętych plecach stukały w okna. Ich paznokcie wydawały taki sam dźwięk jak grad młócający w pustą cysternę na wodę. Kobiety, jeśli chciały zrobić dobry interes, musiały sprzedać swoje banany, zanim pociąg odjedzie. Szeptaly, jakby wypowiadały zaklęcia, chcąc odwrócić uwagę węża od swojej zdobyczy. Regina zrobiła szeroki ruch prawą ręką, dając do zrozumienia, że nie ma pieniędzy, ale kobiety jej nie rozumiały. Wtedy opuściła okno i zawołała do nich głośno w narzeczu Kikuju:

– Jestem biedna jak małpa.

Kobiety śmiały się, składając ręce na piersiach, i robiły wrzawę, krzycząc podobnie jak mężczyźni siedzący nocą przed chatami. Najstarsza z nich, mała, sterana klimatem i życiem figurka w błyszczącej, niebieskiej chuście na głowie, bez jednego zęba, odwiązała od ramion skórzane rzemienie, postawiła na ziemi ciężką konstrukcję z bananami, oderwała duży, zielony owoc i podała go Reginie.

– Dla małpy – powiedziała. A wszystkie kobiety, które to usłyszały, zarżały ze śmiechu jak konie. Pięć dziewczynek siedzących w przedziale spojrzało ciekawie na Reginę i wymieniło między sobą uśmieški, bo rozumiały się bez słów, a poza tym czuły się zbyt dorosłe na to, by wyrażać swą dezaprobatę inaczej niż spojrzeniami.

Gdy kobieta wsunęła banana przez okno, jej sztywne palce na króciutką chwilę dotknęły ręki Reginy. Skóra staruszki pachniała słońcem, potem i solą. Regina chciała zatrzymać jak najdłużej ten znajomy, od dawna wytęskniony zapach, ale gdy pociąg zatrzymał się w Nyeri, ze smakowitego wspomnienia dobrych dni nie pozostało nic prócz smaku soli o twardych

ziarnach, które uwierały w oczach podobnie jak spijające krew maleńkie *dudus*, gnieźdzące się pod paznokciami palców u nóg.

Na stacji Nyeri było mnóstwo ludzi z ciężkimi ładunkami zawiniętymi w kolorowe koce i z szerokimi koszami z sizału, z których wystawały brązowe papierowe torby wypełnione po brzegi mąką kukurydzianą, zakrwawionymi kawałami mięsa i niewygarbowanymi skórami zwierząt. Do Nairobi pozostała jeszcze tylko godzina jazdy.

W głosach ludzi już nie słyszało się łagodnej melodyjności mieszkańców wyżyn. Były donośne, a mimo to trudno było zrozumieć słowa. Mężczyźni, którzy, tak jak przed nimi ich ojcowie i dziadowie, z kura w rękach, wciąż jeszcze prowadzili przed sobą jak krowy pędzone do domu swoje taszczące ciężary żony, mieli buty na nogach i koszule tak kolorowe, jakby zaraz po burzy wykapali się w tęczy. Kilku młodych mężczyzn nosiło zegarki, wielu trzymało w ręku parasole zamiast tradycyjnego kija. Oczy mieli jak u zaszczutych zwierząt, ale krok miarowy i mocny.

Bagaż należący do Hindusek z czerwoną plamką na czole i bransoletkami, które nawet w cieniu skrzyły się jak tańczące gwiazdy, wciągali do wagonów milcząco Murzyni, choć tym kobietom wolno było podróżować tylko w drugiej klasie. Jasnoskórzy żołnierze w mundurach koloru khaki, którzy mimo całych lat przeżytych w Afryce wciąż jeszcze wierzyli w punktualne odjazdy pociągów, spieszyli do wagonów pierwszej klasy. W marszu śpiewali powojenny przebój *Don't fence me in*. Młody hinduski konduktor, nie patrząc na nich, otwierał im drzwi. W końcu dał się słyszeć przeraźliwy gwizd sygnalizującej odjazd lokomotywy.

Wysokie góry wokół Nyeri w żółtym świetle popołudniowego słońca rzucającego długie cienie wyglądały jak odpoczywające olbrzymy. Gazele stadnie ciągnęły ku lśniącom srebrzyście źródelkom. Pawiany wspinały się na skały koloru ziemi. Czerwienią odcinał się zad wrzeszczącego samca prowodyra. Młode małpki czepiały się brzuchów matek. Regina obserwowała

je z zazdrością, chcąc sobie wyobrazić, że również ona jest takim małym dzieckiem i ma wielką rodzinę, ale czary z lat dzieciennych przestały już działać.

Jak zawsze, gdy widziała już pierwsze wzgórze Ngong, zaczęła myśleć o rzeczach zwyczajnych. Czy mama w ogóle będzie miała czas, żeby odebrać ją ze stacji, czy też musi pracować w Horse Shoe i wyśle Owuora? Chwile, w których mama miała czas, były jak szczególne prezenty, ale Regina lubiła też, po trzymiesięcznej rozłące, wymieniać z Owuorem owe spojrzenia, żarciki i zabawy słowne, które rozumieli tylko oni. Mimo to, gdy na początku ostatnich ferii ze stacji odbierał ją jedynie pokojowy, czuła się lekko skrępowana. Przełknęła z zadowoleniem, gdy zdała sobie sprawę, że tym razem będzie inaczej i po przybyciu pociągu do Nairobi już nigdy nie zobaczy szkolnych koleżanek.

Dobrze wiedziała, że mama będzie ją psuć królewieckimi klopsami, mówiąc przy tym:

– W tym małym kraju nawet nie ma kaparów.

Ulubiona potrawa nigdy nie pojawiała się na stole bez utyskiwań, a Regina zawsze pamiętała, żeby zapytać:

– Co to są kapary?

Te zwyczaje uważała za stały element domowego życia i za każdym razem, gdy wracała, jej spragnione oczy i uszy szukały dowodu na to, że nic się w jej życiu nie zmieniło. Myśl o rodzicach, którzy bezustannie planowali powrót do domu, podnieciła ją jeszcze bardziej niż zwykle. Jak gdyby czuła już czekające ją pieszczotliwe powitanie. Przypomniała sobie, że w ostatnim liście, który dostała przed feriami, mama napisała: *Zdziwisz się, bo mamy dla ciebie wielką niespodziankę.*

Żeby przedłużyć przedsmak radości, Regina zakazała sobie myślenia o niespodziance, dopóki nie zobaczy pierwszej palmy, ale ostatni odcinek drogi pociąg pokonał w tempie szybszym niż dotychczas i nagle wjechał do Nairobi. Regina nie miała czasu stanąć przy oknie jak zazwyczaj. Do swoich bagaży dostała się

jako ostatnia i zanim w ogóle mogła wyrzeć, musiała zaczekać, aż wysiądą wszystkie dziewczynki z przedziału. Przez krótki moment, który wydał się jej nieskończenie długi, stała niezdecydowanie przed pociągiem, widząc tylko ścianę białych twarzy. Słyszała wołania pełne podniecenia, ale nie głos, na który czekały jej uszy. Zanim poczuła ciekawość i strach, ogarnęło ją znane uczucie niepewności, czy przypadkiem mama nie zapomniała, że dziś pierwszy dzień ferii, albo czy Owuor nie wyszedł z domu zbyt późno, by w porę pojawić się na stacji.

W panice, która ją zawstydziła, bo wydała jej się przesadzona i niehonorowa, serce zamarło jej w piersi i zdała sobie sprawę, że nie ma pieniędzy na autobus do Hove Court. Usiadła na walizce i zaczęła nerwowymi ruchami wygładzać spódnicę od szkolnego mundurka. Bez nadziei ponownie spojrzała w dal. I wtedy zobaczyła Owuora. Stał spokojnie na drugim końcu peronu, niemal tuż przed lokomotywą – wysoki, bliski, roześmiany i w czarnej todze. Chociaż Regina wiedziała, że Owuor wyjdzie jej na spotkanie, podbiegła do niego sama.

Już prawie była przy nim i odwzajemniała jego żart, który wychodził spomiędzy języka i zębów, gdy spostrzegła, że nie jest sam. Walter i Jettel, ukryci za stertą desek, teraz zza niej wychodzili, coraz energiczniej machając rękami. Regina potknęła się i omal nie wpadła na walizkę, odstawiła ją i pędziła dalej, zastanawiając się w biegu, które z nich powinna uściskać najpierw. Postanowiła tak mocno przyciągnąć do siebie Waltera i Jettel, by wszyscy troje stali się jednym. Musiała przebiec jeszcze tylko kilka metrów, zanim mogło się spełnić jej stare, już od dawna spisane na straty marzenie. Wtedy poczuła, że nogi wrastają jej w ziemię. Zatrzymała się jak wryta. Tata miał stopień sierżanta, a mama była w ciąży.

Bezmiar szczęścia tylko na chwilę sparaliżował jej nogi, jednak zmysły obezwładnił do tego stopnia, że każdy oddech miał własną melodię. Musiała natychmiast zamknąć oczy, by nie zburzyć tej szczęśliwej wizji. Do Owuora biegła już w ciemności. Przytuliła głowę do chropowatego już materiału rozdartej w wielu

miejscach togi, przez wiele malutkich dziurek ujrzała jego ciało i poczuła zapach wspomnienia, które na powrót czyniło ją dzieckiem. Usłyszała bicie własnego serca i wybuchnęła płaczem.

– Nigdy ci tego nie zapomnę – powiedziała, gdy jej usta znowu mogły się poruszać.

– Przecież ci to obiecałam – zaśmiała się Jettel. Miała na sobie tę samą sukienkę, jaką nosiła w Nakuru, oczekując dzidziusia, który nie mógł żyć. Tak jak wtedy, sukienka opinała się jej na piersiach.

– Ale ja myślałam, że zapomniałaś – wyznała Regina, potrząsając głową.

– Jakżebyś mogła? Ty o mnie pamiętałaś.

– Ja też trochę się do tego przyczyniłem – wtrącił tata.

– Wiem, sierżancie Redlich – zachichotała Regina. Ceremonialnym ruchem włożyła kapelusz, który leżał na ziemi, i wyrzucając w powietrze trzy palce prawej ręki, zasalutowała jak skaut.

– Kiedy to się stało?

– Przed trzema tygodniami.

– Nabijasz się ze mnie. Mama już jest przecież gruba.

– Trzy tygodnie temu twój ojciec został sierżantem. Twoja matka jest w czwartym miesiącu.

– I nic mi o tym nie napisaliście! Mogłabym się już chociaż modlić.

– To miała być niespodzianka – powiedziała Jettel.

– Najpierw chcieliśmy mieć pewność, ale też się modliliśmy – dodał Walter.

Kiedy Owuor klasnął w dłonie, patrząc na brzuch Jettel tak, jakby dopiero teraz usłyszał tę piękną *schauri*, wszyscy spojrzeli po sobie w milczeniu i każdy wiedział, o czym myślą pozostali. A

potem sześcioro ramion uczyniło z Waltera, Jettel i Reginy kochającą się i przepelnioną wdzięcznością jedność. A więc to nie było tylko dziecinne marzenie.

Palmy przy żelaznej bramie do Hove Court spijały jeszcze sok ostatniego wielkiego deszczu. Owuor wyjął ze spodni czerwoną chustkę i przewiązał nią Reginie oczy. Teraz miał ją wziąć na barana. Był jeszcze tak samo silny jak wówczas w Rongai, w dniach, które tak dawno pochłoniął czas, choć jego włosy stały się miększe. Owuor mlasnął językiem i cicho powiedział:

– *Memsahib kidogo.*

Przeniósł ją jak bardzo ciężki wór przez ogród i koło grządki róż, która oddawała ciepło z gorącego dnia pierwszemu powiewowi chłodu późnego popołudnia.

Zza chustki, która zasłaniała jej świat, Regina czuła zapach guawy; usłyszała swoją wróżkę, która cichutko grała dziecięcą piosenkę o gwiazdce błyszczącej w nocy jak diament. Mimo że nie mogła zobaczyć nic więcej poza iskrą na niebie wyobraźni, wiedziała, że wróżka jest w sukni z czerwonych kwiatów hibiskusa, a przy ustach trzyma srebrny flet. Gdy przejeżdżała koło niej jak na koniu, zawołała:

– Dziękuję ci!

Użyła narzecza jalu, więc tylko Owuor się roześmiał.

Gdy ze stęknieniem osła, który już od wielu dni nie może napić się wody, w końcu strząsnął Reginę z grzbietu i zerwał jej chustkę z czoła, stanęła przed małym piecem w nieznannej jej kuchni, która pachniała świeżą farbą i wilgotnym drewnem. Regina rozpoznała tylko garnek z niebieską emalią, w którym pływały królewskie klopsy, kształtniejsze i większe niż kiedykolwiek przedtem, zanurzone w gęstym sosie, białym jak słodka kasza w Szlarafii. Rummler, ujadając, wypadł z pokoju obok i skoczył na nią zziębnięty.

– To jest teraz nasze mieszkanie. Dwa pokoje z kuchnią i własną umywalką – oznajmili zgodnym chórem Walter i Jettel.

Regina skrzyżowała palce, by pokazać szczęściu, że wie, jaka jest jej powinność.

– Jak to się stało? – zapytała i zrobiła nieśmiały krok tam, skąd właśnie przybiegł Rummler.

– Zwalniane lokale w pierwszej kolejności przydzielane są żołnierzom – wyjaśnił Walter. Zdanie, które zobaczył w gazecie i którego nauczył się na pamięć, wypowiedział swoją chropawą angielszczyzną tak prędko, że język zaplątał mu się między zębami, ale Regina w porę pojęła, że nie wolno jej się teraz śmiać.

– Hura! – zawołała, gdy tylko klucha siedząca w gardle z powrotem zeszła jej do kolan. – Teraz już nie jesteśmy *refugees*.

– No nie – uściślił Walter, ale mimo to się roześmiał – cały czas jesteśmy *refugees*. Ale nie tacy *bloody* jak dotychczas.

– Tato, nasz dzidzius już nie będzie *refugee*.

– Pewnego dnia wszyscy przestaniemy być *refugees*. Obiecuję ci to.

– Nie teraz – powiedziała Jettel z niechęcią. – Naprawdę nie dzisiaj.

– Czy nie musisz dzisiaj pracować w Horse Shoe?

– Ja już nie pracuję. Lekarz mi zabronił.

To zdanie wwierciło się w głowę Reginy i obudziło zagrzebane wspomnienia, które lepiły się od strachu i bezradności. Maleńkie punkciki zatańczyły jej przed rozognionymi oczami, gdy zapytała:

– Czy tym razem ten doktor jest dobry? Czy Żydów też bada?

– Ależ oczywiście – uspokoiła ją Jettel.

– On sam jest Żydem – dodał Walter, podkreślając każde słowo.

– A jakim przystojnym – powiedziała rozmarzonym tonem Diana. Stała w drzwiach w jasnożółtej sukience, w której jej skóra była tak blada, jakby na niebie świecił już księżyc.

Regina zobaczyła najpierw połyskujące w jej blond włosach kwiaty hibiskusa i przez jedno upojne okamgnienie naprawdę sądziła, że to jej wróżka zeszła z drzewa. Potem jednak zorientowała się, że pocałunek Diany nie ma smaku guawy, tylko alkoholu.

– Gdzie ja mam głowę! – zachichotała Diana, gdy chciała pogłaskać Reginę, ale zapomniała, że trzyma na ręku swojego pieska. – Ale będziemy mieli bobasa. Słyszysz? Będziemy mieli dziecko. Już nie będę mogła w nocy spać.

Owuor podał kolację ubrany w długie białe *kanzu* przewiązane czerwoną szarfą, haftowaną złotą nitką. Nie mówił ani słowa, czego nauczył się od swojego pierwszego *bwana* w Kisumu, ale oczy nie umiały się już zachowywać tak jak w tamtym pełnym męczącej powagi domu na angielskiej farmie. Jego źrenice były wielkie jak w dniu, w którym przepędził szarańczę.

– W tym małym kraju nawet nie ma kaparów – poskarżyła się Jettel i dźgnęła klopsa widelcem.

– Co to są kapary? – odparła Regina z zadowoleniem, rozkoszując się czarem zaspokojonej tęsknoty, ale po raz pierwszy nie dała sobie wystarczająco dużo czasu, by usłyszeć drogą sercu odpowiedź. – Jak będzie miało na imię nasze dziecko? – zapytała.

– Napisaliśmy do Czerwonego Krzyża.

– Nie rozumiem.

– Regino, próbujemy dowiedzieć się czegoś o twoich dziadkach – wyjaśnił Walter, chowając głowę pod stół, chociaż Rummler stał za nim, a on nic dla niego nie miał. – Dopóki nie będziemy wiedzieć, co się z nimi stało, nie możemy dać dziecku imienia Max lub Ina, by uczcić ich pamięć. Wiesz, że u nas dzieciom nie nadaje się imion żyjących krewnych.

Tylko przez krótki moment Regina chciała rozumieć ze słów strzelających zatrutymi strzałami tak samo niewiele jak Diana, która zatykała uszy swojego pieska czułościami, a pysk kulkami z

ryżu. Ujrzała jednak, jak powaga na twarzy taty przemienia się w wyraz ciemno gorejącej męki. Jak oczy mamy robią się mokre. Lęk i gniew walczyły o zwycięstwo w głowie Reginy, a ona czuła, że zazdrości Inge, której w domu wolno było mówić: „Nienawidzę Niemców”.

Ociężała jak stary muł wracały jej siły, by mogła się skupić tylko na jednym pytaniu: dlaczego królewskie klopsy przeistoczyły się w ustach w małą górę o słonym i ostrym smaku? W końcu udało się jej spojrzeć na tatę tak, jakby to ona, a nie on była potrzebującym pomocy dzieckiem.

Po wojnie również w konserwatywnych kręgach kolonii tolerancja i otwarcie na świat uważane były za nieuchronną konsekwencję zmian, dla których imperium musiało poświęcić tyle ofiar. Jednak ludzie świadomi znaczenia tradycji absolutnie zgadzali się co do tego, że tyra, co może ochronić przed przedwczesnymi lub wręcz, niestety, niesmacznymi przejawskrawieniami, jest sam zdrowy, brytyjski zmysł proporcji. Dlatego też Janet Scott, dyrektorka Kenya Girls' High School w Nairobi, w rozmowach z troskliwymi rodzicami mimowolnie zwracała ich uwagę na fakt, że internat w jej szkole, w przeciwieństwie do przyłączonego doń instytutu przeznaczony dla uczniów pobierających naukę w trybie dziennym i mającego o wiele niższy prestiż społeczny, przyjmuje bardzo niewielką liczbę dzieci *refugees*. Wieść o wysokim i bezwarunkowo wiernym dawnym ideałom standardzie internatu szybko rozniosła się sama, zwłaszcza w dobie społecznego rozprężenia, kiedy to stawiało się na uczucia raczej niż na rozsądek.

Jedynie w zaufanym kręgu ludzi o tych samych zapatrywaniach pani Scott, z owym lekkim zaróżowieniem, które zdradzało u niej uczucie dumy, pozwalała sobie nadmienić, że rozwiązała ten trudny problem w bardzo elegancki sposób. Uczennice, które mieszkały w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt kilometrów od szkoły, mogły uczęszczać do szkoły z internatem tylko na wniosek i z uwzględnieniem szczególnych okoliczności. Pozostałe dziewczęta przyjmowano jedynie w charakterze *dayscholars* i zarówno grono nauczycielskie, jak i edukujące się wraz z nimi uczennice nie traktowały ich jak pełnowartościowych członków szkolnej społeczności.

Wyjątki od tak przyjętej zasady czyniono tylko wówczas, gdy matki dziewcząt również uczęszczały do tej szkoły lub gdy ojcowie okazywali się szczodrymi sponsorami. To dawało wystarczającą

gwarancję zachowania spraw w równowadze cenionej przez świadomych klasowo tradycjonalistów. Przystosowanie się do nowej rzeczywistości w taki sposób, by nie stracić z oczu esencji elementu konserwatywnego, uchodziło wśród zwolenników tej koncepcji za rozwiązanie tyleż dyplomatyczne, co praktyczne.

– Osobliwe – zwykła rozważać na głos pani Scott, podziwiana za swoją nieustraszoną – że to akurat *refugees* mają skłonność do zbierania się w mieście, co również jest powodem, że nie może być mowy o przyjęciu do internatu tak wielkiej ich liczby. Jest prawdopodobne, że te niezwykle wrażliwe biedaki poczują się w jakiś sposób dyskryminowane, ale jak można im w tym pomóc?

Tylko wówczas, gdy dyrektorka czuła się naprawdę bezpieczna, wśród najbliższych, gdzie nie zagrażały jej przykre, będące w modzie nieporozumienia, zachwycała swoich słuchaczy obiektywnym i w zbawienny sposób wolnym od taniego sarkazmu stwierdzeniem, iż niektórzy ludzie są na szczęście o wiele bardziej wprawni od innych w obcowaniu z tak zwanymi przypadkami dyskryminacji.

Przez dwa miesiące nauki jako *dayscholar*, niecieszący się owym społecznym prestiżem, który w życiu szkolnym kolonii liczył się jeszcze bardziej niż gdzie indziej, Regina ujrzała Janet Scott tylko raz, i to z daleka. Zdarzyło się to podczas uroczystości w auli, na której składano podziękowania z okazji kapitulacji Japonii. Odpowiednio dyskretne prowadzenie, którego uczniowie dzienni i tak się spodziewali, nie wymagało bliższego przedstawiania dyrektorki.

Wymuszony dystans w żadnym razie nie zmniejszył szacunku Reginy do pani Scott. Wprost przeciwnie. Kierownicze szkoły, która nie żądała od niej niczego innego prócz ograniczonej samoświadomości, do czego i tak była przyzwyczajona, była nieskończenie wdzięczna za regulamin chroniący ją przed skazaniem na znienawidzone życie w internacie.

Także Owuor zawdzięczał nieznajomej pani Scott swój permanentnie dobry nastrój. Codziennie na nowo radowała go

myśl, że może wybrać się na targ z dwoma *kikapus*, a nie z jedną maleńką torebką i nie musi się już wstydzić przed służącymi bogatych *memsahib*, i że znów gotuje w wielkich garnkach, ale szczęśliwy był przede wszystkim dlatego, że tak jak w lepszych czasach na farmie, mógł otworzyć swoje uszy na przeżycia trojga ludzi. Wieczorami, zanim wniósł posiłek z malutkiej kuchni do pokoju z okrągłym stołem i hamakiem, w którym spała mała *memsahib*, mawiał z satysfakcją celnego myśliwego:

– Już nie jesteśmy zmęczonymi ludźmi na safari.

Gdy tylko Regina poczuła pierwszy kęs jedzenia w ustach, sprawiała głowie Owuora i swojemu sercu upojną radość, powtarzając to cudowne zdanie głosem nasyconym należytą wibracją zadowolenia. Nocami, leżąc w swoim wąskim hamaku, przez sześć dni w tygodniu przygotowywała czary do bogatego w słowa podziękowania dla wspaniałomyślnego Mungo, który po tylu latach tęsknoty i zwątpienia w końcu wysłuchał jej modlitw. Dwugodzinna jazda autobusem do i ze szkoły wydawała się jej niewielką ceną w zamian za pewność, że już nigdy nie będzie rozstawać się z rodzicami na całe trzy miesiące.

Jeszcze przed wschodem słońca, i zanim w jednopiętrowych domkach dla personelu zapaliły się pierwsze lampy, wsiadała razem z tatą do przepełnionego autobusu jadącego na Delamare Avenue, a tam do jeszcze bardziej zatłoczonego, który przyjeżdżał z miasta i z którego korzystali tylko tubylcy. Walter, po wielu pisemnych prośbach skierowanych do kapitana McDowella, który miał w Brighton czwórkę dzieci, ze smutkiem wspominał życie rodzinne i nigdy nie dysponował wystarczającą ilością miejsca dla swoich ludzi w barakach w Ngong, w szóstym miesiącu ciąży Jettel uzyskał pozwolenie na zamieszkanie w domu.

Codziennie jeździł pełnić służbę w dziale łączności i informacji w swojej jednostce i wracał do Hove Court dopiero późnym wieczorem, czasem tylko w czwartki na tyle wcześnie, by móc wybrać się z Reginalą do synagogi. Gdy zwrócił się na nowo ku tradycji swojego dzieciństwa z taką naturalnością, jak gdyby nigdy jej się nie wyrzekł na zawsze w rozpaczliwym okresie

emigracji, Regina myślała z początku, że tacie zależy tylko na tym, by modlili się o pomyślność dla dzidziusia w odpowiednim miejscu.

– Chodzi o ciebie – powiedział jej jednak w pewnym momencie – powinnaś wiedzieć, dokąd należysz. To już najwyższy czas.

Nie odważyła się zapytać o wyjaśnienie, ale na wszelki wypadek w piątki zaniechała swoich nocnych rozmów z Mungo.

W pewien grudniowy piątek usłyszała wzburzony głos taty, jeszcze zanim doszła do cytrynowca rosnącego za palmami. Nawet nie zdążyła poczuć zapachu słodkiej ryby dochodzącego z mieszkań, których lokatorzy nie doszli jeszcze do tego, żeby rozmawiać ze sobą wyłącznie po angielsku i wyrzec się szabasu dla usilnych prób zasymilowania się. Tak wczesny powrót taty był wprawdzie czymś niezwykłym, zasadniczo jednak nie zaprzeczał wszystkim wcześniejszym doświadczeniom. Nie było więc na razie powodów do niepokoju.

Mimo to biegła przez ogród o wiele prędej niż zazwyczaj i nagle zdecydowała się na skróconą drogę do mieszkania wiodącą pomiędzy kopcami mrówek. Strach był szybszy od jej nóg. Zbyt gwałtownie spadł z głowy do żołądka, przywołując przed jej oczy obrazy, których nie chciała widzieć. Gdy przeczołgała się przez wąski otwór w bujnym cierniowym żywopłocie, kuchnia była otwarta. Ujrzała rodziców w stanie, którego wprawdzie sama nie przeżyła, ale o którym wiedziała wszystko. Choć popołudnie gotowało się jeszcze od skwaru dnia i w wilgotnym powietrzu każdy ruch przysparzał jej mamie jeszcze więcej wysiłku niż zwykle, Regina odniosła wrażenie, jakby rodzice właśnie przed chwilą tańczyli.

Przez moment wielkiego pragnienia Regina wierzyła, że powtórzył się wielki cud z Ol' Joro Orok i znów niespodzianie przyjechał Martin, tak jak za dni, w których był jeszcze księciem. Jej serce już zdążyło się zasapać, a wyobraźnia pogalopowała w przyszłość na firmamencie utkanym ze złotych gwiazd o

ramionach wysadzanych lśniąco jak rubiny kamieniami. I wtedy zobaczyła leżącą na okrągłym stole wąską żółtą kopertę z wieloma stemplami. Próbowwała odczytać litery spomiędzy falistych linii stempla, ale choć każde słowo było w języku angielskim, z żadnego z nich nie wyłaniał się sens. W tej samej chwili zauważyła, że głos taty jest wysoki jak u ptaka, który czuje na skrzydłach pierwsze krople deszczu.

– To jest pierwszy list z Niemiec! – zawołał Walter. Twarz miał zaczerwienioną, lecz nie było na niej strachu, oczy jasne i rozświetlone maleńkimi iskierkami.

List został wysłany jako poczta wojskowa władz brytyjskiej strefy okupacyjnej na adres: „Walter Redlich, Farmer in the Surrounding of Nairobi” i pochodził od Greschka. Owuor, który przyniósł go z administracji Hove Court, nie przeczuwając, że wywoła tym radość płonąca jeszcze po wielu godzinach jak pożar buszu, potrafił już tak dobrze wymawiać to nazwisko, że jego język prawie się nie przylepiał do zębów.

– Greschek – powiedział, śmiejąc się, Owuor, położył list na hamaku i z uwagą obserwował huśtającą się cienką kopertę, jakby była jednym z tamtych małych statków, które kiedyś w młodości widział w Kisumu. – Greschek – powtórzył, pozwalając się rozbujać także swemu głosowi.

– Josef, udało mu się – cieszył się Walter, a Regina dopiero wtedy spostrzegła, że łzy spłynęły mu już aż na brodę. – Wyszedł z tego. Nie zapomniał o mnie. Czy ty w ogóle wiesz, kto to jest Greschek?

– Greschek kontra Krause – powiedziała radośnie Regina. Kiedy była dzieckiem, zapamiętała sobie to zdanie jako największe czary na świecie. Musiała je tylko wypowiedzieć, a już tatuś zaczynał się śmiać. To była wspaniała zabawa, ale pewnego dnia stało się dla niej jasne, że tatuś, śmiejąc się, wyglądał jak zbity pies. Wtedy zakopała w głowie te trzy słowa, których i tak nie rozumiała. – Zapomniałam – ciągnęła zakłopotana – co to znaczy. Ale zawsze tak mówiłeś w Rongai. Greschek kontra Krause.

– Może twoi nauczyciele nie są tacy głupi. Ty chyba naprawdę jesteś mądrym dzieckiem.

Pochwała połaskotała uszy Reginy łagodnie i uspokajająco. Zadowolona myślała, co zrobić, by świeżo zasiana aprobata zaowocowała obfitymi zbiorami, ale tak, żeby nie wydać się zarozumiała.

– On z tobą – przyszło jej w końcu do głowy – pojechał do Rzymu, jak musiałś wyjechać z naszego kraju.

– Do Genui, w Rzymie nie ma żadnego portu. Czy niczego was nie uczą w tej szkole?

Walter podał Reginie list. Widziała, jak drży mu ręka, i zrozumiała, że oczekuje od niej takiego samego podniecenia, jakie spalało jego. Gdy jednak zobaczyła cienkie litery z łuczkami i spiczastymi końcami, podobne do pisma Majów, które niedawno oglądała w książce, nie udało jej się w porę stłumić śmiechu.

– Czy ty też tak pisałeś', jak byłeś' Niemcem? – zachichotała.

– Ja jestem Niemcem.

– Skąd ona może znać *sütterlin*? – fuknęła Jettel i łagodnie starła Reginie z czoła zażenowanie. Jej dłoń była gorąca, twarz płonęła, a kula w brzuchu turlała się z jednej strony na drugą. – Wiesz, Regina, dzidzius też jest bardzo podniecony – zaśmiała się. – Kopie jak szalony, od kiedy dostaliśmy ten list. Mój Boże, kto by pomyślał, że tak mnie kiedyś poruszy list od Greschka. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki to był śmieszny typ. Ale jeden z bardzo niewielu przyzwoitych w Głubczycach. O Greschku nie pozwoliłabym złego słowa powiedzieć. Przesłał do nas swoją Grete, żeby pomogła mi w pakowaniu, gdy już zupełnie straciłam głowę. Nigdy mu tego nie zapomnę.

Zanurzeni w przeszłości, która za sprawą jednego jedyne listu znów stała się terażniejszością, Walter i Jettel wycofali się w świat, w którym było miejsce tylko dla nich dwojga. Usiedli na sofie i trzymając się za ręce, wymieniali nazwiska i wzdychali, przepojeni smutkiem. Ich osiem palców i dwa kciuki były razem

nawet wtedy, gdy zaczęli się kłócić, czy Greschek miał sklep przy Jagerndorfer Strasse, a mieszkał przy Tropauer Strasse, czy też odwrotnie. Walter nie umiał przekonać Jettel, a ona jego, ale ich głosy brzmiały łagodnie i radośnie.

Wreszcie zgodzili się co do tego, że w każdym razie na pewno doktor Müller miał swoją praktykę przy Tropauer Strasse. Przez kilka groźnych sekund wydawało się, że wesołe płomyki dobrego nastroju właśnie za sprawą doktora Müllera przemienia się w znajomy ogień niezapomnianych krzywd. Jettel utrzymywała, że to on był winny jej zapalenia brodawek piersiowych po urodzeniu Reginy, Walter zaś oburzony odpowiadał:

– Nie dałaś mu żadnej szansy, bo od razu sprowadziłaś lekarza z Raciborza. Jeszcze dzisiaj jest mi przykro z tego powodu. Müller był w końcu moim sprzymierzeńcem.

Regina niemal wstrzymała oddech. Wiedziała, że doktor Müller może tak szybko rozpętać wojnę między rodzicami, jak skradziona krowa między Masajami. Z ulgą jednak zauważyła, że tym razem nie jest to walka na zatrute strzały. Od dawna te starcia nie były takie przykre, jak myślała, a tego dnia przykuły nawet jej uwagę, gdy Walter i Jettel dyskutowali, czy to dobra okazja, by wyciągnąć ostatnią butelkę wina z Żor, która zawsze czekała na lepsze czasy. Jettel była za, Y(alter przeciw, ale potem Jettel zmieniła zdanie i Walter również. Zanim jeszcze złość wtargnęła do pokoju, powiedzieli oboje równocześnie:

– Poczekajmy, może przyjdzie jeszcze lepszy dzień.

Owuora posłano do kuchni, żeby zrobił kawę. Podał ją w smukłym, białym dzbanku z czerwonymi różami na wieczku, przymrużywszy przy tym lewe oko, co zawsze u niego znaczyło, że wie również o rzeczach, o których nie mówi. Już kiedy *bwana* i *memsahib* za pierwszym spojrzeniem na list ucieszyli się jak dzieci, Owuor sięgnął po drożdże, żeby upiec małe bułeczki, które tylko on potrafił zaczarować, tak by były okrągłe jak dzieci tłustego księżyca.

Memsahib nie zapomniała się zdziwić, gdy wniósł talerz pełen gorących, malutkich bułeczek, a *bwana* mrugnął trzy razy i zamiast *sente sana*, powiedział:

– Chodź Owuor, teraz przeczytamy list *memsahib kidogo*.

Sycąc się zaszczycem, który rozgrzał mu brzuch, mimo że nic nie jadł, a jeszcze bardziej głowę, Owuor usiadł na hamaku. Objął rękami kolana, wypowiedział śpiewnie słowo „Greschek” i w ostatnim promieniu słońca karmił swoje uszy śmiechem *bwana*, którego twarz była miękka jak sierść młodej gazeli.

– „Drogi Panie Doktorze – czytał Walter – nawet nie wiem, czy Pan jeszcze żyje. W Głubczycach opowiadali, że pożarł Pana lew. Ale ja w to nigdy nie wierzyłem. Bóg przecież nie ratuje kogoś takiego jak Pan, by dawać go na pożarcie lwu. Ja przeżyłem wojnę. Grete także. Ale z Głubczyc musieliśmy wyjechać. Polacy dali nam tylko jeden dzień. Byli jeszcze gorsi niż Rosjanie. Teraz mieszkamy w Marce. To taka brzydka wieś’ w Harzu. Jeszcze mniejsza od Jędrychowic. Oni tutaj nazywają nas *Polaken* i »ci ze wschodu«, i myślą, że tylko my przegraliśmy tę wojnę. Nie możemy się najeść do syta, ale i tak mamy więcej niż inni, bo więcej też pracujemy. Wszystko jednak straciliśmy i znowu chcemy do czegoś dojść. Tych stąd to szczególnie złości. Ale zna Pan swojego Greschka. Grete zbiera złom, a ja go sprzedaję. Pamięta Pan jeszcze, jak Pan mi zawsze mówił: »Greschek, to nieprzyzwoite, co Pan robi z Grete«. Toteż poślubiłem ją, jak uciekaliśmy, i jestem teraz bardzo zadowolony.

Aż do tej przekłętej wojny jeździłem często do Żor i przywoziłem nocą żywność Pana szanownemu ojcu i siostrze. Bardzo źle im się wiodło. Grete każdej niedzieli modliła się za nich w kościele. Ja nie mogłem. Jeśli Bóg widział to wszystko i nie uczynił nic, to nie słyszał też żadnych modlitw. Pana Bacharacha SA pobiło na ulicy i zabrało, wkrótce po tym, kiedy Pan wyjechał z Wrocławia. Później nic już o nim nie słyszeliśmy.

Mam nadzieję, że ten list dojdzie do Afryki. Dla jednego angielskiego żołnierza wystarałem się o stalowy hełm. Oni tu

wszyscy szaleją za takimi zabawkami. Ten człowiek mówił trochę po niemiecku i obiecał mi, że wyśle Panu ten list. Kto tam wie, czy taki dotrzyma słowa. Nam jeszcze nie wolno wysyłać poczty.

Czy wróci Pan teraz do Niemiec? Wtedy w Genui powiedział Pan: »Greschek, wróć, jak te świnie odejdą«. A co Pan teraz robi wśród Murzynów? Pan jest przecież adwokatem. Ludzie, którzy nie byli nazistami, dostają teraz dobre posady i mieszkania szybciej od innych. Jak Pan przyjedzie, Grete znowu pomoże pani doktor przy przeprowadzce. Ci tutaj, z zachodu, nie potrafią pracować tak dobrze jak my. To wszystko są leniwi biedacy. I głupki. Jak będzie Pan miał czas, to proszę do mnie napisać. I proszę pozdrowić panią doktor i dziecko. Czy ona nadal boi się psów? Z poważaniem, Pana stary przyjaciel Josef Greschek”.

Gdy Walter skończył czytać, ciszę, która była gęsta jak mgła w ciężkim od deszczu lesie, przerywały tylko miarowe odgłosy chrapania Rummlera. Owuor wciąż jeszcze trzymał kopertę w dłoni i właśnie chciał zapytać *bwana*, dlaczego ten człowiek wysłał słowa w tak długie safari, zamiast powiedzieć je przyjacielowi, którego uszy tak długo na nie czekały. Spostrzegł jednak, że w pokoju jest tylko ciało *bwana*, a nie jego głowa. Westchnienie Owuora, który powoli wstał, żeby pójść przygotować kolację, obudziło śpiącego psa.

Dużo później Walter rzeki:

– Urok został zdjęty. Może wkrótce usłyszymy coś więcej o naszym domu. – Jednak w jego głosie słychać było zmęczenie, gdy dodał: – Naszych Głubczyc nie zobaczymy już nigdy.

Wszyscy poszli spać, jeszcze zanim ucichły głosy kobiet w ogrodzie, jakby to było ich piątkowym zwyczajem, choć zwykle siedzieli wtedy do późna. Przez pewien czas Regina słyszała rodziców rozmawiających za ścianą, ale zbyt mało rozumiała, by móc podążać za nimi w świat obcych nazwisk i nazw ulic. Wizja dziwnego pisma Greschka wybudziła Reginę z pierwszego snu, a wtedy zdało jej się, że strzępki słów z drugiego pokoju też mają ostre czubki i łuczki i że wszystkie do niej szybko przylatują.

Zezłościło ją, że nie może się przed nimi obronić, więc chociaż był piątek i gryzła ją sumienie, rozmawiała jeszcze długo z Mungo.

Następnego dnia informacja o niezwyklej duchocie w Nairobi zajęła pierwsze miejsce w wiadomościach. Upał szalał jak zraniony lew. Spalał trawę, kwiaty, a nawet kaktusy, drzewa pozbawiał sił, ptaki głośno, psy zaczynały być złośliwe, a ludzie zniechęceni. Nie wytrzymywali tego nawet ci, którzy mieszkali w przestronnych mieszkaniach z drogimi zasłonami w oknach, zbijali się więc w małych plamach cienia rzucanego przez wysokie drzewa i wstydliwie, ale z nostalgią, która wzbudzała w nich zarówno bezradność, jak i namiętności, sięgali do albumów ze zdjęciami albo wprost do pamięci po dawno zapomniane obrazy niemieckiej zimy.

Ostatni dzień 1945 roku był tak gorący, że wiele hoteli w pierwszej kolejności zajmowało się liczbą wentylatorów w jadalniach, a dopiero potem zestawem sylwestrowych dań. W Ngong płonęły największe od wielu lat pożary buszu, w Hove Court racjonowano wodę i przestano podlewać już kwiaty, i nawet Owuor, który spędził dzieciństwo w upalnym Kisumu, musiał sobie ścierać pot z czoła podczas gotowania. Nie było wątpliwości, że mała pora deszczowa już nie przyjdzie i przed lipcem nie ma nadziei na jakąkolwiek ochłodę.

Jettel była zbyt wyczerpana, by się skarżyć. Od ósmego miesiąca ciąży całkowicie wycofała się z życia i stała się głucha na wszelkie pocieszenia i dobre rady. Twierdziła i nie dała się od tego odwieść, że na wolnym powietrzu jest znośniej niż w zamkniętych pomieszczeniach i już o ósmej rano uciekała pod guawę Reginy. Chociaż doktor Gregory mówił jej po każdej swojej wizycie, że za bardzo przytyła i potrzebuje ruchu, całymi godzinami nie opuszczała swojego krzesła, które Owuor zanosił jej do ogrodu i okrywał białymi chustami z taką troskliwością, jakby chciał sporządzić tron.

Kobiety w Hove Court tak bardzo podziwiałały pomysł Owuora, że odwiedzały Jettel z taką regularnością, jak gdyby rzeczywiście była królową, która udziela audiencji swoim poddanym tylko w

określonych porach. Oczywiście najmniej było tych, które miałyby cierpliwość do wysłuchiwania rojeń o zdrowej wrocławskiej zimie i do znoszenia okropnego przyzwyczajenia drażliwej Jettel, która uciekała we własną przeszłość najszybciej, jak to tylko możliwe. Balast noszonego w sobie nowego życia był dla niej trudniejszy do wytrzymania niż bezustanna obawa, że może zaszkodzić nienarodzonemu dziecku i znów przyjdzie na świat martwe.

– Nie mogę się skupić, kiedy ktoś do mnie mówi – żaliła się Elsie Conrad.

– Nonsens, po prostu nie chce ci się słuchać. Obudź się wreszcie. Inne kobiety też zachodzą w ciążę.

– Nawet nie umiem się już kłócić – skarżyła się wieczorami.

– Nie martw się – pocieszał ją Walter – to wróci. W żadnej sytuacji życiowej nie zapomniałaś, jak to się robi.

Dopiero gdy Regina przychodziła ze szkoły i siadała obok niej pod drzewem, Jettel wynurzała się ze stanu pośredniego między na wpół rozbudzoną desperacją a głębokim snem. Tylko pełen wrózek i spełnionych życzeń świat Reginy, którego nie chciała opuścić, mimo że Walter natychmiast ją wyśmiewał, gdy tylko dotarło do niego z tego choć jedno słowo, ale także zachwyty, z jakim opisywała nowe życie z dzieckiem, uwalniały Jettel od uczucia niesmaku, jakie wywoływało u niej jej ociężałe ciało, i sprawiały, że starała się, tak jak podczas nieszczęśliwej ciąży w Nakuru, mieć bliski kontakt z córką.

Ostatnia niedziela lutego przywołała jednak Jettel do rzeczywistości tak raptownie, że miała to sobie zapamiętać do końca życia. Rano nic nie wskazywało na to, by ten dzień jest inny od poprzednich. Po śniadaniu usadowiła się z jękiem pod swoim drzewem, a Walter został w domu, by posłuchać radia. W południe Owuor, który zazwyczaj nigdy nie oddalał się od *memsahib*, nie zareagował na żadne jej wołanie. Jettel rozzłoszczona wysłała Reginę do kuchni po szklanekę wody, ale córka nie wracała. Pragnienie szybko stało się tak nieznośne, że w końcu Jettel wstała. Spostrzegła, że ciało nie chce jej słuchać, ale

daremnie walczyła z odrazą, chociaż czuła, że to i haniebne, i śmieszne.

Bardzo powoli stawiała nogę za nogą, mając nadzieję, że przy następnym kroku Owuor czy Regina jednak się pojawią, by oszczędzić jej reszty drogi. Żadnego z tych dwojga jednak nie widziała, więc pomyślała, wycieńczona złością, która dokuczała jej bardziej jeszcze niż krótka, pozbawiona cienia droga wzdłuż uschniętego ciernistego płotu, że nakryje ich na jednej z tych rozmów o farmie, które bezradnej Jettel jawiły się zawsze jako zdrada.

Kiedy popchnęła drzwi, zobaczyła Owuora. Stał w kuchni z nisko pochyloną głową, zdając się w ogóle nie zauważać Jettel i powtarzając tylko cicho kilka razy, jakby długo rozmawiał z samym sobą:

– *Bwana.*

W pokoju były zaciągnięte zasłony. W ciężkim powietrzu i lichym świetle nieliczne meble wyglądały jak pnie ściętych drzew na jakimś odludziu. Walter i Regina, oboje uderzająco bladzi i z zaczerwienionymi oczami, siedzieli na sofie, obejmując się jak zagubione dzieci.

Jettel była tak przerażona, że do żadnego z nich nie śmiała odezwać się słowem. Oczy stanęły jej w słup. Poczowała, że robi jej się zimno, i w tym samym momencie zdała sobie sprawę, że tak wytęskniony przez nią chłód kąsa jej ciało jak ukłucia igłą.

– Tata przez cały czas wiedział – szlochała Regina, a jej głośnie łkanie natychmiast przerodziło się w cichą skargę.

– Cicho bądź. Obiecałaś, że nic nie powiesz. Nie możemy denerwować mamy. Jeszcze nie teraz, dopóki nie ma dziecka.

– Co się stało? – zapytała Jettel. Jej głos był mocny i chociaż ogarnął ją wstyd, którego nie umiała sobie wytłumaczyć, to już od tygodni nie czuła się silniejsza. Nie czując pleców, schyliła się nawet do psa, położyła rękę na sercu, ale nie czuła, jak bije. Właśnie chciała powtórzyć pytanie, gdy zauważyła, jak Walter

pośpiesznie i bardzo niezręcznie usiłuje schować do kieszeni spodni kawałek papieru.

– List od Greschka? – zapytała bez nadziei.

– Tak – skłamał Walter.

– Nie! – krzyknęła Regina. – Nie!

To Owuor zmusił usta do powiedzenia prawdy. Oparł się o ścianę i powiedział:

– Tata *bwana* nie żyje. Jego siostra też.

– Co się stało? Co to wszystko znaczy?

– Owuor powiedział wszystko, co wie. Tylko tyle mu zdradziłem.

– Od jak dawna o tym wiesz?

– List przyszedł parę dni po tym od Greschka. Doręczyli mi go w obozie. Cieszyło mnie, że zatrzymała go cenzura, bo został wysłany z Rosji, a ja nie musiałem wam o tym opowiadać. Nie płakałem. Aż do dzisiaj. I właśnie wtedy Regina musiała mnie zobaczyć. Przeczytałem go jej. Nie chciałem, ale nie dawała mi spokoju. Mój Boże, jak ja się tego wstydzę przed dzieckiem.

– Daj – powiedziała cicho Jettel. – Muszę wiedzieć.

Podeszła do okna, rozwinęła poślizgnięty kawałek papieru, ujrzała drukowane litery i spróbowała najpierw odczytać nazwisko i adres nadawcy.

– Gdzie jest Tarnopol? – spytała, ale nie oczekiwała odpowiedzi. Wydało jej się, że może jeszcze uniknie zgrozy, jaka zaczęła ją ogarniać, jeśli tylko nie da sobie ani sekundy na próbę zrozumienia tego, co się stało.

Słowa: „Szanowny Pan Doktor Redlich Jettel” wypowiedziała jeszcze na głos, lecz potem uciekła w ciszę i samotność, gdy z bezsilności zaczęła cała dygotać, widząc, że nie może już oczekiwać miłosierdzia.

Byłem przed wojną nauczycielem języka niemieckiego w Tarnopolu, czytała Jettel, a dzisiaj moim smutnym obowiązkiem jest poinformowanie Pana o śmierci Pana ojca i siostry. Znałem dobrze pana Maksa Redlicha. Miał do mnie zaufanie, ponieważ mógł ze mną rozmawiać po niemiecku. Próbowałem mu pomagać na tyle, na ile było w mojej mocy Tydzień przed śmiercią przekazał mi Pański adres. Wiedziałem, że chciał, żebym do Pana napisał, jeśli by mu się coś stało.

Pana ojciec i siostra po wielu niebezpieczeństwach i życiu w strasznym niedostatku przebili się do Tarnopola. W pierwszym okresie niemieckiej okupacji była jeszcze nadzieja dla niego i dla Pani Liesel. Mogli się tutaj ukrywać w piwnicy szkolnej, a przy nadarzającej się okazji zamierzali jechać dalej do Związku Radzieckiego. Siedemnastego listopada 1942 roku dwóch ludzi z SS zabiło Pana ojca na ulicy. Zginął w jednej chwili i nie musiał długo cierpieć.

Panią Liesel wywleczono miesiąc później z budynku szkoły i wywieziono do Bełżca. Nie mogliśmy nic dla niej zrobić i więcej już o niej nie słyszeliśmy. To był trzeci transport do Bełżca. Nikt stamtąd nie wrócił.

Nie wiem, czy Pan wie, że Pani Liesel w czasie ucieczki poślubiła mężczyznę z Czech. Pan Erwin Schweiger był kierowcą samochodów ciężarowych i został wcielony przez armię rosyjską do wojska. Dlatego musiał opuścić Pana ojca i Panią Liesel.

Pana ojciec był z Pana bardzo dumny i dużo mi o Panu mówił. W kieszeni na piersi nosił zawsze ostatni list, który Pan do niego napisał. Jakże często go czytaliśmy wyobrażając sobie, jak Panu i Pana rodzinie jest dobrze i bezpiecznie na farmie. Pan Redlich był dzielnym człowiekiem i do końca wierzył, że Bóg pozwoli mu jeszcze Pana zobaczyć. Niech Pan zmiłuje się nad jego duszą. Wstydzę się za wszystkich ludzi, że muszę pisać taki list, ale wiem, że w Pańskiej religii syn odmawia modlitwę za ojca w dzień jego śmierci. Większość Pana braci chyba nie może tego zrobić. Gdybym tylko wiedział, że jest dla Pana pocieszeniem, iż zna Pan tę datę, czułbym się lżej, spełniając swój obowiązek.

Pana ojciec zawsze mi mówił, że ma Pan dobre serce. Oby Bóg Pana takim zachował. Proszę mi nie odpisywać do Tarnopola. Listy z zagranicy przysparzają tutaj problemów. Będę się modlił za Pana i Pańską rodzinę.

Czekając na zbawienne łyzy, Jettel starannie składała list, ale jej oczy były suche. Peszyło ją, że nie może krzyczeć ani nawet mówić, i czuła się jak zwierzę, które odbiera tylko fizyczny ból. Zmieszana usiadła między Walterem i Regina, prostując przepocony fartuszek. Zrobiła niewielki ruch, jakby chciała ich dwoje pogłaskać, nie była jednak w stanie podnieść odpowiednio wysoko ręki, która bezustannie zsuwała się jej na brzuch.

Jettel zadawała sobie pytanie, czy nie jest grzechem obdarowywać życiem dziecko, które za kilka lat zapyta o swoich dziadków. Gdy Walter na nią spojrzał, wiedziała, że wyczuł jej wzburzenie, bo potrząsnął głową. Jego bezsilny upór stanowił jednak dla niej jakieś pocieszenie, bo głosem nieosłabłym z rozpaczy powiedziała:

– To pewnie będzie chłopiec, teraz mamy już dla niego imię.

W ciągu długiej nocy z piątego na szósty marca 1946 roku wielu mieszkańców Hove Court nie mogło zaznać spokoju, którego od czasu, gdy nastąpiła plaga niezwykłych upałów, bronili z jeszcze większą pasją niż prywatnego mienia. W większości pokoi i mieszkań lampy świeciły się wbrew mającemu wzejść słońcu, małe dzieci jeszcze przed północą wołały swoje aje i domagały się butelek z mlekiem, pokojowi tracili poczucie obowiązku, porządku i tego, co należy robić, a czego nie, i jeszcze zanim zaświergotał pierwszy ptak, nastawiali wodę na poranną herbatę. Psy obszczekiwały księżyc, cienie, uschłe drzewa i rozeźlonych ludzi. Ujadając, chrypiły z wściekłości i rzucały się na siebie, co niechybnie prowadziło do bezlitosnych walk między ich właścicielami. Radia ryczały szlagierami tak samo głośno, jak w czas zakończenia wojny. Nawet prawie głucha panna Jones pojawiła się w koszuli nocnej przed zamkniętymi drzwiami biura administracji, żeby zameldować, iż usłyszała zakłócające ciszę hałasy.

Owuor, który siedział sam z *memsahib kidogo*, nie chodził do swojej kwatery ani najedzenie, ani do młodej kobiety sprowadzonej przez niego przed tygodniem z Kisumu. W trzeciej godzinie po zachodzie słońca wytrzepał wszystkie koce i materace, zamiótł szczotką drewnianą podłogę i psa, a na koniec wyczyścił sobie paznokcie pilnikiem *memsahib*, na co, gdyby była w domu, nigdy by mu nie pozwoliła.

Z ciężkim sercem i brzuchem kołysał swoje zmęczenie na hamaku Reginy, usiłując uspokoić się i usnąć, jednak sen nie ukoił go na tyle, by wyrzucić z jego głowy kłębiące się tam obrazy. Od czasu do czasu próbował zaśpiewać smutną piosenkę o kobiecie, która szuka w lesie swojego dziecka i ciągle słyszy tylko własny głos, ale melodia zbyt często wzięła mu w gardle i w końcu musiał wykasłać ogarniającą go niecierpliwość.

Regina leżała na łóżku rodziców w białej szkolnej bluzeczce i delikatnej szarej spódnicy, która wymagała więcej uwagi niż dopiero co wyklute kurczątka. Postanowiła przeczytać *Davidą Copperfielda* od pierwszej do ostatniej strony bez wstawania po najmniejszą nawet szklaneczkę wody, ale już po dwóch pierwszych akapitach litery zaczęły gonić jedna drugą i przelatywać jej przed oczami jak ognistoczerwone kręgi. Dłonie jej zawilgotniały od bezustannego wodzenia po kolorowych koralikach na zaczarowanym pasku. Język nie śmiał już wypowiedzieć tego jednego jedyneę życzenia, o którego spełnienie Regina prosiła los po raz kolejny, by przekonać milczącego boga Mungo, żeby tym razem stanął po jej stronie, a nie, jak w dniach przelatywanych ukradkiem łez, po stronie śmierci.

Odkąd Walter i Jettel zerwali się w środku kolacji i, wydzielając zapach goniących w amoku psów, z małą walizką w ręku wyjechali samochodem pana Słapaka, Regina walczyła z lękiem silniejszym od wygłodniałego węża. Niepewność szalała w jej trzewiach jak gniewny wodospad po burzy. Tylko gdy stojąca w gardle góra z kamienia groziła przesunięciem się aż do ust, pędziła do Owuora, końcami palców dotykała znajomych zaokrągleń jego ramion i pytała:

– Jak myślisz, czy ten dzień będzie dobry?

Wtedy Owuor natychmiast otwierał oczy i mówił, jakby całe życie uczył się tylko tego zdania:

– Ja wiem, że dzień będzie dobry.

Gdy tylko te słowa wychodziły z jego ust, on i *memsahib kidogo* za każdym razem patrzyli w podłogę, bo przecież mieli jedną głowę, która nie potrafiła zapominać. I oboje wiedzieli, że żywa pamięć tamtych dni była gorsza niż mściwa pałka okradzionego na nagiej skórze złodzieja. o trzeciej nad ranem Elsa Conrad podlewała kamelie przed swoim oknem, tak głośno wymyślając sobie od starych wariatek, że pani Taylor wypadła z furją na balkon, krzycząc, by się uciszyła. Mimo to nie doszło do kłótni, bo właśnie w momencie, w którym Elsa wreszcie znalazła

odpowiednie angielskie przekleństwo i upewniła się co do jego poprawnej wymowy, ujrzała profesora Gottschalka. Spacerował po ogródku w kapeluszu z maleńką, porcelanową miseczką w ręku, z której jadł rano papkę owsianą. Oboje zawołali do siebie:

– Już czas!

I w jednej chwili popukali się palcem w czoło, dając sobie do zrozumienia, że wątpią w swe zdrowe zmysły.

O wiele wcześniej Chepoi odprawił dwóch rozczarowanych oficerów, nie pozwalając młodym, wygłodniałym mężczyznom ocenić wdzięków słynnej pani Wilkins choćby jednym spojrzeniem. Sama Diana zaś stała i patrzyła przez okno jeszcze o świcie. Na głowie miała koronę o barwie złota, wysadzaną kolorowymi kamieniami, która po jej jedynym występie w Moskwie omamiła ją wizją świetlanej przyszłości. Podczas krótkich przerw, które pozwalała sobie spędzić w fotelu, tak często zraszała swojego pieska ulubionymi perfumami, że ten, chcąc uchronić swój nos, z niezwykłą jak na niego odwagą gryzł ją po palcach.

Diana obelżywie nazywała wymęczone zwierzątko przebrzydłym Stalinem. Wyjąc z bólu i wściekłości, dręczona niejasną odrazą do wszystkiego, co, gdy była trzeźwa, w sposób oczywisty kojarzyło jej się z bolszewikami, uległa w końcu Chepoi, który starał się ją uspokoić. Po zaskakująco krótkiej walce dała sobie wyrwać butelkę whisky i, po złożeniu przez niego obietnicy, że obudzi ją natychmiast, jak tylko pojawią się jakieś nowiny, zgodziła się pójść do łóżka.

Gdy w Hove Court nawet najmniejszy znak nie wskazywał na powagę sytuacji, w oddalonym o osiem kilometrów Eskotene Nursing Home minutę po piątej urodził się Max Ronald Paul Redlich. Pierwszy krzyk, jaki z siebie wydał, i nagły, głuchy grzmot z nieba, podobny do odgłosu zrywającego się do ucieczki stada gnu, rozbrzmiały w jednym momencie. Gdy siostra Amy Patrick położyła dziecko na wadze i zapisała na kartce jego wagę – dwa kilogramy i trzydzieści sześć dekagramów – a także długie,

trudne do przeliterowania imię, jej ciemne oczy przybrały jasny odcień i zaczęła mówić o cudzie.

Zarówno przesadzony, jak na tę okazję, uśmiech położnej wymęczonej po trzeciej bezsennej nocy, jak i euforyczne zakłęcie skierowane w stronę pozaziemskich sił nie dotyczyły dziecka, a tym bardziej spokojnej już matki, której męczący wrażliwe uszy siostry Amy akcent tak bardzo dokuczał jej w czasie trudnego porodu. Spontaniczny zachwyt Amy Patricks był jedynie wyrazem zrozumiałego zdumienia, że wbrew zapowiedziom z poprzedniego dnia mały deszcz jednak uwolnił Nairobi od koszmarnego, bezprecedensowego upału. Położna tak się rozluźniła, że mimo przykrej okoliczności braku świadomych słuchaczy pozwoliła sobie pofolgować na głos swojemu brytyjskiemu poczuciu humoru. Pod wiązując noworodkowi pępek, rzekła z nutą zadowolenia:

– Boże kochany, ten chłopak wrzeszczy jak mały Anglik.

Jak na spóźnioną porę deszczową, błogosławieństwo niebieskie okazało się nader skromne. Mogło się stać tematem rozmów na najwyżej jeden tydzień i starczyć jedynie najmniejszym ptakom, dachom z blachy falistej i najwyższym konarom akacji do starcia kurzu. To jednak, że w ogóle spadł deszcz, umocniło przekonanie wszystkich przychylnie nastawionych osób, którzy z własnej woli poświęcili swój nocny odpoczynek, że narodziny Maksa Redlicha są wydarzeniem niezwykłym i że dziecko będzie wręcz iskrą nadziei dla drugiego pokolenia *refugees*.

Regina i Owuor z początku w ogóle nie zauważyli, że Walter wrócił do domu. Nie słyszeli ani odgłosu otwieranych silnym pchnięciem zacinających się drzwi, ani tego, jak przeklął, gdy potknął się o śpiącego psa. Najpierw się przestraszyli, później jednak, jak dwóch żołnierzy na wydaną znienacka komendę, wyrwali się ze stanu zamroczenia, słysząc dobiegające z kuchni łomoty, zupełnie jakby ktoś kogoś dusił. Owuor dał otwartym drzwiom kopniaka, którym nawet jako młody chłopak nie zmusiłby do pracy upartego osła. Jego *bwana* klęczał, jęcząc, przed zardzewiałym wiadrem, które ścisnął obiema rękami.

Regina podskoczyła do taty, chcąc go objąć przynajmniej od tyłu, zanim sparaliżują ją rozczarowanie i przerażenie. Gdy Walter poczuł jej ręce na piersi, wyprostował się jak drzewo, które poczuło pragnienie w korzeniach i spija jeszcze zbawienne krople ze swoich liści.

– Max jest z nami – wysapał. – Tym razem Bóg nam sprzyjał.

Cisza panowała do chwili, w której poszarzała skóra Waltera znów przybrała swój odcień lekkiego brązu, pasującego do jego munduru. Słowa taty zbyt długo brzmiały w uszach Reginy, by mogła zdobyć się na więcej, niż tylko wykonywać głową małe, jednostajne ruchy. Trwało z dobre pół minuty, zanim poczuła ożywczy strumień łez. Kiedy wreszcie mogła otworzyć oczy, zobaczyła, że tata również płacze. Przytuliła głowę do jego głowy, by móc razem z nim dzielić gorący, słony smak radości.

– Max – powiedział Owuor. Jego zęby lśniły jak dopiero co zapalone w ciemnym pokoju świece. – Teraz – dodał, śmiejąc się – mamy też *bwana kidogo*.

I znów nikt nie powiedział ani słowa. Lecz gdy Owuor powtórzył imię, wymawiając je tak wyraźnie, jakby było mu znane od zawsze, *bwana* poklepał go po ramieniu. Śmiał się przy tym jak w dniu, w którym uciekła szarańcza i kiedy nazwał go swoim *rafiki*.

Okrągłe, łagodne słowo oznaczające przyjaciela, z którego Owuor mógł być dumny tylko wtedy, gdy, cicho i z lekką chrypką w głosie, wypowiadał je sam *bwana*, podfrunęło ku jego uszom jak motyl w skworny dzień. Głoski napęłniły ciepłem jego pierś i wygasily wycięty jakby zbyt ostrym nożem lęk długiej nocy.

– Czy już widziałeś dziecko? – zapytał. – Ma dwoje zdrowych oczu i dziesięć palców? Dziecko musi wyglądać jak mała małpa.

– Mój syn jest ładniejszy od małpy. Już go trzymałem na rękach. Dzisiaj po południu zobaczy go *memsahib kidogo*. Owuor, pytałem, czy mógłbym zabrać i ciebie, ale siostry i lekarz w szpitalu powiedzieli, że nie. Chciałem, żebyś przy tym był.

– Ja potrafię czekać, *bwana*. Czy o tym zapomniałeś? Czekalem cztery pory deszczowe.

– Pamiętasz tak dokładnie, kiedy zmarło tamto dziecko?

– Ty przecież też to wiesz, *bwana*.

– Czasem mi się wydaje, że Owuor jest moim jedynym przyjacielem w tym przeklętym mieście – powiedział Walter w drodze do szpitala.

– Jeden przyjaciel starcza na całe życie.

– A to znowu skąd wzięłaś? Może od tej twojej głupkowatej angielskiej wróżki?

– Z mojego głupkowatego angielskiego Dickensa, ale przyjacielem jest też trochę pan Slapak. Przecież ci pożyczył samochód. Gdyby tego nie zrobił, musielibyśmy teraz jechać autobusem.

Regina oderwała kawałeczek z rozdartej tapicerki fotela i połaskotała Waltera w rękę twardą końcówką włosa końskiego. Uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie widziała taty za kierownicą samochodu i że w ogóle nie wiedziała, że potrafi prowadzić. Już chciała mu o tym powiedzieć, ale poczuła, nie umiając sobie od razu wyjaśnić tego przyczyny, że mogłoby go to obrazić, więc zamiast tego powiedziała:

– Dobrze jeździsz.

– Jeździłem już samochodem, kiedy jeszcze nikt o tobie nie myślał.

– W Żorach? – spytała potulnie.

– W Głubczycach, adlerem Greschka. Mój Boże, gdyby Greschek wiedział, co dzisiaj za dzień.

Rozklekotany ford, stękając, pokonywał wzniesienia i zostawiał za sobą gęstą chmurę z drobniutkiego czerwonego piasku. Po lewej stronie i z przodu samochód nie miał szyb, a przez dziury w zardzewiałym dachu prażyło słońce. Gnający na

skrzydłach upał i pęd dusznego powietrza rozpały skórę do czerwoności. Regina czuła się jak w dżipie, którym Martin zabrał ją na ferie. Ujrzała ciemne lasy Ol' Joro Orok z dawno niedoświadczaną już wyrazistością, a potem głowę o blond włosach i jasne oczy, z których wyfruwały w dal małe gwiazdy.

Przez chwilę przeszłość sprawiała jej taką samą radość co terażniejszość, ale nagły ogień w karku przywołał ową bolesną tęsknotę, o której sądziła, że na zawsze oddaliły ją dni oczekiwania. Łapała powietrze, by uwolnić oczy od obrazów, których miała już nigdy nie zobaczyć, a serce od smutku, jaki nie pasował do jej stanu upojnego szczęścia.

– Bardzo cię kocham – wyszeptała.

Eskotene Nursing Home, solidnie zbudowany biały budynek z oknami z jasnoniebieskiego szkła i smukłymi kolumnami u wejścia, po których pięły się róże przybierające o zachodzie słońca kolor nieba, położony był w parku ze stawem, w którym złote rybki wyskakiwały z pluskiem spośród lilii wodnych, oraz z krótko przyciętym dywanem z gęstej zielonej trawy. Na konarach wysokich cedrów atlasowce rozwijały lśniące błękitem pióra w małe wachlarzyki, a drzewa parowały jeszcze po porannym deszczu. Przed bramą żelaznego ogrodzenia stał *askari* o szerokich ramionach, w granatowym mundurze i z grubą drewnianą pałką, którą trzymał obiema rękami. U jego stóp spał wilczarz irlandzki o kawowym umaszczeniu z siwymi bokobrodami.

Droga klinika niechętnie pomagała wystartować w życie dzieciom *refugees*, a ze skłonnością zazwyczaj do kompromisów doktorem Gregorym w tym przypadku niełatwo było dojść do porozumienia. Zasadniczo nie zajmował się pacjentkami z Government Hospital, w którym lekarze, by dotrzeć do chorych Europejczyków, musieli przechodzić korytarzami oddziałów dla czarnych. Jego honorarium już w czasie ciąży Jettel pochłonęło jej wszystkie oszczędności z pracy w Horse Shoe, a rachunek za poród i pobyt w Eskotene wymagały niechybnie poświęcenia

dodatkowego żołdu, jaki przysługiwał sierżantowi z okazji narodzin dziecka.

Mimo to doktor Gregory był również współczujący i sumienny wobec pacjentek, które nie mogły sobie na niego pozwolić oraz nie odpowiadały jego osiągniętemu ciężką pracą poziomowi. We własnym gronie oznajmił z uśmiechem, wyrażając przy tym lekkie zdziwienie z powodu swojego nieoczekiwanie tolerancyjnego nastawienia, że przyzwyczał się nawet do wymowy Jettel. Za każdym razem, gdy ją badał, łapał się na tym, że później jeszcze przez pewien czas w jakiś wręcz absurdalny sposób wywijał językiem, gdy wymawiał „r”.

Tej zupełnie obcej w jego eleganckiej praktyce pacjentce nie dawał jednak przede wszystkim odczuć, że po znaczącą resztę sumy, jaka mu się należała, bardzo dyskretnie i wspominając o wieku Jettel tudzież spodziewanych komplikacjach w czasie ciąży i przy porodzie, zwrócił się do gminy żydowskiej w Nairobi. Bądź co bądź, od lat wraz ze starym Rubensem siedział w zarządzie i nigdy nie wahał się przyznawać publicznie do swojego żydostwa, również wtedy, gdy zamienił swoje rdzennie polskie nazwisko na jego wygodną w wymowie wersję angielską.

Doktor Gregory, odwiedzający swoje pacjentki dwa razy dziennie także dlatego, że Eskotene leżało na drodze do pola golfowego, a on już od młodości miał szczególny talent do łączenia obowiązków z upodobaniami, właśnie bawił u Jettel, gdy pojawili się Walter z Reginą. Ujrawszy go, oboje zatrzymali się niepewnie przy drzwiach. Ich nieporadność, zażenowanie ojca, które natychmiast przerodziło się w uniżoność uciśnionego oraz córka o ciele dziecka i twarzy ukształtowanej przez, jak się wydawało, zbyt wczesne doświadczenia życiowe, wzruszyły lekarza.

Zadał sobie pytanie, czując przy tym lekkie zawstydzenie, które go raczej irytowało, niż sprawiało mu przyjemność, czy nie powinien był zająć się dokładniej losami małej rodziny, której wyczuwalna zażyłość, w jego odczuciu śmiesznie staromodna, przypominała opowieści jego dziadka. Już od lat nie myślał o tym starym człowieku, który w małym, wilgotnym mieszkanku w

londyńskim East Endzie w uciążliwy sposób zwykł odwoływać się właśnie do tych korzeni, od których ambitny student medycyny próbował się energicznie odcinać. Wzruszenie było jednak zbyt przelotne, by mógł mu ulec.

– *Come on!* – zawołał nieco przesadnie głośno, jak to zwykł czynić, gdy miał do czynienia ze spragnionymi serdeczności ludźmi z kontynentu, a potem, w przystępie poufałości, którą mógł sobie wytłumaczyć tylko swoim sentymentalizmem, dodał, o wiele ciszej i nawet trochę nieśmiało: – *Massel tow.*

Poklepał Waltera po plecach, cokolwiek roztargnionym ruchem pogłaskał Reginę po głowie, przy czym ręka zsunęła mu się na jej policzek, a później spiesznie wyszedł z sali.

Dopiero kiedy lekarz zamknął za sobą drzwi, Regina ujrzała przy łokciu Jettel małą główkę w koronie z czarnego puszku. Jak zza mgły pochłaniającej dźwięki usłyszała oddech taty, a zaraz potem cichutkie kwilenie noworodka i Jettel uspokajającą go wabiącym głosem. Regina chciała się głośno roześmiać albo przynajmniej zapiszczeć z radości jak jej koleżanki po wygranej grze w hokeja, ale z jej gardła wydobyło się tylko jakieś bulgotanie, które wydało jej się bardzo mizerne.

– Chodź – powiedziała Jettel – oboje na ciebie czekaliśmy.

– Trzymaj go mocno, na nowego już nie moglibyśmy sobie pozwolić – napomniał Reginę Walter i dał jej dziecko na ręce. – To jest twój brat Max – rzekł obcym, uroczystym tonem. – Ja już dzisiaj słyszałem, jak krzyczy. On dokładnie wie, czego chce. Jak dorośnie, będzie się tobą dobrze opiekował. Nie tak jak ja moja siostrą.

Max miał otwarte oczy. Jaśniały błękitem na twarzyczce koloru młodych kolb kukurydzy z Rongai. Jego skóra pachniała słodko jak świeżo ugotowane *poscho*. Regina dotknęła nosem czoła swojego brata, żeby przyswoić sobie ten zapach. Była pewna, że już nigdy w życiu nie będzie tak upojona szczęściem. W tym momencie rzekła do swojej wróżki, której już nigdy nie miała

więcej fatygować, ostatnie słowa pożegnania. Rozstała się z nią bez wahania i bez żalu.

– Nic do niego nie powiesz?

– Nie wiem, w jakim języku mam z nim rozmawiać.

– On jeszcze nie jest prawdziwym *refugee* i nie będzie się krępował, jak usłyszy język ojczysty.

– *Jambo* – wyszeptała Regina. – *Jambo, bwana kidogo*. – Przestraszyła się, gdy zauważyła, że szczęście uspiło jej czujność na słowa, które niepokoją tatę. – Czy on naprawdę jest mój? – zapytała nieśmiało.

– On należy do nas wszystkich.

– Do Owuora też – powiedziała Regina i przypomniała sobie ostatnią noc i ich rozmowy.

– Naturalnie, tak długo, jak Owuor będzie mógł z nami zostać.

– Nie dzisiaj – powiedziała Jettel z niechęcią. – Naprawdę nie dzisiaj. Regina zdecydowanie stłumiła pytanie, które ciekawość próbowała włożyć jej w usta.

Nie dzisiaj, oznajmiła swojemu bratu, wypowiadając jednak te magiczne słowa jedynie w myśli, i przemieniła śmiech, który drapał ją w gardle, w kilka wysokich, radosnych tonów, by tata i mama nie dowiedzieli się, że ich syn już jest gotowy uczyć się języka Owuora.

Jeszcze po zachodzie słońca Owuor siedział przed wejściem do kuchni z głową między kolanami i snem pod powiekami, gdy usłyszał dźwięk nadjeżdżającego samochodu, który ryczał głośniejszy od zdartego i zniszczonego traktora. Ponieważ *bwana* musiał najpierw oddać auto temu łotrowi Słapakowi, miało jeszcze potrwać, zanim skończy się oczekiwanie Owuora, ale Owuor nigdy nie liczył godzin, tylko dobre dni. Wolno poruszył ręką, a potem nieznacznie odwrócił głowę w kierunku postaci, która, stojąc za

nim, opierała się o ścianę, i zadowolony uciął sobie kolejną drzemkę.

Również Slapak lubił smak radości. Ponieważ po czwartym dziecku, jakie właśnie zaczynało u niego raczkować, narodziny syna we własnej rodzinie traktował z taką samą trzeźwością jak skład towarów w swoim od czasu zakończenia wojny wspaniale kwitnącym sklepie z rzeczami używanymi, chciał usłyszeć także o szczęściu innych. Gdy Walter i Regina przyszli zwrócić mu kluczyki do samochodu, zaciągnął ich do swojej ciasnej izby mieszkalnej, pachnącej wilgotnymi pieluchami i kapuśniakiem. O ile większość mieszkańców Hove Court w Leonie Slapaku widziała tylko chytrego handlarza, który zamieniłby na pieniądze własną matkę, jeśli odniósłby z tego choć najmniejszą korzyść, o tyle w głębi serca był on pobożnym człowiekiem, który spływającą na innych łaskę uważał za potwierdzenie tego, że Bóg ma zrozumienie dla dobrych ludzi. A ten żołnierz w obcym mundurze, po którego oczach widać było, że został zraniony nie na polu bitwy, lecz w walce z życiem, taki skromny i uprzejmy, zawsze mu się podobał. Slapak pozdrawiał Waltera, gdy go zobaczył, i radował się wdzięcznością, z jaką ten odwzajemniał jego gest i która przypominała mu mężczyzn z jego kraju ojczystego.

I tak, pogardzany przez swoich sąsiadów Slapak napełnił wódką kieliszek, który najpierw starannie przetarł swoją chustką do nosa, wetknął go Walterowi do ręki, sam zaś pociągnął łyk z butelki i wypowiedział szereg słów, z których Walter zrozumiał tyle co nic. Była to zwykła mieszanka językowa *refugees* ze wschodu; składały się na nią wyrażenia w języku polskim, jidysz i angielskim, które Walterowi przypomniały Żory już choćby dlatego, że Slapak wkrótce zaniechał trudów mówienia po angielsku, a potem także w jidysz i całkowicie przeszedł na polski. Ze swojej strony Slapak tak bardzo cieszył się nielicznymi strzępami polszczyzny, które Walter pamiętał z dzieciństwa, jakby niespodziewanie zrobił dobry interes.

Tego wieczoru porozumiało się ze sobą dwóch mężczyzn, którzy podążali za wspomnieniami pochodzącymi z dwóch

różnych światów, lecz mimo to mieli wspólne korzenie tkwiące w jednoczącym ich bólu. Dwóch ojców nie myślało o swoich dzieciach, tylko o niespełnionym przez siebie obowiązku synów. Mimo że gość był jego rówieśnikiem, Słapak pożegnał go tuż przed północą tradycyjnym ojcowskim błogosławieństwem. Dał Walterowi w podarunku wózek dziecięcy, którego sam mógł potrzebować najwcześniej za rok, pakiet spranych pieluch i sukienkę z czerwonego aksamitu dla Reginy, do której brakowało jej przynajmniej siedmiu kilogramów i tyluż centymetrów.

– Świątowałem urodziny mojego syna z człowiekiem, z którym nie potrafię rozmawiać – westchnął Walter w drodze do mieszkania. Popchnął wózek. Koła z parciejącej już gumy turkotały po kamieniach. – Może pewnego dnia będę mógł się z tego śmiać.

Miał potrzebę wytłumaczenia Reginie, dlaczego, mimo tak ciepłego przyjęcia, uważał wizytę u Słapaka za symbol swojego wykolejonego życia, ale nie wiedział jak.

Regina też zamierzała rozkazać swojej głowie, by zatrzymała zagmatwane myśli, które nie powinny wyjść z jej ust, lecz mimo to powiedziała:

– Wcale nie będzie mi smutno, jeśli teraz będziesz kochać bardziej Maksa niż mnie. Już jestem dorosła.

– Co ty za bzdury wygadujesz? Bez ciebie nie wytrzymałbym przez te wszystkie lata. Myślisz, że mógłbym o tym zapomnieć? Ładny byłby ze mnie ojciec. Nie mogłem dać ci nic poza miłością.

– Już *enough*.

Regina za późno zauważyła, że nie znalazła w porę niemieckiego słowa. Pobiegła za wózkiem, jakby najważniejsze było to, żeby go złapać, zanim wjedzie na eukaliptus, zatrzymała go, wróciła biegiem do taty i zarzuciła mu ręce na szyję. Woń alkoholu i tytoniu, którym pachniało jego ciało, a także jej poczucie bezpieczeństwa odurzyły ich i przyprawiły o zawrót głowy.

– Kocham cię bardziej niż wszystkich innych ludzi na świecie
– powiedziała.

– Ja ciebie też. Ale tego nie powiemy nikomu. Nigdy.

– Nigdy – obiecała Regina.

Owuor stał przed drzwiami na baczność jak *askari* z pałką przed bramą do szpitala.

– *Bwana* – powiedział, nasycając swój głos dumą. – Znalazłem już aję.

– Aja? Co z ciebie za osioł, Owuor. Co my zrobimy z ają? W Nairobi nie jest tak jak w Rongai. W Rongai aję opłacał *bwana* Morrison. Ona mieszkała na jego farmie. W Nairobi ja muszę płacić za aję. Ale nie mogę. Wystarczy mi pieniędzy tylko dla ciebie. Nie jestem bogaty. Wiesz o tym.

– Nasze dziecko – odparł Owuor zły – jest tak samo dobre jak inne dzieci. Żadne dziecko nie może być bez aji. *Memsahib* nie może chodzić po ogrodzie z takim starym wózkiem. A ja nie mogę pracować dla człowieka, który nie ma aji dla swojego dziecka.

– Bo ty jesteś wielki Owuor – zadrwił Walter.

– Nazywa się Chebeti, *bwana* – oznajmił Owuor, napełniając każde z czterech słów swoją cierpliwością. – Nie musisz jej płacić dużo pieniędzy. Wszystko jej już powiedziałem.

– Co jej powiedziałeś?

– Wszystko, *bwana*.

– Ale ja jej przecież nie znam.

– Jaja znam, *bwana*. To jest dobre.

Chebeti, która siedziała przed drzwiami do kuchni, wstała. Była wysoka i szczupła, w białym turbanie oraz w szerokiej białej sukience okrywającej jej gołe nogi i luźno zawiązanej na ramionach. Miała powolne, pełne wdzięku ruchy młodych kobiet z plemienia Jalu, a także ich pewność siebie. Gdy Walter wyciągnął do niej rękę, otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

Regina stała zbyt daleko, by dostrzec w ciemności połyskującą w tych obcych oczach biel, ale poczuła, że skóra Chebeti i skóra Owuora mają ten sam zapach. Tak samo w południe pachniały *dik-diks* w wysokich trawach.

– Chebeti będzie dobrą ają, tato – powiedziała Regina. – Owuor śpi tylko z dobrymi kobietami.

Kapitan Bruce Carruthers energicznie wstał, rozdeptał na podłodze chrząszcza, następnie rozgniółł na szybie robaka, którego wziął za moskita, i nierad usiadł ponownie. Narastała w nim niechęć na myśl, że przed rozmową z pewnym, mimo kilku zastrzeżeń trudnych do wytłumaczenia, właściwie dość sympatycznym sierżantem, który stale salutował, jakby właśnie stał przed królem, i mówił po angielsku jak wszawy Hindus, będzie musiał wygrzebać ze stosu papierów piętrzących się na jego biurku jeden określony list. Carruthers żywił odrazę wobec wszelkich form niezdyscyplinowania i czuł wręcz chorobliwy wstręt do nieporządku, który sam spowodował. Zastanawia! się – zbyt intensywnie, bo zepsuło mu to humor – nad okolicznością, dlaczego akurat jemu, który dyskusjami w wojsku brzydził się jeszcze bardziej niż nonsensem, zawsze przypadało w udziale zadanie mówienia swoim ludziom rzeczy, których nie chcieli usłyszeć.

Tylko jego, który nie pragnął niczego innego, niż w mglisty jesienny poranek przespacerować się Princess Street i odczuć pierwsze oznaki zimy, nikt nie poinformował, że jego prośba o zwolnienie ze służby w armii została odroczone do odwołania. Tę przykrą wiadomość musiał sobie sam wyłowić z poczty przed dwoma dniami. Od tamtej chwili pojął jeszcze lepiej niż przedtem, że Afryka nie jest dobrym miejscem dla mężczyzny, który przed pięcioma o wiele za długimi latami z ciężkim sercem pozostawił w Edynburgu młodziuteńką kobietę. Dziewczyna potrzebowała coraz więcej czasu, by odpisywać na jego listy, a już od dawna nie potrafiła dać mu zadowalającej odpowiedzi, dlaczego tak jest.

Kapitan Carruthers odbierał to jako podwójną ironię losu, że temu sierżantowi o oczach wiernego collie musi teraz przekazać informację, iż Armia Jego Królewskiej Mości nie jest już dłużej zainteresowana przedłużeniem jego służby.

– Dlaczego, na miłość boską, ten gość w ogóle chce jechać do Niemiec? – zamruczał do siebie.

– Tam jest mój dom, sir.

Kapitan spojrzał ze zdumieniem na Waltera. Nie usłyszał ani jego pukania, ani tego, że rozmawia z samym sobą, co ostatnio zdarzało mu się żenująco często.

– Chciałby pan się przenieść do brytyjskiej armii okupacyjnej?

– Tak, sir.

– Całkiem niezły pomysł. Jak przypuszczam, mówi pan po niemiecku. Pan stamtąd pochodzi?

– Tak, sir.

– Byłby pan odpowiednim człowiekiem do oczyszczenia sytuacji u *fucking Jerries*.

– Sądzę, że tak, sir.

– W Londynie myślą inaczej – powiedział Carruthers. – Jeżeli w ogóle myślą – zaśmiał się z lekką kpina w głosie; zawdzięczał jej opinię oficera, z którym można zawsze uciąć sobie przednią pogawędkę. Gdy spostrzegł, że jego żart przeszedł bez echa, bez słowa podał Walterowi list. Obserwował przez jakiś czas z niecierpliwością zupełnie niestosowną w tej sytuacji, jak Walter męczy się, odczytując rozwlekłe sformułowania aroganckich londyńskich biurokratów.

– Ci w domu – rzekł szorstko, a gdy to zauważył, zrobiło mu się trochę przykro – nie chcą mieć w jednostce żołnierzy nieposiadających angielskiego paszportu. A co właściwie chciałby pan robić w Niemczech?

– Chciałbym zostać w Niemczech, gdy skończę służbę w armii.

– Dlaczego?

– Niemcy to moja ojczyzna, sir – wyjąkał Walter. – Przepraszam, sir, że to mówię.

– Nie szkodzi – odparł kapitan w roztargnieniu.

Było dla niego jasne, że nie musi się już wdawać w dalszą rozmowę. Jego powinnością było poinformowanie ludzi o dotyczących ich procedurach i upewnienie się, czy właściwie zrozumieli odpowiednie decyzje. W przypadku wielu cudzoziemców i tych przeklętych kolorowych służących w wojsku wcale nie było to takie oczywiste. Kapitan spędził muchę z czoła. Pojął, że tylko niepotrzebnie zaangażuje się w sprawę, która go nic nie obchodzi, jeżeli nie zakończy szybko rozmowy.

Coś jednak, co później mógł sobie wytłumaczyć tylko podobieństwem losów i swoją melancholią, kazało mu zbyt długo przytakiwać głową, by móc się pozbyć sierżanta w zwykły sposób i stoczyć kolejną bitwę z idiotycznymi moskitami. Stojący przed nim człowiek mówił o ojczyźnie, a właśnie to głupie, nadużywane, sentymentalne słowo już od miesięcy nie dawało Bruce'owi Carruthersowi spokoju.

– Moją ojczyzną jest Szkocja – rzekł i naprawdę przez moment myślał, że znowu rozmawia z samym sobą. – Ale jakiś dureń w Londynie wbił sobie do swojego zakutego łba, że muszę gnić w tym głupim Ngong.

– Tak, sir.

– Zna pan Szkocję?

– Nie, sir.

– Przepiękny kraj. Z przyzwoitą pogodą, przyzwoitą whisky i przyzwoitymi ludźmi, na których można polegać. Anglicy nie mają bladego pojęcia o Szkocji i o tym, co nam zrobili, zabierając naszego króla i kradnąc naszą niezależność – powiedział kapitan. Uświadomił sobie, że to naprawdę śmieszne, dyskutować o Szkocji i 1603 roku z człowiekiem, który ewidentnie nie mógł powiedzieć wiele więcej nad „tak” i „nie”. Dlatego zapytał: – Co pan robi w życiu cywilnym?

– W Niemczech byłem adwokatem, sir.

– Naprawdę?

– Tak, sir.

– Ja też jestem adwokatem – powiedział kapitan. Przypomniał sobie, że to zdanie mówił ostatnio wtedy, gdy wstępował do tej cholernejszej armii. – Jak, na Boga, trafił pan do tego małego kraju? – zapytał, mimo że własna nieoczekiwana ciekawość budziła w nim niesmak. – Adwokat potrzebuje przecież swojego języka ojczystego. Dlaczego nie został pan w Niemczech?

– Hitler mnie nie chciał.

– A to dlaczego?

– Jestem Żydem, sir.

– Prawda. Mam to tutaj napisane. No a teraz chce pan wracać do Niemiec? Czy nie czytał pan tych okropnych doniesień o obozach koncentracyjnych? Jak się wydaje, Hitler piekielnie źle się obszedł z pana ludźmi.

– Hitlerzy przychodzą i odchodzą, a naród niemiecki i państwo niemieckie pozostają.

– Człowieku, nagle zaczął pan mówić po angielsku. I to jak pan to powiedział!

– To powiedział Stalin, sir.

Lata służby w wojsku nauczyły kapitana Carruthersa nigdy nie robić więcej, niż od niego wymagano, a przede wszystkim nie obarczać się cudzymi problemami, ale sytuacja, jakkolwiek groteskowa, fascynowała go. Właśnie prowadził pierwszą od miesięcy rozsądną rozmowę, i to akurat z człowiekiem, z którym nie był w stanie porozumieć się lepiej niż z hinduskim mechanikiem kompanii, odczuwającym każdy kawałek zapisanego papieru jako osobistą obrazę.

– Na pewno pan chce, żeby armia zapłaciła panu za przejazd. Kurs do domu za darmo. Wszyscy tego chcemy.

– Tak, sir. To moja jedyna szansa.

– Armia jest zobowiązana do oddalenia ze służby każdego żołnierza wraz z rodziną do jego kraju ojczystego – wyjaśnił kapitan. – Chyba pan o tym wie?

– Przepraszam, sir, nie zrozumiałem pana.

– Armia musi pana zawieźć do Niemiec, jeśli to pana dom.

– Kto tak mówi?

– Rozporządzenia. – Kapitan zaczął grzebać w papierach na biurku, ale nie znalazł tego, czego szukał. W końcu wyciągnął pożółkłą, gęsto zadrukowaną kartkę z szuflady. Nie spodziewał się, że Walter będzie w stanie przeczytać tekst rozporządzenia, mimo to jednak podał mu go i spostrzegł ze zdumieniem, a także pewnym wzruszeniem, że najwyraźniej Walter zdawał się z miejsca zrozumieć skomplikowany przedstawiony stan rzeczy przynajmniej na tyle, na ile dotyczył on jego samego.

– Intelktualista – zaśmiał się Carruthers.

– Przepraszam, sir, znów pana nie zrozumiałem.

– Nie szkodzi. Jutro złożymy pana podanie o odprawę do Niemiec. Czy tym razem przypadkiem mnie pan zrozumiał?

– O tak, sir.

– Ma pan rodzinę?

– Mam żonę i dwoje dzieci. Córka będzie miała niedługo czternaście lat, a syn dzisiaj kończy osiem tygodni. Bardzo panu dziękuję, sir. Nie wie pan, ile pan dla mnie robi.

– Sądzę jednak, że wiem – rzekł Carruthers zamyślony. – Ale proszę sobie nie robić zbyt wielkich nadziei – ciągnął z ironią, która nie przychodziła mu tak łatwo jak zazwyczaj. – W armii wszystko odbywa się bardzo powoli. Jak to mówią te przekłete czarnuchy?

– *Pole, pole* – powiedział z zadowoleniem Walter, czując się tak jak Owuor, gdy bardzo wolno powtarzał oba te słowa. Widząc, że Carruthers kiwnął głową, spieszenie opuścił jego gabinet.

Z początku nie potrafił sobie wytłumaczyć swoich chwiejnych odczuć. To, co przedtem uważał za dalekowzroczność człowieka mającego odwagę przyznać się do swojej klęski, wydało mu się nagle nieodpowiedzialną lekkomyślnością. Przeczynał teraz, że pojawiła się iskierka nadziei, której nie zgasi już ani zwątpienie, ani lęk przed przyszłością.

Gdy wrócił do Hove Court, wciąż jeszcze był oszołomiony niepokojącą mieszaniną euforii i niepewności. Stał przy bramie przez pewien czas, który wydawał mu się wiecznością, pomiędzy kaktusami, licząc kwiaty i bezskutecznie próbując zsumować poszczególne liczby. Jeszcze dłużej zajęło mu przeciwstawienie się pragnieniu zajrzenia w pierwszej kolejności do Diany, by podeprzeć się jej dobrym humorem i przede wszystkim wzmocnić jej whisky. Szedł cicho i wolno, krok za krokiem, aż zobaczył Chebeti siedzącą z dzieckiem pod tym samym drzewem, które podczas ciąży dawało Jettel pocieszenie, ochronę i cień. Wtedy się trochę uspokoił.

Jego syn leżał bezpieczny w licznych fałdach jasnoniebieskiej sukienki Chebeti. Widać było tylko jego białą lnianą czapkę. Dotykała podbródka kobiety i w łagodnych powiewach wiatru wyglądała jak statek unoszący się na spokojnym oceanie. Regina, z wiankiem z liści cytrynowca we włosach, siedziała na trawie ze skrzyżowanymi nogami. Ponieważ nie umiała śpiewać, czytała Chebeti i bratu uroczystym, zniżonym głosem słowa piosenki dla dzieci, pełnej powtarzających się wielokrotnie głosek.

Waltera irytowało przez chwilę, że jeszcze nie potrafi zrozumieć poszczególnych słów, a potem uświadomił sobie, natychmiast pojednany z sobą samym i własnym losem, że jego córka, recytując, od razu przekłada tekst angielski na jalu. Chebeti, gdy tylko słyszała pierwszy znajomy dźwięk, klaskała, a z jej gardła wydobywał się cichy, bardzo melodyjny śmiech. W końcu ożywiła się tak, że ruchy jej ciała zbudziły Maksa i

wydawało się, jakby próbował naśladować te łagodne, intrygujące dźwięki, zanim znów został ukołyszany do snu.

Owuor siedział wyprostowany pod cedrem o ciemnych igłach i obserwował z napiętą uwagą nawet najmniejsze poruszenie dziecka. Obok niego leżała laska z gałką wyrzeźbioną w kształcie głowy lwa, którą sobie sprawił w pierwszym dniu pracy Chebeti. Ćwiczył sobie zęby, nadgryzając mocno niewielki kawałek trzciny cukrowej i wypluwając regularnie co pewien czas pojedyncze długie źdźbła, które w świetle popołudniowego słońca mieniły się kolorami porannej rosy. Lewą ręką gładził Rummlera, który nawet gdy drzemał, oddychał na tyle głośno, by odganiać muchy, zanim mogłyby mu się naprzykrzyć.

Ta pełna harmonii scena przypomniała Walterowi obrazki z książek, które oglądał w dzieciństwie. Uśmiechnął się nieznacznie, gdy sobie uzmysłowił, że tamci ludzie korzystający z pełni europejskiego lata nie byli czarni i nie siedzieli pod cedrami i cytrynowcami. Ponieważ wciąż jeszcze huczała w nim rozmowa z kapitanem, chciał zabronić swoim oczom sycić się tą idyllą, ale jego zmysły tylko na chwilę pozwoliły zadawać sobie taki gwałt. Chociaż powietrze było ciężkie od parującej wilgoci, cieszył się każdym tchnieniem. Odczuwał przy tym nieokreślone pragnienie, by zatrzymać w sobie ten fascynujący w swojej niewinności obraz, i rad był, kiedy Regina zauważyła go i wyswobodziła z tych rojeń. Pomachała do niego, a on do niej.

– Tato, Max ma już prawdziwe imię. Owuor nazywa go *askari ja ossjeku*.

– Trochę przesadnie jak na takie małe dziecko.

– Ale wiesz, co znaczy *askari ja ossjeku*? Żołnierz nocny.

– Mówisz o stróžu nocnym?

– No tak – powiedziała niecierpliwie Regina. – Bo cały dzień śpi, a w nocy zawsze czuwa.

– Nie tylko on. Gdzie jest mama?

– W środku.

– Co ona robi o tej porze w gorącym mieszkaniu?

– Denerwuje się – zachichotała Regina. Za późno dotarło do niej, że tata nie umie czytać ani z głosów, ani z oczu, i że właśnie zaraz zniszczy jego spokój. – Max – dodała prędko pełna skruchy – jest w gazecie. Ja już to czytałam.

– Dlaczego od razu mi tego nie powiedziałaś?

– Przecież w ogóle mnie nie pytałeś, gdzie jest mama. Chebeti mówi, że kobieta musi zamknąć usta, jak mężczyzna wysyła swoje oczy na safari.

– Jesteś gorsza od tych wszystkich Murzynów razem wziętych – zbeształ ją Walter, ale podniesiony głos był wyrazem jego ożywczego zniecierpliwienia.

Tak szybko pobiegł do mieszkania, że aż Owuor zaniepokoił się i wstał. Natychmiast rzucił na ziemię trzcinę cukrową i laskę i niemal nie dał sobie czasu na rozprostowanie swoich członków. Także Rummler się obudził i pobiegł za Walterem z wywieszonym ozorem tak szybko, jak pozwalały mu jeszcze na to jego zmęczone łapy.

– Jettel, pokaż! – wołał Walter jeszcze w biegu. – Nie sądziłem, że to będzie tak szybko.

– Masz. Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś?

– To miała być niespodzianka. Kiedy urodziła się Regina, mogłem ci jeszcze dać pierścionek. Przy Maksie musi wystarczyć ogłoszenie.

– Ale jakie! Strasznie się ucieszyłam, jak Gottschalk niedawno przyszedł do mnie z gazetą. Naprawdę był pod wrażeniem. Wyobraź sobie teraz, kto jeszcze będzie to czytał. – Mam nadzieję. O to właśnie chodziło. Znalazłaś już kogoś znajomego?

– Jeszcze nie. Pozostawiłam tobie tę przyjemność. Przecież ty byłeś pierwszy.

– Ale ty zawsze znajdowałaś dobre wiadomości.

Gazeta leżała rozłożona na stoleczku pod oknem. Cienki papier szeleścił przy za każdym podmuchem wiatru, wygrywając znajomą, ale wiecznie nową melodię nadziei i rozczarowania.

– Przypominają mi się nasze bębny – powiedział Walter.

– A ja jak Regina, słyszę historie, jeszcze zanim zostały opowiedziane – odpowiedziała Jettel, przechylając głowę na jedną stronę z nikłym śladem swojej dawnej kokieterii.

– Jettel, ty chyba zostaniesz poetką na stare lata.

Stali uszczęśliwieni w otwartym oknie, spoglądając na bujne, fioletowe bugenwille pnące się po bielusieńkim murze, nie zauważając, jak blisko siebie są ich ciała i głowy; był to jeden z rzadkich momentów w ich związku, w których jedno przyznawało rację drugiemu.

„Odbudowa” nie była pismem takim jak inne. Już przed wojną, a co dopiero po, ta niemieckojęzyczna gazeta z Ameryki była czymś więcej niż tylko tubą emigrantów z całego świata. Każdy numer, czy ludzie tego chcieli, czy nie, przypominał o korzeniach i wprawiał w ruch karuzelę wspomnień, pogłębiając smutek i żalobę. Już kilka linijek tekstu mogło odmienić los. W pierwszej kolejności nie czytano doniesień i artykułu wstępnego. Wszyscy zawsze patrzyli na ogłoszenia dotyczące osób poszukiwanych i informacje o rodzinach.

Za ich pośrednictwem ludzie, którzy od czasu emigracji nie mieli już o sobie żadnych wieści, znowu się odnajdywali. Wzmianki o starej ojczyźnie mogły wskrzesić osoby uważane za zmarłe i informowały, o wiele wcześniej od oficjalnych humanitarnych organizacji, komu udało się ujść śmierci, a komu nie. Jeszcze w jedenaście miesięcy po zakończeniu wojny „Odbudowa” była w Europie bardzo często jedyną możliwością dowiedzenia się prawdy dla tych, którzy przeżyli.

– O rety, przecież to ogłoszenie jest ogromne – zdumiał się Walter. – I jest zupełnie na górze. Wiesz, co mi się wydaje? Mój list musiał przejść przez ręce kogoś, kto nas już wcześniej znał i kto

chciał nam wyświadczyć przysługę. No, wyobraź sobie, że ktoś sobie siedzi w Nowym Jorku i nagle czyta nasze nazwisko i że jesteśmy z Głubczyc. I pojmuję, że jednak nie pożarł mnie lew.

Walter odchrząknął. Przyszło mu do głowy, że czynił tak zawsze przed mową obrończą, ale odsunął tę myśl z zażenowaniem, które odczuł jak przyznanie się do winy. Chociaż wiedział, że Jettel zna już tekst na pamięć, przeczytał tych kilka linijek na głos:

– „Dr Walter Redlich i Pani Henriette, z domu Perls (dawn. Głubczyce) zawiadamiają o narodzinach syna Maksa Ronalda Paula. P.O.B. 1312, Nairobi, Kenya Colony. 6 marca 1946”. I co na to powiesz, Jettel? Twój stary znów jest panem doktorem. Po raz pierwszy od ośmiu lat.

Jeszcze gdy mówił, pomyślał sobie, że przez przypadek powiedział coś, co może być dobrym pretekstem do tego, by opowiedzieć Jettel o rozmowie z kapitanem i wielkiej szansie na powrót do Niemiec na koszt armii. Musiał tylko znaleźć właściwe słowa, a przede wszystkim zdobyć się na odwagę przedstawienia jej możliwie jak najdelikatniej, że ostatecznie zdecydował się na wyjazd bez powrotu. Przez moment przepełniony pragnieniem i wiarą w pozory uległ iluzji, że Jettel go zrozumie albo wręcz pochwali jego dalekowzroczność, ale własne doświadczenia tylko na krótko pozwoliły mu oszukać samego siebie.

Od dnia, w którym po raz pierwszy wspomniał o powrocie do Niemiec, Walter wiedział, że nie może liczyć na zrozumienie Jettel. Od tego czasu coraz częściej błahe dyskusje przeradzały się w walki pozbawione rozsądku i logiki, ale pełne goryczy. Wydawało mu się czystą kpina to, że zazdrościł żonie w takich przypadkach jej bezkompromisowości. Jakże często wątpił we własne siły, próbując uporać się z bólem, jaki pozostawiły w nim na zawsze niezabliźnione rany, ale za każdym razem, gdy miał podać uzasadnienie, nigdy nie znajdował innego niż to, że pragnie powrócić do swoich korzeni, języka i zawodu. Wystarczyło tylko przypomnieć sobie życie na farmie i już wiedział, że chce wrócić do Niemiec, jakkolwiek męcząca miałyby być to drogi.

Jettel myślała inaczej. Czuła się szczęśliwa pośród ludzi, którym nienawiść do Niemiec wystarczała, by odbierać terażniejszość jako jedyne błogosławieństwo, jakie przysługiwało ocalonym. Nie wymagała niczego więcej niż pewności, że inni myślą tak samo jak ona; zawsze opierała się zmianom. Jakże się broniła przed emigracją do Afryki w tamtym czasie, w którym każdy dzień zwłoki groził śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Wspomnienie wrocławskiego okresu poprzedzającego uchodźstwo ostatecznie upewniło Waltera. Znów usłyszał, jak Jettel krzyczy:

– Prędzej umrę, niż opuszczę mamusię!

Pamięta! jej twarz wykrzywioną dziecinnym, hardym grymasem, skrytą za gęstą zasłoną łez. Ujrzał ją teraz z taką wyrazistością, jakby wciąż jeszcze siedział na pluszowej sofie teściowej. Otrzeźwiony i rozczarowany, zrozumiał, że od tego czasu nic się w jego małżeństwie nie zmieniło.

Jettel nie była kobieta, która wstydzi się swoich błędów. W każdej sytuacji życiowej je powtarzała. A tym razem, by móc przekonać żonę, Walter nie miał argumentów człowieka, który chce ratować swoją rodzinę. W dalszym ciągu był osamotnionym wygnańcem i każdy mógł go napiętnować jako człowieka bez honoru i przekonań. Czekał na gniew, którego nie chciał dać po sobie poznać, ale poczuł tylko zmęczenie i litość dla samego siebie.

Serce biło mu jak oszalałe, gdy wielokrotnie odchrząkiwał, by nadać swojemu głosowi mocy, której już w sobie nie miał. Uczuł, że siły go opuszczają. Zbyt długo się wahał, był za słaby i nieśmiały, by zacząć mówić o ojczyźnie i powrocie do domu. Słowa, które tak łatwo przychodziło mu wypowiedzieć w obcym języku i w rozmowie z kapitanem, naigrawały się z niego, ale jeszcze nie chciał dać za wygraną. Bardziej wskazane, a także na wszelki wypadek dyplomatyczne, wydało mu się użycie angielskiego terminu, który usłyszał po raz pierwszy przed paroma godzinami.

– *Repatriation* – powiedział.

– Co to znaczy? – spytała Jettel z niechęcią. Jednocześnie pomyślała, że chyba skądś zna to słowo, i zaczęła się zastanawiać, czy powinna już zawołać do domu Chebeti z dzieckiem, czy najpierw raczej zadbać o to, by Owuor nastawił wodę do wygotowania pieluch. Westchnęła, bo podejmowanie decyzji późnym popołudniem męczyło ją bardziej niż przed porodem.

– Ach, nic. Przypomniałem sobie coś, co dzisiaj powiedział kapitan. Musiałem dla niego godzinami szukać jakiegoś zarządzenia, które ten stary osioł cały czas miał u siebie na biurku.

– Ach, byłeś u niego? Mam nadzieję, że wykorzystałeś przynajmniej tę okazję, by mu wyjaśnić, że mógłby cię awansować. Elsa też mówi, że nie jesteś dostatecznie energiczny w takich sprawach.

– Jettel, pogódź się wreszcie z tym, że *refugees* nie mogą mieć w armii wyższego stopnia niż sierżant. I wierz mi, że jestem mistrzem w wykorzystywaniu okazji.

Szansa na przeprowadzenie z Jettel spokojnej rozmowy o Niemczech już się nie powtórzyła. Nie dopuściła do tego „Odbudowa”. W sześć tygodni po ukazaniu się ogłoszenia przyszedł pierwszy z wielu listów, które opisywały tyle obrazów z przeszłości, że Walter nie miał odwagi roztaczać przed Jettel widoków na przyszłość, którą, sam nastawiony optymistycznie, mógł sobie wyobrazić tylko bardzo mgliście.

Pierwszy list przyszedł od pewnej starszej kobiety z Szanghaju.

Zabłąkałam się tutaj z pięknej Moguncji, pisała, i mam bardzo nikłą nadzieję, że za Pana pośrednictwem, Panie Doktorze, uda mi się czegoś dowiedzieć o losie mojego jedyne go brata. Po raz ostatni znak życia od niego dostałam w styczniu 1939 roku. Wtedy napisał do mnie z Paryża, że chce spróbować wyjechać do swojego syna do Afryki. Niestety, nie mam adresu bratanka, który jest

gdzieś w Afryce Południowej, a on nie wie również, że z ostatnim transportem dotarłam do Szanghaju. Jest Pan zatem jedyną osobą z Afryki, którą znam. Oczywiście byłby to przypadek, gdyby Pan spotkał mojego brata, ale my, którzy przeżyliśmy, wszyscy zawdzięczamy to jedynie przypadkowi. Życzę Panu wszystkiego dobrego dla Pana syna. Oby mógł dorastać w lepszym świecie niż ten, który nam był przeznaczony.

Przychodziło wiele listów od nieznanych nadawców, w których tliła się iskierka nadziei na otrzymanie informacji o zaginionych członkach rodzin tylko dlatego, że albo pochodzili z Górnego Śląska, albo przysłali stamtąd swój ostatni list.

Mój szwagier został zamordowany w 1934 w Buchenwaldzie, pisał ktoś z Australii, a siostra przeniosła się wraz z dwojgiem małych dzieci do Raciborza, gdzie znalazła pracę w tkalni. Mimo wszelkich poszukiwań prowadzonych za pośrednictwem Czerwonego Krzyża nie można było znaleźć jej nazwiska na listach deportacyjnych. Piszę do Pana, ponieważ moja siostra raz wspominała o Głubczycach. Może słyszał pan jej nazwisko albo ma Pan kontakt z Żydami z Raciborza, którzy przeżyli. Wiem, że moja prośba jest nierozsądna, ale jeszcze nie doszedłem do tego, by porzucić wszelką nadzieję.

– Zawsze sądziłam, że nikt nie zna Głubczyc – dziwiła się Jettel, kiedy już następnego dnia przyszedł podobny list. – Gdybyśmy choć raz dostali jakąś dobrą wiadomość.

– A ja – odparł Walter przygnębiony – dopiero teraz rozumiem, jak krótka była droga z Górnego Śląska do Oświęcimia. To mi daje do myślenia.

Ogrom cudzego cierpienia i absurdalnych nadziei, jaki zalewał Nairobi, nie tylko rozdrapywał osobiste rany, lecz poprzez swój nawal wywoływał apatię.

– A toś nawarzył piwa – powiedział Walter do syna.

W jeden z majowych piątków Regina wyciągnęła pocztę z Owuorowego kosza.

– List z Ameryki – zakomunikowała. – Od kogoś, kto się nazywa Ilse. Wymówiła to imię z angielska, co rozśmieszyło Jettel.

– Tak nie nazywa się żaden człowiek w Niemczech. Pokaż. Regina zdążyła jeszcze powiedzieć:

– Tylko nie zniszcz koperty, akurat te z Ameryki są bardzo ładne. A potem zobaczyła, jak mama zbladła, a jej ręce zaczęły drżeć.

– Ja nie płaczę – załkała Jettel – Ja się tak bardzo cieszę. Regino, ten list jest od mojej przyjaciółki z młodości, Ilse Schottlander. Mój Boże, że ona jeszcze żyje!

Usiadły przy oknie i Jettel zaczęła bardzo powoli odczytywać list. Jakby jej głos chciał przytrzymać każdą sylabę, zanim musiał wymówić następną. Regina niektórych słów nie rozumiała, a obce nazwy wirowały jej koło uszu jak szarańcza na polu młodej kukurydzy. Musiała się wiele natrudzić, żeby wybuchać śmiechem i płaczem w tych samych momentach co mama, ale energicznie pobudzała swoje zmysły do pracy, by móc uczestniczyć w tej burzy smutku i radości. Owuor zaparzył herbatę, chociaż nie była jeszcze na nią pora, wyciągnął z szafy chustki do nosa, które miał przygotowane na dni, gdy pojawiały się obce znaczkę, i położył się w hamaku.

Kiedy Jettel przeczytała list po raz czwarty, ona i Regina były tak wyczerpane, że nic już do siebie nie mówiły. Dopiero po obiedzie, który, ku zmartwieniu Owuora, wrócił do niego w takim samym stanie, w jakim go podał, mogły znowu coś powiedzieć, nie musząc przedtem zaczerpywać głęboko powietrza.

Zastanawiały się, w jaki sposób powiedzieć Walterowi o tym liście, i na koniec zdecydowały, że w ogóle mu o nim nie wspomną, tylko położą jak zwykłą pocztę na okrągłym stole. Jednak wczesnym popołudniem podniecenie i niecierpliwość wygoniły Jettel z domu. Mimo upału i niezacienionej drogi wybrała się z Regina, Maksem w wózku, Chebeti i psem na przystanek autobusowy.

Autobus jeszcze się toczył, gdy Walter zeskoczył ze stopnia.

– Coś się stało z Owuorem? – zapytał wystraszony.

– Piecze najmniejsze bułeczki w swoim życiu – wyszeptała Jettel.

Walter pojał natychmiast. Poczul się jak dziecko, które chce wykorzystać przedsmak radości aż do końca i nie rozpakowuje jeszcze niespodziewanego prezentu. Najpierw pocałował Jettel, potem Reginę, pogłaskał syna i zagwizdał melodię *Don't fence me in*, którą tak lubiła Chebeti. Dopiero wtedy zapytał:

– Kto go napisał?

– Nigdy nie zgadniesz.

– Ktoś z Głubczyc?

– Nie.

– No, powiedz już, bo pękne.

– Ilse Schottlander. Z Nowego Jorku. To znaczy z Wrocławia.

– Zamożni Schottlanderowie. Ci z placu Tauentziena?

– Tak, byliśmy z Ilse w tej samej klasie.

– Mój Boże, o nich to już od lat nie myślałem.

– Ja też nie – rzekła Jettel – ale ona o mnie nie zapomniała. Uparła się, żeby Walter przeczytał list jeszcze na przystanku. Przy ulicy rosły dwie nędzne akacje. Chebeti pokazała im je, a gdy *memsahib* wypowiedziała ostatnie słowo, ściągnęła z wózka koc i cały czas nucąc piękną melodię *bwana*, rozłożyła go pod większym drzewem. Śmiejąc się, podniosła Maksa, patrzyła przez chwilę na cień tańczący na jego twarzączce i ułożyła go sobie między nogami. W jej ciemnych oczach błyskały zielone iskierki.

– List – powiedziała. – List, który przepłynął wielką wodę. To Owuor go przyniósł.

– Głośno, tato, czytaj głośno! – zawołała Regina proszącym głosem małej dziewczynki.

– Czy mama nie czytała ci już tego listu iks razy?

– Tak, ale tak przy tym płakała, że cały czas go jeszcze nie rozumiem.

– „Moja najukochańsza Jettel – zaczął czytać Walter. – Gdy mamcia przyszła wczoraj do domu z »Odbudową«, to myślałam, że zwariuję. Nadal jestem bardzo podekscytowana i niemal nie potrafię uwierzyć, że do Ciebie piszę. Z całego serca gratuluje Warn obojgu syna. Oby nigdy nie przeżył tego, co my. Pamiętam jeszcze dobrze, jak odwiedziłaś nas z córeczką we Wrocławiu. Miała wtedy trzy latka i była bardzo nieśmiałym dzieckiem. Pewnie teraz jest młodą damą i nie mówi już po niemiecku. Tutaj dzieci *refugees* wstydzą się swojego tak zwanego ojczystego języka. Naprawdę.

Wiedziałam wprawdzie, że wyemigrowaliście do Afryki, ale od tamtej pory ślad po Was zaginał. Dlatego w ogóle nie wiem, od czego zacząć. W każdym razie, nasza historia nie jest długa. Dziewiątego listopada 1938 te bestie zdewastowały nasz dom, wywlekły mojego kochanego tatę, który leżał w łóżku chory na zapalenie płuc, na ulicę i porwały. Wtedy widziałyśmy go ostatni raz. Zmarł cztery tygodnie później w więzieniu. Nadal nie potrafię myśleć o tamtych dniach bez poczucia bezsilności i rozpacz, które nie opuszczają mnie do końca życia. Wtedy nie chciałam już dłużej żyć, ale mama na to nie pozwoliła.

Ta drobna, delikatna kobieta, z której oczu tata przez całe życie odczytywał każde życzenie i która nie musiała podejmować nawet najłatwiejszych decyzji, wymieniła wszystko, co nam pozostało, na pieniądze. Uprosiła swojego dalekiego kuzyna z Ameryki, a on okazał się na tyle przyzwoity, żeby zatroszczyć się o poręczenie dla imigrantów. Do dzisiaj nie wiem, kto we Wrocławiu roztoczył nad nami opiekę i w jaki sposób udało nam się dostać na statek. Nie odważyłyśmy się z nikim o tym rozmawiać. Przede wszystkim nie śmieliśmy również z nikim się żegnać (raz widziałam Twoją siostrę Käte przed domem towarowym, ale nie zamieniłyśmy ani słowa), ponieważ gdyby się dowiedziano, że ktoś chce wyemigrować, stwarzano by jeszcze większe trudności.

Przypłynęliśmy do Ameryki ostatnim statkiem i nie miałyśmy dosłownie nic poza kilkoma bezwartościowymi pamiątkami. Jedna z nich, książka kucharska naszej poprzedniej służącej Anny, która także po Kryształowej Nocy nie dała się odwieść od swoich potajemnych wizyt, niespodzianie okazała się skarbem.

W pokoju z dwiema maszynkami do gotowania mama i ja, które całe życie byłyśmy otoczone troską kucharek i służących, zaczęłyśmy przyrządzać obiad dla *refugees*. Na początku nie wiedziałyśmy, ile czasu ma się gotować jajko na miękko, ale potem jakoś nam się udało odtworzyć wszystkie potrawy, które pojawiały się w lepszych czasach u Schottlanderów na starannie nakrytym stole. Co za szczęście, że tata przepadał za domową kuchnią. Lecz to nie dzięki naszym talentom kucharskim nie zginęłyśmy, tylko przez niespożyty optymizm mamci i jej fantazję.

Na deser podawała zawsze ploteczki z dobrych żydowskich kręgów towarzyskich. Nie uwierzysz, jak bardzo ludzie, którzy stracili wszystko, byli spragnieni płytkich i głupich opowieści, nawet bardziej niż nasza służba domowa. I to w czasach kiedy każdy musiał walczyć o przeżycie. Do dziś sprzedajemy dzemy domowej roboty, ciasta, ogórki w musztardzie i marynowane śledzie, choć przez ten czas osiągnęłam już bardzo wiele. Jestem sprzedawczynią w księgarni i mimo że jeszcze nieszczególnie mówię po angielsku, to przynajmniej umiem czytać i pisać, co tu jest bardzo cenione. O tym, że kiedyś chciałam być pisarką i miałam już pierwsze skromne sukcesy, dawno już zapomniałam. To marzenie z lat młodości przypomniało mi się tylko dlatego, że piszę do Ciebie, której zawsze musiałam pomagać przy wypracowaniach.

Mamy tu kontakt z kilkoma osobami z Wrocławia. Spotykamy się regularnie z braćmi Grünfeld. Ich rodzina miała koło dworca hurtownię tekstyliów i zaopatrywała pół Śląska. Wilhelm i Siegfried przyjechali z żonami do Nowego Jorku już w 1936 roku. Rodzice nie chcieli wyjechać i zostali deportowani. Silbermannowie (on był lekarzem domowym, nie zdał jednak nigdy wymaganego egzaminu językowego i pracuje jako portier w

małym hotelu) i Olszewscy (on był aptekarzem i nie uratował nikogo poza dzieckiem swojej siostry) mieszkają w naszej okolicy, którą tutaj powszechnie nazywa się Czwartą Rzeszą. Mama potrzebuje przeszłości, ja nie.

Jettel, w ogóle nie umiem sobie ciebie wyobrazić w Afryce. Przecież tak zawsze się wszystkiego bałaś. Nawet pajaków i pszczoł. I o ile dobrze pamiętam, nienawidziłaś wszelkich czynności, do których nie można było nosić najwytworniejszych sukienek. Pamiętam jeszcze dobrze Twojego przystojnego męża. Muszę wyznać, że zawsze Ci go zazdrościłam. Tak jak zawsze zazdrościłam Ci urody. I Twojego powodzenia u mężczyzn. Ja, tak jak mi to już przepowiedziałaś w jednej z naszych kłótni, gdy miałaś dwanaście lat, rzeczywiście zostałam starą panną i nawet gdyby znalazł się ktoś na tyle ślepy, by mi się oświadczyć, odrzuciłabym go.

Po tym wszystkim, co mamcia dla mnie zrobiła, nigdy nie mogłabym zostawić jej samej.

Muszę Ci coś jeszcze opowiedzieć. Czy przypominasz sobie naszego starego woźnego szkolnego Barnowsky'ego? Wiosną czasem pomagał naszemu ogrodnikowi, a w dni sprzątania naszej Gretel. Tata myśląc, że nic o tym nie wiemy, płacił chesne za jego najstarszego syna, który był bardzo zdolny. Nie wiem, jak dobry Barnowsky dowiedział się o naszym wyjeździe, ale ostatniego wieczoru stanął nagle w drzwiach mieszkania z kiełbasą na prowiant podróżny. Miał łzy w oczach, cały czas kiwał głową i na zawsze sprawił, że teraz nie muszę nienawidzić wszystkich Niemców.

Muszę już kończyć. Wiem, że nigdy chętnie nie pisałaś, ale mimo to mam nadzieję, że odpowiesz na ten list. Tak wiele chciałabym wiedzieć. A mama nie może się doczekać na informację, czy w Kenii jest jeszcze ktoś z Wrocławia. Mnie sprawy związane z przeszłością tylko zasmucają. Kiedy umarł tata, umarła także jakaś część mnie samej, ale uskarżać się byłoby grzechem. Nikt z nas, którzy przeżyliśmy, nie uratował swojej duszy. Napisz wkrótce do swojej starej przyjaciółki Ilse”.

Cienie były już długie i czarne, gdy Walter wetknął list do kieszeni koszuli. Wstał, podniósł Jettel z ziemi i przez moment wydawało się, jakby oboje chcieli coś powiedzieć, ale tylko lekko potrząsnęli głowami. Podczas krótkiej drogi z przystanku autobusowego do Hove Court słyhać było tylko głos Chebeti. Śpiewając urywki łagodnej melodii, uspokajała dziecko, które z głodu zaczynało mieć zły humor, i roześmiała się radośnie, gdy spostrzegła, że jej śpiew zdołał także osuszyć oczy *memsahib* i *bwana*.

– Jutro znów przyjdzie list – powiedziała z zadowoleniem. – Jutro będzie dobry dzień.

W dniu, w którym Max skończył sześć miesięcy, nieoczekiwanie postanowił zadać kłam pogłosce, iż łagodna Chebeti spowodowała jego zniewieścienie i zaszczepiła mu ociążałość dzieci z własnego plemienia, które ssały mleko matki nawet wtedy, gdy już umiały chodzić. Mały Askari Chebeti, nie zważając na pesymizm doświadczonych matek niemieckich, o własnych siłach usiadł w wózku. Wydarzyło się to w niedzielne przedpołudnie. O tej porze ogród w Hove Court nie zapewniał małemu zapaśnikowi wagi ciężkiej odpowiedniej oprawy dla jego fizycznych wyczynów, które nie przykuły niczyjej uwagi.

Większość kobiet, nawet jeśli je to zawstydzало, bo, odkąd coraz popularniejsze stawało się słowo *brunch*, takie postępowanie nie pokrywało się z miejscowymi zwyczajami, odprawiało jeszcze europejski rytuał suto zastawionego niedzielnego stołu. Zajmowały się pilnowaniem gotujących i narzekaniem na jakość nie dość skruszałego mięsa. Mężczyźni męczyli się nad „Sunday Post”, którego finezja językowa, ambicje literackie i skomplikowane raporty o życiu dobrego towarzystwa w Londynie stanowiły dla większości *refugees* przeszkodę nie do pokonania, tak że mogli podołać trudowi lektury tylko wówczas, gdy robili sobie długie przerwy i zdusili w zarodku myśl, że nie starcza im umiejętności.

Gdyby Owuor popatrzył przez okno, jak to zwykł czynić zawsze w regularnych odstępach czasu, ujrzałby, jak jego duma, którą mimo spokojniejszych już nocy uparcie nazywał Askari, siedzi wyprostowana w wózku. W decydującym momencie jednak Owuor szalał w kuchni jak młody Masaj na swoim pierwszym polowaniu, ponieważ kartofle, zanim przyszło do zbiorów, dostały za dużo deszczu i rozpadły się w wodzie. Kartofle wyglądające po rozgotowaniu jak chmury nad wielką górą w domu w Ol' Joro

Orok zazwyczaj wywoływały w nim uczucie, że się nie sprawdził, a na twarzy *bwana* między nosem i ustami żłobiły bruzdę gniewu.

Chebeti prasowała pieluchy, co Owuor odbierał jako nieżyczliwy atak na swoją męskość: jedynie pranie bielizny, a nie prasowanie ciężkim żelazkiem na węgiel drzewny, które było zarezerwowane tylko dla niego, należało do zadań *aji*. Jettel i Walter odroczyli swoją kłótnię z poprzedniego wieczoru z powodu wycieńczenia, które kazało im kończyć przedwcześnie wszystkie rozmowy od chwili, w której Jettel pojęła brzemiennie w skutki znaczenie słowa *repatriation*.

Ona i Walter byli w odwiedzinach u profesora Gottschalka. Skręcił sobie nogę i od trzech tygodni był zdany na przyjaciół, którzy zaopatrywali go w żywność i nowości ze świata; nie miał z nim kontaktu ani za pośrednictwem radia, ani gazet, lecz tylko przez osobiste rozmowy.

A zatem na miejscu była tylko Regina, gdy jej brat jednym mocnym ruchem i z głośnym gdaknięciem, które jednak zainteresowało tylko psa Diany, zapewnił sobie nową pozycję w życiu. W czasie krótszym od tego, jakiego potrzebuje ptak, by w razie niebezpieczeństwa rozłożyć skrzydła, Max przeistoczył się z dzidziusia, który zawsze widział tylko niebo i musiał być podnoszony, by mógł zobaczyć więcej, w ciekawą wszystkiego istotę, mogącą patrzeć innym ludziom w oczy i zgodnie z własnym życzeniem obserwować świat z punktu położonego wyżej.

Wózek stał w cieniu guawy, w której wcześniej mieszkała wróżka. Odkąd ta świadoma klasowo dama przestała być właściwą osobą do spełniania życzeń i pocieszania w zmartwieniu samotnego dziecka *refugee*, Regina odwiedzała strefę ochronną swojej fantazji jedynie wówczas, gdy słońce bezlitośnie przepędzało ją w cień, cofając ją tym samym w przeszłość.

Kiedy Max porzucił bezpieczeństwo swoich poduszek, co zdumiało go tak, że jego oczy stały się okrągłe jak księżyc, który w czas swojego najjaśniejszego blasku rozświetla noc jak słońce w dzień, jego siostra poczyniła właśnie pewne irytujące odkrycie. Po

raz pierwszy doświadczyła z taką wyrazistością, że już sam zapach może odgrzebać owe dobrze zakopane wspomnienia, które sieją w głowie nieznośny zamęt. Słodki aromat dni, które odeszły, tęsknie połaskotał ją w nos. Nie mogła się zdecydować, czy chciałaby, żeby wróżka do niej wróciła, czy nie. Czuła się niepewnie, stojąc przed wyborem jednej z dwóch możliwości.

Nie, pomyślała w końcu, już jej nie potrzebuję. Mam przecież ciebie. Ty przynajmniej się uśmiechasz, kiedy ci coś opowiadam. I z tobą tak samo mogę rozmawiać po angielsku, jak przedtem z wróżką. Przynajmniej wtedy, kiedy jesteśmy sami. A może bardziej lubisz suahili?

Otworzyła usta szeroko jak ptak karmiący pisklęta, wciągnęła chłodne powietrze do gardła i zaśmiała się, nie przerywając ciszy. Wciąż jeszcze odczuwała taką samą radość jak tamtego wspaniałego dnia, kiedy cud objawił się po raz pierwszy, gdy swoim uśmiechem mogła wyczarować szczęście na twarzą brata. Max zbulgotał zadowolony i z wszystkich dźwięków, jakie w sobie miał, stworzył jedną promienną fontannę, którą Regina usłyszała jako „aja”.

– Tylko nie mów tego tacie – zachichotała. – On zwariuje, kiedy się dowie, że pierwsze słowo jego syn powiedział w suahili. On chce rozmawiać z tobą w swoim języku i o swojej ojczyźnie. Więc powiedz „Głębczyce”. Albo przynajmniej „Żory”.

Zbyt późno zorientowała się, że zachowała się nieodpowiednio, jak młodziutki sęp, który przedwczesnym dźwiękiem przyciągnął swoich towarzyszy i musi teraz dzielić z nimi zdobycz. Puszczając wodze wyobraźni, dała się wciągnąć do parowu, z którego trudno było się wydostać, nie zadając sobie ran. Stara, dobra gra w słuchacza, który nigdy nie daje odpowiedzi, więc tym samym zawsze jest to odpowiedź pożądana, przemieniła się w wyszczerzoną w ironicznym grymasie terażniejszość przypominającą o kłótniach rodziców, które powracały teraz tak regularnie, jak wycie hien w nocy w Ol’ Joro Orok.

Już wtedy Regina wiedziała, za jak wielką troskę jest odpowiedzialne słowo „Niemcy”. Od pewnego czasu jednak Niemcy stanowiły dla wszystkich zagrożenie większe nawet od tłamszącej mocy wszystkich niezrozumiałych słów, jakich Regina nauczyła się bać w dzieciństwie. Jeśli jej uszom nie udało się w porę zamknąć na bezlitosną wojnę, jaką prowadzili ze sobą rodzice, to stale musiały słuchać o owym pożegnaniu, które Reginie jawiło się jako jeszcze bardziej bolesne niż rozstanie z farmą, której, mimo wszelkich starań i obietnicy danej Martinowi, nie potrafiła zapomnieć.

Przerażały ją nie tylko złośliwości, jakimi dręczyli się nawzajem rodzice, lecz jeszcze bardziej przeczucie, że i od niej wymaga się podjęcia strasznej decyzji, czy ma przyznać rację swojej głowie, czy sercu. Głowa opowiadała się za mamą, serce biło dla taty.

– Wiesz, Askari – powiedziała Regina i dalej mówiła do brata w pięknym, miękkim języku jalu, tak jak robili to Owuor i Chebeti, gdy tylko zostawali z dzieckiem sami – z tobą też tak będzie. My nie jesteśmy jak inne dzieci. Innym dzieciom nie opowiada się niczego, nam oni mówią wszystko. Oboje dostaliśmy rodziców, którzy nie potrafią milczeć.

Wstała, przez chwilę pozwalając kłuć kępie twardej trawy swoje boscie stopy, które odczuwały to jak ożywcza kąpiel, po czym szybko podbiegła do kwitnącego hibiskusa i oderwała z wybujałej rośliny kwiatek w kolorze fioletowoczerwonym. Ostrożnie zaniosiła delikatny kwiat do wózka i muskała nim dzidziusia tak długo, aż zakwilił, znów wydając z siebie jednosylabowe dźwięki, brzmiące jak mieszanka jalu i suahili.

– Jeśli nikomu nie powiesz, to ci to wytłumaczę – szepnęła, wzięła Maksa na kolana i mówiła dalej, po angielsku i nieco głośniej: – Wczoraj mama krzyczała: „Nikt nie zaciągnie mnie do kraju morderców”, a ja musiałam razem z nią płakać. Wiedziałam, że myśli o swojej mamie i siostrze. Wiesz, to była nasza babcia i ciocia. Ale potem tata też krzyczał: „Nie każdy był mordercą” i był taki blady i tak drżał, że zrobiło mi się strasznie przykro. I wtedy

płakałam dla niego. I tak jest zawsze. Nie wiem, za kim jestem. Najchętniej rozmawiam z tobą. ty nawet jeszcze nie wiesz, że Niemcy w ogóle istnieją.

– No, Regina, pakujesz w swojego brata te twoje angielskie poezje, czy wbijasz mu do głowy jakieś inne bzdury?! – zawołał Walter z daleka i wynurzył się zza krzewów morwy.

Regina wysoko podniosła brata i ukryła za nim swoją twarz. Czekala, aż zażenowanie przestanie zmieniać kolor jej skóry, i czuła się jak myśliwy, który wpadł we własne sidła. Tym razem Owuor nie miał racji. Twierdził, że Regina ma oczy geparda, ale ona nie zauważyła nadchodzącego taty.

– Myślałam, że jesteś u starego Gottschalka – wyjąkała.

– Już byliśmy. Pozdrowia cię i mówi, żebyś się kiedyś u niego pokazała. I musisz to zrobić, Regino. Ten starszy człowiek jest coraz bardziej samotny. Tę odrobinę pomocy, jaką można mu zapewnić, trzeba mu dać z własnej woli. Nie możemy darować nic oprócz samych siebie. Mama już wcześniej poszła do domu. A ja myślałam, że dzieci ucieszą się na mój widok. Ale widzę, że moja córka wygląda jak złapany na gorącym uczynku złodziej jajek.

Reginę zawstydziło rozczarowanie Waltera. Wstała ociężale jak stara kobieta bez zębów i sił w członkach, położyła Maksa z powrotem w wózku, podeszła wolno i z wielkim wahaniem do taty i objęła go tak mocno, jakby samymi rękami chciała cofnąć myśli, o których istnieniu nie wolno mu było się dowiedzieć. Drżenie w jego ciele zdradzało jej w jeszcze większym stopniu niż twarz wzburzenie z poprzedniej nocy. Choć się przed tym broniła, Reginę ogarnął smutek, który sprawił, że zaczęło ją gryźć sumienie. Szukała słów, którymi mogłaby ukryć litość, jednak tata ją uprzedził.

– Nie byłaś zbyt przezorna, wybierając sobie rodziców – powiedział i usiadł pod drzewem. – Już drugi raz chcą cię teraz ciągnąć do obcego kraju.

– To ty tego chcesz, mama nie.

- Tak, Regino, chcę i muszę. A ty musisz mi pomóc.
- Ja przecież jestem jeszcze dzieckiem.
- Przynajmniej ty mi nie utrudniaj. Nigdy bym sobie nie mógł wybaczyć, gdybym cię unieszczęśliwił.
- Dlaczego musimy jechać do Niemiec? Inni wcale nie muszą. Inge mówi, że jej tata za rok będzie Anglikiem. Ty też możesz nim zostać. Jesteś przecież w armii, a on nie.
- Opowiedziałaś Inge, że chcemy wracać do Niemiec?
- Tak.
- I co ona na to?
- Nie wiem. Ona już ze mną nie rozmawia.
- Nie wiedziałem, że dzieci mogą być takie bezlitosne. Nie chciałem ci tego robić – wymamrotał Walter. – Ale spróbuj mnie zrozumieć. Tata Inge być może dostanie angielski paszport, ale nie stanie się przez to Anglikiem. No, powiedz sama, czy możesz sobie wyobrazić, że będzie zapraszany przez angielskie rodziny? Na przykład przez twoją szacowną dyrektorę?
- Przez nią nigdy!
- I przez nikogo innego. No widzisz. A ja nie chcę być człowiekiem o imieniu, które nie jest moim imieniem, i muszę wreszcie wiedzieć, dokąd należę. Nie mogę już dłużej być *bloody refugee*, którego nikt nie traktuje poważnie, a większość nim gardzi. Tutaj zawsze będę tylko tolerowany, ale pozostanę outsiderem. Czy ty możesz sobie w ogóle wyobrazić, co to znaczy?

Regina zagryzła wargi, lecz mimo to odpowiedź wyszła z jej ust błyskawicznie.

- Tak. Mogę. – Zadawała sobie pytanie, czy tata domyśla się, co przeżyła przez lata spędzone w szkole i czego się tam nauczyła, najpierw w Nakuru, a teraz także w Nairobi. – Tutaj jest jeszcze gorzej. W Nakum byłam tylko Niemką i Żydówką, tu jestem

Niemką, Żydówką i *bloody dayscholar*. To jest gorsze niż tylko *bloody refugee*. Wierz mi, tato.

– Nigdy nic nam o tym nie mówiłaś’.

– Nie mogłam. Najpierw nie miałam na tyle słów w głowie, a potem nie chciałam ci robić przykrości. A poza tym – dodała po długiej pauzie, podczas której zalewały ją obrazy własnej samotności – nie ma to dla mnie znaczenia. Już nie.

– Z Makssem będzie to samo, jak pójdzie do szkoły. I pewnie też będzie miał takie wielkie serce jak ty i nie będzie miał za złe swojemu ojcu, że go zawiódł.

Regina zamilkła, ale wiedziała, że oczy ją zdradzają. Jej tata nie był taki głupi, rozmarzony i słaby, jak myślała mama. Nie był tchórzem i nie uciekał od problemów, jak twierdziła mama w każdej kłótni. Ten *bwana* był wojownikiem w pełni sił, tak mądrym, jak tylko może być człowiek, który nie otwiera ust, jeśli nie przyszedł na to jeszcze czas. Tylko zwycięzca wiedział, kiedy wyciągnąć swoją najlepszą strzałę, i starannie celował, by odnaleźć u człowieka najwrażliwsze miejsce, w które chciał trafić. Nieustraszony *bwana* strzelił w jej serce tak głęboko jak Amor i tak chytrze jak Odyseusz. Regina nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

– Walczysz słowami – zawyrokowała.

– To jedyne, czego się kiedykolwiek nauczyłem. I chcę robić to nadal. Dla wszystkich was. Musisz mi pomóc. Mam tylko ciebie.

Trudno było udźwignąć ciężar, jakim obarczył ją tata. Regina próbowała się jeszcze opierać, ale jednocześnie poczuła się tak, jakby zgubiła się w lesie i właśnie odkryła zbawienną polankę. Przeciąganie liny w walce o jej serce dobiegało końca. Ojciec już zawsze miał trzymać dłuższy koniec w ręce.

– Przyrzeknij mi, że nie będziesz się smucić, kiedy pojedziemy do domu – powiedział. – Obiecuj, że mi zaufasz.

Wspomnienia naparły na Reginę z siłą naostrzonej siekiery wbijającej się w chore drzewo. Poczła zapach Ol' Joro Orok, ujrzała siebie leżącą w trawie i znów spalił ją ogień niespodziewanego dotknięcia, a zaraz potem uczuła kłujący ból.

– Martin też tak mówił. Wtedy, kiedy był jeszcze dla mnie księciem, który zabrał mnie ze szkoły. „Nie możesz się smucić, jak będziesz kiedyś musiała wyjechać z farmy”, tak powiedział. Musiałam mu to wtedy obiecać. Wiedziałaś o tym?

– Tak. Pewnego dnia zapomnisz o farmie. Obiecuję ci to. I jeszcze jedno, Regina, zapomnij o Martinie. Jesteś dla niego za młoda, a on nie dość dobry dla ciebie. Martin zawsze kochał tylko siebie. Zawrócił w głowie twojej matce. Była wtedy niewiele starsza od ciebie. Czy kiedyś do ciebie napisał?

– Napisze – odparła z mocą Regina.

– Jesteś taka jak twój ojciec. Wierzący we wszystko głupiec. Kto wie, czy kiedykolwiek jeszcze usłyszymy o Martinie. On zostanie w Afryce Południowej. Musisz o nim zapomnieć. Pierwsza miłość nigdy nie jest prawdziwa. I dobrze.

– Ale mama była twoją pierwszą miłością. Sama mi to powiedziała.

– I co z tego wynikło?

– Max i ja – odpowiedziała Regina. Patrzyła na tatę tak długo, aż w końcu udało się jej przywołać uśmiech na jego usta.

– Co się stanie z Owuorem, gdy będziemy wyjeżdżać do Niemiec? – zapytała w drodze do mieszkania. – Czy znów będzie mógł z nami pojechać?

– Tym razem nie. To nam wyrwie kawał serca, a rana nigdy się nie zagoi. Przykro mi, Regino, że nie jesteś już dzieckiem. Dzieci można oszukiwać.

Łzy płynące podczas obiadu łatwo było wytłumaczyć. Z rozgotowanych kartofli Owuor zrobił bowiem piure obficie przyprawione pieprzem i jeszcze większą ilością soli.

W czwartek Regina wybrała się z Chepoi na targ, żeby zrobić zakupy na urodziny Diany. Potem musiała bardzo długo i za pomocą wielu słów, które zaczerpnęła z wiersza Szekspira i bardzo swobodnie przetłumaczyła, gasić zazdrość Owuora, aż w końcu mogła złożyć wizytę profesorowi Gottschalkowi. Po raz pierwszy od swojego upadku znowu siedział przed drzwiami w grubej aksamitnej kamizelce na chwiejnym składanym krześle. Na kocu rozłożonym na kolanach leżała znajoma książka, ale czerwona okładka ze złotym pismem, które za każdym razem tak fascynowało Reginę, że nie mogła się skoncentrować na literach, była zakurzona.

Z uczuciem niepokoju, który przerodził się w kwaskowaty smak strachu pomiędzy zębami, i który w jeden dzień później nauczyła się rozpoznawać jako ból, spostrzegła, że staruszek nie chce już czytać. Posłał swoje oczy na safari w świat, gdzie cytrynowce, pod którymi tak często spacerował, nie wydawały już owoców. Od jej ostatniej wizyty czarny kapelusz stał się większy, a ukryta pod nim twarz mniejsza, ale głos zabrzmiał mocno, gdy profesor powiedział:

- To miło, że jeszcze przychodzisz. Pozostało niewiele czasu.
- Ależ nie – zaprzeczyła szybko Regina z kurtuazją, którą często musiała ćwiczyć, poznając cnoty skautów. – Mam wakacje.
- Ja też je kiedyś miałem.
- Ale pan przecież zawsze ma wakacje.
- Nie, wakacje miałem w domu. Tutaj każdy dzień jest taki jak inne. Rok za rokiem. Przepraszam, Lilly, że jestem taki niewdzięczny i tak głupio gadam. Ale ty nawet nie możesz sobie wyobrazić, o czym mówię. Jesteś jeszcze na tyle młoda, żeby móc się cieszyć tym, co widzisz.

Gdy Regina uświadomiła sobie, że profesor pomylił ją z własną córką, chciała mu o tym od razu powiedzieć, bo nie jest dobrze, gdy jeden człowiek pożycza imię od drugiego, ale nie

wiedziała, jak opowiedzieć tę skomplikowaną historię, jeśli nie mogła użyć słów i języka Owuora.

– Mój tata też mówi takie rzeczy – szepnęła.

– Już niedługo, jego serce jest przygotowane do pożegnania i do nowego początku – powiedział profesor i zmrużył nieco oczy, w których nie było radości. Przez krótką chwilę jego twarz znów była tak samo duża jak kapelusz. – Twój ojciec to mądry człowiek. Znowu ma nadzieję. Ufna dusza słucha swego wewnętrznego głosu.

Regina zastanawiała się poirytowana, dlaczego jej skóra zrobiła się zimna, chociaż nie dosięgał jej cień muru. I nagle zrozumiała. Śmiech profesora w jasnym świetle dnia brzmiał jak nocne wycie hien, które były już za stare na to, by polować. Jednocześnie zadawała sobie pytanie, ile on może mieć lat i dlaczego starzy ludzie tak często mówią rzeczy, które są jeszcze trudniejsze do odszyfrowania niż tajemnicze zagadki starożytnych mitów.

– Cieszysz się, że jedziesz do Niemiec?’ – zapytał profesor.

– Tak – powiedziała Regina i skrzyżowała palce, jak się tego nauczyła w dzieciństwie od Owuora, by uchronić się przed działaniem trucizny, jaką było kłamstwo, którego nie zatrzymały usta. Była już teraz pewna, że profesor nie kieruje swoich słów do niej, ale nie czuła się tym zmieszana. Czyż nie doświadczała tego ciągle w rozmowach z tatą, który potrzebował mieć słuchacza nawet wtedy, gdy miał on zamknięte uszy?

– Jak bardzo pragnąłbym się z tobą zamienić. Wyobraź sobie, że już jesteś w domu, wychodzisz na ulicę i wszyscy ludzie mówią po niemiecku. Nawet dzieci. Musisz je tylko o coś zapytać, a natychmiast zrozumieją i odpowiedzą.

Regina powoli otworzyła usta i jeszcze wolniej je zamknęła. Potrzebowała trochę czasu, by się upewnić, czy profesor w ogóle jeszcze wie, że siedzi koło jego krzesła na podłodze. On uśmiechnął się lekko, jakby przez całe życie rozmawiał z

ziewającymi małpami, które nie muszą wydawać żadnego dźwięku, by zwrócić na siebie uwagę.

– Frankfurt – rzekł, przerywając łagodnym głosem błogą ciszę – był taki piękny. Pamiętasz? Jak można nie mieszkać we Frankfurcie! Umiałaś już to powiedzieć, będąc bardzo małą dziewczynką. Wszyscy się śmiali. Mój Boże, jacy byliśmy wtedy szczęśliwi. I głupi. Pozdrów ojczyznę ode mnie, kiedy ją zobaczysz. Powiedz jej, że nie potrafiłem o niej zapomnieć. A cały czas próbowałem.

– Dobrze, powiem – odparła Regina. Zbyt gwałtownie przełknęła zakłopotanie i zaczęła kasłać.

– I dziękuję, że zdażyłaś na czas. Powiedz matce, żeby nie wymyślała, jak się spóźnisz na lekcję śpiewu.

Regina zamknęła oczy, czekając, aż sól pod powiekami zamieni się w małe, suche ziarenka. Trwało dłużej niż myślała, zanim znów mogła widzieć wyraźnie, a wtedy spostrzegła, że profesor zasnął. Oddychał tak głośno, że zagłuszał ciche gwizdanie wiatru. Brzeg czarnego kapelusza opadł mu na nos.

Chociaż Regina szła bez butów, a jej kroki na wyschniętej ziemi robiły niewiele więcej hałasu niż motyl odpoczywający na umierającym z pragnienia płatku róży, uważała na to, by dotykać ziemi tylko palcami. Gdy przeszła już połowę drogi, odwróciła się raz jeszcze, ponieważ nagle wydało jej się ważne, żeby profesor się nie obudził, dopóki nie poczuje się na siłach, by uporządkować w głowie wszystkie kształty i kolory.

Poczuła zadowolenie, a także, czego nie umiała sobie wytłumaczyć, w pewnym sensie radość, gdy zobaczyła, jak spokojnie śpi. Ponieważ wiedziała, że jej nie usłyszy, uległa nagłemu, niesfornemu impulsowi i zamiast „do widzenia”, zawołała:

– *Kwaheri!*

Dzień zamienił się w wieczór, zanim mieszkańcy Hove Court zaczęli się dziwić, dlaczego profesor Gottschalk, który żywił

niechęć wobec znieczuła nadchodzącego chłodu afrykańskich nocy, wciąż siedzi spokojnie na swoim krześle. Potem jednak wieść o tym, że nie żyje, rozeszła się tak szybko, jakby ogłosił ją głos bębnowy mknący po lesie zaczarowanym echem.

Pogrzeb odbył się już następnego dnia. Ponieważ był to piątek, a zmarły musiał być pochowany, zanim zacznie się szabas, rabin wzdrygał się przed wstrzymywaniem pogrzebu dłużej niż do południa, mimo doniesień o niespotykanym gwałtownym ulewach w Gilgil. Uśmiechami i pojednawczymi gestami starał się zapewnić o swoim zrozumieniu dla wzburzenia, jakie wywołała u żałobników jego wierność wobec prawa, lecz nie dopuszczał do siebie zarzutu, nawet jeśli został on przedstawiony w całkowicie zrozumiałej angielszczyźnie, że profesor życzył sobie, by w ostatniej drodze towarzyszyli mu córka i zięć.

– Gdyby, zamiast się modlić, słuchał radia, toby wiedział, że droga z Gilgil do Nairobi to jedno wielkie, rozbabrane błoto – powiedziała z rozgoryczeniem Elsa Conrad. – Człowieka takiego jak profesor nie chowa się bez udziału krewnych.

– Bez takich pobożnych ludzi jak on w ogóle nie byłoby już Żydów – próbował łagodzić Walter. – Profesor by to zrozumiał.

– Do diabła, czy ty zawsze masz takie zrozumienie dla innych ludzi?

– Niestety.

Lilly i Oscar Hahn dotarli na cmentarz, gdy słońce jeszcze prawie w ogóle nie dawało cienia, a grupka strapionych, bezradnych ludzi stała w kręgu nad grobem. Po odmówieniu modlitw rabin wygłosił krótką przemowę po angielsku, pełną mądrych i świątłych sformułowań, lecz wzburzenie, a przede wszystkim niedostateczna znajomość języka u większości obecnych, tylko jeszcze wzmożyły niepokój.

Oscar, w spodniach koloru khaki i za wąskiej, ciemnej kamizelce, był bez krawata, miał ślady po zaschniętym błocie na spodniach i czole. Oddychał ciężko. Nie mówił ani słowa, a

zbliżając się do grobu, nieśmiało się uśmiechał. Lilly miała na sobie spodnie, w których wieczorem karmiła kury, i czerwony turban na głowie. Była tak zdenerwowana, że zapomniała zamknąć drzwi samochodu stojącego przed bramą na cmentarz. Jej pudel, który, tak samo jak Oscar, przez ostatnie dwa lata bardzo się postarzał, posiwiał i utył, gonił za nią zziębnięty. Zza wysokich drzew wołał za nim Manjala, którego Regina rozpoznała natychmiast po schrypniętym głosie. Wymyślał psu od synów przebiegłego węża z Rumuruti i groził mu na przemian to furia węża, to zemstą nigdy niewybaczonego boga Mungo.

Śmiech, który wzbierał w jej gardle z siłą wodospadu, przetykała z trudem jak bezmyślnie przeżuwane przejrzałe ziarna pieprzu. Przez wzgląd na profesora zadała sobie także trud zachowania powagi na twarzy, gdy spoglądała na Lilly i Ohę. Stała między Jettel i Walterem pod cedrem, z którego tokujący atlasowiec, mimo południowego skwaru, starał się zwrócić na siebie uwagę, wydając jasne, wysokie tony. Gdy Regina zobaczyła biegnącą Lilly, z pomarszczoną od wysiłku twarzą, przyszło jej na myśl, że profesor zadbał o to, by mogła się spóźnić na lekcję śpiewu. Najpierw pomyślała, że jednak wybuchnie śmiechem, i z przestrawieniem zagryzła wargi, a potem poczuła łzy, choć jej oczy były jeszcze suche. W momencie, w którym Lilly dopadła do grobu i westchnęła z ulgą, pudel zwęszył zapach Reginy i skoczył na nią z przeraźliwym, radosnym wyciem, zanim schował się między jej nogami. Głaskała go, żeby uspokoić siebie i jego, lecz zwróciła tym uwagę rabina, który, gdy popatrzył na nią i na skomlącego psa, zacisnął usta.

Oha, wciąż jeszcze nie mogąc złapać oddechu, cicho odmawiał kadysz za zmarłego, ale jego rodzice odeszli tak dawno, że nie mógł sobie od razu przypomnieć tekstu modlitwy, więc przy każdym słowie przeklinał przeszłość, która w momencie wyczerpującego rozemocjonowania podsuwała mu fałszywe głoski. Wszyscy zauważyli, z jaką przykrością przyjął pomoc od gorliwego, niewielkiego człowieczka, którego nie znał nikt, a który wyłonił się zza nagrobka w najodpowiedniejszym momencie.

Obcy mężczyzna z brodą i w wysokim czarnym kapeluszu już choćby dlatego pojawiał się na każdym pogrzebie z udziałem ludzi z kręgów *refugees*, że zawsze mógł polegać na swoim doświadczeniu, iż bardzo niewielu spośród nich jest wystarczająco ortodoksyjnych na to, by płynnie odmówić modlitwę za zmarłego, więc z hojnością tych, którzy nie mogą sobie pozwolić na dawanie, z wdzięcznością przyjmą od niego pomoc.

Gdy w końcu Oha, jękając się, wypowiedział ostatnie słowo modlitwy, grób szybko zasypano. Również rabin wyglądał tak, jakby się spieszył. Oddalił się nawet na kilka kroków, gdy Lilly uwolniła się z objęć pocieszycieli i z dziecięcą nieśmiałością, po której poznano, że jest obca, cicho powiedziała:

– Wiem, że piosenka nie pasuje do pogrzebu, ale mój tata bardzo ją lubił. Chciałabym ją mu tutaj zaśpiewać po raz ostatni.

Twarz Lilly była blada, ale głos wyraźny i wystarczająco mocny, by odbijać się wielokrotnym echem od połyskujących na niebiesko wzgórz w Ngong, kiedy śpiewała *Ich weiss nicht, was soll es bedeuten*. Niektórzy nucili melodię wraz z nią, a cisza, jaka zapanowała po ostatnim dźwięku, była tak uroczysta, że nawet pudel zdawał się to rozumieć, bo – pierwszy raz od lat – nie towarzyszył Lilly wyciem. Regina próbowała najpierw nucić razem z dorosłymi, a potem tak jak oni płakać. Martwiło ją, że zapomniała, co ma powiedzieć do Lilly i Ohy, chociaż tata jeszcze tego ranka ćwiczył z nią trzy słowa po niemiecku, które bardzo jej się spodobały i wydały odpowiednie na tę okazję.

Jettel zaprosiła Lilly i Ohę na kolację. Owuor z dumą pokazał im Maksa i wyjaśnił ze szczegółami, dlaczego nazwał go Askari. Był jeszcze bardziej dumny z tego, że pamiętał, w jaki sposób przyrządza się dla pięknej *memsahib* z Gilgil jajka sadzone. Ich skórka miała być twarda i dobrze przysmażona na brązowy kolor, a nie miękka i szklista jak dla *bwana*. To również Owuor opowiedział Lilly, że jej ojciec na krótko przed śmiercią rozmawiał z Reginalą.

– Pojechała z nim na dalekie safari – oświadczył.

Regina się przestraszyła, bo myślała, że jej ostatnie spotkanie z profesorem pozostanie tajemnicą, ale po raz kolejny miała sposobność przekonać się o mądrości Owuora, bo Lilly powiedziała:

– Cieszę się, że byłaś u niego. – A po chwili zaproponowała: – Może chciałabyś mi opowiedzieć, o czym rozmawialiście.

Gdy Jettel kładła Maksa do łóżka, a obaj mężczyźni spacerowali po ogrodzie, Regina sięgała po słowa, które zachowała w głowie po śmierci profesora. Nawet zdanie: „Jak można nie mieszkać we Frankfurcie”.

Najpierw obawiała się opowiadać o pomyłce profesora, ale właśnie ta historia cisnęła się jej na usta z taką siłą, jakby tylko czekała na uwolnienie z więzienia. Wydawało się, że opowieść pocieszyła Lilly. Zaśmiała się po raz pierwszy od chwili, kiedy wyskoczyła z samochodu na cmentarzu, a potem jeszcze raz i głośniej, gdy usłyszała o lekcji śpiewu.

– Typowe – wspominała. – Tata zawsze się bał, że się spóźnię.

A gdy pożegnała się z Ołą, by spędzić noc w pokoju profesora, powiedziała:

– Jesteś teraz jak gdyby moją młodszą siostrą, której nigdy nie miałam.

Następnego dnia rano przy śniadaniu zapytała, znowu odejmując Reginie mowę:

– Co ty na to, żebyś pojechała z nami do Arkadii? Już o to pytałam twoich rodziców. Zgadzą się.

– Nie mogę – odparła Regina. Już gdy to mówiła, poczuła, jak oblewa ją gorąco, które jednakże opanowało tylko usta, a nie całe ciało, i zawstydzila się, wiedząc, jak wielkie pragnienie można wyczytać z jej oczu.

– Dlaczego nie? Masz przecież wakacje.

– Tak bardzo chciałabym jeszcze raz pojechać na farmę, ale chcę też zostać z Maksem. Mam go przecież od tak niedawna.

– Max już wczoraj wieczorem bardzo wyraźnie powiedział, że chciałby zobaczyć Gilgil – powiedział z uśmiechem Oha.

W Gilgil dni przelatywały szybciej niż dzikie kaczki w swoim długim safari do jeziora Naivasha. Regina walczyła z upływającym czasem tylko w pierwszych dniach. Gdy spostrzegła, w jaki niepokój wprawiają ją te próby zatrzymania szczęścia, zaczęła uważnie się przyglądać tym zielono – i niebieskopióрым podróżnikom. Przeciągające pod wirującymi obłokami ptaki stanowiły dla niej część niepowtarzalnych czarów Arkadii, farmy o trzech zagadkach, z których żadnej nie dało się rozwiązać.

Pomiędzy górami o szczytach w kształcie starganych przez burze i upały kopuł i ogromnymi polami kukurydzy, złocienia i lnu oczy nigdy nie natykały się na płot czy rów. Na tej ogromnej powierzchni bóg Mungo był jeszcze większym panem ludzi niż w Ol' Joro Orok. Im wystarczało, gdy oni i ich bydło mieli co jeść. Nie trzymały ich w korbach ani rozkazy, ani pieniądze białych. Wiedzieli wszystko o życiu farmy, podczas gdy farma wiedziała o nich tylko to, że istnieją. Sam jeden Mungo mógł decydować o życiu i śmierci tych dumnych ludzi, którzy troszczyli się o siebie sami i dopuszczali do siebie tylko zapach czegoś dobrze znajomego.

Tam, gdzie zaczynały się paść pierwsze stada owiec, kóz skaczących zwinnie między porośniętymi skałkami, rozłożonych na trawie krów, które w sytym zadowoleniu rzadko kiedy nawet poruszały łbami, i gdzie jedna obok drugiej stały chaty o glinianych ścianach wysadzanych maleńkimi, białymi kamyczkami, Mungo dawał o sobie znać jedynie grzmotem podczas ulewy o wczesnym poranku, jednak jeszcze i tam wszędzie czuło się jego moc. W tym imperium znajomych obrazów i dźwięków leżały poletka należące do służących mieszkających w chatach.

Rósł na nich bujnie tytoń, kępy ziół o leczniczych właściwościach, które znali tylko mądrzy starcy, i niskie łodygi

kukurydzy o mocnych liściach, które rozmawiały ze sobą cichutko przy każdym powiewie wiatru. Z rana i popołudniami pracowały tam młode kobiety o łysych głowach i nagich piersiach, z niemowlętami na plecach, zawiniętymi w kolorowe chusty. Gdy odkładały motyki i przystawiały dzieci do piersi, kury wydziobywały z ich zaskorupiałych stóp maleńkie błyszczące chrząszczyki. Tak jak mężczyźni, kobiety, pracując, śpiewały tylko z rzadka, gdy wierciły dziury w długo trwającej ciszy, śmiejąc się przy tym jak dzieci. Często rozmawiały, chichocząc, o *memsahib* i jej *bwana*, którzy tak lubili słowa drapiące w gardle i na języku.

Lilly o głosie, który fruwał ponad drzewa i bez trudu dolatywał do gór, stała się dla Reginy piękną panią białego zamku, mającą kontakt z inną rzeczywistością. Zamek miał wielkie okna, które aż do nocy przechowywały skwar dnia i nawet najmniejsze krople deszczu zamieniały w duże kule. Na szybach, które pod okiem Manjali dwóch chłopców z Kikuju czyściło codziennie na glans tak długo, aż mogli pluć we własną twarz, słońce malowało piękne obrazy, korzystając z palety barw bogatszej niż gdziekolwiek indziej w afrykańskich rajach.

W pomieszczeniu z szerokim kamiennym kominkiem, który nabierał blad różowej barwy, gdy tylko zaczynały skwierczeć palące się drwa, z fajki Ohy wychodził łagodny król. Miał okrągły brzuch i kości obciążone brzemieniem, którego Regina nie umiała rozpoznać, a jednak sprytnie i lekko wspinał się wysoko na maluśkie, szare tytoniowe pagórki i błogosławił stamtąd dom głośnym śmiechem, cichutką muzyką i przyjaznymi, pięknymi, obcymi, dziwnymi dźwiękami.

Bywały wieczory, w których pokój rozświetlały tylko wysokie płomienie, znikające w rozżarzonych do czerwoności oparach. A wtedy zapach – wymieszane w dokładnie dobranych proporcjach wonie cedrów, w których mieszkał jeszcze las, i świeżo palonych *tembo* z trzciny cukrowej, które Oha pił po jedzeniu z małych kielichów z kolorowego szkła – długo wstrzymywał się z odejściem. W takie noce przybywały także małomówne duszki czarodziejskie.

Głuche na głosy ludzi, z wielkim upodobaniem wysyłały ich oczy na safari bez początku ani końca.

A wtedy zza drewnianych ram obrazów wyłaniali się dobrze odżywieni panowie z szerokimi pomarańczowymi szarfami, w wysokich czarnych kapeluszach i z białymi kryzami uformowanymi z drobnych, sztywnych zmarszczek. Za nimi podążały bardzo poważnie wyglądające damy w czepeczkach z białej koronki, w bielusieńkich jak światło księżycy perłach wokół szyi i sukniach z ciężkiego błękitnego aksamitu. Dzieci ubrane były w jasny jedwab otulający ciało jak druga skóra i ściśle przylegające do głowy czapeczki z maleńkimi perełkami na brzegach. Zawsze śmiały się ich usta, lecz nigdy oczy.

Ci ludzie z krainy tajemnych kolorów zanurzali się na krótką chwilę w głębi miękkich ciemnozielonych foteli. Zanim powrócili na swoje miejsca na kamiennych ścianach, ze śmiechem, który nie był głośniejszy od pierwszego gaworzenia dziecka, szeptali ochryple w języku, który miał takie same gardłowe dźwięki jak mowa Burów.

Kiedy Regina wieczorami obserwowała, jak to wytworne towarzystwo rejteruje z ciasnych ram obrazów, wyobrażała sobie, że jest syrenką z bajki, którą morze podczas burzy wyrzuciło na ląd i która nie może już chodzić, ale nie ma odwagi zawrócić. Gdy jednak za dnia siedziała na dużym krześle z poręczami zwieńczonymi rzeźbionymi lwimi głowami, odpoczywając w cieniu ściany domu porośniętej białą i różową wyką i przyglądała się spienionym chmurom ustępującym właśnie po deszczu, czuła się silna jak Atlas dźwigający ciężką kulę ziemską na ramionach.

Ekscytowało ją, gdy sobie wyobraziła, że znajduje się dokładnie w punkcie przecięcia się trzech światów. Nie mogłyby się bardziej od siebie różnić, jeśli to sam Mungo postarał się o to, by każdemu nadać charakterystyczny kształt. Wszystkie trzy światy współgrały ze sobą jak ludzie mówiący różnymi językami, a więc nieznający również jednego słowa na kłótnię.

Trawa, która schodziła w dolinę z czerwono-półprzebiegających gór, zachowała w sobie zbyt dużo słońca, by w porze deszczowej zazielenić się tak jak trawa w pozostałej części wyżynnej. Szerokie kępy oddawały swą barwę światłu, jakby uschła roślinność musiała się bronić przed czymś wzrokiem. To przydawało krajobrazowi łagodności i sprawiało, że można go było objąć jednym spojrzeniem. Szerokie pasy zebr błyszcząły na ich sprężystych ciałach, dopóki słońce nie spadło z nieba, a sierść pawianów wyglądała jak grube koce utkane z brunatnej ziemi.

Zdarzały się dni bardzo jasne, czyniące z małych nieruchome kule, które w białym świetle, niemal nietolerującym cienia, wysilającemu się oku bardzo trudno było odróżnić od grzbietów krów pasących się w ich pobliżu. Nastawały jednak także i krótkie godziny, które nie należały ani do dnia, ani do nocy. Wtedy młode pawiany, których ciekawość była większa niż ich doświadczenie i ostrożność, podchodziły do domu tak blisko, że w każdym dźwięku, jaki z siebie wydawały, słychać było inne brzmienie.

Las pełen cedrów, których korony nie mogły już dojrzeć korzeni, i niskich akacji o wyschłych gałęziach zaczynał się za ostatnim polem kukurydzy. Gdy odzywały się bębny, ich głos odbijał się echem, które nawet wściekłym szalejącemu wiatrowi kazało zamilknąć na pełną napięcia chwilę. Te głosy, za którymi Regina tak długo tęskniła w Nairobi, najczulej pieściły jej uszy. Za ich sprawą wspomnienia, których nigdy nie udało się jej stłumić, stawały się teraźniejszością, która odurzała ją tak, jak w szczęśliwych dniach *tembo* oszołamiało mężczyzn siedzących przed chatami. Każdy pojedynczy bęben pozbawiał ją lęku, że mogłaby być tylko podróżną bez celu, której przez chwilę wolno zaznać poczucia bezpieczeństwa i szczęścia, i utwierdzał ją w przekonaniu, że tak naprawdę jest Odyseuszem, który na zawsze powrócił do domu.

Kiedy jej skóra czuła na sobie dotyk wiatru, słońca i deszczu, a oczy przytrzymały horyzont jak szakal pierwszą nocną zdobycz, Regina doświadczała nieznanego jej jeszcze upojenia wielkim zapomnieniem. Łączyło ono w sobie to, co

znajome, z tym, co obce, fantazję i rzeczywistość i odbierało jej siły, by myśleć o przyszłości, którą jej tata już miał w garści. W głowie tworzyła się gęsta sieć z dezorientujących historii pochodzących z dalekiego świata, w którym Lilly zamieniała się w Szeherazadę.

Ilekcję Chebeti wносиła na srebrnej tacce podgrzaną butelkę z mlekiem, a Regina wkładała ją bratu do ust, jak za jednym pchnięciem otwierała się brama do rajów, do którego klucze miała tylko pani zamku. Chebeti siadała na ziemi i kładła szczupłe dłonie na dużych żółtych kwiatach zdobiących jej sukienkę. Regina czekała na pierwsze cmoknięcia ssącego dziecka, a potem opowiadała Maksowi i Chebeti takim samym uroczystym głosem, jakim w szkole recytowała patriotyczne wiersze Kiplinga, o rzeczach, którymi nakarmiła jej uszy Lilly.

W Gilgil nawet mleko było zaczarowane. Każdego ranka jego – dawczynią była smagła Antonia, której nie wolno było śpiewać, ale która poszła na śmierć za głosem skrzypiec. Obiad przynosiła małemu *askari* biała Cho-Cho-San, która ze sztyletem ojca w dłoni i pieśnią *Ehrerwoll sterbe* na ustach żegnała się z życiem; wieczorem Max zasypiał, słuchając historii Konstancji, podczas gdy Lilly śpiewała *Traurigkeit ward mir zum Lose*, pudel wył, a Oha ocierał oczy z łez szorstkim materiałem swojej kamizelki.

Już po kilku pierwszych dniach w Gilgil Regina pojęła, że ulubieńcy Lilly ukrywali się pod postacią mlecznych krów. Nic w nich nie przypominało zwykłych krów. Wszystkie sylaby ich imion, których nie potrafił wymówić nikt poza Lilly i Oha, coś znaczyły. Te dźwięczne imiona, które nawet wtedy wyczarowywały śpiew w gardle Lilly, gdy tylko mówiła, były ciężarem dla głowy i języka innych ludzi na farmie. Żadna krowa nie rozumiała suahili, kikuju czy jalu. Gdy Reginie towarzyszyła tylko Chebeti z Maksym w wózku, często próbowała rozmawiać z Ariadną, Aida, Donną Anną, Gildą i Melisandą o zagadce ich pochodzenia. Jednak zaczarowane krowy wystawiały swe potylicy na palące słońce, jakby nie miały uszu. Swoje tajemnice mogły zdradzić tylko ustami Lilly. Arabella była ostatnia. Ale też i pierwsza, dzięki

której Regina mogła przeczuć, że szczęście w raju Lilly jest rzeczą delikatną jak kwiaty hibiskusa.

– Dlaczego mówisz do Arabelli jak do dziecka? – spytała Regina.

– Ach, dziecko, jak ci to wytłumaczyć? Arabella była ostatnią operą, którą wolno mi było zobaczyć. Oha i ja pojechaliśmy wtedy specjalnie do Drezna. To się w tym życiu nigdy nie powtórzy. Opera Drezdeńska jest tak zrujnowana jak moje marzenia.

Ponieważ zaledwie przed godziną przy śniadaniu Lilly powiedziała: „Ja nigdy nie marzę”, Reginie trudno było zrozumieć sens jej skargi, ale od dnia, w którym poznała historię Arabelli, wiedziała, że nie tylko krowy Lilly miały swoje tajemnice. Pani zamku z czarującym głosem wprawdzie umiała śmiać się ustami tak głośno, że jej śmiech rozbrzmiewał echem nawet w małej spiżarni, ale jej oczy często przy tym z trudem zatrzymywały łzy. Wtedy na twarzy Lilly pojawiały się małe zmarszczki. Wyglądały jak szczeliny w wyschniętej ziemi i czyniły jej usta zbyt czerwonymi, a skórę cienką, jakby była skórą rozpiętą na kamieniach.

Wydawało się, że Ohe też męczyła podobna dolegliwość. Co prawda śmiał się na całe gardło, aż pierś mu się trzęsła, gdy wołał do swoich zwierząt, lecz gdy Lilly wyjawiała tajemnicę Arabelli, Regina szybko zrozumiała, że Oha także nie jest tylko lubianym przez nią od dziecka przyjaznym, łagodnym olbrzymem. W rzeczywistości był odrodzonym Archimedesem, który nie chciał widzieć zakłóceń w swoich kołach.

On nadawał imiona kurom i wołom. Były więc koguty Cyceron, Katalina i Cezar; kwoki u Ohy też były płci męskiej i pochodziły z Rzymu. Najpiękniejsze nosiły imiona: Antoniusz, Brutus i Pompejusz. Kiedy Lilly karmiła kury, Oha siadał w swoim fotelu, brał zawsze tę samą książkę z półki nad kominkiem i czytał, chociaż nie było słyhać szelestu przewracanych kartek. Jego pierś wstrząsał zawsze śmiech tak głośny, jakby zachłysnął się swoją wesołością. Gdy jednak Regina dokładnie go

obserwowała, coraz częściej myślała o Owuorze, który jako pierwszy zdradził jej, że sen z otwartymi oczami sprawia, że głowa choruje.

Woły brały swoje imiona od kompozytorów. Chopin i Bach były najlepszymi zwierzętami pociągowymi, buhaj nazywał się Beethoven, a jego najmłodszy syn żyjący od czterech godzin – Mozart. Gdy szczęśliwie skończyła się noc, podczas której się rodził, i Manjala, z powodu zbyt słabych boli porodowych Desdemony i występujących u niej nagle duszności, musiał wezwać na pomoc brata, Lilly zaproponowała uroczystym głosem, by Regina nadała imię wyratowanemu z opresji cielakowi.

– Dlaczego Regina? – sprzeciwił się Oha. – Ona się przecież nie orientuje w naszych zwyczajach. A takie imię wiąże na całe życie.

– Nie mów głupstw – odparła Lilly. – Sprawże dziecku radość. Regina była zbyt przepełniona szczęściem Desdemony, by zauważyć, że Lilly dopiero co rzuciła jej część zdobyczy Ohy. Położyła dłoń na łbie krowy, wciągnęła do nosa zapach zadowolenia, a do głowy wpuściła wspomnienia, które szybko stanęły gotowe do walki. Ponieważ jednocześnie pomyślała o zmarłym dziecku swojej mamy i narodzinach własnego brata, w chwili wymagającej podjęcia odpowiedzialnej decyzji zapomniała, że bydło w Gilgil musi być zaczarowane muzyką. Przyszło jej na myśl, że silny cielak został odratowany niemal za późno.

– David Copperfield – ucieszyła się.

Oha potrząsnął głową, niezwykłym u siebie, gwałtownym ruchem przewrócił trzymaną przez Manjala lampę parafinową i powiedział trochę zezłoszczony:

– Bzdura.

W migotliwym świetle jego oczy stały się małe, wargi wyglądały jak dwie białe zasuwki broniące dostępu do zębów i po raz pierwszy Regina zobaczyła, że także Oha i Lilly się kłócili – nawet jeśli o wiele ciszej i nie tak długo jak jej rodzice.

– Nazwiemy go Małym Jagonem – zaproponowała Lilly.

– Od kiedy to ty nadajesz imiona buhajom? – zapytał Oha, tnąc głosem jak nożem. — Ja już się cieszyłem na Mozarta. Tego mi nie zabierzesz.

Następnego ranka Oha znów był olbrzymem z duży ni brzuchem, niepachnącym ani wzburzeniem, ani nagłym niepokojem, tylko słodkim tytoniem i łagodną wonią pełnego zrozumienia spokoju. Usiłując nie patrzeć na Lilly, spojrzął na Reginę i rzekł:

– Ja wczoraj nie chciałem powiedzieć nic złego.

Starannie przeliczył czarne ziarnka swojej papai i ciągnął, jakby nie dał sobie tak wiele czasu na zaczerpnięcie oddechu:

– Ale wiesz, byłoby śmieszne, gdybyśmy użyli tutaj angielskiego imienia. Wiesz – uśmiechnął się – jego tak dobrze nie znamy.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała uśmiechem Regina. Własna szybka, uprzejma reakcja speszyła ją i pomyślała, że, jak to miała w zwyczaju, gdy usprawiedliwiała się z czegoś, nie czując skruchy, powinna mówić dalej po angielsku. – David Copperfield – wyjaśniła nieśmiało i zauważyła cokolwiek za późno, że wcale nie chciała otwierać ust – od dawna jest moim przyjacielem. Mała Nell też – dodała.

Pomyślała z obawą, czy będzie musiała kontynuować i opowiedzieć całą historię Małej Nell, ale zauważyła, że Oha jest myślami gdzieś daleko. Gdy nie odpowiedział, Regina stłumiła uczucie ulgi, nie dając tego po sobie poznać. Nie było dobrze mówić o rzeczach, które przyprawiały o szybsze bicie serca, jeśli nie mogły pomóc cudze usta.

Manjara, który cały czas stał koło witryny z roziskrzonymi kieliszkami, białymi, połączanymi miseczkami i miniaturowymi tancerkami z porcelany, wprowadził swoje ciało w ruch i odsłonił ręce zakryte długimi rękawami jego białego *kanzu*. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej zbierał talerze, każąc sztuccom tańczyć. Max

usiadł w swoim wózku i do każdego odgłosu dodawał klaśnięcie, co sprawiało przyjemność uszom Reginy.

Chebeti zsunęła pudła z odsłoniętych nóg, wstała, spojrzała spod na wpół przymkniętych powiek na Manjałę, który skradł jej spokój.

– Małemu Askari chce się pić – powiedziała.

Jej stopy wprawiły drewnianą podłogę w drżenie tak lekkie, jakie powoduje wiatr nagle uwieczony wśród drzew.

Lilly wyjęła z kieszeni spodni złote lustro wysadzone małymi kamieniami i malowała usta tak długo, aż zaczęły wyglądać, jakby były wycięte z jej czerwonej bluzki, a na koniec wysłała jeden pocałunek w powietrze.

– Muszę iść do Desdemony – powiedziała.

– I do Mozarta – roześmiała się Regina. Zaśmiała się ponownie, gdy zaświtała jej myśl, że w końcu udało jej się wymówić to imię bez angielskiego akcentu. Posiała, tak jak to przed chwilą podpatrzyła u Lilly, pocałunek w stronę brata i spostrzegła, że z jej członków ustępuje sztywność, a z głowy nocna gonitwa myśli.

Było to przyjemne uczucie, które syciło jak wieczorna porcja *poscho* w chatach. Z lasu dobiegły ją pierwsze w tym dniu głosy bębnow. Słońce malowało różnymi kolorami pył unoszący się za dużymi oknami. Regina niemal zupełnie zamknęła oczy, tak że widziała tylko szczeliny, które mogły przemieniać obrazy. Na kontury zebr składały się już tylko paski. Błękit nieba był małą plamą farby, akacje straciły swoją zielen, a cedry stały się czarne.

Regina wyjęła Maksa z wózka, przytuliła się głową do jego ramion i syciła swoje uszy. Z ciekawością czekała na jasne tony świadczące o tym, że jej brat jest już na tyle mądry, by cieszyć się jej bliskością. Gdy weszła Chebeti z butelką i wetknęła dziecku smoczek do ust, pokój stał się mniejszy od głębokiej ciszy.

Butelka była prawie pusta, gdy Oha, wykonując koliste ruchy głową, rzekł:

– Bardzo ci zazdroszczę tego twojego Davida Copperfielda.

Przy dwóch ostatnich słowach wciągnął zbyt wiele powietrza i Regina za długo dławiła chichot, by móc w porę przekształcić go w stosowny kaszel.

– *I'm sorry* – powiedziała. Tym razem od razu wiedziała, że odezwała się w języku angielskim.

– Nie szkodzi – uspokoił ją Oha. – Ja też bym się śmiał, gdybym był tobą i słyszał, jak kaleczę angielski. Dlatego ja też chciałbym się zaprzyjaźnić z Davidem Copperfieldem.

– Po co?

– Żeby się tu poczuć trochę jak w domu.

Regina najpierw podzieliła poszczególne słowa na sylaby, a potem znów je ze sobą połączyła. Przetłumaczyła je sobie nawet na własny język, ale nie udało jej się dojść, dlaczego wydobyły się z gardła Ohy.

– Ale tutaj jesteś u siebie w domu – powiedziała.

– Można tak powiedzieć.

– Przecież to twoja farma – drażyla Regina. Poczula, że Oha chce jej o czymś powiedzieć, ale tylko poruszył ustami, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, więc powtórzyła: – Jesteś w domu. To twoja farma. Tu wszystko jest takie piękne.

– *Pro transeuntibus*, Regino. Czy to rozumiesz?

– Nie, tata mówi, że łacina, której się uczę w szkole, to babostwo.

– Dziadostwo. Jak wrócisz do Nairobi, zapytaj tatę, co znaczy *pro transeuntibus*. On ci to dokładnie wyjaśni. To mądry człowiek. Najmądrzejszy z nas wszystkich, ale nikt nie ma odwagi mu tego przyznać.

Głos Oha, a także jego oczy, upewniły Reginę, że będzie chciał mówić, tak jak jej tata, o korzeniach, Niemczech i ojczyźnie. Jej uszy przygotowały się na znajome, niemiłe tony.

Wtedy weszła Lilly.

– Cielak udowodnił, że jest godny swego imienia – powiedziała ze śmiechem.

Oha także się roześmiała i zapytała:

– Czy potrafi już ryczeć *Eine kleine Nachtmusik*?

Lilly zachichotała melodyjnie i zrobiła wielkie oczy, ale mimo to nie spostrzegła, że wesołość u męża mieszka tylko w jego ustach. Zatarła ręce, jakby chciała zaklaskać i oświadczyła:

– Muszę się wystroić na święto dnia.

– Koniecznie – zgodził się z nią Oha.

Chociaż tego nie chciała, Regina spojrzała na niego i już wiedziała, że jeszcze nie wrócił z safari, którego Lilly nawet się nie domyślała. Poczowała chłód na ciele i odniosła wrażenie, jakby przytknęła ucho do otworu w obcej ścianie i dowiedziała się przez to o rzeczach, o których nie chciała wiedzieć. Regina musiała powstrzymać się siłą, by nie wstać i nie zacząć pocieszać Ohy, tak jak pocieszała tatę, gdy dręczyły go rany z wcześniejszego życia. Przez jakiś czas skutecznie tłumiła każde poruszenie we własnym ciele, ale nogi nie dawały jej spokoju i w końcu przewyciężyły jednak jej wolę.

– Wyjdę z Makssem – powiedziała. Chociaż zazwyczaj potrzebowała obydwu rąk, by trzymać swojego brata, jedna z nich uwolniła się i prześliznęła po głowie Ohy.

Słońce, które dawało jeszcze krótki cień, ogrzewało wyrzeźbione na krześle głowy lwów. Cedry wchłonęły nocny deszcz do pnia i korzeni. Gdy tylko gdzieś poruszyła się jakaś gałąź, Regina wypatrywała małp, ale słyszała jedynie głosy małpich matek wołających swoje młode.

Przez kilka chwil myślała o Owuorze i pogodnej sprzeczce z lat dziecińczych o to, czy małpy są mądrzejsze od zebra, czy nie, ale gdy zaczęło walić jej serce, przypomniała sobie, że tata zamierza pozbyć się Owuora.

Po raz pierwszy, odkąd przyjechała do Gilgil, ogarnęła ją tęsknota za domem. Powtórzyła to słowo kilka razy, najpierw jeszcze z radością po angielsku, potem, niechętnie, po niemiecku. W obu językach sylaby brzęczały jak rozdrażniona pszczoła.

Dwóch pastuszków, którzy słyszeli tylko mowę krów, ale nie język człowieka, zwabiło Mozarta na trawę. Desdemona łagodnie wypchnęła syna wielkim łbem, stanęła w plamie słońca i zaczęła lizać swoją miękką sierść układającą się w małe, jasnobrązowe loczki. Na jej grzbiecie przysiadł atlasowiec. Promienny błękit jego piór przyćmiewał wszystkie inne kolory.

Lilly wyłoniła się zza krzaka żółtych róż w długiej białej sukni z mnóstwem falbanek wokół szyi. Wyglądała tak, jakby Mungo właśnie nakazał jej lecieć do nieba, jednak nie poruszyła się, dopóki cielak nie zaczął ssać. Potem wypuściła powietrze z płuc, podniosła głowę, złożyła ręce i zaśpiewała *Dies Bildnis is bezaubernd schön*.

Ptaki zamilkły i nawet wiatr nie potrafił się przeciwstawić śpiewającej Lilly, więc dał się nieść pojedynczym, wysokim tonem. Te zaś wzlatywały ku górom szybciej niż zazwyczaj. Zanim do Reginy doszły ostatnie głosy echa, uświadomiła sobie, że się pomyliła. Nie była Odyseuszem, który szczęśliwie powrócił do domu. W Gilgil usłyszała jedynie śpiew syren.

*Ministerstwo Stanu w Hesji
Minister Sprawiedliwości
Wiesbaden
Bahnhofstr. 18*

*Pan
dr Walter Redlich
Hove Court
POB 1312
Nairobi Kenia*

Wiesbaden, 23 października 1946

*Dot. Pana prośby o zatrudnienie w służbie w wymiarze
sprawiedliwości landu Hesja z dn. 9 maja 1946 r.*

Szanowny Panie dr. Redlich!

*Z wielką radością pragniemy Pana poinformować, że Pańska
prośba z dn. 9.05 br. o zatrudnienie w heskiej służbie w wymiarze
sprawiedliwości decyzją z dn. 14 bm. została rozpatrzona
pozytywnie. Na początku zostanie Pan zatrudniony w charakterze
sędziego w Sądzie Okręgowym miasta Frankfurt, dlatego po
powrocie proszę zgłosić się możliwie jak najszybciej do Pana
Naczelnika Sądu Okręgowego dr. Karla Maassa, który został już
przez nas powiadomiony w odnośnej sprawie. Prosimy, żeby
poinformował Pan go o ustalonym terminie Pana przesiedlenia się
do Frankfurtu. Wyliczając Pana pobory jako lata służby,*

uwzględniono okres od roku 1937, kiedy nastąpiło wykreślenie Pana z rejestru adwokatów.

Niżej podpisany został zobowiązany do poinformowania Pana, że w Ministerstwie Sprawiedliwości w Hesji jest Pan znany osobiście. Pańska wola uczestniczenia w odbudowie wolnego wymiaru sprawiedliwości została tutaj odebrana jako szczególnie rokująca nadzieję dla młodej demokracji w naszym kraju.

Składając już dzisiaj Panu i Pańskiej Rodzinie nasze najlepsze życzenia na przyszłość, pozostajemy

z wyrazami głębokiego szacunku

podpisany dr Erwin Pollitzer

na zlecenie Ministra Sprawiedliwości

w Ministerstwie Sprawiedliwości Hesji

Owuor uchwycił doniosłość godziny oczami, nosem, uszami i głową człowieka, którego doświadczenie uczyniło mądrym, a instynkt sprężystym jak młody wojownik. Był myśliwym, który czuwa całą noc i tylko dzięki stałemu wyostrzaniu swoich zmysłów po długim oczekiwaniu w końcu się obławia. Tego dnia, który zaczął się jak wszystkie inne, przyniósł list ważniejszy od wszystkich, jakie przychodziły do tej pory.

Owuorowi wystarczyły już drżące ręce *bwana* i gwałtowność, z jaką zmieniał się kolor jego skóry, gdy rozdzierał grubą, żółtą kopertę. Jeszcze więcej zdradzały kwaśny zapach strachu wydobywający się z obu ciał i niecierpliwość płonąca w czworgu oczach jak zbyt prędko rozpalony ogień. W tym samym pomieszczeniu, w którym Owuor, zanim poszedł po pocztę do biura Hove Court, liczył spokojnie i bez pośpiechu bąbelki w gorącej kawie, panowała teraz taka cisza, że każdy oddech było słyhać tak głośno, jakby *bwana* i *memsahib* kazali sobie zaszyć w piersiach bębny.

Podczas gdy Owuor uspokajał kołatanie we własnym ciele, dotykając cały czas przedmiotów, które rozpoznałby także z zamkniętymi oczami, obserwował czytających *bwana* i *memsahib*. Gdyby tylko otworzył oczy, lecz nie otwierał skrzynki przepelnionej wspomnieniami dni, które dawno już odeszły, ludzie o skórze bladej z wielkiego strachu nie wyglądaliby inaczej niż o innych godzinach, w których przybyłe z daleka listy spalały ich tak mocno, jak spala się zbyt wiele tłuszczu w za małym garnku. A jednak *bwana* i *memsahib* tym razem byli Owuorowi obcy.

Najpierw oboje siedzieli na sofie i cały czas zaciskali wargi jak spragnieni chorzy, nie pokazując zębów. Potem z dwóch głów zrobiła się jedna, aż w końcu obydwaj ciała stały się stężałą górą, która połykała wszelkie życie. Jak *dik-diks*, które w żarze wysoko stojącego słońca łączą się ze sobą, szukając ochrony, ale które nie chcą się rozdzielić nawet wtedy, gdy cień jest za mały dla nich obu. Wizja nierozłącznych *dik-diks* zaniepokoiła Owuora. To paliło w oczy i wysuszało usta.

Przypomniawszy sobie mądrą historię, którą Regina opowiedziała przed wieloma porami deszczowymi w Rongai. To było na długo przed pięknym dniem z szarańczę. Chłopiec został zamieniony w sarnę, a jego siostra była bezsilna wobec czarów. Nie mogła już rozmawiać z bratem w języku ludzi i obawiała się myśliwych, ale sarna nie wyczuła jej strachu i wyskoczyła z chroniących ją wysokich traw.

Od tamtego czasu Owuor wiedział, że zbyt długa cisza może być dla ludzi o wiele groźniejsza niż wielki hałas, który sprawia, że uszy robiły się grube jak przeładowane worki. Zakasłał, chociaż jego gardło było gładkie jak świeżo naoliwione ciało złodzieja. W tym momencie zauważył, że *bwana* nie stracił głosu na zawsze. Było tylko tak, że każdy pojedynczy dźwięk z trudem odnajdywał sobie drogę pomiędzy językiem i zębami.

– Mój Boże, Jettel, że ja tego doczekałem. To nie może być prawda. Po prostu nie wiem, co mam powiedzieć. Powiedz mi, że nie śnię i zaraz się obudzę. Wszystko jedno, co powiesz, ale przynajmniej otwórz usta.

– Moi rodzice pojechali do Wiesbaden w podróż poślubną – szepnęła Jettel. – Mama często mówiła o hotelu Czarny Kozioł i że tata strasznie się upił. Wino mu zaszkodziło i mama się strasznie zdenerwowała.

– Jettel, weź się w garść. Czy ty w ogóle kojarzysz, co się stało? Wiesz, co ten list dla nas wszystkich znaczy?

– Nie bardzo. Przecież nikogo nie znamy w Wiesbaden.

– Zrozumże wreszcie! Oni nas chcą. Możemy wracać. Możemy wracać i się nie martwić. Koniec z Panem Głupcem.

– Walter, ja się boję. Tak strasznie się boję.

– No, ale przeczytaj sobie, pani doktorowo. Zrobili ze mnie sędziego. Mnie, wykreślonego z listy adwokata i notariusza. Siedzę tutaj i jestem ostatnim dupkiem w Kenii, a w domu robią ze mnie sędziego.

– Dupek – zaśmiał się Owuor. – Nie zapomniałem tego słowa, *bwana*. Mówiłeś je już w Rongai.

Kiedy *bwana* zaczął ryczeć, ale bez gniewu w głosie, i tupał przy tym jak tancerz, który wcześniej niż inni wypełnił swój brzuch *tembo*, Owuor roześmiał się znowu; w gardle miał więcej kolców, niż jest ich na języku zdziczałego kota. *Bwana* o oczach bez blasku i zbyt małych ramionach, które uginały się pod każdym ciężarem, przemienił się w byka, który po raz pierwszy w życiu czuje siłę swoich łędźwi.

– Jettel, przypomnijże sobie. Urzędnik w Niemczech to jest ktoś. A co dopiero sędzia. Ten chodzi z podniesioną głową. Nikt go nie zwolni. A jak zachoruje, to leży w łóżku i dalej dostaje swoją pensję. Sędziego pozdrawia się na ulicy. Nawet jeśli się go nie zna osobiście. Dzień dobry, panie radco. Do widzenia, panie radco, uszanowanie dla małżonki. Chyba o tym wszystkim nie zapomniałaś. Boże, no, powiedz coś!

– Nigdy nie mówiłeś o sędzi. Myślałam, że chcesz być adwokatem.

– Potem będę mógł nim być. Jeśli najpierw będę sędzią, mamy zupełnie inny start. Niemcy zawsze się opiekowały swoimi urzędnikami. Oni dostają mieszkania od państwa. To nam wiele ułatwi.

– Myślałam, że wszystkie miasta w Niemczech są zrujnowane przez bomby. Skąd więc oni biorą te mieszkania dla swoich sędziów?

To zdanie tak się Jettel spodobało, że zamierzała je powtórzyć, lecz gdy zaświtała jej myśl, że zbyt długo cieszy się swoim triumfem, zakłopotana zaczęła skubać kosmyk włosów. Mimo to jej poruszenie na chwilę ucichło, a czoło rozjaśniło ciepłe wspomnienie ożywczej pewności siebie z czasów młodości. Jakże nieomylna była jej mama, gdy mówiła: „Moja Jettel nie ma najlepszych świadectw, ale w życiu praktycznym nikt jej niczego nie wmówi”.

Na myśl, że słyszy nawet ton, jakim mama to mówiła, Jettel uśmiechnęła się nieznacznie. Najpierw pozwoliła sobie na łagodną rzewność wywołaną wspomnieniem, a potem na pewność, że jednym jedynym zdaniem uzmysłowiła mężowi, że jest marzycielem, który nie potrafi dostrzec rzeczy, jakie liczą się w życiu. Gdy jednak Jettel spojrzała na Waltera, nie zobaczyła na jego twarzy nic prócz determinacji, która ją onieśmieliła, a potem rozwścieczyła.

– Jeśli już musimy wracać – powiedziała tonem wyrzutu, akcentując każde słowo – to dlaczego teraz?

– Bo tylko wtedy będę mógł zostać kimś, jeśli tam będę od samego początku. Szansę ma się tylko wtedy, gdy kraj chyli się ku upadkowi lub gdy się z niego podnosi.

– Kto tak mówi? Gadasz jak z książki.

– Przeczytałem to w *Przeminęło z wiatrem*. Pamiętasz to miejsce? Rozmawialiśmy o tym wtedy. Zrobiło na mnie duże wrażenie.

– Ach, Walter. Ty i twoje rojenia o domu. Przecież tutaj byliśmy tacy szczęśliwi. Mamy w końcu wszystko, czego nam trzeba.

– Tylko że jeżeli potrzebujemy czegoś więcej niż naga egzystencja, to jesteśmy zdani na łaskę obcych ludzi. Bez gminy żydowskiej nie moglibyśmy opłacić ani lekarza, ani szpitala, kiedy urodził się Max. Należałoby mieć nadzieję, że pan Rubens byłby równie hojny, gdyby któreś z nas nagle zachorowało.

– Tutaj mamy przynajmniej ludzi, którzy nam pomagają. A we Frankfurcie nie znamy nikogo.

– No a kogo znałaś, jak musieliśmy wyjeżdżać do Afryki? A kiedy byliśmy tutaj szczęśliwi? Dokładnie dwa razy. Wtedy, gdy dostałem pierwsze pieniądze z armii. I kiedy urodził się Max. Ty się nigdy nie zmienisz. Moja Jettel zawsze tylko chciała zaznawać niedostępnych rozkoszy życia. Ale na koniec to ja zawsze miałem rację.

– Nie mogę stąd wyjechać. Nie jestem już taka młoda, by zaczynać wszystko od nowa.

– Mówiłaś dokładnie to samo, kiedy musieliśmy emigrować. Wtedy miałaś trzydzieści lat i gdybym cię wtedy posłuchał, dzisiaj wszyscy byśmy już nie żyli. Jeśli teraz ci ulegnę, to zostaniemy na zawsze naprzykrzającymi się biedakami w obcym kraju. A król Jerzy nie będzie mnie wiecznie trzymał jako matołka do kompanii.

– Ty to wszystko mówisz dlatego, że chcesz wracać do tych swoich przeklętych Niemiec. Czy zapomniałeś, co się stało z twoim ojcem? Ja nie. Jestem to winna mojej mamie, żeby moja noga nie stanęła na ziemi zalanej jej krwią.

– Przestań, Jettel. To jest grzech. Dobry Bóg nie wybacza, gdy wykorzystujemy zmarłych do swoich celów. Musisz mi zaufać. W końcu nam się uda. Obiecuję ci to. Przestań już płakać. Pewnego dnia przyznasz mi rację, a to wszystko nie będzie trwało tak długo, jak myślisz.

– Jak można żyć wśród morderców? – szlochała Jettel. – Wszyscy tu mówią, że jesteś wariatem i że nie wolno zapominać. Myślisz, że kobieta lubi słuchać, jak o jej mężu mówią, że jest zdrajcą? Przecież możesz sobie tutaj znaleźć jakąś posadę, tak jak inni. Oni pomagają ludziom z armii. Wszyscy to mówią.

– No, zaproponowali mi już tutaj pracę. Na farmie w Dżibuti. Chciałabyś tam jechać?

– Ja nawet nie wiem, gdzie jest Dżibuti.

– No widzisz. Ja też nie. W każdym razie nie w Kenii, ale na pewno w Afryce.

Od dawna już nieodczuwane pragnienie, by wziąć Jettel w ramiona i uwolnić ją od strachu jak dziecko, zmieszało Waltera. Jeszcze bardziej dręczyła go świadomość, że Jettel i on mają te same rany. Również i on był bezbronny wobec przeszłości. A ona będzie chyba zawsze silniejsza niż nadzieja na przyszłość.

– Nigdy nie zapomnimy – powiedział, patrząc w ziemię. – Jeśli chcesz to naprawdę wiedzieć, Jettel, to takie jest teraz nasze przeznaczenie, by wszędzie być w pewnym stopniu nieszczęśliwym. Hitler się już o to postarał na wsze czasy. My, którzy przeżyliśmy, nigdy nie będziemy mogli żyć normalnie. Ale ja wolę być nieszczęśliwy tam, gdzie mnie szanują. Niemcy nie były Hitlerem. Ty także pewnego dnia to zrozumiesz. Przyzwoici ludzie znów dojdą do głosu.

Chociaż się przed tym wzbraniała, Jettel wzruszył cichy głos i bezradność Waltera. Ujrzała, jak wbił ręce w kieszenie spodni i szukała odpowiednich słów, ale nie mogła się zdecydować, czy i tym razem chce mu coś wytknąć, czy go jednak pocieszyć, więc milczała.

Przez kilka chwil obserwowała prasującego Owuora. Nadymając policzki, spluwał na bieliznę i szerokimi ruchami spuszczał z wysoka ciężkie żelazko na rozłożone pieluchy.

– Tak długo tutaj mieszkałam – westchnęła Jettel, patrząc na chmurki unoszącej się pary. Wydały jej się symbolem poczucia

całkowitego zadowolenia, o które kiedyś znowu się upomni. – Jak ja sobie dam radę z małym dzieckiem, nie mając personelu? Regina przez całe swoje życie ani razu nie miała miotły w dłoni.

– No, dzięki Bogu, znowu jesteś w formie. Oto Jettel we własnej osobie. Ilekroć podejmowaliśmy w naszym życiu jakieś decyzje, zawsze cię przerażało właśnie to, że nie znajdziesz sobie służącej. Tym razem pani doktorowa nie musi się martwić. Całe Niemcy są pełne ludzi, którzy będą się cieszyć, jak znajdą pracę. Nie mogę ci dzisiaj opowiedzieć, jak będzie wyglądało nasze życie, ale mogę ci przysiąc na wszystkie świętości, że będziesz miała służącą.

– *Bwana* – odezwał się Owuor, składając wyprasowaną bieliznę na pięknie pachnącą górę, którą tylko on potrafił budować tak wysoko i równo – czy mam umyć walizki gorącą wodą?

– Dlaczego pytasz?

– Potrzebujesz walizek na safari. *Memsahib* też.

– A co ty wiesz, Owuor?

– Wszystko, *bwana*.

– Od kiedy?

– Już długo.

– Ale ty przecież nie rozumiesz nic z tego, o czym my tu mówimy.

– Kiedy przyjechałeś do Rongai, *bwana*, słuchałem tylko uszami. Tych dni już niema.

– Dziękuję ci, mój przyjacielu.

– *Bwana*, niczego ci nie dałem, a ty mówisz dziękuję.

– Przeciwnie, Owuor, tylko ty mi dawałeś – powiedział Walter.

Krótko walczył z bólem, który go zawstydził, ale trwało to wystarczająco długo, by pojął, że do starych ran właśnie doszła nowa. Nie było już jego Niemiec. Do odnalezionej na nowo ojczyzny nie będzie powracał w upojeniu, lecz ze smutkiem i żalobą w sercu.

Rozstanie z Owuorem nie będzie mniej bolesne od wszystkich innych pożegnań, które miał już za sobą. Odczuł silne pragnienie, aby podejść do Murzyna i go uściskać.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział, patrząc, jak Owuor pociesza Jettel.

– Ach, Walter. A kto powie Reginie, że myślimy o tym serio? Przecież to jeszcze dziecko i jest tutaj tak do wszystkiego przywiązana.

– Wiem o tym już od dawna – powiedziała Regina.

– A skąd ty się tu wzięłaś? Jak długo już tu stoisz?

– Byłam cały czas z Maksem w ogrodzie, ale ja słucham oczami – wyjaśniła Regina. Zaświtało jej, że tata nigdy się nie dowie, co to znaczy, gdy jeden człowiek naśladuje głos drugiego.

– A twoi rodzice – odparł Walter – wciąż jeszcze nie mogą oczom uwierzyć. Może ty masz jakiś pomysł, Jettel, kto w heskim ministerstwie sprawiedliwości może znać osobiście twojego starego durnia? Ciągle mnie to męczy.

Jak opętany rozmyślał o tym niepojętym przypadku, który właśnie miał spowodować przełom w jego życiu, ale jakkolwiek głęboko sięgałby w przeszłość i prześwietlał nieznaną przyszłość pod kątem możliwości, jaką mógł przeoczyć, to nie był w stanie rzucić światła na główną kwestię.

Osiem dni później Walter wstąpił do kapitana Carruthersa. Z pomocą Reginy z trudem przetłumaczył na angielski list z heskiego Ministerstwa Sprawiedliwości. Ale teraz przynajmniej czuł się jak dobrze przygotowany student podchodzący do pierwszego egzaminu państwowego. To porównanie, które jeszcze

przed dwoma tygodniami nigdy by mu nie przyszło do głowy, rozweselało go.

Zanim kapitan uporał się z niechętnym przerwaniem poczty, starannym nabiciem fajki i denerwującymi manipulacjami przy zacinającym się oknie, Walter przyłapał się na tym, że może z zadowoleniem stwierdzić, iż, jak się wydaje, znajduje się nawet w lepszej sytuacji od samego kapitana.

Kapitan Bruce Carruthers miał podobne myśli. Z odrobiną irytacji, która dawniej stanowiła u niego raczej udaną przygrywkę do dobrze przemyślanego, ironicznie wyrażonego spostrzeżenia, niż objaw nagłego humoru, powiedział:

– Wygląda pan jakoś inaczej niż poprzednim razem. Czy to w ogóle pan? Ten, który niczego nie rozumie?

Chociaż Walter wszystko zrozumiał, poczuł się zmieszany.

– Sierżant Redlich, sir – potwierdził skulony.

– Dlaczego wszystkie chłopaki z kontynentu nie mają za grosz poczucia humoru? Nic dziwnego, że Hitler przegrał wojnę.

– Przepraszam, sir.

– To już raz było. Pamiętam jeszcze dobrze. Pan mówi przepraszam, a ja zaczynam z tymi idiotyzmami od początku – zganił Waltera kapitan i zamknął na chwilę oczy. – Kiedy w ogóle ostatni raz pana widziałem?

– Przed prawie sześcioma miesiącami, sir.

Kapitan wyglądał starzej i był bardziej strapiony niż podczas pierwszej rozmowy; i wiedział o tym. Przyczyną tego były nie tylko bóle żołądka męczące go po przebudzeniu i zły humor po ostatniej wieczornej whisky. Przede wszystkim czuł z przykrą dla siebie melancholią, że nie ma już owego zdrowego zmysłu proporcji, którego człowiek w jego wieku potrzebuje do zachowania delikatnej równowagi życiowej. Nawet błahe drobnostki drażniły Bruce'a Carruthersa ponad miarę. Na przykład to, że tylko z wręcz haniebnym wysiłkiem mógł zapamiętać nazwisko stojącego

przed nim sierżanta. A w dodatku naprawdę często musiał przenosić tę karykaturę nazwiska z jednego idiotycznego formularza na drugi. Niepotrzebne problemy z pamięcią niepokoiły go bardziej, niż przystało na mężczyznę jego formatu.

Do tego z dnia na dzień Carruthers musiał na nowo stawiać wobec faktu, że los mu nie sprzyja. Na polowaniu z trudem udawało mu się skoncentrować, bo zbyt wiele myślał o Szkocji, a golf jawił mu się coraz częściej jako wręcz absurdalny sposób spędzania czasu dla kogoś, kto w młodości marzył o karierze zawodowej naukowca. Od żony dostał długo wyczekiwany list, w którym pisała, że dłużej już nie wytrzyma rozłąki i chce się z nim rozwieść. Zaraz potem z tej przeklętej armii przyszedł rozkaz, który znów przedłużał jego pobyt w Ngong.

Kapitan skrzywił się, gdy zauważył, że zagubił się w labiryncie swoich rozmyślań. Również i to przydarzało mu się częściej niż za dobrych dni.

– Zakładam – powiedział zniechęcony – że nadal pan chce zostać odprawiony do Niemiec?

– O tak, sir – odpowiedział szybko Walter i stanął na baczność. – Dlatego tu jestem.

Carruthers poczuł ciekawość, która kłóciła się z jego naturą. Odbierał ją jako niestosowną, ale dziwnie fascynującą. I wtedy pojał. Sposób, w jaki ten pajacowaty bubek odpowiadał na jego pytania, różnił się od tego za pierwszym razem. Przede wszystkim zmienił się jego akcent. Był wprawdzie nadal męczący dla wrażliwego ucha, ale jednak ten człowiek mówił lepiej po angielsku. Przynajmniej dało się go zrozumieć. Tych ambitnych chłopaków z kontynentu w ogóle nie można było być pewnym. W wieku, w którym inni myśleli wyłącznie o życiu prywatnym, oni zagrzebywali się jeszcze w książkach i uczyli się obcego języka.

– Czy pan już w ogóle wie, co pan chce robić w Niemczech?

– Będę sędzią, sir – odrzekł Walter i podał mu przetłumaczony list. Kapitan był zdumiony. Tak jak jego

ziomkowie żywił odrazę wobec zarozumiałości i pychy, lecz mimo to, gdy skończył czytać list, jego głos brzmiał spokojnie i przyjaźnie.

– Całkiem nieźle.

– Tak, sir.

– A teraz pan oczekuje, że armia brytyjska zajmie się problemem i postara się o to, by *fucking Jerrys* za darmochę mogli się stać sędziami.

– Przepraszam, sir, nie zrozumiałem pana.

– Armia powinna opłacić pana przejazd, tak? Tak pan to sobie przecież wyobraża.

– To pan tak powiedział, sir.

– Tak? Interesujące. No, co pan od razu taki wystraszony. Czy nie nauczył się pan w Armii Jego Królewskiej Mości, że kapitan zawsze wie, co mówi? Również wtedy, gdy siedzi kamieniem w tym zapomnianym przez Boga kraju i nie może sobie już nic zapamiętać. Czy pan może sobie w ogóle wyobrazić, jak tutaj się głupieje?

– O tak, sir. Wiem to bardzo dobrze.

– Lubi pan Anglików?

– Tak, sir. Uratowali mi życie. Nigdy im tego nie zapomnę.

– Dlaczego więc chce pan stąd wyjechać?

– Anglicy mnie nie lubią.

– Mnie też nie. Jestem Szkotem.

Obaj zamilkli. Carruthers zastanawiał się, dlaczego takiemu przekłętemu, niebrytyjskiemu sierżantowi miałyby się udać znów powrócić do dawnego zajęcia, a kapitanowi z Edynburga, którego babcia pochodzi z Glasgow, nie.

Walter zaczął się obawiać, że kapitan zakończy rozmowę, w ogóle nie wymawiając słowa *repatriation*. Przejął go lęk, gdy ze

szczegółami wyobraził sobie, jak zareagowałyby Jettel, dowiedziawszy się, że nic nie działał. Kapitan prawą ręką przerzucał stos papierów na biurku, lewą trzasnął muchę, potem wstał, jakby od początku niczego innego nie zamierzał, zdrapał z wielką precyzją martwą muchę ze ściany, pierwszy raz wyjął fajkę z ust i powiedział:

– Co pan sądzi o „Almanzorze”?

– Sir, nie rozumiem pana.

– Mój ty Boże, „Almanzora” to statek. Pływa stale między Mombasą a Southampton w tę i z powrotem i zabiera grupy do domu. Czy wy, chłopaki, interesujecie się tylko pićm i kobietami?

– Nie, proszę pana.

– Przed dziewiątym marca następnego roku nie dostaje kontyngentu na tej starej łajbie. Ale Jeśli pan chce, mogę się postarać o coś w marcu. Jak to było? Ile ma pan żon i dzieci?

– Jedną żonę i dwoje dzieci, sir. Bardzo panu dziękuję, sir. Nie wie pan, co pan dla mnie robi.

– Wydaje mi się, że już to raz słyshałem – powiedział z uśmiechem Carruthers. – Ale jest jeszcze coś, co muszę wiedzieć. Skąd pan nagle zna angielski?

– Nie wiem. Przepraszam, sir. Ja tego wcale nie zauważyłem.

W przeświadczeniu, że nadszedł moment na rozpoczęcie nowego rozdziału w stosunkach kulturalnych, *refugees* z Hove Court postanowili na dwa dni przed sylwestrem powitać wspólnie rok 1947 w niespotykanej jak dotąd jedności. Wielu emigrantów żywiło nadzieję, że wkrótce staną się obywatelami brytyjskimi; ćwiczyli niezmordowanie, choć żałośnie często bez zadowalających rezultatów, doniosłe dla ich losu słowa: *United Kingdom, empire i commonwealth*, by wymawiać je przynajmniej w przybliżeniu tak, jak należy. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy czterem parom małżeńskim, a także dwóm mężczyznom w stanie wolnym, dzięki naturalizacji udało się, przynajmniej oficjalnie, pozbyć się statusu *bloody refugees* i nabyć imiona o angielskim brzmieniu, co było o wiele ważniejsze dla samopoczucia niż dobra materialne.

Wohlgemuthowie nazywali się teraz Welles, a z Leubuscherów powstałi Laughtonowie. Siegfried i Henny Schlachterowie wykorzystali okazję, by radykalnie odciąć się od korzeni swoich nazwisk. Rezolutnie odrzucając ironiczne propozycje sąsiadów, by nazwali się Butcher, wybrali nazwisko Baker. Budziło wielkie zaskoczenie, że to akurat Schlachterowie znaleźli się jako jedni z pierwszych wśród nowych *british subjects*. Nie włożyli bowiem szczególnego trudu w naukę nowego języka ojczystego ani na pewno nie uczynili dla zaadoptowanej ojczyzny więcej niż wielu innych, których podania zostały odrzucone przez władze bez uzasadnienia. Zazdrościcy pocieszali się stwierdzeniem, że Schlachterowie otrzymali brytyjski paszport tylko dlatego, iż w czasie obowiązkowego, niewielkiego egzaminu językowego pewien urzędnik irlandzkiego pochodzenia pomylił szwabski sposób mówienia tej sędziwej pary małżeńskiej z rzadko jeszcze tylko spotykanym akcentem celtyckim.

Na *New Year's party* zaproszono oczywiście panią Taylor i pannę Jones, a także niedawno zwolnionego ze służby w armii

bardzo małomównego majora z Rodezji, którego zmyliła angielska nazwa Hove Court, gdy wybierał miejsce zamieszkania swojego spoczynku, jednak wszyscy troje dokładnie tego samego dnia zapadli na tę samą chorobę. Uroczysty komitet próbował zachować spokój, ale rozczarowania faktem, że to właśnie pierwsze przyjęcie tego rodzaju zaćmiły znienacka zaistniałe niedomagania, nie dało się stłumić w tak krótkim czasie i bez kilkusetletniej praktyki w podziwiany, pozbawiony emocji, brytyjski sposób.

W komitecie doszli do głosu, jak ich ironicznie nazywano, „młodzi Anglicy”. To zwłaszcza im nie wystarczało, wobec odmowy trojga szacownych gości, że zdrowa pozostała Diana Wilkins. Wprawdzie nie ulegało wątpliwości, że Diana dzięki poślubieniu biednego, zastrzelonego pana Wilkinsa już od lat miała obywatelstwo brytyjskie, ale absolutnie nie potrafiła tego zaszczytu docenić. Już gdy wypila ćwierć butelki whisky, myliła Anglików z uparcie nienawidzonymi Rosjanami.

Z jeszcze większym oburzeniem zanotowano fakt, że to akurat Walter, który swoją decyzją o przesiedleniu do Niemiec i tak każdego dnia narażał się na obelgi i tworzył ogniska zapalne, był na tyle bezczelny, by mówić o „angielskiej chorobie”. Tylko okoliczność, że nosił jeszcze mundur uwielbianego angielskiego króla, a także współczucie dla jego biednej żony, której nastawienie do Niemiec było powszechnie znane, chroniły go przed otwartą wrogością.

Chociaż uroczystość miała się odbyć bez gości, których sama obecność zapewniłaby jej należyty prestiż społeczny, osoby odpowiedzialne za zorganizowanie przyjęcia czuły się zobowiązane wobec angielskiej tradycji. Ponieważ jednak *refugees* nie mieli całkowitej pewności, jak, przy niedostatecznej wiedzy o życiu kręgów brytyjskiego dobrego towarzystwa, sprowadzić te ambicje do wiarygodnego mianownika, zwracali szczególną uwagę na detale już wypracowane dzięki regularnym wizytom w kinie. Relacje z obchodów uroczystości w dynastii królewskiej, które o

tej porze roku można było oglądać ze szczegółami w wiadomościach, stanowiły ogromną pomoc.

Panie ukazały się o zachodzie słońca w długich do ziemi, głęboko wyciętych i uderzająco staromodnych sukniach wieczorowych; większość z nich nie była jeszcze noszona przez cały okres spędzony na emigracji. Mężczyznom wydawało się godne pożałowania, że w chwili wyjazdu nie okazali się na tyle przewidujący, by zabrać ze sobą smokingi, które u z dawna osiadłych na wyżynie farmerów nawet bez specjalnej okazji traktowane były jako stosowny *dinner dress*. Niemieccy dżentelmeni wyrównywali ten brak dostojną postawą prezentowaną w ciasnych ciemnych garniturach. Wszyscy natychmiast dowiedzieli się o złośliwym komentarzu Elsy Conrad.

– Nie mieści mi się w głowie, że ma pan odwagę pachnieć jak niemiecka gałka przeciwmolowa – powiedziała, zuchwale węsząc, do Hermanna Friedlandera, który utrzymywał, że nawet już śni po angielsku.

Kapiszony, które w dawnej ojczyźnie służyły co najwyżej jako rekwizyt przydatny podczas przyjęć urodzinowych dla dzieci i na których, mimo wszelkich wysiłków wynikających z nowej orientacji umysłowej, nadal ciążyło odium śmieszności, pozawieszano z wręcz pruską akuratnością między opornymi kolcami wyschniętych kaktusów. Z zapalem, ale i bezradnością ludzi, którzy jeszcze nie wykształcili w sobie odpowiedniego stosunku do obiektu swoich nowych zachwyty, postarano się o płyty z aktualnymi, popularnymi przebojami; na żadnej z zabaw noworocznych w całej kolonii nie słyhać było chyba tak często piosenki *Don't fence me in*, jak na żółtym trawniku w Hove Court między zachodem słońca i północą. Szkocka whisky, którą komitet, mimo wygórowanej ceny, wytypował bezkompromisowo jako jedyny stosowny trunek, wywołała mały incydent.

Ledwo co ją skosztowano, a już, pomimo euforycznego nastroju i paraliżującego gorąca, wywołała w trudny potem do zrekonstruowania, a jednak bardzo bolesny sposób żalodne wspomnienia ponczu i berlińskich paczków. Doszło wprost do

bezsensownej dyskusji, czy wypieki sylwestrowe w czasach, o których zaiste chciano zapomnieć, nadziewało się marmolada śliwkowa, czy też galaretką z czarnej porzeczki.

Tymczasem jednak mały pokaz sztucznych ogni, a tym bardziej spontaniczny pomysł zaśpiewania *Auld Lang Syne* pod drzewem palisandrowym można było uznać za sukces. Pieśń, którą przygotowano specjalnie z myślą o chorych teraz niestety sąsiadach, brzmiała osobliwie w niemieckich gardłach. Choć uformowano przepisowy krąg i chwycono się za ręce, spoglądając w zamyśleniu jak wiktoriańskie *ladies*, to szkocką melancholię w tę afrykańską noc można było odczuć tylko symbolicznie.

Walter często słyszał tę melodię podczas posiłków w swojej kompanii. Ze złośliwą satysfakcją zauważył tu przepaść między chęciami a umiejętnościami, ale przez wzgląd na Jettel wstrzymał się od szyderstwa. Jego uśmiech spotkał się jednak z taką dezaprobatą, jakby wykrzyczał swoją krytykę na cały głos. Jeszcze bardziej niemiłe z jego strony było to, że gdy wybrzmiał ostatni ton, bezwstydnie głośno szepnął swojej żonie na ucho:

– Za rok we Frankfurcie.

Jettel nie zrozumiała aluzji do starej, tęsknej modlitwy Pessach i odparła poirytowana:

– Nie dzisiaj!

Kompromitację, która spotkała ją z powodu tak oczywistej nieznajomości religijnego obyczaju i tradycji żydowskiej, odebrano jako słuszną karę za bluźnierstwo, a przede wszystkim jako zasłużony odpowiedni tłumik dla prowokacyjnej nietaktowności Waltera.

Hałas wywołany przez sztuczne ognie i niesłychanie haniebną w opinii większości kłótnię o dokładny tekst *Kein schöner Land*, która osiągnęła punkt kulminacyjny, obudził Maksa. Tak jak pozostałe dzieci, które urodziły się w kolonii, witał Nowy Rok w tradycyjny sposób. Mimo że nie miał jeszcze dziesięciu miesięcy, wymówił swoje pierwsze zrozumiałe słowo,

choć nie powiedział ani „mama”, ani „tata”, tylko „aja”. Chebeti, która siedziała w kuchni i gdy tylko usłyszała kwilenie, dopadła do jego łóżeczka i bez ustanku powtarzała mu to słowo, bo rozgrzewało ją bardziej niż wełniany koc w czasie zimnych wichrów w jej górzystej ojczyźnie. Całkowicie rozbudzony jej gardłowym śmiechem i zafascynowany krótkimi, melodyjnymi i przyjemnymi dla ucha dźwiękami, Max po raz drugi rzeczywiście powiedział „aja”, a potem znowu i znowu.

W nadziei, że cud powtórzy się we właściwym miejscu, Chebeti zaniósła swoje gulgoczące trofeum do świętujących pod drzewem. Została za to sownie wynagrodzona. *Memsahib* i *bwana* z otwartymi ze zdumienia ustami i ogniem w oczach wyjęli z rąk Chebeti dowodzące *toto* i uczyli je na zmianę mówić słowa „mama” i „papa”, najpierw cicho i ze śmiechem, wkrótce jednak głośno i z taką determinacją, że wyglądali przy tym jak wojownicy przed decydującym starciem. Większość mężczyzn dołączyła się, zawodząc „papa” i dając tym do zrozumienia, po czyjej stoi stronie. Komu w porę przypominał się jego nowy brytyjski paszport, próbował szczęścia, wykrzykując: „*daddy*”. Kobiety wspierały Jettel wabiącymi zawołaniami „mama”, sprawiając wrażenie, jakby były lalkami ze swojego dzieciństwa, które mówiły, gdy nacisnęło się ich brzuch. Max jednak, dopóki wycieńczony nie zapadł w sen, nie dał się sprowokować do wydobywania z siebie innego dźwięku niż „aja”.

Od tego dnia nie dało się już zatrzymać rozwoju językowego młodego Maksa Redlicha. Kiedy chciał jeść, mówił „*kula*”, „*lala*”, gdy kładziono go do łóżeczka, absolutnie poprawnie *chai* na czajnik, „*menu*” nazwał swój pierwszy ząb, „*toto*” swoje odbicie w lustrze, a „*bua*” – deszcz. Podchwycił nawet słowo „*kessu*” oznaczające jutro, przyszłość i wszystkie nieokreślone jednostki czasu, które ogarniał i rozumiał tylko Owuor.

Walter śmiał się, słysząc, jak jego syn zaczyna mówić, lecz radość z tej dziecięcej paplaniny odbierało mu przecucie, które przed samym sobą usprawiedliwiał swoimi zszarpanymi nerwami. Chociaż wydawało mu się dziecinne, a nawet chorobliwe, że

przykłada do tych rzeczy tak wielką wagę, wyobrażał sobie udęczony, że Afryka już zabrała mu syna. Jeszcze bardziej nękało go podejrzenie, że Regina z rozmysłem uczy brata tych słów i że bawi ją zdenerwowanie, jakie wywołuje każde z nich. Czuł się zraniony i trapił się pytaniem, czy córka chce mu w ten sposób pokazać swoją miłość do Afryki i skrytykować jego decyzję o powrocie do kraju.

Regina zaprzeczała jednak z oburzeniem, jakie zresztą w najodpowiedniejszym momencie przywoływał na twarz tylko Owuor, że bierze udział w nauczaniu, które Walter, będąc w swoich najbardziej depresyjnych nastrojach, nazywał w myśli *Kulturkampf*. Na dodatek skarbczyk językowy, z którego mały Max czerpał słowa w suahili, był w Hove Court stałym obiektem drwin. Uchodził on, nawet u nielicznych wyrozumiałych i tolerancyjnych sąsiadów, za wyraźny dowód na to, że dziecko jest mądrzejsze od nieodpowiedzialnego ojca i w swojej niewinności daje do zrozumienia, że nie powinno się go ciągnąć do Niemiec.

Kiedy Max w końcu uformował słowo składające się z trzech sylab, które przy dużej dozie fantazji można by wziąć za imię Owuora, nerwy odmówiły Walterowi posłuszeństwa. Zaciskając pięści, purpurowy na twarzy, krzyknął do córki:

– Dlaczego chcesz mnie zranić? Czy nie widzisz, jak wszyscy tutaj śmieją się ze mnie, że mój syn nie chce mówić w moim języku? I twoja matka jeszcze się dziwi, że chcę stąd wyjechać. Zawsze myślałem, że przynajmniej ty mnie popierasz.

Regina zadrżała, bo zrozumiała, jak podstępnie uwiodła ją własna wyobraźnia, każąc zdradzić lojalność i miłość. Żal i wstyd parzyły ją na całym ciele i wbijały nóż w serce. Tak bardzo się zaangażowała w rolę wróżki posiadającej moc czarowania słów, że nie widziała już ani nie słyszała swojego taty. Przerazona szukała słów na usprawiedliwienie, ale jak zawsze, gdy była wzburzona, już sama myśl o języku taty paraliżowała jej język.

Gdy zauważyła, że jej wargi zamierzają wypowiedzieć słowo *missuri*, które oznaczało zarówno, że coś jest dobre, jak i to, że

ktoś coś zrozumiał, potrzęsła głową. Powoli, ale z wielką stanowczością podeszła do taty, tłumiąc w sobie smutek. A potem zlizwała sól z jego oczu. Następnego dnia Max powiedział „papa”.

Kiedy na koniec tygodnia powiedział „mama”, uszy jego matki nie były jednak gotowe do przyjęcia wytęsknionego szczęścia, choć jej łzy spływały w tym momencie aż na brodę. Gdy Max zapiął już po raz drugie słowo „mama”, a Chebeti klasnęła w dłonie, do kuchni wpadł Walter.

– Dostaliśmy – krzyknął, rzucając butnym ruchem czapkę na sofę – bilety na „Almanzorę”! Statek odpływa z Mombasy dziewiątego marca.

– Puttfarken ocalał – powiedziała z płaczem Jettel.

– Skąd, do stu diabłów, przyszedł ci do głowy Puttfarken? I kto to jest?

– Puttfarken z Schutzenstrasse – wyjaśniła Jettel. Wstała, otarła oczy szybkim ruchem głowy o rękaw bluzki i podeszła do okna, tak jakby długo czekała na ten moment. Przyłożyła palce do ust i, choć była dopiero piąta po południu, zaciągnęła zasłony.

Walter zrozumiał natychmiast. Mimo to zapytał z niedowierzaniem:

– Nie mówisz chyba o naszym Puttfarkenie z Głubczyc?

– No a o kim, jeśli w środku dnia zasłaniam zasłony? „Anno – oddała Jettel od tak dawna zapomniany, lecz od razu odnaleziony w pamięci głos – niech pani zaciągnie zasłonę. Będzie lepiej, jeżeli mnie tu nikt nie zobaczy. Jestem wszak urzędnikiem i muszę być ostrożny”. Boże, Walter, czy pamiętasz jeszcze, jak się nasza Anna denerwowała? Zawsze mówiła, że jest tchórzem.

– A nie był. Ale skąd o nim wiesz?

– *Bwana*, list – powiedział Owuor i wskazał na stół.

– Z Wiesbaden – powiedziała Jettel. – On jest teraz grubą rybą. Radca ministerialny – odczytała, zachłystując się od chichotu przy każdej pojedynczej sylabie. – Daj, przeczytam ci.

Cały dzień na to czekałam. „Drogi przyjacielu Redlich. Z powodu silnej grypy (jeśli pamięta Pan jeszcze w swoim słonecznym raju, co to jest) dopiero dzisiaj mogę do Pana napisać. List z ministerstwa pewnie więc już do Pana doszedł. A miało być odwrotnie. Mogę sobie wyobrazić, ile Pan myślał o tym przypadku, że ktoś' Pana tutaj w Wiesbaden zna. My tutaj już od dawna wiemy, że przypadek jest jedyną wielkością stałą, z którą można jeszcze się liczyć, ale mam wielką nadzieję, że Pana przeżycia były pod tym względem nieco lepsze.

Nie wiem, jak mam Panu opisać moje pomieszenie, gdy prośba Pana dr. Waltera Redlicha o zatrudnienie w służbie w wymiarze sprawiedliwości w Hesji wylądowała akurat na moim biurku. Prawdopodobnie od czasu dymisji Bismarcka jestem pierwszym niemieckim urzędnikiem, który kiedykolwiek płakał podczas wykonywania obowiązków służbowych. Czytałem i czytałem Pana prośbę i nie mogłem nawet uwierzyć, że Pan jeszcze żyje. W Głubczycach wkrótce po Pana wyjeździe opowiadano, że został Pan zaatakowany przez lwa i że poniósł Pan śmierć. Dopiero wzmianki o tym, że studiował Pan we Wrocławiu i o Pana działalności adwokackiej w Głubczycach dały mi pewność, że jest Pan rzeczywiście tym dobrym przyjacielem z czasów, które na zawsze już odeszły.

Nie byłem też w stanie sobie wyobrazić, że człowiek, któremu udało się ująć z Niemiec, chce wracać do tych ruin i tych ludzi, którzy zrobili mu to, czego dopuścili się wobec Pana i Pańskiego narodu. Jakie musiał mieć Pan przeżycia, jak źle się musi Panu żyć, skoro znalazł Pan w sobie odwagę na podjęcie tak ważkiej życiowo decyzji! Oczywiście ja bardzo ją pochwalam. Tu w Niemczech pozwalaliśmy sędziów obciążonych politycznie i pozostało zbyt mało nieobciążonych, by móc odbudować wymiar sprawiedliwości. Niech się Pan więc przygotuje na to, że nie będzie Pan długo radcą sądu okręgowego, zanim Pana awansują. Naczelnik Sądu Okręgowego Maass spodoba się Panu. To bardzo przyzwoity człowiek, którego nazisci wypędzili ze służby w wymiarze sprawiedliwości i przez wszystkie te lata ledwo co udawało mu się utrzymać swoją rodzinę.

Teraz opiszę własne losy. Na nic mi się zdało, że Pana Anna (czy mi tymczasem wybaczyła, poczciwa dusza?) musiała zawsze zaciągać zasłony, kiedy odwiedzałem Pana na Asternweg, by nikt się nie dowiedział, że jeszcze mam kontakt z Żydami. Wkrótce po Pana wyjeździe z Głubczyc z powodu posiadania żony Żydówki zostałem zawieszony w wykonywaniu obowiązków sędziego, ale dzięki wstawiennictwu dobrego starego Teuschera przydzielono mi przynajmniej pewne zajęcie w urzędzie hipotecznym.

Po kilku miesiącach w wyniku zabiegów przewodniczącego komitetu powiatowego Rummlera, którego pewnie nie pamięta Pan tak dobrze jak ja, zostałem zwolniony i stamtąd. Przedtem wzywano mnie trzykrotnie do Wrocławia i obiecano mi natychmiastowe ponowne zatrudnienie w przypadku, gdy rozwiodę się z moją żydowską żoną. Do wybuchu wojny zatem mogłem wyżywić własną rodzinę z prostych i niezbyt uczciwych prac dorywczych u adwokata Pawlika, o których oczywiście nikt nie mógł nic wiedzieć. Nigdy nie dane mi było mu się za to odwdziżyć.

Zginał w pierwszym miesiącu wojny w Polsce. Mnie samego uznano »za niegodnego pełnienia służby wojskowej« i w roku 1939 zostałem skierowany na roboty przymusowe. O tym okresie opowiem Panu, gdy się znowu zobaczymy. Pióro wzdraga się przed zapisaniem tego, co przeżyłem, chociaż zdaję sobie doskonale sprawę, że mogło być jeszcze gorzej.

Po zakończeniu wojny ja, Kathe i mój syn Klaus, który urodził się w tym samym roku co Pańska córka, wraz z pierwszym transportem wyjechaliśmy z Górnego Śląska. Kathe przez to, że żyła w ciągłym strachu przed deportacją, przez te wszystkie lata nie czuła się dobrze, a w czasie tułaczki na dodatek zraniła się w nogę, co sprawiło, że baliśmy się najgorszego. Chociaż zapomniałem już wiary w Boga, to musimy Mu jednak być wdzięczni za to, że w końcu wszyscy troje wylądowaliśmy w Wiesbaden, gdzie przygarnął nas daleki krewny. A Hitlerowi zawdzięczam karierę, o której w naszych Głubczycach nigdy bym nie śmiał marzyć.

Kathe niezwykle się wzruszyła, gdy opowiedziałem jej o Pana prośbie. Mój syn nie może się doczekać, kiedy pozna człowieka, który dotarł aż do Afryki. Jest zamkniętym w sobie chłopcem, na którym przeżycia ze złego czasu pozostawiły swoje piętno. Nie potrafi zapomnieć o strachu swoich rodziców oraz o udrękach i uwłaczaniu jego godności, czego doświadczył od swoich kolegów, lecz przede wszystkim od nauczycieli. Nie mógł się dostać do gimnazjum, a dzisiaj męczy się ze szkołą. Marzy w opętany, niedziecięcy sposób o emigracji i sędzę, że wcześniej go stracimy.

Obawiam się, że zbyt się rozpisałem, ale pisanie do Pana dobrze mi zrobiło. Już sama świadomość, że ten list idzie do Nairobi, do wolnego świata bez ruin, przerasta mnie. A przy tym cały czas mam wrażenie, jakbym siedział w Pana pokoju w Głubczycach. Przy odsłoniętych zasłonach! O los Pana ojca i siostry, których kiedyś u Pana poznałem, nie mam odwagi zapytać. W równie niewielkim stopniu śmiem zachęcać Pana do nowego początku. Niemcy stracili nie tylko dużą część kraju i swoje miasta. Zagubili także duszę i sumienie. Kraj jest pełen ludzi, którzy nic nie widzieli i o niczym nie wiedzieli albo »byli zawsze przeciw«. I już znów się zniesławia tych kilku Żydów, którzy uchronili się przed piekłem. Do skąpej racji żywniowej normalnego konsumenta dostają dodatek za pracę w uciążliwych warunkach. To wystarcza sprawcom, by mogli na nowo zdyskryminować swoje ofiary.

Proszę zawiadomić mnie możliwie jak najwcześniej o dacie swojego powrotu. Mój pesymizm i moje doświadczenia zabraniają mi mówić o powrocie do domu. Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, by Panu pomóc, lecz proszę sobie nie obiecywać zbyt wiele po radcy ministerialnym, który ma skazę pochodzenia z Głubczyc. Tu na zachodzie jesteśmy określanii jako »ci ze wschodu« i nikt nie wierzy ludziom, którzy wraz z ojczyzną stracili także wartości materialne i duchowe. Mogę Pana raczej awansować na naczelnika sądu ziemskiego, niż załatwić Panu mieszkanie czy funt masła.

Proszę jednak, pomimo moich skarg, które w tym miejscu uważam za zupełnie niestosowne, nie dać sobie odebrać swojego godnego podziwu optymizmu, a także poczucia humoru, które przypominam sobie bardzo dobrze i chętnie. Jeśli byłoby to możliwe, proszę zabrać ze sobą kawę. Kawa jest nową walutą niemiecką. Za kawę można kupić sobie wszystko. Nawet czyste sumienie. Teraz łatwo sieje wybiela. Persilem.

Moja żona i ja czekamy na Pana i Pana rodzinę z niecierpliwością i otwartym sercem. Pozdrawiam Pana. Zawsze szczerze oddany Hans Puttfarken. PS Niemal bym zapomniał. Pana dawny przyjaciel Greschek wyładował w pewnej wsi w Harzu. Przez przypadek dostałem jego adres i napisałem mu o planowanym przez Pana powrocie”.

Gdy Jettel wkładała z powrotem list do koperty, próbowała sobie przypomnieć twarz Puttfarkena, ale przychodziło jej na myśl tylko to, że był wysokim blondynem i miał bardzo niebieskie oczy. Przynajmniej to chciała powiedzieć Walterowi, ale cisza trwała zbyt długo, by móc jeszcze znaleźć słowa uwalniające od wzburzenia. Jettel, szukając ochłody, nieśmiało zaczęła wachlować się kopertą. Owuor wyjął jej list z ręki i położył na talerzyku.

Wydawał z siebie ciche, psykające odgłosy, które jako chłopak podsłuchał u ptaków, uśmiechał się na wspomnienie pewnego słowa, które *memsahib* wydobyła z papieru, i pogwizdując, na powrót rozsunał zasłony. Promień chylącego się ku zachodowi słońca odbił się w szkle i spowił szary papier rzadką niebieską mgiełką. Pies zbudził się, ospale uniósł łeb i ziewnąwszy, kłapnął zębami tak głośno jak za czasów młodości, kiedy mógł jeszcze wywęszyć zające w trawie.

– Rummler – zaśmiał się Owuor. – W liście ktoś zawołał Rummlera. Słyszałem imię Rummlera.

– IV wariacie – powiedział Walter. – Gdyby Puttfarken wiedział, co wynikło z mojego żartu. Ach, Jettel, czy nie czujesz

się chociaż trochę lepiej po przeczytaniu takiego listu? Po tych wszystkich latach, przez które czuliśmy się jak ostatni gnój.

– Nie wiem. Nie wiem, co mam powiedzieć. Nie wszystko zrozumiałam.

– A myślisz, że ja zrozumiałem? Wiem tylko, że tam jest człowiek, który pamięta mnie takiego, jaki kiedyś byłem. I że chce nam pomóc. Daj nam czas, pani doktorowo, byśmy się przyzwyczaili do tego, że sprawy uległy zmianie. Nie słuchaj tego, co ludzie tutaj mówią. Upadliśmy niżej niż oni, ale mamy też więcej doświadczenia od innych, potrafimy zacząć życie od nowa. I dokonamy tego. Nasz syn już się nie dowie, co to znaczy być wypędzonym.

Przez moment Jettel poczuła się tak, jak gdyby przesycony łagodnością i pragnieniem głos Waltera zwrócił jej marzenia, nadzieje i pewność, miłość i chęć do życia z czasów młodości, ale możliwość dojścia z mężem do zgody była dla niej zbyt obca, by ten stan mógł trwać dłużej.

– Co ty właściwie powiedziałaś, kiedy przyszedłeś do domu? Już nie pamiętam.

– Przeciwnie Jettel, doskonale pamiętasz. Powiedziałem, że odpływamy dziewiątego marca „Almanzora”. I tym razem nie płyniemy każde osobno. Jesteśmy razem. Cieszę się, że niepewność się skończyła. Myślę, że nie wytrzymałbym już dłużej tego wyczekiwania.

O czwartej rano Waltera zbudził hałas, którego nie umiał sobie wytłumaczyć. Coraz to usiłował wychwycić ciche dźwięki, które zdawały się dochodzić z pobliza i były miłsze od lęku przed bezsensownością, ale uszy odbierały tylko martwą męczącą godzinę przed wschodem słońca, która natychmiast skradła mu spokój. Chciwie nasłuchiwał świergotu ptaków wśród drzew eukaliptusowych pod oknem, który zazwyczaj był dla niego sygnałem, by wstać. Natężona uwaga wyostrzyła jego zmysły przed czasem. Chociaż dnia nie rozjaśniało jeszcze pierwsze szare światło, Walter miał wrażenie, że już rozróżnia zarysy czterech dużych, jasnych skrzyń przeznaczonych do transportu oceanicznego.

Od czasu przyjazdu do Afryki używali ich zamiast szaf, a teraz stały, oznaczone pochyłym, dziecięcym pismem Jettel, pod ścianami sypialni. Poprzedniego wieczoru Owuor dopakował je i zabił gwoździami, uderzając w nie tak silnie, że Kellerowie z sąsiedniego mieszkania zaczęli wściekle stukać w ścianę. Walter poczuł się wolny na myśl, że ogromna część życia z ostatnich dziewięciu lat wreszcie została zamknięta i zapakowana. Dwa tygodnie, które pozostały do wyruszenia „Almanzory”, miały upłynąć już bez wyczerpujących, ciągłych kłótni o to, czy można coś z powrotem zabrać lub czy trzeba coś zostawić.

Walter pomyślał, że los podarował mu na koniec trochę normalności. Ten czas udzielony z łaski wydał mu się zbyt krótki. Słuchał zgrzytania swoich zębów z takim skupieniem, jakby ten nieprzyjemny odgłos miał jakieś szczególne znaczenie. Po pewnym czasie, ku swojemu zdziwieniu, naprawdę poczuł się uwolniony od ciężaru, który męczył go ustawicznie za dnia. Rozbrojony przez poczucie winy, o którym nie mógł mówić, jeśli nie chciał opaść z sił, musiał rozliczać się przed Jettel albo Reginą z każdej uwagi, westchnienia, zdenerwowania i niepewności.

Tylko nocą mógł przyznawać się sam przed sobą, że już ogarniało go bolesne rozczarowanie, zanim zasiane ziarno nadziei mogło zakiełkować. Od dnia, w którym rozpoczęło się pakowanie, Walter gryzł się myślą, że skrzynie tak bardzo i tak jednoznacznie przypominały mu wyjazd na emigrację. Nie symbolizowały, tak jak to sobie miesiącami przedstawiał, sycąc się swoją euforią, od tak dawna wytęsknionego wyjazdu po znów odnalezione szczęście.

Żeby się uspokoić, coraz mocniej zaciskał wargi, aż ból stał się na tyle silny, że mógł podjąć walkę ze złośliwymi marami, które powstawały z przeszłości i zagrażały przyszłości. Wtedy po raz drugi usłyszał dźwięk, który obudził go ze snu. Z kuchni dobiegały ciche odgłosy wolno stąpających po drewnianej podłodze bosych stóp, a od czasu do czasu wydawało się, jakby Rummler ocierał się ogonem o zamknięte drzwi.

Walter uśmiechnął się na myśl o tym, że pies mógłby otworzyć choć jedno oko, zanim w czajniku zacznie gotować się woda, ale ciekawość kazała mu wstać i sprawdzić, co się tam dzieje. Wstał cicho, żeby nie obudzić Jettel, i przemknął na palcach do kuchni. Resztką małej świeczki przyklejonej do blaszanej pokrywki paliła się długim płomieniem, pograżając pomieszczenie w bladym, żółtawym świetle. W kącie, między kilkoma garnkami i zardzewiałą brytfanną z Głubczyc, na ziemi siedział Owuor z zamkniętymi oczami i rozgrzewał sobie stopy. Obok niego leżał Rummler. Pies rzeczywiście nie spał, a wokół szyi miał zawiązany gruby powróż.

Pod stołem leżał wypchany po brzegi ręcznik w biało-niebieską kratę, owinięty wokół grubego drewnianego kija i zawiązany w mały tłumoczek. Z jednej z licznych dziur zwisał rękaw białego *kantu*, w którym Owuor podawał posiłki jeszcze w Rongai. Na parapecie leżała świeżo uprasowana i starannie złożona w czarny prostokąt toga Waltera. Rozpoznał ją tylko po znoszonym jedwabiu przy kołnierzu i na wewnętrznej stronie.

– Owuor, co ty tutaj robisz?

– Siedzę i czekam, *bwana*.

– Dlaczego?

– Czekam na słońce – wyjaśnił Owuor. Dał sobie trochę czasu, by wyczarować w swoich oczach takie samo zdumienie, jakie widniało w oczach *bwana*.

– A dlaczego Rummler ma sznur wokół szyi? Czy chcesz go sprzedać na targu?

– *Bwana*, kto kupi starego psa?

– Chciałem zobaczyć, jak się śmiejesz. No a teraz powiedz wreszcie, dlaczego tu jesteś?

– Ty to wiesz.

– Nie.

– Ty zawsze kłamałeś tylko ustami, *bwana*. Ja i Rummler idziemy na długie safari. Kto idzie na safari najpierw, ten ma suche oczy.

Walter powtarzał każde słowa z osobna, niezdolny otworzyć usta. Gdy poczuł ból w gardle, usiadł na ziemi i zaczął głaskać krótką, twardą sierść na karku Rummlera. Ciepłe ciało psa przypomniało mu o nocach spędzonych przed kominkiem w Ol' Joro Orok, które, jak mu się wydawało, dawno już wykreślił z pamięci i sprawiło[^] że poczuł się senny. Przyciskając głowę do kolan, bronił się przed paraliżującym go spokojem. Najpierw ucisk, jaki czuł w oczodołach, sprawiał mu przyjemność, potem jednak zaczęły mu przeszkadzać kolory, które rozpadały się w świetle tak samo jak jego myśli.

Miał wrażenie, jakby kiedyś już przeżył scenę, która jawiła mu się teraz jako tak nierealna, zupełnie jednak nie wiedział gdzie. Jego pamięć szybko i skwapliwie poddała się zagmatwanym obrazom. Ujrzał swojego ojca stojącego przed hotelem w Żorach, ale kiedy świeca rozpoczęła ostatnią walkę o życie, ojciec odwrócił się od syna i zamienił się w Greschka, który stał na pokładzie „Ussukumy” w Genui.

Flaga ze swastyką łopotała na silnym wietrze. Walter czekał wycieńczony, aż dobiegnie go głos Greschka, w zaciętej złości twardo wymawiającego poszczególne sylaby, co czyniło pożegnanie jeszcze trudniejszym, niż było już i bez tego. Ale Greschek nic nie powiedział, tylko potrząsnął głową tak silnie, że flaga się poluzowała i runęła na Waltera. Nie czuł nic prócz własnej słabości i ucisku milczenia.

– Kimani – powiedział Owuor. – Czy twoja głowa zna jeszcze Kimaniego?

– Tak – odparł szybko Walter. Rad był, że może znowu słyszeć i myśleć. – Kimani był moim przyjacielem, tak jak ty, Owuor. Często o nim myślałem. Odszedł z farmy, zanim wyjechałem z Ol' Joro Orok. Nie powiedziałem mu *kwaheri*.

– On widział, jak odjeżdżasz, Bwana. Stał długo przed domem. Auto było coraz mniejsze. Następnego dnia Kimani nie żył. W lesie był jeszcze tylko kawałek koszuli Kimaniego.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś, Owuor. Dlaczego? Co się stało Kimaniemu?

– Kimani chciał umrzeć.

– Ale dlaczego? Nie był chory. Nie był stary.

– Kimani zawsze rozmawiał tylko z tobą, *bwana*. Pamiętasz to jeszcze? *Bwana* i Kimani byli zawsze pod drzewem. To było najpiękniejsze *schamba* z najwyższym lnem. Ty wypełniłeś jego głowę obrazami z twojej. Kimani kochał te obrazy bardziej niż swoich synów i słońce. Był mądry, ale nie do końca. Kimani wpuścił sól do swego ciała i zrobił się suchy jak drzewo bez korzeni. Człowiek musi iść na safari, gdy przychodzi jego czas.

– Owuor, ja cię nie rozumiem.

– „Owuor, ja cię nie rozumiem”, mówiłeś tak zawsze, gdy twoje uszy nie chciały słuchać. Także w dniu, w którym przyleciała szarańcza. Ja powiedziałem: „Przyleciała szarańcza, *bwana*”, ale *bwana* powiedział: „Owuor, ja cię nie rozumiem”.

– Przestań mówić moim głosem – odparł Walter. Zauważył, jak jego ręka wędruje z sierści Rummlera w kierunku kolana Owuora. Chciał ją powstrzymać, ale nie reagowała na jego rozkazy. Przez pewien czas, bardzo długi, gdy coraz bardziej czuł ciepło i gładkość skóry Owuora, bronił się przed zrozumieniem. Wtedy poczuł ból, a wraz z nim pewność, że to pożegnanie jest najbardziej bezlitosne ze wszystkich dotychczas przeżytych.

– Owuor – powiedział, zapanowując nad bólem swojej świeżej rany. – Co mam powiedzieć *memsahib*, jak dzisiaj nie przyjdiesz do pracy? Czy mam powiedzieć: „Owuor już nie chce ci pomagać”? Czy mam powiedzieć: „Owuor chce o nas zapomnieć”?

– Chebeti będzie pracowała tak jak ja, *bwana*.

– Chebeti to tylko aja. Nie pracuje w domu. Przecież wiesz.

– Chebeti to twoja aja, ale też moja żona. Zrobi to, co powiem. Pojedzie z tobą i *memsahib* do Mombasy i będzie trzymała małego Askariego.

– Nigdy nie mówiłeś, że Chebeti to twoja żona – rzekł Walter. Jego pełen wyrzutu głos wydał się mu dziecinny, więc zakłopotany otarł pot z czoła. – Dlaczego ja o tym nie wiedziałem? – zapytał cicho.

– *Memsahib kidogo* wiedziała. Ona zawsze wie wszystko. Ma oczy tak jak my. Ty zawsze spałeś na swoich oczach, *bwana* – zaśmiał się Owuor. – Pies – ciągnął, mówiąc teraz tak szybko, jakby już długo trzymał każde słowo w ustach – nie może jechać statkiem. Jest za stary na nowe życie. Ja pójdę z Rummlerem. Tak, jak odszedłem z Rongai, a potem z Ol’ Joro Orok do Nairobi.

– Owuor – poprosił Walter zmęczonym głosem – musisz powiedzieć *kwaheri Memsahib kidogo*. Czy mam powiedzieć mojej córce: „Owuor odszedł i nie chce cię więcej widzieć”? Czy mam jej powiedzieć: „Rummler odszedł na zawsze”? Moje dziecko kocha tego psa. Przecież o tym wiesz. Byłeś przy tym, jak ona i Rummler zostali przyjaciółmi.

Westchnienie było jak pierwszy gwizd wiatru po deszczu. Pies poruszył uchem. Skomlał jeszcze wtedy, gdy otworzyły się drzwi.

– Owuor musi odejść, tato. Czy chcesz, żeby wyszło mu serce?

– Regina, od kiedy ty nie śpisz? Podśluchiwałaś? Wiedziałaś, że Owuor od nas odchodzi? Jak złodziej nocą.

– Tak – powiedziała Regina. Kiedy powtarzała to słowo, potrząsnęła głową tym samym lekkim ruchem, którym powstrzymywała brata od grzebania w psiej misce. – Ale – dodała, podczas gdy smutek odbierał jej głos – nie jak złodziej. Owuor musi odejść. On nie chce umrzeć.

– Wielki Boże, Regina, nie mów bzdur! Przez pożegnanie się nie umiera. W przeciwnym razie już od dawna bym nie żył.

– Niektórzy ludzie nie żyją i nadal oddychają.

Regina z przestraszeniem zacisnęła dolną wargę, ale było za późno. Już poczuła sól, a jej język nie miał już mocy, by cofnąć zdanie. Była tak zmieszana, że wręcz jej się wydało, że słyszy, jak tata się śmieje, ale nie miała odwagi na niego spojrzeć.

– Kto ci naopowiadał takich rzeczy, Regino?

– Owuor. Dawno temu. Nie pamiętam już kiedy – skłamała.

– Owuor, jesteś mądry.

Owuor musiał wysilić swoje uszy jak pies, który słyszy pierwszy dźwięk po przebudzeniu z głębokiego snu, bo *bwana* powiedział to tak, jak stary człowiek mający za dużo powietrza w piersi. Mimo to udało mu się odebrać pochwałę tak jak za dawnych dni, w których cieszył się nową przyjaźnią. Spróbował sięgnąć do tego umarłego czasu, ale ten przesypał mu się tylko między palcami jak zbyt drobno zmielona mąka. Ociężale odsunął się na bok, a Regina usiadła między nim i tatą.

Cisza była dobra, ponieważ ból, który nie pochodził z ciała, czyniła lekkim jak pióro kury, która jeszcze nie złożyła pierwszego

jajka. Milczeli wszyscy troje, dopóki światło dnia nie stało się jasne i przezroczyście, a słońce nie nadało liściom barwy ciemnej zieleni, co zapowiadało dzień, w którym żar leje się z nieba.

– Owuor – powiedział Walter, otwierając okno – tu leży mój stary czarny płaszcz. Zapomniałeś o nim.

– O niczym nie zapomniałem, *bwana*. Płaszcz nie należy już do mnie.

– Ja ci go dałem w prezencie. Czy mądry Owuor już tego nie pamięta? Dałem ci go w Rongai.

– Ty znowu wkładasz ten płaszcz.

– Skąd wiesz?

– W Rongai powiedziałaś: „Już nie potrzebuję tego płaszcza. On jest z życia, które straciłem”. Teraz – rzekł Owuor, pokazując zęby w uśmiechu jak za dni, które były już tylko mąką kukurydzianą – znów odnalazłeś swoje życie. Życie z płaszczem.

– Musisz go wziąć, Owuor. Bez płaszcza o mnie zapomnisz.

– *Bwana*, moja głowa nie może o tobie zapomnieć. Nauczyłem się od ciebie tylu słów.

– Powiedz je, powiedz je jeszcze raz, mój przyjacielu.

– *Ich hab mein Herz in Heidelberg verloren* – zanucił Owuor. Spostrzegł, że jego głos z każdym tonem staje się coraz mocniejszy i że muzyka brzmi w jego gardle tak samo słodko jak za pierwszym razem. – Widzisz – powiedział z tryumfem – mój język też nie może cię zapomnieć.

Stanowczo, a jednak drżącymi rękami Walter sięgnął po adwokacką tokę, strząsnął ją i włożył Owuorowi na ramiona, jakby był dzieckiem, które ojciec musi ochronić przed zimnem.

– Teraz idź, mój przyjacielu – rzekł. – Ja też nie chcę mieć soli w oczach.

– Dobrze, *bwana*.

– Nie! – krzyknęła Regina, nie mogąc już dłużej powstrzymać łez. – Nie, Owuor, ty musisz mnie jeszcze raz podnieść. Nie wolno mi tego mówić, ale jednak mówię.

Kiedy Owuor wziął ją w ramiona, Regina wstrzymała oddech, aż ból rozorał jej pierś na dwie części. Pocierała czołem o jego umięśniony kark i wciągała zapach skóry. Nagle zauważyła, że znów zaczęła oddychać.

Jej wargi zwilgotniały. Ręce zagłębiły się we włosy, w które teraz każdego dnia wpadał nowy, mały, siwy promień, ale Owuor się zmienił.

Nie był już stary i przepelniony smutkiem. Jego plecy znowu były jak strzała z napiętego łuku Masajów. A może to była mknąca strzała Amora? Przez moment Regina przełękła się, że ujrzała twarz Amora i wpuściła go do krainy, do której nie mogła już za nim podążyć, ale gdy mogła już wreszcie unieść powieki, ujrzała nos Owuora i blask jego dużych zębów. I znów był olbrzymem, który w Rongai wyciągnął ją z samochodu, podrzucił w powietrze i tak nieskończenie łagodnie postawił na czerwonej ziemi farmy.

– Owuor, nie możesz odejść – szepnęła. – Czary jeszcze działają. Nie możesz przerywać czarów. Ty nie chcesz iść na safari. Tylko twoje nogi tego chcą.

Olbrzym o silnych ramionach napoił jej uszy. Były to cudownie cichutkie dźwięki, które umiały fruwać, ale nie dawały się złapać, i które mimo wszystko dodawały siły także słabym, płaczącym ludziom. Gdy Owuor postawił ją na ziemi, Regina znów zamknęła oczy w ciemnościach. Czuła jego usta na swojej skórze, ale wiedziała, że nie wolno jej spojrzeć na Owuora.

Jak żebracy na targu opuściła głowę aż do ziemi, jakby była zbyt słaba, by przeciwstawić się bezwładowi. Uważnie słuchała melodii pożegnania. Usłyszała sapanie Rummlera, kroki Owuora, które wprawiały w taniec drewno, potem skrzypienie energicznie pchniętych drzwi, a w oddali głos ptaka, który przypominał, że oprócz świata świeżych ran istnieje jeszcze inny. Przez krótką

chwilę kuchnia pachniała jeszcze wilgotną sierścią Rummlera, potem już tylko wystygłym woskiem spalonej świecy.

– Owuor zostanie z nami. Nie widzieliśmy, jak odchodzi – powiedziała Regina. Najpierw zauważyła, że powiedziała to na głos, potem, że płacze.

– Wybacz mi, Regino. Nie chciałem tego. Jesteś jeszcze za młoda. W twoim wieku wiedziałem, czym jest ból, tylko wtedy, gdy spadłem z konia.

– Ale my nie mamy konia.

Walter popatrzył na córkę ze zdziwieniem. Czy skradł jej aż tyle dzieciństwa, że musiała pocieszać się żartem, podczas gdy łzy płynęły jej po twarzy jak dziecku, które nie rozumie nic poza swoim uporem? Czy może mówiła językiem Afryki, lecząc duszę balsamem, którego on nigdy nie spróbował? Chciał przytulić Reginę, ale ręce mu opadły, zanim zdążył je choć trochę unieść.

– Już nigdy nie będziesz mogła zapomnieć, Regino.

– Ja nie chcę zapomnieć.

– To właśnie powiedziałem. I co mi to dało? Sprawiam ból komuś, kto znaczy dla mnie najwięcej na świecie.

– Nie – zaprzeczyła Regina. – Ty nie potrafisz inaczej, musisz jechać na safari.

– Kto to powiedział?

– Owuor. Powiedział coś jeszcze.

– Co?

– Naprawdę mam ci powiedzieć? Obrazisz się.

– Nie, obiecuję ci, że nie.

– Owuor – przypominała sobie Regina, patrząc w okno, żeby nie musieć widzieć twarzy taty – powiedział, że muszę cię chronić. Bo jesteś dzieckiem. Tato, to powiedział Owuor, nie ja.

– On ma rację, ale nie mów tego nikomu, *memsahib kidogo*.

– *Hapana, bwana.*

Stali mocno przytuleni, wierząc, że mają przed sobą tę samą drogę. Walter po raz pierwszy znalazł się w świecie, który za późno stał się częścią jego ojczyzny. Regina jednak doceniała wagę tej chwili. Nareszcie jej tata zrozumiał, że tylko czarny bóg Mungo obdarza ludzi szczęściem.